

Edna Buchanan

NIE IGRA SIĘ Z MIAMI

MIAMI IT'S MURDER

Przekład Paweł Wieczorek

Wydanie oryginalne: 1994

Wydanie polskie: 1996

TMN

*Dla Marylin Lane,
wiernej przyjaciółki,
prawdziwej siostry*

Bo nie ma nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani tajnego, co by nie stało się wiadome.

(Ewangelia wg św. Łukasza: 12, 2)

Rozdział pierwszy

26 grudnia

Był mężczyzną, o jakim śni każda kobieta – w najgorszych koszmarach. Gwałciciel grasował po mieście od pierwszych dni lata, atakował w toaletach biurowców w centrum. Zjawiał się i znikał niczym duch, widziany jedynie przez przerażone ofiary – jak na razie sześć.

W Miami trwało kolejne szalone lato. Śmierdziel – bandyta o szczególnie nieprzyjemnym odorze ciała – rabował jeden bank dziennie i choć nie odpoczywał nawet na tyle, by wziąć prysznic, policja i sfrustrowane FBI nie były w stanie go wywęszyć. Wysoki urzędnik rady miejskiej, złapany na ulicy w momencie gdy zaczepiał w jednoznaczny cel chłopca na godziny, który okazał się tajnym agentem policji, próbował wyjaśnić przybyłym go aresztować funkcjonariuszom, że bada problemy socjalne miasta. W basenie jednego z hoteli przy plaży odkryto krążącą w oczekiwaniu na ofiarę olbrzymią piranię. Spadł śnieg – w Miami pada nie z nieba, lecz z samolotów. Przez dach kościoła baptystów przeleciało pół tony kokainy – wyrzuciła ją załoga cessny 310, ścigana przez inspekcję celną. Kiedy załoga policyjnego śmigłowca podleciała zbyt blisko skaczących na *bungee* młodzieńców, ci natychmiast złożyli skargę do wydziału spraw wewnętrznych policji i Federalnego Zarządu Lotnictwa Cywilnego.

Jest w parnym lecie Miami i jego szaleństwie coś, co dodaje mi energii. Nie tylko miewam wtedy sny w technikolorze, ale też potrzebuję mniej snu i budzę się bez budzika w samą porę, by zdążyć powitać niesamowity wschód słońca. Lato przyspiesza jeszcze tempo obrotu spraw w moim zawodzie, w którym i tak nigdy nie brakuje wydarzeń.

Prawie skończyłam artykuł o załodze śmigłowca, która dostała zakaz lotów, kiedy nastawiona na pasmo policyjne redakcyjna radiostacja podała informację o znalezieniu topielca na jednej z wysp między miastem a Miami Beach. Złapałam notes i torbę, zachwycona, że mam okazję uciec z redakcji. Dyżur tego dnia pełniła Gretchen Platt, z piekła rodem zastępczyni kierownika działu miejskiego, która od dłuższego już czasu kręciła się wokół mojego biurka, co nie zapowiadało nic dobrego.

- Najlepiej, jak pojedę i zobaczę, co się stało – stwierdziłam.
- Topielec, Britt? – zapytała, marszcząc swój klasyczny nos.

Gretchen unika jak może publikowania „negatywnych” wiadomości, gdyż ktoś mógłby poczuć się obrażony. Ktoś ważny, na przykład Izba Handlowa, Stowarzyszenie Rozwoju Miasta albo Wydział Turystyki. Ze swą urodą, blond włosami i strojem odpowiednim do pokazywania się w gabinetach dyrekcji Gretchen może sprawiać – i sprawia – wrażenie kobiety sukcesu, dynamicznej młodej kierowniczką, mającej bezpośredni kontakt z tymi, którzy rządzą światem, prawda jest jednak taka, że nie zauważyłaby dobrego tematu, nawet gdyby ugryzł ją w nogę. Ideałem dobrej informacji jest dla niej nadęty kawałek promujący lokalne wydarzenie kulturalne albo jakąś miejscową organizację.

– To się wydarzyło w eleganckiej dzielnicy – zaryzykowałam. – Na wyspie willowej. Może chodzi o kogoś ważnego, a przecież to tylko kilka minut stąd. A nuż sprawa śmierdzi? Nie zaszkodzi sprawdzić.

– Niech będzie, ale proszę szybko wracać – odpowiedziała sceptycznie Gretchen. – Może będę miała dla pani zlecenie.

Wcale mi się to nie podobało. Lubiłam sama przebijać się przez moje żyzne poletka i znajdować sobie tematy na artykuły; uleganie fanaberiom i chorym pomysłom Gretchen zazwyczaj okazywało się średnią przyjemnością.

Ruszyłam tyłem w kierunku wind, starając się nie słyszeć jej rad i przestróg, cały czas kiwając głową niczym modne w swoim czasie pieski, stawiane za tylnymi szybami samochodów.

Choć na zewnątrz było trzydzieści pięć stopni, a klimatyzacja w moim sześcioletnim t-birdzie nie działała, wyrwanie się z olbrzymiego gmachu redakcji, w którym temperatura nie przekracza temperatury chłodzi, i wyjście na powietrze zawsze jest ulgą. Parna wilgoć otuliła mnie jak miękki koc i rozgrzała moje wyziębione kości. Ruszyłam na wschód Venetian Causeway, gdzie rywalizują między sobą o wygląd purpurowa bugenwilla i ognista meksykańska winorośl. Zdobiają one kamienne murki i płoty, znad których wystają obsypane jaskrawymi szkarłatnymi kwiatami drzewa *royal poinciana*.

Łańcuch sztucznych wysp, nazwanych romantycznie z włoska San Marco, San Marino, Dilido i Rivo Alto, łączą wąskie mosty. Kiedy zbliżałam się do wschodniego mostu zwodzonego, zamigotały czerwone światła i zabręczały dzwonki. Niewiele myśląc, wcisnęłam pedał gazu do podłogi i przemknęłam z wyjąłym silnikiem. Rzut okiem we wsteczne lustro wystarczył, by zobaczyć opuszczające się tuż zaraz w poprzek jezdni drewniane barierki i most podnoszący się dla wysokomasztowego szkunera. Sunące cicho po wodzie eleganckie żaglowce marnują w naszym mieście więcej benzyny niż jachty motorowe – podniesienie mostu unieruchamia osiemset samochodów, które stoją i prażą się w upale, aż przepłynie jeden jacht.

Radio policyjne w moim samochodzie wypluło na częstotliwości Miami Beach rozmowę dwóch gliniarzy. Znajdujący się na miejscu zdarzenia detektywi z wydziału zabójstw korygowali przyczynę śmierci denata z utonięcia na „prawdopodobnie porażenie prądem”. Zapytali o PCF (przypuszczalny czas przybycia) anatomopatologa, na co dyżurny w centrali poinformował ich, że jest on już w drodze. Skręcając w lewo na wyspę Sunset, coś sobie przypomniałam i natychmiast szybciej zabiło mi serce. Byłam tu kiedyś, zbierając materiał na artykuł! Czy to możliwe? Tak! To ten sam dom! Przed budynkiem stały dwa radiowozy, a jeden się właśnie oddalał. Nie było karetki – musiała już odjechać. Elektronicznie otwierana żelazna brama stała otworem. Nie widziałam żółtej taśmy, oddzielającej zazwyczaj ciekawskich od miejsca zbrodni, ale w tej okolicy nie istniała potrzeba takiej ostrożności. Mieszkańcy tutejszych willi nie na darmo otaczają się murami i wysokimi płotami z kutego żelaza, poza tym większość z nich pewnie wyjechała na lato. Ci, którzy zostali, nie wyszliby w popołudniowy upał obejrzyć wybuchu trzeciej wojny światowej, a co tu mówić o pojedynczym trupie. Ledwie stanęłam, zatrzymał się za mną znajomy chrysler, za którego kierownicą siedziała kobieta z burzą kręconych rudych włosów. Lottie Dane musiała usłyszeć komunikat policji i też wpadła rzucić okiem, co się dzieje.

– Wiesz, kto tu mieszka? – przywitałam ją.

Pokręciła głową. Z prawego ramienia zwisał jej nikon 8008 z teleobiektywem, kieszenie luźnej kamizelki w kolorze khaki miała wypchane pomarańczowymi i czarnymi pudełeczkami filmów.

– Dieter Steiner! Byłam tu kiedyś, chciałam zrobić z nim wywiad tuż przed oskarżeniem go o zabójstwo trzeciej żony. Nie otworzył bramy i zagroził, że zadzwoni do wydawców gazety i na policję.

Kobietom Dietera Steinera zdarzały się dziwne przypadki. Choć przesadą byłoby określać go mianem Sinobrodego, znajdował się na dobrej drodze. Pierwszą żonę stracił podczas nurkowania. Twierdził, że płynęła za nim, a kiedy wdrapał się do łodzi, już jej nie było. Ciało znaleziono kilka dni później. Nikomu nie wydało się to podejrzane. Wypadki się zdarzają. Żona numer dwa pomyliła się, wyjeżdżając z wielopiętrowego garażu – zamiast wstecznego biegu wrzuciła normalny, jej mercedes skoczył do przodu, przełamał barierę i spadł z wysokości pięciu pięter na asfalt, zabijając przy okazji czekającego na autobus starszego pana. Kolejny nieszczęśliwy wypadek.

– Wdowiec majsterklepka? – spytała Lottie.

– Aha.

– Cholera, niech mnie. – Popatrzyłyśmy na siebie.

– Wcale nie powiedziane, że to on. Może to być nowa baba, robotnik, ogrodnik, jego...

Zza domu wyszedł policjant z Miami Beach, Greg Wallace. Był rozgrzany, spocony i szczyrzył zęby w uśmiechu.

– To Steiner! – stwierdziłam. – Popatrz na głowę gliniarza.

– O zesz ty! – mruknęła Lottie i sprawdziła aparat.

– Gdzie on jest? – spytałam.

– Już się dowiedziałeś? – Greg wskazał głową na tył domu i poprowadził nas wyłożoną betonowymi płytami ścieżką wokół rozległego, zadbanego ogrodu.

Steiner leżał na plecach na drewnianym pomoście; jego opalone mokre ciało otaczała szybko schnąca płytka kałuża. Nie było śladu cechującej go za życia arogancji – zniknęła tak samo jak blask zmoczonego słońca wodą złotego kolczyka w jego uchu. W pobliżu walały się gumowe rękawiczki oraz pozrywane z elektrokardiografu krążki z samoprzylepnej folii, rozrzucone przez próbujących reanimacji sanitariuszy. Steiner ubrany był jedynie w kolorowe szorty. Dłonie zacisnął w pięści, na ustach widać było pianę. Miał rozpięty rozporek.

Przez chwilę stałyśmy bez słowa. Był przypływ i spod pomostu dobiegały klaszczące odgłosy wody.

– Nie wiem, co te kobiety w nim widziały – odezwała się w końcu Lottie.

Policja otrzymała zgłoszenie wypadku przez telefon, z jachtu. Zadzwoiła rodzina, płynąca na wycieczkę wielkim bertramem. Zauważyli Steinera sikającego z pomostu do wody; kilka sekund po tym, jak go minęli, wrzasnął i wpadł do wody.

– Sąsiedzi mówią, że robił to notorycznie – powiedział policjant.

– Co? – spytałam notując.

– Pokazywał swoją męskość, używając zatoki jako łazienki. Zwykle kiedy ktoś przepływał, najczęściej gdy na pokładzie były kobiety. Może nie podobało mu się, że wywołują fale, a może chciał dać im do zrozumienia, że przepływają zbyt blisko.

– A może był po prostu walnięty – podsunęłam.

– Tak czy siak, o jeden kłopot mniej – stwierdził Greg.

– Co się właściwie stało? – indagowałam. – Był pod wpływem alkoholu albo narkotyków czy po prostu zakreśliło mu się w głowie?

– Tak sądziliśmy na początku – odparł policjant, przeciągając chusteczką po czole – ale ludzie na motorówce, którzy widzieli, jak wpada do wody, zawrócili, wyciągnęli go i zaczęli reanimować. Nic z tego nie wyszło i chyba wiem, dlaczego.

Popatrzył znacząco na umieszczoną w przystani tablicę z reklamą budweisera.

– Myślę, że poraził go prąd. Niezłe, co? Sam zrobił to, co nie udało się władzom stanowym.

– Jak?

– Ostateczne wnioski wyciągnie lekarz, ale próbująca reanimować go dwójka i sanitariusze dostali prądem, kiedy niechcący dotknęli tej tyki. – Wskazał palcem na jeden z czterech prętów, podpierających rozpiętą nad przystanią markizę. Niewinnie wyglądająca żerdź zaczęła nagle przyciągać wzrok niczym napis ŚWIEŻO MALOWANE.

– Dlaczego jego zabiło, a pozostałych nie?

– Złapał za podporę, po której przebiega kabel oświetlający reklamę, siknął do wody i prąd go popieścił.

Wzdrygnęłam się, zadając sobie retoryczne pytanie, dlaczego mężczyźni na widok każdej większej powierzchni wody natychmiast muszą rozpinąć rozporek i sikać. Niespodziewanie wysoki procent wyławianych z wody w okolicach Miami męskich topielców jest w kompletnym ubraniu, ale z rozpiętym rozporkiem. Lottie dręczył ten sam problem.

– Greg? – spytała. – Dlaczego wy, faceci, ciągle to robicie?

– Co? – Policjant miał nasączony potem kołnierzyk i ciemne koła pod pachami. Pieczołowicie wypełniał rubryki przypiętego do podkładki formularza.

– No wiesz, załatwiacie się do oceanu, zatoki, kanałów, basenów?

Popatrzył zdegustowany, przestał na chwilę pisać, włożył palec za kołnierzyk i odciągnął go od szyi.

– Bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Chyba dlatego, że są.

– Wrzucać do wody puszki po piwie i sikać do zbiorników wodnych tylko dlatego, że „są”? – zdziwiła się Lottie.

– To musi być jak z psami, które podnoszą nogę przy drzewach i hydrantach – próbowałam wyjaśnić. – Znaczą teren.

Greg sprawiał wrażenie rozdrażnionego.

– Co wy gadacie! Powód jest taki, że większość mężczyzn pije piwo i korzysta z każdej okazji, by pozbyć się nadmiaru płynu.

– Nie, moim zdaniem w każdym z was drzemie ukryta potrzeba pokazywania przy lada okazji swojego największego przyjaciela – wygłosiła swą teorię Lottie.

– Co za bzdura! To sprawa natury. – Głos Grega przybierał na sile. – Wola boska!

– W każdym razie sprawiedliwości stało się zadość – oznajmiłam uspokajającym tonem. – Zwłaszcza jeżeli rzeczywiście poraził go prąd. Przecież został skazany na krzesło elektryczne i jedynie dzięki łutowi szczęścia udało mu się doprowadzić do powtórki procesu, zanim gubernator podpisał nakaz wykonania wyroku, no i oczywiście wygrać. Dobrze mu się żyło. – Odwróciłam się, by otaksować rozległe patio z basenem i zbudowany jakby bez planu piętrowy dom o wielkich panoramicznych oknach, z tarasem na piętrze otoczonym balustradą z kutego żelaza.

– Dom zbudował ładny, ale posknerzył na instalacji – stwierdził policjant. – Błąd. Powinien był zlecić elektrykę fachowcowi. Niczego nie dotykajcie, dobrze? – ostrzegł i ruszył do bramy, by przywitać się z doktorem Vernonem Duffym, jednym z anatomopatologów hrabstwa Dade.

Doktor Duffy, przedtem obywatel New Hampshire, wyglądał z powodu upału jak zwiędły kwiat. W rękę niósł wyłożoną gąbką aluminiową walizkę, jakich używają fotografowie. W wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki, która dawno straciła fason, miał woltomierz; przewody dyndały mu na wysokości ud. Przypominał mojego niechlujnego kolegę ze szkoły

średniej, obecnie naukowca w NASA. Duffy jest lekko zgarbiony i bardzo blady – zbyt wiele godzin spędza w kostnicy. Kiwnął mnie i Lottie zdawkowo głową, jakby spodziewał się nas tu zobaczyć, i skierował swą uwagę na ciało.

– Czy to ten, o którym słyszałem?

– We własnej osobie – potwierdził Greg. – Jego dobra passa nie mogła trwać wiecznie.

– Niczyja nie trwa wiecznie – powiedział filozoficznie Duffy, wyjmując woltomierz.

– W wydziale zabójstw nie będą za nim płakać – dodał Greg. – Tak samo w prokuraturze.

Byli naprawdę wkurwieni, kiedy sędzia go puścił.

Duffy podszedł do podtrzymującego markizę drąga i przyczepił do jego galwanizowanej podstawy zakończony czerwoną końcówką próbnik, a przewód z czarną końcówką wrzucił do wody. Wskazówka wychyliła się do stu dwudziestu woltów. Standardowa, używana w barach, podświetlana od środka jarzeniówką reklama piwa wisiała na zardzewiałej metalowej konstrukcji.

– Ani ta reklama, ani gniazdko, do którego jest podłączona, nie są przeznaczone do użytku na wolnym powietrzu – oświadczył lekarz, wodząc wzrokiem wzdłuż kabla zasilającego, prowadzącego do pobliskiego domku z narzędziami. – Nawet nie uziemił przewodu. Dlaczego był tak niefrasobliwy?

– Z lenistwa – wyjaśnił Greg. – Albo z głupoty. Niech pan spojrzy tutaj. – Kilka metrów dalej, tuż obok urządzenia do spuszczenia na wodę motorówki – zaopatrzonego w potężne silniki granatowo-białego custom crafta z napisem PHOTOG na dziobie – widniało nowe, porządnie wyglądające i uziemione gniazdko. – Powinien był odłączyć stary przewód.

– Zdaje się, że złapał znajdującą się pod napięciem podporę i zamknął obieg prądu, kiedy strumień moczu dotknął wody. Pamiętam podobny przypadek w Chicago – mówił Duffy, badając Steinera. Podniósł i obejrzał najpierw jedną jego stopę, potem drugą. – Człowieka poraziło, kiedy w metrze nasikał z peronu na szynę doprowadzającą prąd. Uderzenie było tak mocne, że facet pofrunął na tory, jakby ktoś go zepchnął.

Greg skinął głową. Słowa Duffy'ego musiały obudzić w nim wspomnienia. Niemal z rozmarzeniem na twarzy powiedział:

– O tak. Kiedy byłem mały, namówiliśmy koleżkę, żeby nasikał do włączonej kosiarki. Prąd przeleciał po strumieniu i chłopak jak złoto pierdyknął na dupsko.

Wzięłam głęboki wdech i popatrzyłam na Lottie, która wzniosła oczy do góry.

Gdy postanowiłam wracać do redakcji pisać artykuł, Lottie robiła właśnie zdjęcie wpatrującego się prosto w niebo Steinera.

– Po co ci to? – mruknęłam. – Przecież wiesz, że nie opublikują w żadnej porannej gazecie fotografii nagiego trupa.

Lottie spojrzała na mnie uważnie.

– Dla twojego przyjaciela Danny'ego. Na pewno ucieszy go możliwość rzucenia ostatni raz okiem na Steinera.

Prawdopodobnie miała rację. Oto cała Lottie – pamięta o wszystkim.

Detektyw Daniel P. Flood aresztował Steinera i udowodnił mu morderstwo trzeciej żony. Pisałam o sprawie od samego początku. Dowody zebrane przez Dana doprowadziły Steinera do celi śmierci, ale nie udało się go tam zbyt długo przetrzymać. Wykorzystując formalne uchybienia sędziego podczas przedstawiania ławie przysięgłych punktów oskarżenia, obrona zdołała wznowić proces. I wtedy okazało się, że świadkowie poumierali, poznikali, potracili pamięć i generalnie byli zastanawiająco oporni. W efekcie oskarżony opuścił salę sądową jako wolny człowiek.

Czułam się dziwnie, schodząc z tej areny nagłej śmierci, na której nie polaty się łązy. Kiedy otwierałam samochód, dotarło do mnie, że na widok trupa Steinera każdy jakby weselał. Nim odjechałam, na scenę wkroczył jednak nowy aktor. Tuż za mną zaparkował zielony jaguar. Siedząca w nim młoda kobieta poprawiła okulary słoneczne i zmarszczyła czoło, widząc blokujący podjazd radiowóz, nieoznakowany samochód Grega i auto anatomopatologa. Miała na sobie białe szorty i pasujący do nich sweter, nogi długie i opalone.

– Gdzie Dieter? – zapytała, uważnie mi się przyglądając.

– Jest pani jego znajomą? – odpowiedziałam pytaniem. – Stało się coś przykrego.

Spojrzała przez moje ramię w kierunku domu.

– Proszę tam nie iść – ostrzegłam.

– Dlaczego? Co się stało? – Znów popatrzyła na mnie i nie spodobało jej się to, co zobaczyła w moich oczach. Ciężko zasnuł jej rozszerzone nagle źrenice.

Zastawiłam jej drogę i próbowałam przytrzymać za ramię.

– Wypadek. Nie powinna pani.

Wyrwała się i ruszyła biegiem wzdłuż zacienionej strony.

– Proszę pani! – zawołałam, ale mnie nie słyszała. Zdażyła już okrążyć dom i wypaść na prowadzący do przystani pomost. Zaczęła wyć, jej głos unosił się i opadał w rytm kroków.

– Nieee!

Ruszyłam za nią. Kiedy wyszłam zza węgła, Greg trzymał ją za nadgarstki i cicho coś mówił. Próbował stanąć między nią a zwłokami; wtedy jej nogi ugięły się w kolanach i padła na ziemię.

– Mieliśmy wziąć ślub! – krzyczała, wciąż walcząc z policjantem. – Nie może nie żyć! Co pan mówi? Co to znaczy?! – Klęczała teraz z zaciśniętymi pięściami i chlipiąc błagała: – Dlaczego on tu leży? Nie pozwólcie mu tak leżeć!

Gdy ludzie, którym pęka serce, zaczynają płakać, zwykle robię to samo. W drodze do redakcji starałam się jednak powstrzymać od łez, tłumacząc sobie, że ta kobieta miała właściwie szczęście. Będzie pamiętała Steinera jako utraconą miłość, nie zdając sobie sprawy z tego, że spełnienie marzeń prawdopodobnie skończyłoby się dla niej znacznie bardziej tragicznie.

Byłam nowa w branży, kiedy w zagajniku tuż obok parku miejskiego znaleziono Eloise Steiner. Gliniarze nie traktowali mnie jeszcze wtedy poważnie, a ulubioną zabawą paru z nich było szokowanie młodej reporterki. Zamiast więc – jak zwykle – unikać mnie, Dan i jego partner zaprosili mnie pewnego dnia na oględziny zwłok. Uszczęśliwiona szczęściem – dziennikarze nienawidzą być trzymani za żółtą taśmą – ruszyłam grzecznie za nimi zarośniętą jeżynami i chwastami ścieżką. Nigdy nie zapomnę tego, co zobaczyłam na mrocznej polance. Policjanci spodziewali się, że ujawnię słabość, ale nic z tego. Pozostałam chłodna – przynajmniej na zewnątrz, okazując jedynie zawodową ciekawość. Nie przyszło mi to jednak łatwo – był środek lata, a ciało leżało w lesie trzy dni, na dodatek Eloise Steiner była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Kiedy ogłoszono znalezienie niezidentyfikowanych zwłok, Dieter Steiner zadzwonił na policję, że może jest to jego żona, z którą był wtedy niespełna rok po ślubie. Ostatni raz widział ją minionej soboty około dziesiątej rano, gdy wyjeżdżała na pchli targ. Obiecała być w domu przed drugą po południu, ale nie wróciła.

Gliniarze nie mieli okazji zapytać Steinera, dlaczego nie zgłosił jej zaginięcia, ponieważ kiedy przybyli do jego do domu, był tam już adwokat, który zabronił mu rozmawiać z policją oraz poddać się badaniu na wykrywaczu kłamstw.

Zaraz po powrocie do redakcji zadzwoniłam do biblioteki z prośbą o wycinki prasowe dotyczące Steinera. Onnie nie czekała na gońca – przyniosła mi je natychmiast osobiście.

– A więc dobry Bóg w końcu go pokarał – stwierdziła.

– Na to wygląda. Jak Darryl?

– Podniecony perspektywą szkoły. – Na jej usta wypłynął szeroki uśmiech i twarz koloru spieczonej grzanki cała się rozpromieniła. – Nie może się doczekać.

– Uściśnij go ode mnie. – Wpisałam do komputera swój kod osobisty i patrzyłam, jak Onnie wraca do biblioteki. Kiedyś była bitą żoną, ale udało jej się uciec od męża i teraz była samotną matką. Praca, do której ją poleciłam, znakomicie jej służyła – Onnie przytyła gdzie trzeba kilka kilogramów, zaczęła się malować i świetnie wyglądała. Dziennikarzowi nigdy nie zaszkodzi mieć w bibliotece przyjaciół, zwłaszcza tuż przed zamknięciem numeru. Sięgnęłam po słuchawkę telefonu i zadzwoniłam do domu Dana Flooda. Odezwał się po drugim sygnale.

– Cześć, Danny, tu Britt. Nie uwierzysz, nad czym pracuję. Wiesz, kto zginął dziś po południu?

– Cóż, słyszałem, że Dieter Steiner się zeszczał.

– Kto ci powiedział? – O mało się nie zachłysnęłam. – Jak to się dzieje, że zawsze wiesz wszystko pierwszy?

– Nasz wspólny przyjaciel i ulubiony porucznik Ken McDonald poinformował mnie, że Steiner zniknął z planszy nie rozwiązanych przypadków. – Na dźwięk nazwiska „McDonald” jak zwykle skurczył mi się żołądek. Zastanawiałam się, czy już zawsze tak będzie.

– Wygląda na to, że jednak istnieje na świecie sprawiedliwość.

– Być może – odparł Dan.

– Chciałabym zacytować weterana wydziału zabójstw, który posłał Steinera do celi śmierci. Jak brzmi twój komentarz?

– Wiadomość o jego śmierci niemal mnie poraziła – oznajmił Dan chichocząc.

– Bądź poważny.

– Oczywiście. – Przez chwilę Dan się namyślał i słyszałam jedynie jego ciężki oddech. W końcu powiedział z powagą: – Teraz będzie musiał stanąć przed sędzią niebieskim. Czasami jednak sprawiedliwość zwycięża.

Dwie pierwsze żony Steinera zginęły w odstępie trzyletnim. Obie były młode, atrakcyjne i dobrze ubezpieczone. Obie zostały skremowane, nie było więc możliwości ponownego zbadania przyczyn ich śmierci, a w wypadku trzeciej, Eloise, Dan wykonał znakomitą robotę.

– Bardzo dobrze – stwierdziłam, wstukując słowa Flooda do komputera. – Coś jeszcze?

– Ale poza protokołem. Dostał to, na co zasłużył. Powinien usmażyć się już dawno temu. Nikt nie będzie płakał po tym skurwielu.

– Jedna osoba będzie. Każda potwora znajdzie swego amatora, nawet Steiner. Zanim odjechałam z miejsca wypadku, zjawiła się jego narzeczona. Ładna młoda dziewczyna w jaguarze. Miał się z nią zenić. Jego śmierć mocno ją trafiła.

Prychnął.

– Los wyświadczył jej przysługę, prawdopodobnie uratował życie.

– Nigdy w to nie uwierzy. Wiesz, jaka bywa miłość. – Upiłam łyk kawy z mlekiem, która stała na moim biurku w styropianowym kubeczku.

– Taa. – Głos Dana zmiękł. – Wiesz, mała, właściwie czekałem na twój telefon. Po tylu latach dokładnie wiem, jak pracujesz.

– Najwyższy czas, tatusiu. Poza tym jak się czujesz?

– Kiepsko. Kiedy zwlekam się rano z łóżka, moje ciało wydaje takie dźwięki, jakby ktoś w środku łupał orzechy. Wszystko się we mnie psuje. Umieram, ale to żadna nowość, bo wszyscy co dzień umieramy po kawałeczku.

– Przestań narzekać, nie sprawiasz na mnie wrażenia umierającego. Powinieneś słuchać lekarzy, robić co ci każą, i bardziej na siebie uważać.

– Oczywiście. Spotkajmy się w przyszłym tygodniu na kawę albo lunch, Britt.

– Załatwione – odparłam, odłożyłam słuchawkę i zajęłam się artykułem.

Pierwsze zdanie brzmiało:

Mężczyzna, któremu dzięki kruczkom prawnym udało się uniknąć krzesła elektrycznego, zginął porażony prądem w dziwnym wypadku, jaki wydarzył się we wtorek w jego luksusowej willi w Miami Beach.

W czasie kiedy Bobby Tubbs, redaktor dyżurny działu miejskiego, opracowywał artykuł, siedziałam obok i przyglądałam się, jak to robi. Potem pokręciłam się trochę, czekając, aż

redaktor odpowiedzialny napisze tytuł. Lubię dopilnować osobiście, by nie zdarzyło się nic, czego bym nie przewidziała, a tytuł miał związek z artykułem. W tym wypadku nie było problemów.

Wielkie litery wołały: PODEJRZANY O MORDERSTWO PORĄŻONY PRĄDEM W SWOIM DOMU PRZY PLAŻY! A pod spodem: Britt Montero, stały współpracownik „Miami Daily News”. To ja.

Wróciłam do biurka i przejrzałam kartki informujące o telefonach, które były do mnie podczas mej nieobecności. Dwa razy dzwoniła moja matka. Kiedy sięgałam po słuchawkę, zauważyłam, że ktoś za mną stoi. Był to, upozowany jak do zdjęcia w „GQ”, Eduardo de la Torre, wysoki i zawsze elegancko ubrany redaktor rubryki towarzyskiej. Wiedziałam, czego chce. Mimo nienaganych manier i stylu bycia dżentelmena, aż drży na każdą możliwość dowiedzenia się szczegółów dotyczących śmierci, nieszczęść, skandali i przestępstw w „dobrym towarzystwie”, o którym pisze. Im obrzydliwsze, tym lepiej.

– Mogę cię zaprosić na kawę?

– Mam – odparłam, unosząc kubek. – Nigdy nie wspominałeś, że byliście z Dieterem Steinerem przyjaciółmi.

Wzruszył powoli ramionami i stanął bokiem, ukazując swój szlachetny profil. Jego drzewo genealogiczne sięga hiszpańskiej arystokracji i Eduardo nie pozwala nikomu o tym zapomnieć.

– Dlaczego tak mówisz? Jakimi przyjaciółmi? Przyszedłem, bo dawno już nie wymienialiśmy się tematami.

– Eduardo, przestań. Zapraszasz mnie na kawę tylko wtedy, gdy ktoś z wyższych sfer ma problemy – został obrabowany, o coś oskarżony albo zginął.

– A więc to prawda? – wydyszał, unosząc kształtnie zaokrągloną brew.

Rano artykuł wydrukuje pół miliona gazet, ale niemal lubieżna ciekawskość Eduarda zawsze powoduje, że niechętnie ujawniam szczegóły. Moim zdaniem zbytnio podniecają go dotyczące przestępstw drobiazgi. Trzeba jednak przyznać, że Eduardo nieraz okazał się cennym źródłem informacji i zastrzeżonych numerów telefonów, kiedy ten czy ów z „towarzystwa” zapomniiał dobrych manier i ściągnął na siebie zainteresowanie reportera zajmującego się sprawami policyjnymi.

– Co jest prawdą?

– Steiner. Naprawdę nie żyje?

– Nie wiedziałam, że był w Czarnej Księdze.

– Masz na myśli spis osób z towarzystwa? Znajduje się w nim Muffy, jego narzeczona – należy do Benedictów z Palm Beach – mówił Eduardo tonem luźnej pogawędki, odliczając nazwiska na idealnie wymanikiurowanych palcach. – Eloise też tam była. On również, przez rok, w okresie ich małżeństwa. Kiedy jednak został aresztowany pod zarzutem morderstwa, oczywiście go wykreślono.

– Oczywiście. W takim razie już tam nie wróci. Nie żyje.

– Kto? – wtrącił się Ryan Battle, siedzący za mną redaktor odpowiedzialny za informacje ogólne. – Kto nie żyje? Śmierdziel? Słyszeliście o tym, że banki kupują kanarki? Bo kiedy taki kanarek zdycha, wiadomo, że w okolicy krąży Śmierdziel.

Rzuciłam mu mordercze spojrzenie. Ścigającym Śmierdziela policjantom nie było do śmiechu.

– Nie, nie Śmierdziel – odparł ostro Eduardo. – Dieter Steiner, niemiecki fotograf, któremu ciągle ginęły żony.

– Co się stało? – Ryan wstał zza biurka i podszedł do nas.

– No właśnie, co się stało? – podchwycił Eduardo.

Opowiedziałam im krótko całą historię.

– Widziałaś ciało? – Oczy Eduarda błyszczały jak dwa węgielki. – Co miał na sobie?

– Niewiele – odrzekłam zgodnie z prawdą, dodając na koniec, że Lottie ma zdjęcia. Pognali razem do ciemni, by zajrzeć jej przez ramię. Była to nieelegancka sztuczka i wiedziałam, że Lottie się na mnie wścieknie, ale nie widziałam innego sposobu, żeby się ich pozbyć.

Zjechałam do holu ani smutna, ani szczęśliwa z powodu śmierci Dietera Steinera. Miałam poczucie, że coś się skończyło – jakby kolejny raz los potoczył się swoim biegiem.

Najbardziej lubię w mojej pracy to, że ciągle obserwuje się życie z pierwszego rzędu. Prawo nie udało się osiągnąć Steinera, ale osiągnęło go coś innego. Pomyślałam o Eloise, dwóch kobietach przed nią i siedzącym w domu Danielu Floodzie. Prawdopodobnie będzie mu się lepiej spało. Pozostanie przy życiu jest najlepszą zemstą.

Dziesięć minut później spotkałam się z Lottie w podziemnym redakcyjnym garażu i pojechałyśmy do „La Esquina de Tejas” na *media noches* – „sandwicze o północy”, czyli słodkie bułki z szynką, wieprzowiną, żółtym serem, musztardą i piklami. Usiadłyśmy przy stoliku przykrytym ceratą, na której rozłożono tekturowe tacki z nadrukowaną mapą Florydy, i zaczęłyśmy jeść.

– Dziękuję za przysłanie mi do ciemni głupkowatych bliźniaków – burknęła Lottie, lejąc tabasco na sałatkę z ryżu i fasoli. Jako Teksanka, jest uzależniona od ostrych sosów i dodaje je w dużych dawkach do wszystkiego, z poranną owsianką włącznie.

– Wiedziałaś, że się ucieszysz na ich widok. Przepraszam.

– Myślisz, że Steiner ożeniłby się z tą lalą?

– Gdyby to zrobił, Dan od razu by się założył, że któregoś dnia znajdą ją twarzą w dół w przydrożnym rowie.

– Co on na to, że Steiner dostał wreszcie to, co mu się należało?

Spróbowałam naśladować niski głos Dana i jego powolny sposób mówienia.

– Powiedział: „Cholera z nim, Steiner był jedynie żdźbłem na trawniku. Nie on jedyny. W porównaniu z innymi nie był nawet najgorszy”.

– A kto jest najgorszy? – Lottie obtarła usta chusteczką, przechyliła się przez stół w moim kierunku i uważnie wbiła we mnie wzrok.

Musiałam się chwilę zastanowić. Obie wiedziałyśmy, że Dan ma obsesję na punkcie starych, „nie rozwiązanych” przypadków morderstw, w których znał zabójcę, ale nie mógł doprowadzić do procesu. Jego ulubionym tematem były niedostatki wymiaru sprawiedliwości.

– Chyba morderca Mary Beth Rafferty.

Lottie z oczekiwaniami patrzyła jak mieszam szatańsko mocną kawę po kubańsku, która prawdopodobnie utrzyma mnie na nogach do rana.

– Sprawa Mary Beth Rafferty jest bardzo stara – zaczęłam. – Pochodzi z czasów, kiedy nie było cię jeszcze w Miami. Miałam wtedy jedenaście, może dwanaście lat, ale do dziś pamiętam panikę, jaką wywołało to zabójstwo. – Wypiłam łyk kawy i odstawiłam filiżankę na spodeczek. – Po tej sprawie matka przez kilka miesięcy nie wypuszczała mnie samej z domu. Morderstwo posiało strach w całym mieście, musisz bowiem wziąć pod uwagę, że w owym czasie Miami było niewielkim prowincjonalnym miasteczkiem. Mary Beth – mała dziewczynka – została porwana, zgwałcona i zamordowana.

Lottie afektownie wzruszyła ramionami.

– I do dziś sprawa nie jest wyjaśniona?

– Z technicznego punktu widzenia – nie, to znaczy nikt nie został oskarżony, ale policja zawsze miała podejrzanego. Nigdy nie zgadniesz, kogo.

Oczy Lottie się rozszerzyły.

– Kogoś, kogo znam?

Skinęłam głową.

– Erica Fieldinga.

– Żartujesz! Tego polityka? Kandydata na gubernatora? Robiłam mu z dziesięć razy zdjęcie. – Odłożyła widelec. – Opowiedz.

– To się wydarzyło dwadzieścia dwa lata temu. Ośmioletnia Mary Beth bawiła się o trzeciej po południu na ulicy blisko domu, w dzielnicy Roads. Uprowadził ją jakiś wyrostek, a świadkiem porwania był bawiący się z nią rówieśnik, który natychmiast przybiegł do domu, ale był tak wystraszony, że przez kilka dni do nikogo się nie odzywał. Wkrótce po ogłoszeniu poszukiwań znalazł jej nagie zwłoki na brzegu jednego z kanałów przejeżdżający tamtędy siedemnastolatek. Był nim Eric Fielding.

– Sądysz, że to on ją zabił?

– Dan mógłby przysiąc, że tak. O ile wiem, nigdy nie pojawił się inny podejrzany. Pikanterii dodaje sprawie fakt, że Fielding miał już na koncie oskarżenie o podglądactwo i jego zjawienie się w miejscu, gdzie leżały zwłoki, było dziwnym zbiegiem okoliczności.

Lottie patrzyła ponuro.

– Osoby, które znajdują zwłoki, często okazują się tymi, które same je tam umieściły.

– Właśnie. Tacy ludzie lubią, jak zwraca się na nich uwagę, chętnie sytuują się w centrum wydarzeń. Niektórzy wręcz sądzą, że dzięki temu nikt ich nie będzie podejrzewał. Jakby gliniarze byli aż tak głupi.

– Dlaczego go nie aresztowano?

– Brakowało dowodów.

– Nie było świadków?

– Jedynym był chłopiec, który bawił się z Mary Beth, kaleka z niedowładem nogi po uderzeniu przez samochód. Widział, jak przypuszczalny morderca ją porwał, ale jego matka przeraziła się i nie dopuściła do niego policji. Od początku była wobec niego nadmiernie opiekuńcza i przestraszona jak cholera, czemu się jednak wcale nie dziwię. Rodzina Fieldingów już wtedy miała znaczącą pozycję w mieście – zarówno ze względu na majątek, jak i wpływy polityczne. Kiedy Dan i jego koledzy z policji próbowali naciskać, dostali telefony od przewodniczącego rady miejskiej i burmistrza, by poszukali mordercy gdzie indziej. – Pochyliłam się. – Dan twierdzi, iż to, że Mary Beth załatwił nasz przyszły gubernator, jest tak pewne jak jutrzejszy wschód słońca. Nie pamiętam, by kiedykolwiek się pomylił, jeżeli był czegoś tak pewny.

Lottie, nieobecna duchem, żuła kanapkę.

– Skoro mieli pewność, że chłopak mógłby zidentyfikować Fieldinga jako porywacza, dlaczego Dan nie zmusił matki chłopca, by pozwoliła mu na rozmowę z policją i uczestnictwo w konfrontacji?

– Była samotną, zapracowaną kobietą. Gdyby do tego doszło, jej syn wskazałby palcem na członka bardzo bogatej rodziny. Co byś zrobiła na jej miejscu? Musiała bać się jak cholera. A popatrz teraz na Fieldinga – skończył prawo na Harvardzie, dwa razy został członkiem rady miejskiej, no i jest kandydatem numer jeden na gubernatora.

– Znając Dana, domyślam się, że dostawał szału. Trzeba by coś z tym zrobić. Nie mogę uwierzyć, że gubernatorem może zostać człowiek, któremu upiekło się morderstwo.

– Doskonale pasuje do galerii pozostałych wybieralnych oficjeli miasta stwierdziłam niewesoło.

– Mówię poważnie. Ktoś, może jakiś dobry dziennikarz – powiedziała powoli, wbijając we mnie wzrok – powinien ponownie rzucić okiem na tę sprawę.

– Jasne. Gliniarze nic nie zdziałali przez dwadzieścia dwa lata, a dziennikarz ma udowodnić tuż przed wyborami, że Fielding jest mordercą.

– Spróbować nie zaszkodzi. Niekiedy sekrety z czasem dojrzewają i wystarczy potrząsnąć drzewem, by wpadły w ręce jak soczysty owoc.

Może i nie zaszkodzi potrząsnąć drzewem. Kolejną wspaniałą cechą Lottie jest jej wiara w to, że nie ma rzeczy niemożliwych.

– Dan był jednym z najlepszych detektywów, jakich kiedykolwiek to miasto widziało – oznajmiłam ze smutkiem, kiedy jechałyśmy po zaparkowany pod redakcją samochód Lottie. – A zmusili go, żeby się zwolnił.

– Jak?

– Prawo nie pozwala odesłać nieuleczalnie chorego policjanta na emeryturę, ale to robią. Szarże uznały, że ze względu na zły stan serca dalsza praca w wydziale zabójstw jest dla niego zbyt ryzykowna, wręcz niebezpieczna.

– A prawdopodobnie tylko praca trzymała go przy życiu.

– Oczywiście. – Żona Dana, z którą przeżył trzydzieści cztery lata, zmarła nagle na ulicy z powodu pęknięcia tętniaka. Pół roku wcześniej ich jedyna córka, żołnierz piechoty morskiej, zginęła podczas wojny w Zatoce, kiedy barak, w którym stacjonowała w Arabii Saudyjskiej, został trafiony przez irackiego SCUD-a. Łańcuch nieszczęść zamknął się, gdy nagle ujawniła się dotychczas utajona choroba serca Dana. – Praca była jedynym, co mu pozostało. Myślę, że akurat nam nietrudno to zrozumieć.

– Komu to mówisz! Kiedy miałam ostatnią randkę, której nie popsuky sprawy zawodowe? Kiedy ty miałaś ostatnią randkę?

Przez krótki, słodki czas przeżyłam romantyczną przygodę z dawnym partnerem Dana, Kendalllem McDonalodem, ale okazało się, że kolidują ze sobą nasze sprawy zawodowe, i szybko zwyciężyły ambicje Kendalla. Jemu rozstanie się opłaciło – został porucznikiem. Pomięłam milczeniem uwagę Lottie na temat mojego życia uczuciowego, a raczej jego braku.

– To była katastrofa – wyjaśniałam dalej. – Przenieśli Dana do pracy za biurkiem. Wiesz, miał przesuwac papiery i opracowywać raporty. A ponieważ szło mu jak po grudzie, ubrali go w mundur i posadzili w holu przy wejściu. – Stanęłyśmy na czerwonym świetle, więc odwróciłam się do Lottie. – Wyobrażasz sobie? Posłać faceta, który od lat nie nosił munduru, dumnego z procentu wykrytych spraw detektywa wydziału zabójstw na posterunek przeznaczony dla nieudaczników albo kalekich funkcjonariuszy?!

– Jakby wykastrować ogiera.

– Właśnie. Miał witać i kierować dalej każdego zbłąkanego obywatela, każdego świra i przekręta, któremu zachciało się wejść do komendy policji. To go dobiło. Po dwóch dniach złożył rezygnację i poszedł na emeryturę.

– Przeżyć tyle lat wojny na ulicy i dostać cios w plecy od własnych przełożonych. – Lottie westchnęła i pokręciła głową. – Trudno wyobrazić sobie coś gorszego.

– Wiem. – Też westchnęłam. – Kiedyś marzyłam nawet, by go zaadoptować.

– Co?

– Raz udało mi się wpaść na niego, kiedy byłam na mieście z matką. Przedstawiłam ich sobie z nadzieją, że zaskoczy między nimi.

– I co?

– I nic. Potem, ponieważ w bloku, w którym mieszka moja matka było kilka włamań, poprosiłam go o zrobienie mieszkańcom wykładu na temat zasad bezpieczeństwa, ale to też nic nie dało. Myślę, że moje próby wyswatania matki są tak samo skuteczne jak jej próby wyswatania mnie.

– Biedna dziewczynka. Tęskni za tatusiem.

Wychowałam się bez ojca – zginął, walcząc o wyzwolenie Kuby. Miałam trzy lata, kiedy rozstrzelał go pluton egzekucyjny Castro.

– Potrafię wyobrazić sobie w rodzinie gorszych ludzi niż Dan.

Jechałyśmy pustymi ulicami. Myślałam o Danie, jednym uchem słuchając trzasków nastawionej na policyjną częstotliwość krótkofalówki. W mieście panował spokój. W ciągu trzydziestu pięciu lat rozwoju Miami z prowincjonalnego miasteczka w wielką metropolię, znaną tyleż z palm i plaż, co i przestępczości, nagromadziło się wiele niewyjaśnionych morderstw, ale policjanci z wydziału zabójstw nigdy nie tracą nadziei. Morderstwa pierwszego stopnia nie przedawniają się.

Kariera Dana trwała dłużej niż większości gliniarzy, teraz jednak skończyła się i po jego odejściu skazane będą na zapomnienie sprawy, o których dzisiejsi detektywi wydziału zabójstw nie mają pojęcia, nie mówiąc już o tym, by chcieli ponownie się nimi zająć. Ofiary poszły w niepamięć – wiedzieli o nich jedynie najbliżsi i Daniel P. Flood. Dan był ostatnim przedstawicielem aparatu ścigania, który pamiętał o wielu ofiarach, i jeżeli jego lekarze się nie mylą – wkrótce do nich dołączy.

Rozdział drugi

Obudziłam się wcześniej niż zwykle, myśląc o sprawie Mary Beth Rafferty i o tym, co powiedziała Lottie. Włożyłam Billy'emu Bootsowi jedzenie do miski i ignorując kiwanie ogonem Bitsy, wsadziłam ją do umywalki. Mokra i namydlona, wyglądała bardziej jak przerośnięty szczur niż miniaturowy pudel, wytrzymała jednak prysznic, szczotkowanie i czesanie w znakomitym humorze. Nigdy nie zamierzałam mieć takiego małego szczekacza, ale wzięłam Bitsy, kiedy jej właścicielka zginęła na służbie. Starając się uniknąć opryskania przez energicznie otrząsającą się pudlicę, owinęłam ją w ręcznik, zaniósłam do kuchni i dałam jej śniadanie. Gdy skończyła jeść, założyłam jej smycz i poszliśmy na spacer, by wyschła.

Ostrożnie omijając kałuże i brudne rynsztoki, pobiegliśmy powoli do nadmorskiej promenady i z powrotem. Bardzo powoli, bo Bitsy ma króciutkie nóżki. Ostatni kawałek drogi powrotnej przeniosłam ją na rękach. Jej futerko zrobiło się suche, bielutkie i puszyste; dyszała z pragnienia.

Wzięłam prysznic, włożyłam ciemną sukienkę i przygotowałam się na trudy dnia, wypijając mocną kawę po kubańsku. Potem zawiązałam Bitsy na czubku łebka czerwoną wstążeczkę w taki sam sposób, jak robiła to Francie, i ruszyliśmy w kierunku komendy. Była to jej pierwsza tam wyprawa od śmierci Francie, ale Bitsy pamiętała, dokąd jedzie, i kiedy wysiadałyśmy z samochodu, wydawała się niezwykle podniecona. Próbowwała nawet wskoczyć do pierwszego radiowozu, obok którego przechodziłyśmy; musiałam pociągnąć ją za smycz, by nie przytrzasnął jej zamykający drzwi policjant.

– Przepraszam, ciągle jej się wydaje, że jest psem policyjnym – wyjaśniłam.

Ceremonia jeszcze się nie zaczęła i ludzie krążyli po przypominającym jaskinię holu. Obawiałam się, że ktoś może mieć mi za złe, że przyprowadziłam psa na tak niewesołe spotkanie, ale – o dziwo – kilka osób obdarowało mnie smutnymi skinieniami głową. Stanęliśmy nieco z boku. Po chwili zjawił się otoczony wyższymi szarzami komendant – wszyscy byli w ozdobionych złotymi galonami paradnych uniformach. Zobaczyłam Dana, poczekałam, aż zwróci na mnie uwagę, i uśmiechnęłam się. Przeszedł przez hol i stanął obok.

– Cześć, świetnie wyglądasz, mała.

– Ty też, Dan. – Oboje wiedzieliśmy, że to kłamstwo. Dan tak bardzo się zmienił od naszego ostatniego spotkania, że sam jego widok sprawiał ból. Odniosłam wrażenie, jakby nie tylko postarzał się o wiele lat, ale i skurczył. W ciągu roku z silnego, nabitego i tryskającego życiem ciała wyparowało piętnaście kilogramów.

Wokół stali funkcjonariusze w mundurach, detektywi w cywilu, a także trochę cywilów, których znałam ze zbyt wielu pogrzebów policjantów. Dziś nie przyszłam jednak robić notatek – zgromadziliśmy się tu, by złożyć wyrazy szacunku zmarłym.

Dziarskim krokiem wszedł poczet sztandarowy, niosąc flagi Stanów Zjednoczonych, Florydy i Miami. Komendant zbliżył się do mikrofonu.

– Zebraliśmy się tu dziś, w Dniu Pamięci Policjanta, by złożyć wyrazy szacunku poległym bohaterom – kobietom i mężczyznom – którzy oddali to, co mieli najcenniejszego, w obronie życia i bezpieczeństwa obywateli tego miasta. – Sprzężenie z głośników spowodowało, że jego głos zadudnił w ogromnym holu głośnym echem. – Szczególnie dotyczy to nowych nazwisk, wyrytych na tablicy pamiątkowej w okresie od naszego ostatniego spotkania.

Przyglądałam się pociętej zmarszczkami twarzy Dana, który wbił nieruchomy wzrok w jakiś punkt przed sobą. Po chwili zamknął oczy, opuścił głowę i zaczął bezgłośnie poruszać wargami. Choć jego nazwisko nie znajdzie się na tablicy, też oddał życie na służbie. To ta praca go zabiła.

Komendant zrobił kilka kroków do przodu i położył pod tablicą pamiątkową – ogromną płytą z nierdzewnej stali o rozmiarach sześć na cztery metry – wieniec z goździków, lilii i stokrotek. Na błyszczącej płaszczyźnie wygrawerowane były trzydzieści dwa nazwiska i daty śmierci oficerów, którzy zginęli podczas wypełniania obowiązków.

Na dany znak dyspozytor w centrali zaczął odczytywać listę. Ponieważ wszyscy obecni policjanci mieli przy sobie włączone krótkofalówki, nazwiska odbijały się echem, jakby wymieniano je nieskończoną liczbę razy.

Trzaskając obcasami, zasalutował chłopczyk ubrany w zminiaturyzowany policyjny mundur. Stojąca obok niego para starszych ludzi obtarła łzy. Wychudzony mężczyzna położył zdeformowaną reumatyzmem dłoń chłopcu na ramieniu, drugą zaś obejmował żonę. Doskonale pamiętałam ich przystojnego, potężnego jak tur syna, ojca chłopca, policjanta z patrolu motocyklowego. Robiłam co mogłam, by nie patrzeć na małego.

Kiedy padło nazwisko Francie, Bitsy rozejrzała się na boki. Pociągnęła za smycz, zaczęła drobić w miejscu i szczekać z podnieceniem. Gdy wzięłam ją na ręce, wydała z siebie przenikliwy pisk, jakby coś ją zabolalo. Wtuliłam twarz w miękkie futerko i wyniosłam suczkę na zewnątrz.

Stałyśmy czekając, aż przed budynek wyszła siedmioosobowa kompania honorowa. Sierżant rozkazał prezentować broń. Trębacz zagrał capstryk i kompania dała potrójną salwę – dwadzieścia jeden strzałów. Bitsy nawet nie drgnęła, ja – tak. Podszedł Dan.

– Znałem prawie wszystkich – powiedział, kręcąc głową. – Tylu dobrych policjantów. Za co? Ci, którzy ich zabili, śmieją się z naszego systemu prawnego. Każdemu się upiekło. Wiesz, że tego, który w Overtown zabił strzałem w plecy Fostera, już warunkowo zwolniono?

Nie wiedziałam tego.

– A skurwiela, który zastrzelił Francie, nawet nie znaleziono – mruknął. Pogłaskał Bitsy po łebku niepewnym ruchem, jakby nie był przyzwyczajony do dotykania tak drobnych istot. – Sama wiesz, jak jest, mała. Byłaś świadkiem większości tych śmierci.

Przeniosłam Bitsy na lewe ramię, sięgnęłam do kieszeni po chusteczkę i wytarłam nos. Umówiliśmy się na lunch w mój następny wolny dzień i zawiozłam Bitsy do domu. Jak zwykle w czasie jazdy, zwinęła się na dywaniku przed siedzeniem pasażera. Biedna Bitsy. Tolerowali się z Billym Bootsem, ale obecny tryb życia musiał się jej wydawać nudny. W ciągu dnia najdramatyczniejsze momenty zdarzały się w porze posiłków, kiedy stawałam na głowie, by utrzymać kota z dala od miski suki, a sukę z dala od przysmaków kota.

Moja cudowna gospodyni, Helen Goldstein, często bierze Bitsy na spacer i zajmuje się nią do mojego powrotu. Suka nie może narzekać na brak zainteresowania, ale co to za życie w porównaniu do podniet, jakich dostarczała jej Francie, przemycając ją o północy do policyjnego radiowozu, ścigając wraz z nią bandziorów po mieście i dowożąc ich przed świtem do aresztu. Nic dziwnego, że Bitsy ciągle ziewa i wygląda na znudzoną. Obydwie tęsknimy za Francie. Dan ma rację – nie istnieje sprawiedliwość. Zostawiłam suczkę w domu i pojechałam do pracy.

W drodze do redakcji myślałam zarówno o tym, co powiedział Dan, jak i o tym, co poprzedniego dnia usłyszałam od Lottie. Myślałam o Mary Beth Rafferty. Z pracy zadzwoniłam w kilka miejsc. Wyglądało na to, że w tym, czym się zajmuję, niewiele się dzieje, poszłam więc do redakcji działu miejskiego, poinformowałam, że pracuję nad artykułem do wydania weekendowego o gwałciicielu, wróciłam do biurka i posłałam gońca do biblioteki, by przyniósł mi wycinki dotyczące sprawy Rafferty.

Kiedy zamordowano Mary Beth Rafferty, biblioteka mojej gazety nazywała się jeszcze „archiwum”. Artykuły były wycinane i wpinane do teczek ręcznie, razem ze wszystkimi tytułami i zdjęciami. Pożółkłe, ale nie zniszczone, spoczywają do dziś w pękatych pastelowych teczkach. Czasami ktoś odłoży teczkę w niewłaściwe miejsce i wtedy trudno ją odnaleźć, lecz stare wycinki czyta się znacznie przyjemniej niż dzisiejsze wydruki komputerowe na niekończącej się szarej taśmie papieru. Przed komputeryzacją czasy dla gazety były łatwiejsze, podobnie jak dla Miami. Morderstwo nie było codziennością, a przypadki takie jak Mary Beth tygodniami nie schodziły z pierwszych stron.

Większość artykułów opatrzone tym samym zdjęciem, przedstawiającym dziewczynkę z zadartym nosem, wystrojoną niczym na Wielkanoc. Spod zawiązanego pod brodą na kokardę kapelusika z wąskim rondem wystawały loki jak u Shirley Tempie. Miała osiem lat.

Kiedy ją znaleziono, była naga, w usta wepchnięto jej kawał materiału z sukienki. Jedne artykuły donosiły, że została wykorzystana seksualnie, inne, że seksualnie zbezczeszczono zwłoki. Ciało nosiło ślady walki z zabójcą. Dwaj dawno już nieżyjący dziennikarze informowali, że policja w krótkim czasie aresztowała dwudziestu „znanych zbrojców seksualnych i podejrzanych typów”. W ciągu kilku dni przesłuchano ponad dwustu mężczyzn. Niewiele wspomniano o chłopcu, który bawił się z Mary Beth tamtego dnia. Prerażony, natychmiast po porwaniu dziewczynki pobiegł do domu. Kiedy matka Mary Beth zaczęła szukać córki, powiedział, że zabrał ją z ulicy nieznajomy. W prawie każdym artykule wspomniano, że ciało odkrył Eric Fielding, pochodzący z jednej z najznakomitszych rodzin w mieście nastolatek, uczeń prestiżowej Bayside Academy.

W kilka miesięcy po zabójstwie ojciec Mary Beth, agent ubezpieczeniowy, wyznaczył nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za znalezienie mordercy. „Przez trzy miesiące nic się nie wydarzyło w sprawie – cytowano Williama Rafferty’ego. – Policja twierdzi, że pracuje nad sprawą, ale uważam, że wsadzili akta do szafy z niewyjaśnionymi przypadkami. Potwór, który popełnił tę zbrodnię, musi zostać ujęty”.

Detektyw Daniel P. Flood natychmiast zareagował na zarzuty ojca Mary Beth.

„Prowadzimy intensywne śledztwo – powiedział. – Sprawa nie jest zapomniana i nie będzie, dopóki nie zostanie wyjaśniona”.

Wierząc, że Dan mówił to szczerze, poczułam przypływ ciepłych do niego uczuć, ale jednocześnie zastanawiałam się, czy ktokolwiek jeszcze w wydziale policji pamięta małą Mary Beth.

W aktualnej książce telefonicznej nie znalazłam ani Williama, ani Judith Rafferty. Pod adresem, gdzie mieszkali w momencie zabójstwa ich córki, w spisie mieszkańców wymienione było nazwisko „Ronald DeAngelo”. Bez numeru telefonu. Wiedziałam, że powinnam popracować nad artykułem o gwałcieliu, postanowiłam jednak pojechać i sprawdzić, co się da, w każdej bowiem chwili mogły się sygnąć codzienne wiadomości i straciłabym okazję wyrwania się z redakcji.

Roads to elegancka dzielnica pełna starych drzew i domów budowanych bez nadmiernej oszczędności materiałów i miejsca. Do obramowanej staromodną balustradą werandy wiodła zacieniona, wyłożona kamiennymi płytami ścieżka. Drzwi otworzyła atrakcyjna ciemnowłosa, modnie ubrana i starannie umalowana kobieta. Była klasyczną przedstawicielką kobiet, których wieku nie sposób odgadnąć, i można jedynie ocenić je na „między trzydzieści pięć a pięćdziesiąt pięć” lat. Miała na sobie popelinową sukienkę w kolorze chłodnego błękitu i właśnie zapinała na szyi sznur pereł. Przedstawiłam się, przepraszając, że przeszkadzam.

– Szukam ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali – wyjaśniłam. – Państwa Raffertych.

– Akurat wychodzę. – Jej głos był uprzejmy i kulturalny.

– Pamięta ich pani?

Lekko się zawahała, ale w końcu się uśmiechnęła.

– Pamiętam.

– Wie pani może, gdzie mogłabym ich znaleźć?

– Rozwiedli się wiele lat temu – rzekła cicho.

– Nie wiedziałam – stwierdziłam, zastanawiając się, czy mówimy o tych samych ludziach. – Ma pani na myśli małżeństwo, które straciło córeczkę?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie stracili jej – poprawiła. – Zabrano im ją. Zamordowano.

Coś w jej głosie powiedziało mi, z kim rozmawiam.

– Czy jest pani krewną?

– Jestem Judith Rafferty-DeAngelo. Czego pani sobie życzy?

– Mam kilka pytań w sprawie Mary Beth.

Ludzie zazwyczaj są bardzo podnieceni, kiedy dziennikarz wygrzebuje nierozwiązaną zagadkę śmierci członka ich rodziny. Chcą, by sprawiedliwości stało się zadość, i przyjmują z zadowoleniem fakt, że interesuje to jeszcze kogoś oprócz nich. Oczywiście, w większości wypadków nie chodzi o sprawy sprzed ponad dwudziestu lat.

– Dlaczego akurat teraz? – Wyglądała na zaskoczoną. – Czy pojawiło się coś nowego?

– W zasadzie nie, ale dużo o tej sprawie pisano, no i czasami wracamy do dawnych, niewyjaśnionych tajemnic.

– W Miami były tysiące morderstw od czasu, kiedy moja dziewczynka... – Popatrzyła na złoty zegarek. – Proszę wejść na kilka minut.

Weszłam za nią do elegancko urządzonego salonu z ciężkimi zasłonami w oknach, wyfroterowanym na wysoki połysk parkietem i orientalnymi dywanami. Nad kominkiem wisiał rodzinny portret. Wyglądało na to, że ma z drugim mężem dwie córki.

– Mają jedenaście i dwanaście lat – wyjaśniła widząc, że patrzę na obraz. – Wspaniałe dziewczynki.

– Śliczne – wymamrotałam i natychmiast przeszłam do rzeczy. – Proszę mi powiedzieć, co pani wtedy o tym wszystkim sądziła. Czy pani i mąż podejrzewaliście kogoś?

Zawahała się, znów zerknęła na moją wizytówkę.

– Pani Montero, nie wiem, czy ma pani dzieci...

– Nie mam, ale wyobrażam sobie, jak straszne...

– Nie, nie wyobraża sobie pani. Nie wyobraża sobie nikt, kto tego nie przeszedł. To zniszczyło nas, nasze małżeństwo. Zniszczyło mojego byłego męża i o mało nie zniszczyło mnie. Z pewnością wie pani o tym, że w owym czasie nie istniała instytucja adwokata ofiary ani takie organizacje jak Związek Rodziców Zamordowanych Dzieci. Musieliśmy przejść przez wszystko sami. Mój mąż nie umiał sobie z tym poradzić. Na przykład z pytaniami policji o alibi na czas porwania córki. Prawdopodobnie było to rutynowe działanie, ale nie mógł znieść, że podejrzewa się go o tak potworną zbrodnię na własnym dziecku. Prowadzący śledztwo detektyw był bardzo grzeczny i próbował pomagać jak potrafił, lecz w miarę upływu

czasu William stawał się coraz bardziej zawiedziony działalnością policji i pogłębiała się jego obsesja.

– Czytałam, że wyznaczył nagrodę.

Skinęła głową.

– A ponieważ i to nic nie dało, zaczął wynajmować prywatnych detektywów. Poszło na to dużo pieniędzy. Potem zwrócił się do jasnowidzów, co pochłonęło resztę naszych oszczędności. W końcu zaczął pić. – Jej żywe, szybkie ruchy spowolniały i złagodniały. Cała jakby zmiękła, sprawiając wrażenie, że z trudem zapomniana przeszłość znów opanowała jej myśli.

– Czy ojciec Mary Beth mieszka w Miami?

– Nie żyje – odparła, nawet nie mrugnawszy okiem.

– Nie wiedziałam. Nikt o tym nie pisał.

– Po rozwodzie przeniósł się do Atlanty. Sześć lat po śmierci Mary Beth dostał ataku serca. Detektyw...

– Dan Flood?

– Tak, detektyw Flood przychodził do nas, potem do mnie wielokrotnie, zapewniając, że nie zapomniał, niestety nie miał nic nowego do powiedzenia i jedynie rozdrapywał stare rany. W końcu byłam zmuszona poprosić go, żeby nie wracał, chyba że z informacją o aresztowaniu sprawcy.

Przełknęłam głośno i skinęłam głową. Choć mogło się to wydawać smutne, pozostawienie przeszłości za sobą było dla matki Mary Beth sprawą życia i śmierci.

– Nasi starzy sąsiedzi powymierali albo się wyprowadzili. Moje córki nic nie wiedzą o sprawie. – Pochyliła ku mnie głowę z błyskiem wrogości w oczach. – Wyobraża pani sobie, jakie to trudne nie być po przeżyciu takiej tragedii nadmiernie opiekuńczą matką? Zwłaszcza że córki są w wieku Mary Beth. – Jej głos jeszcze bardziej przycichł. – Po raz pierwszy od lat wypowiedziałam jej imię. Pomyślała pani o tym, że Mary Beth miałyby dziś trzydzieści lat? Miałyby własne dzieci. – Gwałtownie wstała i popatrzyła na zegarek. – Nie chcemy rozgłosu. Po co? Najważniejsze jest dla mnie, by na moją rodzinę nie spadło żadne nowe nieszczęście.

– Musiały to być dla pani ciężkie lata.

– Były bardzo ciężkie. Nie przeżyłabym bez pomocy Sylvii i Matthew Fieldingów – powiedziała, kiedy szłyśmy ku drzwiom.

Poczułam mrowie wzdłuż kręgosłupa.

– Kogo? Rodziców kandydata na gubernatora?

– Wspaniała rodzina. I wspaniały człowiek. Mam nadzieję, że wygra wybory.

– To on znalazł pani córkę.

– Tak. – Jej oczy zasnuły się mgłą. – Znaliśmy się z widzenia, byliśmy jedynie sąsiadami z tej samej ulicy, ale po nieszczęściu niezwykle nam pomogli. Dzięki nim mogłam po

rozwodzie zostać w tym domu, a kiedy wyszłam ponownie za mąż, pomogli Ronaldowi rozkręcić interes.

– Zainwestowali pieniądze?

Skinęła głową.

– Matthew Fielding jest współnikiem mojego męża. Produkują jarzeniówki, mają fabrykę w Hialeah.

Moje myśli gnały jak szalone.

– A co z chłopcem, który bawił się tamtego dnia z Mary Beth?

Otworzyła drzwi i zamilkła. Przez chwilę przyglądała mi się z przechyloną na bok głową.

– Nie wiem, co się z nim stało – odparła, kiedy byłam już na dworze. – Nawet nie pamiętam, jak się ta rodzina nazywała. Jego matka sprzątała po okolicznych domach. Biedny chłopiec przeżył szok, ona była nie mniej przerażona. To się wydarzyło tak dawno temu. – Z tymi słowami zamknęła za mną drzwi.

W drodze do redakcji zrobiłam objazd, by rzucić okiem na scenę morderstwa. Miejsce, gdzie tamtego popołudnia znaleziono ciało Mary Beth Rafferty, wyglądało teraz zupełnie inaczej. Nie było mamorzynów, nie było wypełnionego piaskiem rowu – stał tu teraz „Sea Breeze”, trzynastopiętrowy budynek mieszkalny z basenem i zadaszonym parkingiem.

Po powrocie do redakcji spędziłam sporo czasu w bibliotece, czytając artykuły o Ericu Fieldingu. Był znaną w mieście osobistością, ale – w odróżnieniu od wielu moich kolegów – mnie nie podnieca władza i sława otaczająca polityków i rzadko wierzę w wystawiane im laurki. Fielding lubił przedstawiać się jako kandydat reprezentujący prawo i porządek, co więcej – zwolennik kary śmierci.

Było to może ciekawe, ale miałam ochotę umyć od sprawy ręce, kiedy nieoczekiwanie natknęłam się na kilka artykułów o prywatnym życiu Fieldinga. Choć opisywane detale były pozornie niewinne, poczułam, jak włosy jeżą mi się na karku.

Fielding ożenił się późno, bo dopiero kilka lat temu, z wdową mającą córkę. Jego pasierbica liczyła sobie teraz osiem lat.

Rozdział trzeci

Chciałam porozmawiać z Fredem Douglasem, kierownikiem działu miejskiego, niestety nie było go w gabinecie. Kiedy wychodziłam, złapała mnie Gretchen.

– Jak tam artykuł o Gwałcicielu z Centrum?

Musiałam zrobić dziwną minę, bo w jej oczach pojawiła się iskra podejrzliwości.

– No, ten do wydania weekendowego – dodała oskarżycielsko. – Jest już wpisany w makietę.

– Proszę się nie martwić – zapewniłam. – Dostanie go pani na czas.

„Wracaj do terażniejszości” – nakazałam sobie, wyrzuciłam przeszłość z pamięci i ruszyłam do domu, by popracować w spokoju.

Otworzyłam butelkę piwa i usiadłam w kuchni przy stole, by przejrzeć notatki na temat Gwałciciela z Centrum.

Był drapieżnikiem, atakującym pracujące kobiety. Jak na razie ofiar było sześć – to znaczy o tyłu wiadano. Gliniarze uważają, że na każdy zgłoszony gwałt przypada dziesięć nie zgłoszonych. Nikt nie wie, jak jest naprawdę.

Miał trzydzieści parę lat, mówił z hiszpańskim akcentem i napadał w jasno oświetlonych biurkach w centrum miasta. Atakował tam, gdzie zawsze można znaleźć kobiety – w damskiej toalecie. Kiedy ofiara wchodziła, już czekał.

Pracę przerwał mi brzęk telefonu, stojącego na barku za moimi plecami. Zdekoncentrowana, złapałam słuchawkę, zapominając, że nie jestem w redakcji.

– Britt Montero, słucham.

– Cześć, kochanie – zaświergotała moja matka. – Gdzie byłaś?

– Właśnie wróciłam – odparłam, klinując słuchawkę pod brodą.

– Za dużo pracujesz.

– Ty też, mamó. – Moja matka od lat pracuje w handlu odzieżą i od niedawna prowadzi znajdujące się w centrum największe biuro dynamicznie rozwijającej się sieci butików.

Słuchałam jej jednym uchem, mechanicznie kręcąc palcem włosy. Słowa na ekranie komputera przyciągały mój wzrok jak magnes.

Gwałciciel przystawiał ofierze nóż do gardła i dysząc prosto w ucho, ostrzegał, by nie próbowała na niego patrzeć. Kiedy się poddawała, zasłaniał jej oczy i knebłował usta, a następnie odrywał z rolki papierowy ręcznik, pisał na nim NIECZYNNE i wieszał na klamce drzwi wejściowych.

Głos matki był surrealistycznym akompaniamentem do mrożącego krew w żyłach wyobrażenia gwałciciela w akcji.

– ...idzie kilka dziewcząt z bloku i oczywiście wszystkie z pracy. – Nie mogłam się skoncentrować na tym, co mówiła matka. Chodziło chyba o lunch i pokaz mody w Falls. – Wszyscy goście dostaną drobne prezenty, torebki z próbkami perfum i kosmetyków od uczestniczących w pokazie sklepów.

Nieposłuszne oczy nieustannie wędrowały ku notatkom. Wiązał nadgarstki ofiar do kostek, co pomagało mu przeprowadzić zamiar.

– Niektóre z jesiennych modeli są boskie – mówiła moja matka. – Kolory i dzianina to marzenie.

Damskie toalety w centrum były obecnie niebezpiecznymi miejscami. Policja radziła kobietom chodzić do nich parami, co dla pracownic małych firm było oczywiście niemożliwe. Sześć napadów dokonano w czterech budynkach. Moja słabość do kawy po kubańsku powoduje, że stale szukam toalety. Dotychczas uważałam, że są to bezpieczne miejsca. Dotychczas.

– Britt? Britt! Jesteś tam?!

Oderwałam wzrok od ekranu.

– Mamo, czytałaś o gwałcicielu? Wiesz, o tym, który napada kobiety w toaletach?

– Nasze są zamykane – odparła po dłuższej chwili, wyraźnie zbita z tropu gwałtowną zmianą tematu.

– Mamo, ale on się i tak dostaje do środka! – Moje oczy znów pobiegły do ekranu. – Właśnie piszę artykuł o Gwałcicielu z Centrum.

– O kim?! Britt, Boże drogi.

– Nie martw się o mnie, mamo. Jesteś bardziej zagrożona niż ja.

– Jak mam się nie denerwować, Britt? Czytałam niedawno w „Newsweeku”, że w zeszłym roku zginęło lub zaginęło sześćdziesięciu dziennikarzy.

– Ale głównie w byłej Jugosławii i Salwadorze. Obiecuję, że tam nie pojedę. – Łatwo było mi mówić. Przy naszym budzecie mogłam czuć się szczęśliwa, że dostaję dwadzieścia dwa centy za kilometr, jadąc własnym samochodem na miejsce strzelaniny w Opa-Locka. Co tu marzyć o wysłaniu na arenę prawdziwej wojny.

Zawód dziennikarza może być niebezpieczny nawet w Miami, choć nigdy bym się do tego nie przyznała matce. Jeden z moich kolegów stracił obie nogi podczas wybuchu podłożonej w samochodzie bomby, wielu zostało postrzelonych, pobitych, było zastraszanych, napadanych z nożem w rękę, nie wspominając już o obrzucaniu kamieniami

czy butelkami. W sumie jednak nasza profesja jest mniej niebezpieczna od wielu innych. Pracownicy całodobowych stacji benzynowych i sprzedawcy w sklepach spożywczych giną znacznie częściej.

– Wielu dziennikarzy trafia do więzień. – Ton głosu mojej matki świadczył o głębokim przekonaniu, że właśnie w tym kierunku dążę.

– Na Kubie, mamó, nie u nas.

Minęły dwie-trzy długie sekundy.

– Przecież wiesz, że nie lubię na ten temat dyskutować – odezwała się w końcu.

Zastanowiło mnie, skąd nagle u niej ten ton. Może zaczęła chodzić do psychoanalityka? Postanowiłam załagodzić sytuację.

– Oczywiście, mamó. Gdzie jest to spotkanie, na które mam przyjść?

Podawała adres i termin.

– Dobrze, jeżeli w sobotę świat się nie zawali, wpadnę na chwilę, ale jeśli mi się nie uda, zjedzmy razem obiad w poniedziałek. Wezmę wolne.

– Znakomity pomysł – zaświergotała – lepiej jednak spotkajmy się w piątek. W Centrum Sztuki Nowoczesnej otwierają nową wspaniałą wystawę pod tytułem „Sztuka bólu głowy”.

– Słucham?

Roześmiała się.

– Było o tym w twojej gazecie. Prezentacja prac artystów cierpiących na ból głowy, którzy spróbowali ubrać go w środki artystycznego wyrazu.

– Żartujesz!

– Nigdy nie słyszałaś o bólu tworzenia? Ta wystawa nada temu określeniu nowe znaczenie. Wasz krytyk zapowiedział, że będzie wspaniała. Autoportret jednego z malarzy pokazuje wybuchającą głowę, inny obraz przedstawia dłoń wyrrywającą z czaszki krzyczącego człowieka garść mózgu. Może tam być parę interesujących osób... – dodała znacząco.

Pomyślałam, że tylko tego mi brakuje po tygodniu ciężkiej pracy. Zaczęła mi drgać prawa dolna powieka. Czasami się to zdarza. Przycisnęłam do oka palec i zmrużyłam je. Jak to się mogło stać? Ze spokojnego obiadu we dwoje zrobiło się wystawne przyjęcie, w czasie którego moja matka zaczęła się bawić w swatkę. Po kilkunastu sekundach zezłościło ją moje milczenie.

– Co się stało?

– Nic. Drga mi powieka.

– To z braku potasu. Zjedz parę bananów, kochanie, albo upiecz sobie patata. Źle się odżywasz i jeszcze gorzej sypiasz.

– Nie wiem, czy będę mogła przyjść w piątek.

– On jest oftalmologiem, Britt.

– Kto? – zapytałam, chociaż domyślałam się, kogo ma na myśli.

– Syn mojej przyjaciółki Emmy. Nie może się doczekać, żeby cię poznać! – powiedziała z entuzjazmem. – Będzie tylko kilka dni w mieście.

Westchnęłam, zaciskając z całej siły powiekę. Ktoś w moim oku tańczył polkę. Drugim okiem widziałam, jak Billy Boots odważnie wpycha pysk do miski Bitsy. Suczka przestała jeść i grzecznie usiadła, przyglądając się, jak kot pałaszuje jej pyszne mięsne danie.

– Britt, mam nadzieję, że złapią tego gwałciciela. Nie rozumiem jednak, dlaczego tak cię fascynują ciemne strony życia, dlaczego zajmujesz się takimi niegodziwymi, niegodnymi uwagi sprawami, które nie powinny cię interesować?

– Niegodnymi uwagi?

– Tak jest! – prychnęła. – Jesteś taka sama jak... jak...

– Dokończ – westchnęłam. – Jak ojciec.

Rozciągnęłam maksymalnie kabel telefonu i spróbowałam przesunąć nogą miskę Bitsy, by znalazła się w bezpiecznym miejscu, ale nienazarty kocur szedł za nią, w niezwykłym tempie pochłaniając psią karmę.

– Nikt z nas nie młodnieje – stwierdziła filozoficznie matka. Moje oczy ponownie powędrowały w kierunku monitora. – Okazje, które odchodzą, mogą nie wrócić.

Gwałciciel z Centrum miał ich aż nadto.

– Ojoj, coś kipi w kuchni! – rzuciłam w końcu. – Muszę lecieć. Zadzwoń jutro. Pa.

Przygniecioną poczuciem winy za sposób, w jaki potraktowałam matkę, wbiłam wzrok w Bitsy, która obwąchiwała swoją pustą miskę.

– Co ci się stało? – ofuknęłam ją. – Dlaczego nie walczysz o swoje?

Otworzyłam jej drugą puszkę, sobie odgrzałam resztkę *pulpeta*. Robiona przez moją ciotkę Odaly pieczeń to delikates z mielonego mięsa, szynki, jajek na twardo i oliwek. Dostałam ją wczoraj w „paczce żywnościowej”. Młodsza siostra ojca i moja matka nie lubią się od moich piętnastych urodzin. Zrobiłam notatkę, by kupić banany, doprawiłam delikatną *ensalada* sosem z oleju i octu, nalałam sobie kieliszek czerwonego wina i odcięłam kromkę chrupiącego kubańskiego chleba.

Po kolacji od razu poprawił mi się nastrój, przypięłam więc pager do paska i wyszłam na dwór, by zrobić z Bitsy rundę dookoła bloku. Noc była piękna, blade chmury sunęły po granacie nieba jak rybackie sieci. Pomachało mi kilku sąsiadów, paru stanęło zamienić słówko.

Po głowie ciągle chodziły mi myśli o gwałcicielu, dostrzegałam go w prawie każdym przechodzącym mężczyźnie, zwłaszcza jeśli był młody, czarnowłosy i odpowiedni wzrostem. Dziwne, ale z wyjątkiem ofiar nikt go nie widział. Tam gdzie napadał, nie zauważono, by kręcił się ktokolwiek podejrzany.

Popatrzyłam na zegar wiszący na wieżowcu przy Lincoln Road 407, ciekawa, czy pracuje jeszcze prowadzący sprawę funkcjonariusz Harry Arroyo. Teraz mogła być najlepsza pora na telefon do niego. Perspektywa rozmowy z nim nie wydawała się szczególnie radosna, z

pewnością akurat teraz nie wygrałabym konkursu popularności w sekcji przestępstw seksualnych, ale bycie odrzucaną to dla mnie nie pierwszozna. Porucznik z wydziału gwałtów dziś już dwa razy odkładała słuchawkę na dźwięk mojego głosu, Arroyo jednak nie był zazwyczaj tak nerwowy. W ich wydziale każdy jest mniej nerwowy niż pani porucznik.

Przed laty funkcjonariusze wydziału gwałtów – wyłącznie mężczyźni – mówili o sobie „cipoddział”. Od tego czasu wiele się tam zmieniło, ale zajmujący się przestępstwami seksualnymi policjanci do dziś są często trudni w kontakcie i nieczuli. Ci, którzy rozpracowują sprawę Gwałciciela z Centrum, długo trzymali ją w tajemnicy z nadzieją, że uda im się przyłapać go na gorącym uczynku. Dowiedziałam się o wszystkim po trzecim napadzie, porucznik jednak ostrzegła mnie osobiście, że jakkolwiek przeciek publiczny jedynie mu pomoże.

– Stanie się ostrożniejszy, zmieni sposób działania i trudniej będzie go złapać – twierdziła.

Nigdy nie potrafiłam zrozumieć takiego podejścia. Ktoś, kto dokonał trzech napadów i gwałtów, musi zakładać, że ściga go policja. Jak na razie, metody policji były nieskuteczne, a ile ubikacji w mieście można obserwować? Ile zatem jeszcze kobiet padnie ofiarą? Artykuły prasowe mogą albo spłoszyć sprawcę, albo spowodować napływ ważnych informacji od ludności. Moim zdaniem nagłośnienie sprawy mogłoby wywołać podejrzenia wobec przestępcy jego żony, matki, kochanki, sąsiada, kolegi z pracy czy szefa – kogoś, kto dostarczyłby może istotnej wskazówki. A jeśli nawet nie, informacja ostrzegłaby potencjalne ofiary, które stałyby się ostrożniejsze.

Od tytułu pierwszego artykułu, jaki napisałam, nazywano go „Gwałciciel z Centrum”, ale on wcale się tym nie przejął. Albo nie czytał gazet, albo guzik go obchodziło, co kto robi w związku z jego osobą. Miał tupet lub był bezsilny wobec kierujących nim demonów.

Włożyłam klucz w zamek, nagle uświadamiając sobie otaczającą mnie ciemność. Szybko otworzyłam drzwi, odpięłam Bitsy smycz i weszłam do kuchni. Billy Boots zwymiotował na podłodze.

– A czego się spodziewałaś po psim żarcu? Mówiłam, że nie jest dla ciebie odpowiednie.
– Sprzątnęłam wymiociny papierowym ręcznikiem, wzięłam notes i usiadłam w ulubionym fotelu tuż przy telefonie.

Potrzebowałam dobrego hasła. Wcisnęłam na aparacie piątkę i wsłuchiwałam się w brzęczenie po drugiej stronie łącza. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem moja matka nie ma racji. Normalne kobiety programują telefon na numery przyjaciółek, kochanków, ulubionych butików albo pizzerii, a ja mam zaprogramowane numery wydziałów zabójstw dwóch komend policji, kostnicy, straży pożarnej, sekcji przestępstw seksualnych, rzecznika prasowego policji, izby przyjęć szpitala okręgowego, działu miejskiego mojej redakcji i Lottie.

Słuchawkę podniósł Harry Arroyo.

- Cześć, Harry, tu Britt Montero z „News”.
- Bez jaj. Wiem, kim i skąd jesteś. – Tak jak się spodziewałam, był w kiepskim humorze.
- Coś nowego w sprawie Gwałciciela z Centrum?
- Nie dla prasy.

Udałam, że nie dosłyszałam.

- Macie portret pamięciowy? Co z profilem psychologicznym?

Odpowiedział pytaniem:

- Zdajesz sobie sprawę, ile narobiłaś nam kłopotów?

Nienawidzę takich tekstów.

- Co masz na myśli, Harry?

– Telewizja trzyma nas za jaja! Stowarzyszenie Rozwoju Miasta dostało szału! To mam na myśli.

Każdy z kolejnych trzech gwałtów, dokonanych po moim pierwszym artykule, telewizja przedstawiała w coraz bardziej histerycznym tonie.

– Non stop ktoś dzwoni do komendanta z Izby Handlowej, on opieprza porucznik, a ona nas. Stowarzyszenia feministek napadają burmistrza, a teraz jeszcze ty – słodziutka i niewinna, z pytankiem „co słyhać”. Doskonale wiesz, co słyhać, do jasnej cholery, bo sama to rozpętałaś!

- Harry, nikt bardziej ode mnie nie chce, by go złapano.

– Ależ oczywiście. Założę się, że z radością zobaczyłabyś go w więzieniu. Lepiej byś wtedy sprzedawała swoją gazetę?

– Wiesz przecież, że nie chodzi o gazetę. – Staralam się, by mój głos brzmiał przekonująco, by zrozumiał, że naprawdę chcę pomóc. – Sprawdziliście, czy jest ktoś, kto pracował w więcej niż jednym budynku?

Westchnął i odparł niechętnie:

- Sprawdzamy dane personalne pracowników.

- Znaleźliście coś?

– To nie takie proste. Biurowce mają swoje ekipy sprzątające albo zatrudniają ludzi z różnych firm, w których na ogół jest spora rotacja. Poza tym tego typu nisko płatne prace są słabo dokumentowane. Każde biuro ma mnóstwo pracowników, do tego dochodzą gońcy, dostawcy, kurierzy z firm dostarczających przesyłki. Wszędzie kręcą się najrozmaitsi ludzie.

– Z jego głosu znikła złość, zastąpiona przez zmęczenie sfrustrowanego gliniarza, który znalazł się w ślepej uliczce.

– Dziwne, że nie widział go nikt oprócz ofiar. To znaczy, że zlewa się z tłumem. Albo pracuje w miejscach, gdzie dokonuje napadów, albo jego obecność nie budzi podejrzeń.

- Niewykluczone.

- Może jest ochroniarzem?

- Sprawdzamy to.

– Co ze zwolnionymi warunkowo zbrojnymi? Może któraś z firm zatrudnia więźniów na przepustkach, przyznawanych im po to, żeby mogli znaleźć sobie pracę po odsiadce?

– To też sprawdzamy. Nie brakuje takich firm.

– Co z portretem pamięciowym? Czy ofiary przyznały, że uchwyciliście podobieństwo?

– Można tak powiedzieć.

Notowałam jak szalona. Było to pierwsze potwierdzenie przez policję, że dysponuje portretem pamięciowym sprawcy.

– A co z profilem psychologicznym?

– Nie do wglądu dla prasy.

Tak jest! Mają profil!

– Dlaczego nie? – zapytałam tonem skargi. – Pół miliona czytelników. Może któryś coś sobie przypomni i zaryzykuje telefon?

– Nie pytaj mnie, tylko porucznik.

– W czym nosi nóż? W pochwie?

– Ma torbę. A raczej coś na kształt niewielkiej torby sportowej albo podróźnej.

– Tam musi chować pieniądze i biżuterię, które zabiera ofiarom. Uważasz, że jest gwałcicielem, który dodatkowo rabuje, czy też rabusiem, który wykorzystuje okazję i gwałci?

– To gwałciciel. Wielu rabuje po to, by przekonać samych siebie, że tak naprawdę nie są gwałcicielami, ale w jego wypadku łupy to sprawa wtórna. Pasuje do innych rzeczy, które zabiera.

– Innych rzeczy?

– Nic nie słyszałaś.

– Co masz na myśli? Jakie inne rzeczy zabiera? – Żadnej odpowiedzi. Muszę wydusić z niego prawdę, kawałek po kawałku. – Harry?

Zaskrzypiało pod nim krzesło.

– Słucham?

– Zabiera im bieliznę?

– Hmm, nie całkiem.

– Buty? To fetyszysta od butów?

– Nie. Powiedzmy, że określone części garderoby.

– Po co? Sądzisz, że onanizuje się przy nich w domu, przeżywając gwałt jeszcze raz?

– Nie będziemy tego wiedzieć, dopóki go nie przesłuchamy. Powiedzmy, że lubi pamiątki. Nie napiszesz o tym, Britt? Słyszysz mnie? – Niemal fizycznie czułam, jak rośnie jego napięcie, wlewając w zmęczony głos nową energię. – Przeczyta to i wyrzuci dowody, a my musimy przyłapać go z nimi.

– Harry, przecież sam najlepiej wie, co zabrał. Kiedy o tym przeczyta, nie będzie to dla niego żadnym zaskoczeniem.

– Może, ale teraz nie jest pewien, że o tym wiemy.

Westchnęłam. Zesztywniał mi kark i znów zaczęła boleć mnie głowa.

– Co z jego akcentem?

– Obie latynoskie ofiary twierdzą, że to Kubańczyk.

– Jest obrzezany? – Kubańczycy urodzeni w Ameryce zazwyczaj są, urodzeni na Kubie – nie.

– Nie.

– Uważacie, że jest *marielito*?*

– Możliwe. Prawdy dowiemy się, kiedy go złapiemy.

– Tatuaze?

– Może.

– Gdzie? Jakie?

– Britt – odezwał się zduszonym głosem. – Jeżeli porucznik się dowie, że z tobą rozmawiałem, natychmiast wywali mnie do „gównianego batalionu”.

Do Miami bez przerwy zjeżdżali z Kolumbii, Boliwii i Peru „tragarze”, z żołądkami i jelitami pełnymi narkotyków, przemycanych w prezerwatywach. Jeżeli spełniali określone warunki, na przykład byli kolumbijskimi chłopami w trzyczęściowych garniturach, celnicy wyciągali ich z kolejki i wysyłali na prześwietlenie żołądka w szpitalu okręgowym. Jeśli się okazało, że człowiek jest przemytnikiem, dawano mu do wyboru: zabieg chirurgiczny albo środek na przeczyszczenie. Większość wybierała drugą możliwość. Podczas wypróżniania pilnowali ich policjanci, którzy potem zabierali narkotyki – to ich nazywano „gównianym batalionem”. Praca w policji nie zawsze jest chwalebna i związana z noszeniem broni.

– Nie zrobiłaby ci tego, Harry. – Miałam nadzieję, że nie pozna po moim głosie, iż głupkowato się uśmiecham. – Jesteś za dobrym detektywem.

– Nic by mi to nie pomogło, gdyby mnie przyłapała na rozmowie z tobą. Dostałaby kolejnego napadu szału, narozrabiła, a ja mógłbym się potem przyglądać, jak jakiś...

– Co z wynikami badań laboratoryjnych?

– Jest wydalaczem.

Płynny ustrojowy tak zwanego wydalacza, czyli pot, ślina albo sperma, pozwalają na ustalenie grupy krwi.

– Boże, jaką ma grupę krwi?

– Nie mogę powiedzieć.

– A profil psychologiczny? Co mówią psychiatrzy?

– Że nie ma szacunku dla kobiet.

– Harry, przestań się wygłupiać. – Zgwałcone i poniżone kobiety wiązał i zostawiał w takiej pozycji, by maksymalnie zaszokować tego, kto pierwszy je zobaczy. Ten, kto otworzył

* 21 kwietnia 1980 roku Kuba częściowo zniosła restrykcje wyjazdowe, wskutek czego do końca września tego roku, kiedy to ponownie je zastrzono, z portu Mariel wypłynęło na amerykańskich statkach około 125 000 osób. Wkrótce się okazało, że doboru „emigrantów” dokonały władze Kuby; znalazło się wśród nich wielu przestępców, osób psychicznie chorych i najprawdopodobniej szpiegów (przyp. tłum.).

drzwi, miał przed sobą odsłoniętą i wyeksponowaną anatomię. Praktykantka, pracująca w późnych godzinach wieczornych w jednej z kancelarii, została zaatakowana, kiedy nikogo nie było w biurze, i znaleziona dopiero następnego dnia rano. Choć minęło kilka tygodni, w dalszym ciągu znajdowała się pod opieką psychiatry i przyjmowała silne leki.

– Musisz się wszystkiego dowiedzieć od porucznik. Nic ode mnie nie wyszło, zgoda?

– Zgoda.

– Prawdopodobnie był już kilkakrotnie aresztowany, niekoniecznie z powodu gwałtu, ma problemy z kobietami, pochodzi z rozbitej rodziny, w dzieciństwie był maltretowany psychicznie, może nawet molestowany seksualnie i miewał przyływy dzikiego uporu. Łączy go miłośno-nienawistny stosunek ze starszą kobietą. Niewykluczone, że mieszkają razem.

Nic niezwykłego – to co zawsze.

– Coś jeszcze?

– Inteligencja powyżej średniej, pracuje i mieszka, albo tylko pracuje, w okolicy centrum, niedaleko miejsc zbrodni.

– Ciekawe.

– I jeszcze jedno. Ma rzeźączkę, i to odporną na penicylinę.

– O nie! Zaraził ofiary?

– Jak na razie dwie.

– Boże, Harry, powstrzymajcie go!

– Nie musisz mi tego mówić. Jedyne, czego jeszcze nie próbowałem, to zrobić sobie makijażu, włożyć peruki i usiąść na nocniczku „dla dziewczynek”. Wyświadczyć mi przysługę, Britt, dobrze? Podaj w swoim artykule nasz numer – zachrypiał przemęczonym głosem. – Zaapeluj do każdego, kto może mieć jakąś informację, by do nas zadzwonił.

– Oczywiście. Ale i wy zróbcie mi przysługę.

– Jaką?

Nie mogłam przestać myśleć o matce.

– Złapcie go, Harry.

Przeczytałam notatki, potem zaniiosłam Billy'ego Bootsa do kuchni. Początkowo zachwycony zainteresowaniem, nagle przestał mruzczyć, zrozumiał bowiem, po co go tu przyniosłam. Lek na rozpuszczanie połkniętych włosów jest ciemną, lepką pastą, który wygląda i pachnie jak stęchła melasa. Reklama na tubce zapewnia, że koty będą z radością wylizywać ją prosto z tubki. Przeczytałam to Billy'emu Bootsowi na głos – nie wiem, który już raz, ale znów – nie wiem, który już raz – próbował uciec. Tym razem jednak okazałam się szybsza i wcisnęłam mu kilka centymetrów pasty między zaciśnięte zęby, przekonując go, że będzie mi dziękował. Po krótkiej walce połknął lekarstwo i przybrał zrezygnowaną minę.

Umyłam ręce i zęby, rozebrałam się i pogasiłam światła. Zwykle nie miewam nocnych majaków, tym razem jednak, tuż przed odpłynięciem w sen, zaczęło mnie dręczyć pytanie, czy w którymś z jaskrawo oświetlonych wieżowców w centrum nie leży gdzieś nie odkryta przez nikogo, związana i przerażona kobieta. Jej płacz prześladował mnie do rana.

Rozdział czwarty

Rano pojechałam do wydziału gwałtów z nadzieją, że uda mi się przyszpilić porucznik i dostać od niej pozwolenie na publikację portretu pamięciowego oraz profilu psychologicznego gwałciciela.

Wydział był niemal opustoszały, biurka i telefony nie obsadzone. Porucznik wyruszyła „w teren”, wymiotło detektywów.

– Wszyscy są na mieście – poinformowała mnie sekretarka, drobna pedantyczna kobieta z maleńkimi, pomalowanymi na szkarłat ustami, ubrana w prostą spódnicę, szytą na miarę białą koszulę z cienkim krawatem i wygodne buty. Kompozycja pooranej zmarszczkami twarzy i nieufnie patrzących oczu sprawiała wrażenie, że ich właścicielka słyszała już i widziała w tej pracy absolutnie wszystko, ale nie wspomni o tym nawet słowem.

– Znowu Gwałciciel z Centrum? – spytałam.

Pokręciła głową.

– Przecież wie pani, że nie wolno mi udzielać informacji.

Wzięłam głęboki wdech.

– Nie pytam o nic związanego ze sprawą – zaświergotałam słodziutko, wkurzona, że nie wiem, co jest grane. – Potrzebny mi jedynie adres. To na pewno nie jest tajemnica.

Znowu pokręciła głową, popatrzyła znad okularów na wkręconą w maszynę do pisania kartkę papieru i rzuciła prowokacyjnie:

– Wydział zabójstw też tam pojechał.

Czy coś przeoczyłam? Cholera jasna, przez cały czas miałam włączoną krótkofalówkę, ale nic nie słyszałam.

– Gdzie?

Była niewzruszona.

– Wie pani, jaka jest porucznik – jej oczy omiotły szybko pomieszczenie, jakby chciała się upewnić, że szefowa nie schowała się gdzieś i nie podsłuchuje – i co by się ze mną stało, gdyby się dowiedziała, że rozmawiam z prasą.

Zamiast marnować czas, wybiegłam obrażona, zjechałam do holu na parterze i zadzwoniłam z automatu do zakładu medycyny sądowej. Słuchawkę podniosła recepcjonistka.

– Dzień dobry. – Przywitałam się, przedstawiłam i starając się, by mój głos brzmiał jak najspokojniej, zapytałam: – Który lekarz jedzie do miasta na wezwanie wydziałów zabójstw i gwałtów?

– Już wyjechał – odpowiedziała pogodnie. – Pojechali we dwóch, szef i doktor Duffy.

– Szef? We dwóch? To dość niezwykłe.

– Aha. Wezwano ich już jakiś czas temu.

– Na pewno mówimy o tym samym przypadku?

– Ja mówię o tym przy Czternastej Południowo-Zachodniej sto siedemdziesiąt sześć.

– Zgadza się.

Musiałam się spieszyć. Detektywi z wydziału zabójstw wzywają zwykle lekarza po paru godzinach, kiedy już zrobią swoje technicy od zabezpieczania śladów. Cokolwiek to było, musiało się zdarzyć kilka godzin temu. Jak mogłam przeoczyć sprawę? Jak mógł ją przeoczyć pracownik odsłuchujący w redakcji pasmo policyjne? Wskazane miejsce znajdowało się w podupadłej okolicy na skraju Małej Hawany, sądząc ze sposobu, w jaki przedstawiła to recepcjonistka, wewnątrz budynku. Prawdopodobnie chodziło o starszą kobietę. Kiedy wciskałam się do samochodu, przez głowę przelatywały mi najróżniejsze warianty wydarzeń. Młode ofiary gwałtów, które sprawcy następnie mordują, są zazwyczaj zwabiane do lasu, w domach atakuje się raczej starsze kobiety.

Niezwykłe wydawało się to, że na miejsce zabójstwa pojechali funkcjonariusze wydziału gwałtów. Może były dwie ofiary – jedna zgwałcona, druga zamordowana. Najprawdopodobniej byłam jedynym dziennikarzem w Miami, który nic nie wiedział o tej sprawie. W redakcji też najwyraźniej o niczym nie wiedzieli, bo przecież natychmiast nadaliby mi informację na pager. Cholera jasna! Na widok żółtego światła wcisnęłam gaz do deski i przemknęłam przez skrzyżowanie jak wariatka, modląc się w duchu, by mnie nie zatrzymano. Ruch był duży, a zazwyczaj gubię się w tej dzielnicy, pełnej jednokierunkowych uliczek i ślepych zaułków. Dobiegające z krótkofalówki na desce rozdzielczej wiadomości nie wskazywały na to, że w mieście prowadzony jest pościg ani że skierowano policjantów do powstrzymywania tłumu przed wtargnięciem na miejsce zbrodni.

Nienawidzę czekać w gromadzie dziennikarzy na dwuakapitowy oficjalny komunikat, napisany policyjnym żargonem w taki sposób, by nic nie ujawnić. Klimatyzacja w samochodzie pracowicie wypompowywała do środka gorące powietrze, potęgując tylko moją irytację i złe samopoczucie. Temperatura na zewnątrz przekroczyła trzydzieści pięć stopni, ale w aucie musiało być więcej. Jeżeli z mojej klimatyzacji wyciekał freon, miałam kolejny powód, by czuć się winna. Nie tylko zmarnowałam przez nieuwagę potencjalny temat na artykuł, ale jeszcze zanieczyszczałam środowisko i powiększałam dziurę ozonową. Zbliżając

się pod wskazany adres, zaczęłam się rozglądać, nigdzie jednak nie widać było wozów transmisyjnych ani śmigłowców telewizji. A więc sfera załatwiła swoje i pojechała. Nienawidzę zjawiać się gdziekolwiek, kiedy ludzie z telewizji przekopali już okolicę, pozrazili świadków do rozmów z kimkolwiek i doprowadzili do szału mieszkańców. Prawdopodobnie cały kwartał będzie zamknięty. Nie ma mowy o dostaniu się w poblize miejsca zdarzenia.

Myliłam się.

Dom był obłąką z farby tanią konstrukcją z prefabrykowanych elementów. Obok znajdował się zamknięty garaż, a do werandy prowadziła ścieżka z nierównego, kruszącego się betonu. Na ulicy stał sznur samochodów: radiowozy, nieoznakowane wozy policyjne, samochód z zarządu hrabstwa, którym jeździ anatomopatolog. Nie było migających kogutów, nikogo z biura rzecznika prasowego policji, innych dziennikarzy. Nie było śladu żółtej taśmy. Nic w tym rodzaju. Upierne. Czyżbym była nie ostatnia, lecz pierwsza? Niezbyt wiedząc, co o tym sądzić, znalazłam kilkadziesiąt metrów dalej kawałek wolnego miejsca, zaparkowałam i podeszłam na piechotę do numeru sto siedemdziesiąt sześć. Zasłony w oknach były opuszczone, a przez żaluzje nie dało się zajrzeć do środka. Umieszczona w oknie od frontu – najwyraźniej popsuta – klimatyzacja wydawała z siebie dychawiczne odgłosy.

Po mniej więcej dwóch minutach dzwonienia otworzyły się drzwi. Stała w nich kobieta. Oczekiwałam policjanta. W głębi mieszkania rozmawiano, krzątano się gorączkowo. Kobieta wyglądała na czterdzieści parę lat; proste włosy ufarbowała na szarobury kolor, ale przy skórze widać było siwe odrosty. Jej twarz była zaróżowiona, oczy zaczerwienione, a kościsty podbródek świadczył o uporze. Miała na sobie pognieciony bawełniany podkoszulek i czarne elastyczne spodnie.

– Co jest? – zapytała, zionąc nasączonym whisky oddechem.

Nie miałam zielonego pojęcia, co jest grane ani o co zapytać, postanowiłam się więc przedstawić.

– Dziennikarka? – Po zadaniu pytania odwróciła się do kogoś, kto stał za nią, i podniesionym głosem rzuciła: – To chyba nie pójdzie do gazet?

– Wątpię – odezwał się głos należący do dyrektora zakładu medycyny sądowej: Po chwili go ujrzałam – bez marynarki i w poluzowanym krawacie.

Za kobietą pojawił się brzuchaty detektyw z wydziału zabójstw, z półautomatycznym pistoletem w kaburze na biodrze. Wyjrzał zza jej ramienia.

– Britt, jak się pani dowiedziała? – Powiedział to tak, jakby chciał mnie zbesztać, ale jego twarz wyrażała zadowolenie, niemal rozbawienie.

Kiedy lekarz i policjant podeszli do drzwi, kobieta odsunęła się jak nakręcana lalka.

– Co się stało? – zapytałam.

– Nic, o czym może pani napisać. – Policjant skrzywił usta w uśmiechu.

– Zabójstwo, prawda?

– Nie. Przypadkowa śmierć. Wypadek – oznajmił bardzo poważnie główny anatomopatolog.

– W takim razie skąd tu tyle ludzi?

– Ponieważ nie widuje się zbyt często podobnych przypadków – rozległ się głos doktora Duffy’ego, który wyszedł właśnie z pokoju obok.

– Niech pani zamknie drzwi – warknęła kobieta ze złością i usiadła przy stole. – Moja klimatyzacja nie musi chłodzić całej cholernej dzielnicy.

Weszłam do środka przez podrapany próg. Policjant popatrzył na kobietę i spytał:

– Ma pani coś przeciwko?

Wzruszyła ramionami, oparła kościsty łokieć o blat i położyła głowę na dłoni.

– Widok jest niezwykły, bardzo pouczający – uprzedził cicho Duffy.

– Niezły numer... – dodał detektyw. – Słyszałem o czymś takim, ale po raz pierwszy widzę na własne oczy. – W jego oczach było coś pożądanego.

– Co się stało?

– Mąż tej pani zmarł w wyniku wypadku – powiedział główny anatomopatolog. – Słyszała pani kiedyś o duszeniu podczas gry erotycznej, zwanym czasami seksualnym duszeniem?

– Seksualnym? Chyba nie.

Spojrzałam na kobietę, obejmującą twarz żyłastymi dłońmi. Razem z lekarzami skierowałam się do salonu. Za mną podążał policjant. Właśnie wychodzili stamtąd inni funkcjonariusze; prawie każdy kręcił głową. Porucznik z wydziału gwałtów musiała opuścić to miejsce już jakiś czas temu.

– Mamy tu do czynienia z bardzo rzadkim wariantem męskich zachowań seksualnych o wyjątkowo narcystycznym zabarwieniu, polegającym na autoerotycznej aktywności seksualnej połączonej z niedotlenieniem mózgu, świadomie wywoływanym na drodze chemicznej albo mechanicznej – wyjaśnił główny anatomopatolog. Wianuszek siwych włosów wokół jego gładkiej różowej twarzy nadawał mu wygląd cherubina.

– Chodzi o onanizm?

– Tak, ale bardzo szczególny – potwierdził Duffy. – W jego trakcie, w celu spotęgowania orgazmu, odcina się dopływ krwi do mózgu.

Boże drogi. Obaj natychmiast zauważyli moją zakłopotaną minę.

– Można to osiągnąć, podwiązując żyłę, wieszając się albo wdychając tlenek węgla. Wzrost poziomu dwutlenku węgla we krwi ma ponoć zwiększać orgazm, ale czasami zwolennicy tej metody posuwają się za daleko.

– Seks ostateczny – stwierdził z kwaśnym uśmiechem detektyw.

– Co zaszło tutaj? – Mój głos był ledwie słyszalny.

– Powieszenie. Jego żona wyszła rano po zakupy, a kiedy wróciła po kilku godzinach, zastała to właśnie... – dodał policjant.

– Gdzie on jest?

– W sypialni. Proszę uważać, widok jest dość szokujący – ostrzegł szef zakładu medycyny sądowej – Ale taka jest norma. Nie ma na ten temat zbyt obfitej literatury, wiele przypadków interpretuje się błędnie jako morderstwo lub samobójstwo.

Wszedł do pokoju, który musiał być sypialnią.

– Żona myślała, że popełnił samobójstwo, ale to bez dwóch zdań uduszenie seksualne.

Ruszyłam za nim do sypialni.

W domu było gorąco, mimo to natychmiast przeszły mi ciarki po plecach i ramionach. Wezwane przez żonę pogotowie odcięło denata ze sznura. Mężczyzna miał na sobie czerwone body z cieniusieńkiego materiału; przez koronki przebijały się włosy. Był po pięćdziesiątce, nieforemne ciało porastały siwe kępki. Wyglądał brzydko, ale najwyraźniej był sobą zachwycony. Na podłodze leżało – zdjęte z toaletki – lustro, tak ułożone, by mógł się obserwować. Nie licząc czarnej pończochy na prawej nodze, był od pasa w dół nagi. Członek miał obwiązany czerwoną tasiemką z kokardką, ręce związane poplamioną jedwabną szarfą.

Przez chwilę staliśmy bez słowa. Większość policjantów zaspokoila już swoją ciekawość i wyszła.

– Skąd pewność, że to nie morderstwo czy samobójstwo? – spytałam.

– Na przykład stąd... – doktor Duffy wskazał na podłogę przy stopach zmarłego.

Leżał tam otwarty na rozkładówce w środku „Playboy”.

– Nie zamierzał umrzeć. Przeliczył się. – Główny anatomopatolog mówił swym zwykłym mentorskim tonem. – Proszę zauważyć, że szarfa wokół dłoni jest zawiązana luźno, a szyję owinał rącznikiem, by sznur nie wciął się w skórę.

– Nie chcą śladów na szyi – podkreślił Duffy.

– Właśnie – przytaknął szef.

Nagle poczułam, że zaczyna mnie boleć głowa.

– Stąpają po cienkim lodzie, ale ani myślą umierać – dodał główny anatomopatolog. – Zawsze mają jakiś mechanizm zabezpieczający, czasami jednak się przeliczają.

– Albo ich ponosi i tracą kontrolę – uzupełnił detektyw, jakby był w tej sprawie autorytetem. – Realizują swoje fantazje na całego.

– Zgadza się. Ten jest dość stary – z namysłem ciągnął szef patologów, wyjmując z aktówki aparat fotograficzny. – Zwykle jednak ofiarami tych zabaw padają młodzi ludzie, nieraz nawet dwunastolatki. Pewnie po prostu sprzyjało mu szczęście i zdołał dłużej przeżyć.

Przełknęłam przez zaciśnięte gardło i przypomniałam sobie, że muszę robić notatki.

– Powiedział pan, że niektórzy wdychają różne rzeczy. Na przykład co?

Z całej siły starałam się unikać patrzenia zmarłemu w oczy, ale nie było to takie proste. Śmierć podczas uprawiania seksu z samym sobą i w efekcie wystawienie się wraz ze swymi najskrytszymi tajemnicami na widok gapiów była czymś potwornie smutnym.

– Znane jest wdychanie klejów, freonu znajdującego się w układach chłodniczych lodówek i klimatyzatorów, podtlenku azotu, dezodorantów, różnych gazów i rozpuszczalników, nawet płynu korekcyjnego.

– Zgadza się – potwierdził Duffy. – Pamięta pan dentystę, który używał podtlenku azotu, wdychając go przez maskę do podawania narkozy? Większość zakłada na głowę plastikową torbę.

Szef patologów przytaknął.

Zakładają na głowę plastikową torbę?

– Wdychają płyn korekcyjny? – wymamrotałam.

– Zawiera jeden-jeden-jeden-trójchloroetan – wyjaśnił Duffy, ponuro kiwając głową.

Przestało mnie w tym momencie dziwić, że o piątej po południu siedząca w pokoju bez okien sekretarka redaktora naczelnego wygląda jak naćpana.

– Granica pomiędzy „trochę” a „za dużo” jest tutaj niezwykle cienka – kontynuował główny anatomopatolog, ściągając rękawiczki chirurgiczne. – Niektórzy ludzie nie bardzo wiedzą, gdzie przebiega. W odróżnieniu od uprawiających większość innych zbroczeń – na przykład wiązanie, sadomasochizm, wkładanie w narządy rodne i odbyty zaciśniętych pięści – osoby wykazujące tę aberrację nie mają własnego czasopisma, które pozwalałoby im zapoznawać się z doświadczeniami innych, zdradzających tę samą skłonność.

Czasopisma poświęcone wymianie doświadczeń między zbroźcami... seks przez wkładanie w odbyty i pochwę pięści... – powoli sama zaczęłam czuć się jak naćpana.

– Ludzie mają... różne... gusta – odezwał się, cedząc słowa, detektyw. – Weźmy na przykład tych, którym sprawia przyjemność, gdy w czasie uprawiania seksu ktoś celuje do nich z broni palnej.

Cholera, o tym też jeszcze nie słyszałam. Wszyscy odwróciliśmy się ku niemu.

– No, wiecie... – spróbował zbagatelizować sprawę, machnął ręką i poczerwieniał, wyraźnie skonsternowany. – Chodzi o element ryzyka. – Myny obu lekarzy wskazywały, że oni też jeszcze nie słyszeli o znanym detektywowi wariantowi gry seksualnej. Przeżyłam trzydzieści dwa lata, a ciągle zaskakiwały mnie rzeczy, o których nigdy nie mówiła mi mama.

– Jak sądzicie, panowie, ile osób uprawia podobne praktyki? – spytałam cicho.

– Nie sposób tego określić – stwierdził główny anatomopatolog, pociągając się za płatek ucha. – Wiemy tylko o tych, którzy się poślizgnęli. Niewykluczone jednak, że jest to zjawisko znacznie powszechniejsze, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić.

– Pan Creech najwyraźniej przesadził. – Duffy nie odwracał wzroku od policjanta, który wsadził nos w formularze.

– Creech? – podchwyciłam zaskoczona. – Emerson Creech?

– Skąd pani wie? – zdziwił się gliniarz, po sprawdzeniu w formularzu.

– Bo go znam! – zawołałam, kierując wzrok ku sypialni. – To Brudny Wujek. Nie rozpoznałam go w tym przebraniu.

– Nic dziwnego – sucho skonstatował szef patologów.

Wdowa w dalszym ciągu traktowała nas jak powietrze. Stała plecami do nas i mechanicznie robiła kawę. Przypomniałam sobie, że ma na imię Ruby. Ściszyłam głos.

– To bardzo zainteresuje parę osób w wydziale zabójstw.

Detektyw, słysząc, że rozmowa zmienia bieg, z zainteresowaniem uniósł głowę.

– Od kiedy jest pan w wydziale zabójstw? – spytałam go.

– Jakies półtora roku.

– To nie może pan pamiętać sprawy. Kilka lat temu – pracowałam wtedy pierwszy rok w gazecie – pan Creech był podejrzany o zamordowanie Darlene Fiskus, swojej siostrzenicy. Dziewczynka miała czternaście lat, uczyła się w szkole średniej.

– Chyba ją pamiętam – odezwał się główny anatomopatolog, kiwając głową. – Cheerleaderka, prawda?

– Tak. Któregoś wieczoru pojechał odebrać ją po meczu. Widziano, jak Darlene wsiada do samochodu tego samego koloru co jego, ale nikt nie mógł jednoznacznie potwierdzić, że to jego wóz, ani nie rozpoznał kierowcy, on zaś utrzymywał, że nie było go pod stadionem, ponieważ miał kłopoty z samochodem i kiedy dojechał na miejsce, siostrzenicy już nie było. Znalaziono ją następnego dnia, zgwałconą, z twarzą wbitą w ziemię w przydrożnym rowie.

– Nigdy nie udało się doprowadzić do procesu – przypomniał główny anatomopatolog.

– Właśnie. Policja znalazła w jego samochodzie odciski palców i włosy dziewczynki, ale w końcu był jej wujem i nieraz woził ją do szkoły. Kiedyś, gdy został wezwany na przesłuchanie, chciałam z nim porozmawiać przed komisariatem, ale ani myślał z kimkolwiek rozmawiać. Dziesięć lat wcześniej odsiadywał wyrok za próbę gwałtu na trzynastoletniej dziewczynce z sąsiedztwa, a tydzień przed śmiercią Darlene zdradziła swojej najlepszej przyjaciółce że wujek próbował ją „niepokoić”. – Pokręciłam z niedowierzaniem głową. – Prowadzący śledztwo zawsze nazywali go Brudnym Wujkiem.

Detektyw wyciągnął głowę w stronę sypialni.

– To ciekawe, co pani mówi – stwierdził główny anatomopatolog, drapiąc się po brodzie – nie znam bowiem drugiego przypadku, by ktoś uprawiający tego typu anormalne praktyki erotyczne był uwikłany w przestępstwa seksualne. Cóż, w tej dziedzinie człowiek ciągle spotyka się z czymś nowym.

– Może zrezygnował z małych dziewczynek i przeszedł na to? – podsunął detektyw. – Może sądził, że to bezpieczniejsze?

– No cóż, najwyraźniej się mylił. – Duffy wyjął z kieszeni radiotelefon i wezwał ekipę, która miała przewieźć zwłoki do kostnicy.

Poszłam do kuchni złożyć kondolencje wdowie. Podrapane blaty i stare sprzęty kuchenne utrzymane były w modnym dwadzieścia lat temu kolorze avocado. Kobieta wpatrywała się w ścisłaną w obu dłoniach filiżankę z kawą.

– Wiedziała pani, że robił coś takiego?

– Wiedziałam, że lubi młode dziewczyny – mruknęła – ale nic o tym. – Jej pomarszczona twarz stwardniała.

– Czy to pani... rzeczy... miał na sobie? – spytałam.

– Nigdy przedtem nie widziałam tych fatałaszków. – Przebiegła wzrokiem po kuchni i popatrzyła na mnie. Po chwili opuściła głowę i zlustrowała swój wyblakły podkoszulek i tandetne spodnie. – Wyglądam na kogoś, kto nosi coś takiego?

– Pisałam kiedyś o Darlene... gdy ją zabito.

Poderwała głowę, w jej pustych i przepelnionych wrogością oczach zamigotało coś trudnego do określenia.

– To było tak dawno temu.

– Sprawa nigdy nie została wyjaśniona.

Lekko drgnęły jej ramiona, jakby nie miała siły nimi wzruszyć.

– Policja podejrzewała, że to pani mąż.

– Nie tylko oni. Nie tylko oni go podejrzewali. Kochałam ją jak własną córkę, bo nie mogłam mieć dzieci. Rodzina mojego męża... – Zamilkła i zaczęła pocierać ramiona dłońmi, jakby zrobiło jej się zimno. – Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, wołałabym o tym nie mówić. – Ratując resztkę godności, odsunęła krzesło, wstała i starając się nieść wysoko głowę, zaniósła filizankę do zlewu.

W innych okolicznościach próbowałabym wypytywać dalej, ale przyszedłam do jej domu nieproszona, a w pokoju obok leżały zwłoki jej męża. Wyszedłam na zewnątrz. Właśnie przyjechał samochód z kostnicy i obaj lekarze ruszyli w jego kierunku. Detektyw siedział w sypialni i kończył wypełniać formularze. Prawdopodobnie był zadowolony, że istnieje na świecie kilku większych od niego dziwaków.

Kiedy wychodziłam z domu, przeszło mi przez myśl, że może to ona go zabiła – z zemsty za siostrzenicę. Wyglądało na to, że nie byli zgodnym małżeństwem. Nie, jak zdołałaby powiesić mężczyznę jego gabarytów? Skarciłam się za nadmierną podejrzliwość i opuściłam boczną szybę w daremnej próbie ochłodzenia wnętrza samochodu. Paranoja to w moim zawodzie normalka – kiedy matka mi mówi, że jutro będzie piękna pogoda, dzwonię natychmiast do pogodynki.

– Seks ostateczny... – zaczęłam kilka godzin później, siedząc z Lottie w ciemni. Opowiedziałam jej o pętli, lustrze, koronkowym body, jedwabnej szarfie na nadgarstkach, otwartym „Playboyu”.

– Czy kartki były sklezione?

– Nie sprawdzałam – odparłam, marszcząc nos. – Nawet mi to nie przyszło do głowy.

Oparła się wygodnie, założyła obute w kowbojki nogi jedna na drugą i podrapała się po łydce.

– A niech mnie! – wykrzyknęła. – Czegóż ci faceci nie robią, żeby się zaspokoić! To nawet gorsze od tego, kiedy w trakcie seksu ktoś celuje do człowieka z pistoletu!

– Skąd o tym wiesz?

– Słyszałam. Przecież nie z własnego doświadczenia. – Machnęła ręką i zrobiła przebiegłą minę. – A gdyby nawet tak było, nigdy bym się nie przyznała.

Rozdział piąty

Historia zejścia Emersona Creecha z tego świata nie znalazła się w gazetach, większość bowiem najciekawszych przypadków śmierci nie jest opisywana. Ponieważ moje pismo nigdy nie przedstawiało Brudnego Wujka jako podejrzanego o zamordowanie siostrzenicy, szefowie uznali, że nie warto pisać o jego śmierci. Zaproponowałam reportaż o zgonach w wyniku nietypowych praktyk autoerotycznych.

– Nie u nas. Nie ma mowy – odparł Fred Douglas, kierownik działu miejskiego.

Czytając następnego dnia nekrologi, zastanawiałam się, czy któryś ze zmarłych udał się na spotkanie ze Stwórcą w podobnie groteskowych okolicznościach jak Brudny Wujek.

W dalszym ciągu musiałam się skontaktować z porucznik Riley, której – kiedy dojechałam do redakcji z domu Creechów – już nie było w komendzie. Postanowiłam najpierw zadzwonić. Porucznik, jak zwykle oszczędna w słowach, zgodziła się, choć opornie, poświęcić mi kilka minut – pod warunkiem, że zjawię się u niej natychmiast. Gdy weszłam do wydziału, zwróciło moją uwagę, że pracujący w boksach policjanci są po uszy zagłębieni w papierach. Nie czuło się tej koleżeńskiej atmosfery odprężenia, tak typowej dla większości wydziałów policji. Porucznik znów musiała być w swym sławetnym złym nastroju.

Kiedy przechodząc powiedziałam sekretarce, że jestem umówiona, popatrzyła na mnie ostrzegawczo, wyraźnie dając do zrozumienia: „Życzę wiele szczęścia”.

Wzięłam głęboki wdech i z nadzieją, że nie trafię akurat na kolejny napad szału pani porucznik, zapukałam i weszłam. Riley walnęła słuchawką o widelki i obcesowo wskazała mi krzesło.

– Co jest, Montero?

– Chodzi o Gwałciciela z Centrum.

Lustrowała mnie uważnie wodnistymi oczami, ukrytymi pod przymrużonymi bladymi powiekami.

– Były do was jakieś telefony w tej sprawie?

– Nie. – Z pewnością uznała mnie w tym momencie za bezużyteczną i oczami wyobraźni widziałam, jak znika moja okazja. – Mam jednak nadzieję, że coś zaczęłoby się dziać, gdybym napisała artykuł do wydania weekendowego.

– Nic pani nie powstrzyma – stwierdziła, patrząc znacząco na zegarek. Jak to się dzieje, że gdziekolwiek się zjawiam, ludzie nagle zaczynają zerkać na zegarki i wypychać mnie w kierunku drzwi? – Już pani ujawniła stan śledztwa, odbierając nam jakąkolwiek przewagę. – Chłód w oczach porucznik Riley świadczył, że nie mogłabym się spodziewać jej współczucia, gdybym została kiedyś zgwałcona.

– Potrzebuję pani pomocy w związku z artykułem – spróbowałam jednak.

Odchyliła się do tyłu, przybierając rozbawioną minę. Jej prawie proste ciemnoblonde włosy sięgały ramion. Ogorzała skóra świadczyła, że zbyt wiele godzin spędza na słońcu.

Policjantki kobiety, by dostać awans, muszą być twarde i ambitne. Ona była bardzo twarda i bardzo ambitna. Rozprawiła się nawet ze swoim nazwiskiem. Oficjalnie zaczęła się nazywać K. C. Riley, choć „Kathleen Constance Riley” brzmiało według mnie znakomicie, i tak nazywałam ją w artykule opisującym, jak to choremu psychicznie uzbrojonemu szaleńcowi przestrzeliła kolano, by powstrzymać go od maltretowania jego rannego w czasie napadu partnera. Artykuł przedstawiał ją jako osobę odważną, wręcz bohaterką, ale ona tak się na mnie za niego wściekła, że aż zaczęłam się bać o własne kolana. Ostrzegła mnie z całą surowością, bym w przyszłości nigdy, przenigdy nie wymieniała jej pełnego imienia, tylko używała pierwszych jego liter.

W ostatnich latach kobiety weszły do policji znacznie większą falą niż do jakiegokolwiek innego „męskiego” zawodu. Obecnie pełnią służbę ramię w ramię z mężczyznami, niektóre nawet – jak Francie – dzielą z nimi miejsce na tablicy pamiątkowej. K. C. Riley walczyła wiele lat o stanowisko i respekt, i osiągnęła zarówno jedno, jak i drugie. Szanowałam ją za to, że zdołała pokonać w życiu zawodowym wiele przeszkód, ale rzygać mi się chciało na widok imitacji Brudnego Harry’ego, jaką próbowała być. Zachowywanie się jak *muy macho* wcale nie sprawia, że jest się tak dobrym jak mężczyzna.

– Mojej pomocy? – Wciągnęła do środka policzki, zwinęła usta w ryjek i usilnie starała się być sarkastyczna. – Mojej pomocy? Po tym, jak zamieniła pani to śledztwo w cyrk, stawiając pod pręgierzem burmistrza, komendanta i nas wszystkich?

Zacisnęłam zęby – nie miało sensu wspominać, że jedynie wykonuję swoje obowiązki. Zwykle uwielbiam mówić to policjantom, ponieważ sami zawsze tak twierdzą, robiąc człowiekowi nieprzyjemności. Teraz jednak nie był po temu odpowiedni moment.

– Ma pani ograniczoną liczbę ludzi, pani porucznik. A jeżeli pół miliona czytelników dowie się w niedzielę o gwałcieliu, istnieje szansa, że pojawią się nowe informacje.

– Oczywiście. – Pochyliła się, mierząc mnie bezlitosnym spojrzeniem. – Otrzymamy dziesiątki telefonów od wariatów, wrednych bab oskarżających byłych mężów i kochanków, czyli w efekcie setki ślepych tropów, które będą musieli sprawdzić moi przepracowani detektywi. To śledztwo już teraz jest jak przywiązana do słonia nitka. Im dalej się posuwamy, tym więcej mamy do zrobienia.

– Być może znajdzie się wśród nich prawdziwy trop. Przecież obie chcemy tego samego, pani porucznik.

– Nie. Nie chcemy tego samego – odparła gwałtownie. – Ja chcę złapać gwałciciela, pani zaś sprzedawać gazetę i wyrobić sobie nazwisko.

– Ta sprawa nie zwiększy nakładu gazety ani nie wpłynie pozytywnie na moją karierę, bo nikt nie zwraca uwagi na nazwisko autora artykułu. Proszę nie zapominać, że też jestem kobietą. Kocham Miami. Urodziłam się tu. Wielu ludziom zależy na tym, co się dzieje z naszym miastem. Chcę sprawiedliwości tak samo jak pani. – A po krótkiej przerwie dodałam: – Może nawet bardziej niż pani...

Na te słowa poderwała gwałtownie głowę.

Wiedziałam, że kupiła dom w Hollywood, tuż za północną granicą naszego hrabstwa. Kiedy się wzięło pod uwagę, że koszty utrzymania domu w hrabstwie Broward, tamtejsze podatki od nieruchomości i przestępczość były niższe, stawało się zrozumiałe, dlaczego gliniarze często się tam wyprowadzali. Teraz jest już nieco inaczej, ale w dalszym ciągu lubią tam mieszkać. Nie mam pojęcia, dlaczego – może w czasie wolnym od pracy chcą się od niej zdystansować w dosłownym znaczeniu tego słowa.

– Ja mieszkam w granicach hrabstwa, ale wielu policjantów dojeżdża do domu w Broward – ciągnęłam. – Nie żyje z nami. – Zdawałam sobie sprawę, że próbuję ją podejść, było mi jednak wszystko jedno.

Przyglądała mi się uważnie, wodząc czubkiem języka po górnej wardze. Prawdopodobnie usiłowała dociec, czy – i jeżeli tak, to skąd – wiem, gdzie mieszka. Zastanawiałam się, dlaczego tak się dzieje, że choć stoimy po tej samej stronie, zawsze muszę z tą kobietą toczyć boje. Wzięłam głęboki wdech i zrobiłam kolejny ruch.

– Macie portret pamięciowy gwałciciela i jego profil psychologiczny. Chciałabym wykorzystać to w artykule.

– Kto pani powiedział, że je mamy? – Ton jej głosu był podejrzliwy, ale mniej wrogi niż przed chwilą.

– Zgadłam – zalefowałam w obronie mojego źródła. – To logiczne, że w tej fazie śledztwa je macie.

– W takim razie proszę zgadnąć resztę. Jeżeli ujawnię te informacje, zagrozi to dobru śledztwa. Każdy, łącznie ze sprawcą, będzie wiedział tyle co my. Zmieni zachowanie, wygląd, może przeniesie się do innej dzielnicy.

– Bez względu na to, co by próbował robić, nie zmieni się. Dotychczas atakował co dwa tygodnie, a ile jeszcze kobiet chce pani skazać dla „dobra śledztwa”? – Skłoniłam się ku niej i odparowałam niewzruszone spojrzenie. – Co jest dla pani ważniejsze – powstrzymanie dalszych napadów czy liczenie na aresztowanie w nieokreślonej przyszłości?

Odrzuciła do tyłu głowę i wbiła we mnie wzrok. Zagryzała wargę, bawiąc się przyciskiem do papieru w kształcie granatu ręcznego. Otworzyłam notes, wyjęłam długopis i patrzyłam wyczekująco.

Westchnęła i położyła dłonie na biurku, płasko przed sobą. Zapatrzyła się na swe paznokcie – krótkie, nie pomalowane, źle utrzymane.

– Uważamy, że jest Kubańczykiem. Możliwe, że siedział na Kubie w więzieniu. – Nie zmieniając wyrazu twarzy, wyjęła ze stojącej za nią metalowej szafki tekturową teczkę i ją otworzyła: ze środka spojrzała twarz z portretu pamięciowego. Wzięła rysunek i pchnęła go ku mnie przez biurko. Wysokie kości policzkowe, ogolona twarz, faliste włosy, wydatny nos, blisko osadzone oczy. – Skurwiel jest szczupły, ale umięśniony, drobny, lecz silny jak tur. Trzydzieści pięć lat, może dwa-trzy więcej, metr siedemdziesiąt lub siedemdziesiąt pięć, mniej więcej siedemdziesiąt pięć kilo wagi, równe białe zęby, nie owłosiona klatka piersiowa. Prawdopodobnie zaczął od kradzieży majtek ze sznurów z suszącą się bielizną albo w pralniach i powoli się „rozwijał”. Przypuszczalnie karany za drobne wykroczenia seksualne, na przykład za publiczne wyjmowanie fiutka. Jego zachowanie eskaluje. Na początku nie ranił ofiar bardziej, niż było to konieczne, teraz coraz częściej je zastrasza. Rani nożem. Strach i poniżenie ofiar wyraźnie go podniecają. Staje się coraz groźniejszy. Może skończyć na morderstwie. – Zawiesiła na chwilę głos, jakby się zastanawiała. – Wszystkie napady, z wyjątkiem jednego, nastąpiły przed czwartą po południu. Może wynika to z rozkładu jego zajęć. Może na przykład jest konserwatorem i zaczyna pracę o czwartej, a lubi iść do niej szczęśliwy. Pierwszy napad zakończył się jedynie próbą gwałtu, ponieważ nie uzyskał wzrodu. Teraz zmusza ofiary, by najpierw podniecały go ustami, a potem gwałci je od tyłu. Wygląda na to, że ma trudności w innych pozycjach, możliwe, że wtedy zanika mu wzród.

– Dlaczego, pani zdaniem, tak jest? – zapytałam, notując jak szalona.

Porucznik przez chwilę bawiła się przyciskiem do papieru.

– Nie wiem, ile uda się pani z tego opublikować. Prawdopodobnie wydaje mu się, że jeżeli nie patrzy ofierze w twarz, może nie traktować jej jak człowieka. Kiedy próbuje od przodu, koniec.

– Ma poważne problemy.

– Niech pani nic nie mówi.

– Co z wynikami badań laboratoryjnych?

– Jest wydalaczem.

U osiemdziesięciu procent ludzi informacja o grupie krwi zawarta jest w płynach ustrojowych, takich jak łzy, pot, śluz, nasienie, wydzielina pochwowa, ślina. Czasami udaje się określić grupę na podstawie niedopałka. Najlepszym dowodem odbycia stosunku seksualnego jest prezerwatywa, wewnątrz której znajduje się sperma mężczyzny, a na zewnątrz wydzielina pochwowa kobiety.

– Jaką ma grupę krwi?

– Zero Rh plus, może być dawcą dla wszystkich. – Sardonicznie się uśmiechnęła. – Nie chciałyby pani jednak znaleźć się w jego pobliżu.

Zrobiłam pytającą minę, by nie zdradzić tego, co powiedział mi Harry.

– Ma AIDS?

– Nie. Rzeżączkę, ale odporną na penicylinę.

– Sądzi pani, że o tym wie?

Wzruszyła ramionami.

– Proszę zrobić mi przysługę i tego nie zdradzić. Niech pani napisze ogólnie, że coś jest z nim nie tak. Że jest chory czy niezupełnie zdrow. Może wtedy zdecyduje się pójść do lekarza albo kliniki i złapiemy jego trop.

– Używa prezerwatyw?

Pokręciła głową.

– Tacy jak on są teraz sprytniejsi i doskonale wiedzą, czego może dokonać współczesna serologia, w dalszym ciągu jednak seryjni gwałciciele rzadko stosują prezerwatywy. Używa się ich raczej w czasie gwałtów zbiorowych. – Wyglądało na to, że nie potrafi tego w żaden sposób wyjaśnić.

– Może to dzięki edukacji seksualnej w szkołach? – spróbowałam głośno myśleć. – Byłoby dobrze, gdyby jednocześnie nauczano, by nie gwałcić. Co z analizą DNA?

– Właśnie przeprowadzamy. – Jej wodniste oczy rozjaśniły się na myśl o czymś. – Niedługo każdy przestępca seksualny będzie musiał oddawać próbkę krwi w celu przeprowadzenia analizy DNA. Będziemy mieli wzorce w aktach jak odciski palców.

– Powstanie ogólnokrajowy bank danych? Będzie można zidentyfikować gwałciciela, który przybędzie do nas z Seattle?

– Tak. FBI stworzyło właśnie odpowiedni program komputerowy i rozprowadza go po laboratoriach policyjnych.

– Oby jak najszybciej został wprowadzony.

– Proszę się modlić, żebyśmy otrzymali niezbędne na to fundusze.

– Jak udaje mu się podchodzić ofiary niezauważenie?

– Staramy się na to wpaść. Sprawdzamy teczki personalne pracowników, kierowców okolicznych taksówek i tak dalej. – Przeciągnęła dłonią po włosach. – Przeczesałam teren, w którym napada, pod kątem innych przestępstw, na wypadek gdyby wcześniej był na przykład ekshibicjonistą czy zajmował się rozbojem.

– Coś od informatorów?

– Gwałt nie jest przestępstwem, o którym opowiada się kolegom w barze – skarciła mnie ostro. – W podobnych sytuacjach uzyskujemy informacje nie dlatego, że ktoś coś komuś powiedział, lecz dzięki temu, że coś zwróciło czyjąś uwagę.

– Jest waszym zdaniem żonaty?

Westchnęła.

– Niektórzy gwałciciele mają rodziny – żony, dzieci, prowadzą uregulowane życie seksualne. Zwykle małżeństwo nie jest najlepsze, ale żony nigdy nic nie wiedzą.

– Jak jest ubrany?

– W bawełniany podkoszulek i dzinsy. Nic zwracającego uwagę, może z wyjątkiem...

Przyłapała się na tym, że powiedziałaaby za dużo, i postanowiła zastopować.

– Z wyjątkiem czego?

Pokręciła głową.

– Nareszcie coś, czego moi ludzie jeszcze pani nie zdradzili.

Pomyślałam, że jest dobra, zastanowiło mnie, jak wysoko by zaszła, gdyby była mężczyzną.

– Słucham? – zapytałam tonem niewiniątka.

Porucznik uśmiechnęła się, pokazując równy szereg zębów, ale bez wesołości. Gdybym była jej podwładną, nie chciałabym, by tak się do mnie uśmiechała. Próbowalam domyślić się, co ukrywa.

– Ma na koszulce jakiś nadruk?

– Na przykład nazwisko i nazwę firmy, w której pracuje? Chcielibyśmy. Raz mieliśmy takiego delikwenta. Chodził w koszuli z wyszytym na kieszonce nazwiskiem i nazwą swojej firmy hydraulicznej na plecach. – Gorzko się uśmiechnęła. – Mózg jak kulka od łożyska i pasujący do tego penis.

– Nosi coś oprócz noża?

– Dwie ofiary widziały, zanim zawiązał im oczy, płócienną torbę na ramię. Może trzyma w niej nóż.

– Czego używa do wiązania i zasłaniania ofiarom oczu?

– Taśmy izolacyjnej.

– Czy udało się zdjąć z niej odciski palców?

Porucznik znów popatrzyła na swe dłonie.

– Nosi rękawiczki chirurgiczne z talkiem w środku, by łatwiej je było zakładać i zdejmować.

Nie wiem dlaczego, ale ten szczegół zmroził mnie bardziej niż inne. Gwałciciel na tyle chłodno myślący i planujący, by pamiętać o założeniu gumowych rękawiczek przed dotknięciem ofiary... niczym dentysta albo neurochirurg.

– Skąd według was je bierze?

Wzruszyła ramionami.

– Można je kupić albo ukraść w tysiącu miejsc.

– Czy mówi coś charakterystycznego, a może jakoś szczególnie pachnie? Pamięta pani tego, który zalatywał jak bar szybkiej obsługi, w którym pracował?

– Chodzi pani o zapach frytek, cebuli albo hamburgerów? Nie, nic z tych rzeczy, a mówi to, co się zazwyczaj w podobnych sytuacjach mówi: „Nie krzycz, bo cię zabiję. Stój cicho. Rozłóż nogi. Ooo, ojoj, ooo”. Nic szczególnego.

Na pożegnanie uścisnęłyśmy sobie ostrożnie ręce. Mój delikatny balet z panią porucznik tym razem dał pożądane efekty.

– Tak á propos – powiedziała na koniec. – Co u Dana Flooda? – Musiałam zrobić głupią minę, bo dodała: – Widziałam was razem na ceremonii w Dniu Pamięci.

– Nie najgorzej. Oczywiście, jak na okoliczności. Brakuje mu pracy.

– Dobry był z niego glina, ale jak się nie ma już zdrowia, nie pozostaje nic innego, tylko oddać odznakę, nim wyrządzi się krzywdę sobie albo komuś innemu. – Słowa te były kalką oficjalnego stanowiska wydziału. – Britt, niech pani tego nie spieprzy, to zbyt ważne – dodała jeszcze. – Proszę nie zapomnieć podać naszego numeru. Założymy specjalny telefon, posadzimy przy nim kwalifikowanych detektywów. Oczywiście, wszystko będzie nagrywane.

Skinęłam głową, zastanawiając się, czy ktoś czeka na nią w domu w hrabstwie Broward.

Marzyło mi się iść do domu i wziąć gorącą kąpiel. Po wydarzeniach ostatnich trzech dni miałam w nosie, czy kiedykolwiek jeszcze się zakocham. Wspomnienia Kena McDonalda i jego leżącego obok mnie ciepłego ciała szybko odpływały w przeszłość. Czyżby był ostatnim przedstawicielem wymierającego gatunku? Czy już nikt nie kocha się normalnie?

Rozdział szósty

Kiedy w piątek skończyłam artykuł o Gwałcicielu z Centrum, była prawie północ. Wracalam do domu w czasie burzy, która mogłaby być matką wszystkich burz. Przednią szybę chłostały gwałtowny, porywisty wiatr i padający niemal poziomo deszcz. Niebo przesywały błyskawice, pojawiały się na nim chmury kosmicznych rozmiarów iskier, niczym naładowane elektrycznością fajerwerki, po których następował nieokiełznany łomot grzmotów. Błyski rozjaśniały przygięte do ziemi i skręcone przez dziki sztorm palmy i opustoszałe, zalane wodą ulice. Miłe było przy tym jedynie to, że konieczność pracy do późna w nocy uchroniła nas – mnie i oftalmologa – przed sobą oraz dobrymi intencjami mojej matki.

By się poprawić, poszłam w sobotę na pokaz mody. Matka wyglądała na zadowoloną, mnie zaś wprawiała w beztroski nastrój nawet ta chwilowa możliwość wmieszania się w świat muzyki, różowych obrusów i bogato zastawionych stołów oraz tłum szczęśliwych, dobrze ubranych ludzi, których głównym zmartwieniem była mająca obowiązywać jesienią długość spódnicy. Matka prezentowała się superszykownie w doskonale skrojonej sukience z kwiecistego jedwabiu. Promieniała, szepcząc mi z podnieceniem do ucha komentarze na temat jesiennej kolekcji sukni wieczorowych – z niesamowitych błyszczących satyn i migotliwych jedwabów. Niestety, większość wieczorów na mieście spędzam, oglądając strzelaniny, pożary i inne katastrofy. Cekiny nie są tam w modzie – nosi się głównie kalosze i hełmy. Nie minęło wiele czasu, a wymknęłam się z przyjęcia, by zrobić rutynową wycieczkę do komendy głównej policji, gdzie niestety nie jest tak elegancko jak na pokazach mody.

Młody gliniarz przy wejściu zrobił zaskoczoną minę i z uznaniem uniósł brew. Byłam w jedwabnej czarnej bluzce bez rękawów i odpowiednich do niej spodniach oraz jaskrawożółtej marynarce – jeszcze nigdy nie widział mnie tak dobrze ubranej. Kiedy sprawdzałam raporty z nocy, zaczął piszczeć mój pager. Dzwoniła redakcja miejska – trzeba było o kilkanaście wierszy skrócić mój artykuł o Gwałcicielu z Centrum. Pojechałam tam jak najszybciej – nie chciałam, by któryś z kolegów znęcał się nad moim tekstem, wolałam skrócić go sama.

Zabrałam się do roboty, gdy tylko dostarczono mi szczotki. Artykuł zaczynał się na pierwszej stronie, a portret pamięciowy był w środku, na dwunastej. Kiedy tam zajrzałam,

zamarło mi serce. Brakowało ostatniego akapitu, zawierającego numer specjalnego telefonu policji, pod który można by dzwonić z informacjami o gwałtcielu. Wszystko wskazywało na to, że nie wycięto go z braku miejsca, niżej bowiem znajdowała się krótka informacja następującej treści:

Hawana: Komunistyczny tygodnik młodzieżowy „Juventud Rebelde” poinformował w sobotę, że tunele, wykopane pod miastem na wypadek wojny, są obecnie wykorzystywane między innymi do hodowli grzybów.

Grzybów?!

Wpadłam do redakcji jak oszalałe zwierzę.

– Usunęłam ostatni akapit specjalnie – stwierdziła spokojnie Gretchen. Wydęła usta jak ktoś, kto nie ma sobie nic do zarzucenia. – Nie pracujemy dla policji, dlaczego więc mielibyśmy podawać numer ich telefonu? Chcą nas tylko wykorzystać.

Nic dziwnego, że ludzie nienawidzą prasy. Nikt, kto stoi od Gretchen niżej w hierarchii służbowej, nie wygra z nią sporu, odwróciłam się więc bez słowa.

– A poza tym – zawołała za mną – to bardzo ważne, by zawsze pamiętać, że występując publicznie, reprezentujemy gazetę!

– Słucham?

– Cieszę się, że postanowiła pani zwrócić większą uwagę na swój wygląd. – Zlustrowała mój strój i z zadowoleniem skinęła głową. – Bardzo ładnie.

Boże drogi!

Niewiele myśląc, pognałam do jej zwierzchnika, wiedząc, że Gretchen znienawidzi mnie za to i prędzej czy później przyjdzie mi zapłacić za takie zuchwalstwo. Na szczęście zastałam Freda Douglasa, co było dość niezwykle w sobotę.

– Ma rację – powiedział, lecz niezbyt przekonująco, starając się unikać mojego wzroku. Jest wobec swych podwładnych lojalny do szpiku kości i nie lubi kwestionować ich decyzji, ale jest też rozsądny i uczciwy.

– Nie w tym wypadku – zaoponowałam spokojnie. – Oczywiście, że nie pracujemy dla policji, ale złapanie gwałtciela to sprawa ważna dla nas wszystkich. Właśnie dlatego policja uruchomiła specjalny telefon. – Wolałam nie wspominać, że zrobiono to wyłącznie ze względu na mój artykuł.

Fred udawał, że jest bardzo zajęty układaniem dokumentów na biurku. Nie dało się odczytać z jego miny, co myśli.

– Przecież chodzi o to, żeby ludzie pomogli zidentyfikować gwałtciela. A gdzie mają dzwonić, skąd mają wiedzieć, do kogo się zwrócić? W Hrabstwie Dade jest dwadzieścia siedem komisariatów i sześć tysięcy policjantów. Sam wie pan najlepiej, co się w takim wypadku dzieje – wszyscy zainteresowani dzwonią do nas. – Odwróciłam się, by popatrzeć znacząco na Głorię, sekretarkę działu miejskiego, w tej chwili mówiącą z niewinną miną do

słuchawki jednego z aparatów na jej biurku i trzymającą na linii dwie następne rozmowy. – Trzeba będzie przydzielić Glorii do pomocy masę osób. Dziennie będziemy otrzymywać setki telefonów. Napływa też mnóstwo listów, tak że będziemy musieli przenieść kilka osób do działu kontaktów z czytelnikami...

– Dobrze, Britt, dobrze – rzucił, starając się okazać mi zniecierpliwienie. Uniósł dłonie na znak, że się poddaje. – Rozumiem to. Nie musisz przesadzać.

Wróciłam do swego biurka i udawałam, że jestem bardzo zajęta. Staralam się nie patrzeć, jak Fred idzie do działu miejskiego i każe przywrócić numer policji na końcu artykułu.

W niedzielę nie mogłam się doczekać, kiedy będę w redakcji. Do jedenastej rano policja dostała ponad osiemdziesiąt telefonów. Do nas zwrócą się ci, którzy wolą rozmawiać z dziennikarzem, albo ci, którym nie uda się przebić przez zajętą linię policyjną. Czekala na mnie sterta kartek z informacjami, kto i kiedy dzwonił. Gdy podchodziłam do biurka, brzęczał telefon. Skrzyżowałam palce na szczęście i podniosłam słuchawkę.

Dzwoniła kobieta w średnim wieku; mówiła ze śmiertelną powagą. Była pewna, że widziała gwałciciela. Otworzyłam nowy notes i wzięłam do ręki długopis.

– To było miesiąc temu – powiedziała cicho zdyszczanym głosem. – Nie chcę wymieniać swojego nazwiska, oczywiście.

– Gdzie to było i co się działo? – zapytałam, próbując notować.

– Na międzystanowej dziewięćdziesiątej piątej. Jechałam na północ, do centrum handlowego w Sawgrass Mills. W którymś momencie zaczął jechać obok mnie. Nigdy nie zapomnę, jak na mnie patrzył. Kiedy przeczytałam dziś rano artykuł, od razu pomyślałam, że to musiał być on.

– Co robił?

– Eee... nic. Zboczyłam z autostrady, a on pojechał dalej.

– Jaki miał samochód?

– Ani stary, ani nowy. Chyba japoński albo niemiecki, nie jestem pewna.

– Zapisała pani numer rejestracyjny?

– Nie. – Moje głupie pytanie wyraźnie ją zirytowało. – Byłam zajęta prowadzeniem. Dzwonię do was, a nie na policję, bo nie mam ochoty, żeby sąsiedzi widzieli, jak ode mnie wychodzą i tak dalej, ale jestem przekonana, że to był on. Nigdy nie zapomnę jego wzroku.

– Dziękuję za telefon.

– Pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jak zadzwonię.

No, w końcu nie blokowała linii policyjnej, sprowadzając na mnie ich gromy. Przejrzałam z nadzieją wiadomości o telefonach do mnie i wyciągnęłam kartkę z informacją: **KOBIETA TWIERDZI, ŻE WIE, JAK ZŁAPAĆ GWAŁCICIELA Z CENTRUM.**

Starszy głos, który rozległ się w słuchawce, drżał lekko, lecz wzbudzał zaufanie.

– Bardzo się cieszę, że się pani odezwała – powiedziała nieznajoma z podnieceniem. – Podobny przypadek był kilka lat temu w *Columbo*, a może w *Kojaku*. Rozwiązali tam sprawę i złapali przestępcę, tylko nie pamiętam dokładnie, jak. Jeżeli jednak zadzwoni pani do telewizji i poprosi, by pokazali pani odpowiedni odcinek, policja będzie się mogła dowiedzieć, jak rozwikłać zagadkę.

– *Columbo* albo *Kojak*, tak? – spytałam, zamykając oczy.

– A może *Perry Mason*. Nie, to był chyba jednak *Kojak*. W CBS, może w NBC. Doskonale pamiętam ten film. Zapisała pani?

– Tak, bardzo dziękuję.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

Następna kobieta bez wahania podała nazwisko i adres mężczyzny, który dokonuje gwałtów, dodając, że jeżeli policja się pospieszy, mogą go właśnie teraz złapać. Jest jej byłym zięciem i od jesieni tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku nie płaci alimentów, choć ma dość pieniędzy, by kupić nowego trans-ama i mieszkać w luksusowym apartamencie. Po chwili wydobyłam z niej, że z pochodzenia jest Polakiem, urodził się w Detroit i w niczym nie przypomina portretu pamięciowego.

Nie wiedziałam, czy odłożyć długopis, czy też wbić go sobie w krtań. Miałam nadzieję, że ci, którzy dzwonią na policję, mają do powiedzenia coś sensowniejszego. Ku mojej wielkiej uldze, wkrótce oderwano mnie od telefonu. Policja znalazła coś w wodzie tuż przy Venetian Causeway. Nurkowie policyjni często przeczesują wody przy mostach, szukając broni wrzucanej przez uciekających przestępców. Zawsze znajdują masę puszek, śmieci i starych narzędzi, ale tym razem było to coś większego, a zostało zauważone przez kapitana statku wycieczkowego: samochód na głębokości dwunastu metrów.

Kilka metrów od ciasno zbitej grupy policjantów, strażaków i nurków stał barczysty blondyn w nieskazitelnie białym mundurze. Nie sposób było nie zwrócić na niego uwagi.

– Jest pan ze Straży Wybrzeża? – zapytałam, kuśtykając po nierównej koralowej skale i przebijając się przez chwasty.

Pokręcił głową i błysnął zębami w zabójczym uśmiechu.

– Jestem Curt Norske, kapitan „Sea Dancera”.

– Pamiętam pańskiego ojca – stwierdziłam, nagle go sobie przypominając. Jego ojciec, pionier rozwoju Miami, był przed laty wielce szanownym i perspektywicznie myślącym urzędnikiem w dyrekcji rozbudowy miasta. Przeszedł na emeryturę, nim trafiłam do gazety, i kilka lat później zmarł. Cumujący w Bayside „Sea Dancer” kilka razy dziennie krążył z turystami po zatoce Biscayne i okolicznych wyspach. Przedstawiłam się.

– A więc to pani pisze te wszystkie historie. Nie pomijam żadnego pani artykułu. Są naprawdę dobre. Nie miałem pojęcia, że jest pani tak młoda i fotogeniczna. Dlaczego nie pójdzie pani do telewizji?

– Ponieważ pracuję w gazecie. – Stroił sobie ze mnie żarty? Ale mówił to poważnie, wspaniale się przy tym uśmiechając. Cóż, specjalista w kokietowaniu turystów.

– Kapitanie Norske...

– Proszę mi mówić „Curt”. – Jego orzechowe, nakrapiane złotem oczy nie odwracały się ode mnie i naraz zniknęły odgłosy przejeżdżających samochodów, wrzaski policjantów, nurków i kierowcy ciężarówki ratowniczej, który podjeżdżał tyłem do skraju wody.

– Curt, czy to ty zauważyłeś ten samochód, czy któryś z pasażerów?

– Ja. Przeływam tędy przynajmniej dwa razy dziennie, ale dotychczas nic nie widziałem. Dziś woda była bardzo przejrzysta – może inaczej padało światło, a może wrak trochę się przesunął, na przykład w wyniku sztormu piątkowej nocy.

Dobrze pamiętałam tamtą piątkową burzę. Kiedy wpadłam do domu, przemoczona i przewiana w drodze od samochodu do drzwi wejściowych, Bitsy i Billy Boots kulili się pod łóżkiem.

– Miałem dziś na pokładzie grupę Japończyków, rzuciłem więc bojkę, odstawiłem ich jak należy do przystani, powiadomiłem kogo trzeba i przyjechałem tu samochodem, by pokazać gliniarzom miejsce.

Z wody wyszedł nurek, informując, że wrak leży do góry nogami i ma wgnieciony dach. Jego zdaniem w środku nikogo nie było.

Nadżarty słoń woda samochód musiał tkwić na dnie już od dłuższego czasu. Co roku wydobywa się z liczących setki kilometrów dróg wodnych Miami dziesiątki ukradzionych i zaginionych pojazdów. Nurkowie byli już gotowi do wyciągania.

– Lepiej się cofnij – poradził Curt. – Nie powinnaś stać zbyt blisko, na wypadek gdyby pękła lina. – Położył mi rękę na ramieniu i odprowadził w bezpieczne miejsce, skąd swobodnie mogłam się wszystkiemu przyglądać.

Czułam się dziwnie – szczytem uwagi, jaką poświęca mi się na miejscach zdarzeń, są zazwyczaj przekleństwa i wrzaski gliniarzy oraz strażaków, bym się cofnęła.

Zardzewiały wrak pojawił się na brzegu, ociekając błotem i wodą. Stał na lądzie po raz pierwszy od momentu, kiedy pozbył się go złodziej albo wyłudzacz ubezpieczeń.

– Wygląda na chevy malibu! – krzyknął jeden z policjantów.

Tablica rejestracyjna była powyginana, zaśniedziała i pokryta szlamem. Jeden z nurków starł trochę brudu dłonią i nachylił się, by ją odczytać. Starszy, przysadzisty gliniarz w mundurze zaczął szarpać za klamkę drzwi, by zerknąć na tablicę rozdzielczą i numer identyfikacyjny.

– To tablica z Florydy z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku! – zawołał nurek.

– Boże drogi! – Gliniarz, który otworzył drzwi, odskoczył, jakby zobaczył coś strasznego. I tak faktycznie było. W zapiętym pasie bezpieczeństwa wisiało coś, co przypominało zgniłą szmatę. Kierowca. Przeleżał pod wodą ładnych parę lat. Policjant podszedł do nas, trzymając

się za pierś. – Boże drogi. Nigdy bym się czegoś takiego nie spodziewał. Wygląda na to, że ktoś był bardzo długo zaginiony.

Przyglądaliśmy się scenie z całą powagą. Oklejony muszlami i algami wrak stał na brzegu, otoczony przez policjantów – mundurowych i w cywilu. Portfel kierowcy był w kieszeni tego, co pozostało z jego spodni.

– Będziemy musieli najpierw go wysuszyć, żeby sprawdzić, czy w środku jest jakiś dowód tożsamości – stwierdził policjant.

Nie było śladu przemocy, sprawa wyglądała na wypadek. Pływy przesuwają samochodem po dnie, aż ktoś go zobaczył. Czysty przypadek, że to nastąpiło. Gdzieś jakaś rodzina spędza niedzielę, nie zdając sobie sprawy, że wkrótce wróci do domu ich dawno zaginiony bliski.

Zapytałam sporządzającego raport gliniarza, gdzie będę mogła go znaleźć, i umówiłam się na telefon.

– Idziesz, Britt? – zapytał Curt.

– Wracam do redakcji.

– Miałem nadzieję, że dasz się namówić na popołudniową wycieczkę „Sea Dancerem”. Na koszt firmy. Byłaś kiedyś na naszej wycieczce?

Uśmiechnęłam się.

– Nie, to przywilej turystów. Nowojorczyki też nie zwiedzają Statuy Wolności. Tylko nowi mieszkańcy miasta jeżdżą na wycieczki, pozostali są zbyt zajęci zarabianiem na życie.

Popatrzył na mnie uważnie.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś stąd?

– Tak, urodziłam się w Miami. Moja matka też.

– I moja! Dlaczego spotykamy się dopiero teraz? Najwyższy czas. Wiesz, do jak rzadkiego gatunku należymy? Nikt nie urodził się w Miami... no, prawie nikt. Przyjdź, proszę, dziś po południu na „Dancera”, pokażę ci nasze miasto, jakim nigdy jeszcze go nie widziałaś.

– Dziś nie mogę, ale może kiedy indziej.

– Będziesz zachwycona, to wspaniały odpoczynek od tych wszystkich morderstw i bandyckich wyczynów. Będziesz się mogła czegoś napić, mamy na pokładzie barek.

Umiał przekonywać. Ciekawe, o co mu chodziło.

– Ale nie napiszę o tobie artykułu – ostrzegłam. – Żadnej darmowej reklamy. Chyba że łódź zatoni i grupa wrzeszczących z przerażenia turystów wpadnie do zatoki albo zbuntują się pasażerowie i zaczną się wrzucać do wody, albo ewakuują się wszyscy oprócz kapitana, który wraz ze swym statkiem pójdzie na...

– Rozumiem, do czego zmierzasz, wiem, o czym pisujesz. Naprawdę sądzisz, że zapraszałbym kogoś takiego jak ty po to, żeby robić sobie reklamę? Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mogłabyś napisać o mnie albo o tym, czym się zajmuję.

Roześmialiśmy się, nasze spojrzenia się spotkały i poczułam miły dreszczyk.

– Chodzi mi tylko o spotkanie z tobą...

Nie zauważyłam, że na moście stanął właśnie jeep cherokee. Kendall McDonald nie mógł wybrać gorszego momentu, by zjawić się ponownie w moim życiu.

– Britt! – Znajomy głos całkowicie mnie zaskoczył.

– Nie wiedziałam, że porucznicy pracują w weekendy – powiedziałam głupkowato, walcząc z zakłopotaniem, spowodowanym jego obecnością w tym miejscu.

– Mam wolne, ale przejeżdżałem w pobliżu i usłyszałem, co się dzieje, więc postanowiłem rzucić okiem. – Szczupły, długonogi, atrakcyjny jak zawsze, miał rozpiętą pod szyją sportową koszulę i lekkie bawełniane spodnie. *Buenísimo*. Uważnie lustrował Curta.

– Znaleźli resztki kierowcy – bełkotałam. – Najwyraźniej leżał pod wodą przez lata.

– Słyszałem. Pan go znalazł?

Przedstawili się sobie i uściśnęli dłonie jak starzy kumple. Kiedy Curt skończył kolejny raz wyjaśniać, jak zobaczył samochód, z mostu zjechał następny radiowóz i stanął przy pozostałych.

– Ostrożnie – mruknął Curt, biorąc mnie delikatnie za ramię, jakbym była laleczką z porcelany.

Oczy McDonalda zamigotały na widok tego gestu.

– Właśnie zamierzaliśmy iść – przeprosił Curt.

McDonald odwrócił się ostrym ruchem i ofuknął korpulentnego gliniarza, który próbował odczytać tablicę rejestracyjną wyciągniętego z wody samochodu.

– Valenti, dlaczego teren nie jest oznakowany i ogrodzony?

– Hmm... Dopiero co wyciągnęliśmy ten wrak – zaczął się tłumaczyć zaskoczony glina. – Poza tym wygląda to na wypadek.

– Oгородzić teren! – warknął obcesowo McDonald. Jego elektryzujące błękitne oczy rzucały błyskawice, jakby otaczało go morze beznadziejnej niekompetencji. Skąd nagle ten zwariowany pomysł, by oznaczyć teren żółtą taśmą?

Ponownie zwrócił się do nas.

– Lubimy, kiedy przed rozmową z prasą świadek rozmawia z policją – powiedział chłodno. Ręką, w której trzymał radiotelefon, wskazał Curtowi radiowóz.

– Co?! – wrzasnęłam. – Przecież on zauważył jedynie kontur leżącego pod wodą samochodu. Nie jest świadkiem, a wypadek zdarzył się sto lat temu.

– Britt, doskonale wiesz, że nie powinnaś rozmawiać ze świadkiem przed nami.

– Też coś! – mruknęłam. Zaskoczyło mnie jego zachowanie. Kiedy po zerwaniu spotykaliśmy się w komendzie albo na miejscach zbrodni, wszystko odbywało się profesjonalnie, grzecznie i kulturalnie.

– Rozmawialiśmy prywatnie – wyjaśnił Curt. Jego przyjacielskość gdzieś znikła. – Chodź, Britt, odprowadzę cię do samochodu, a potem wracam do Bayside.

– Prosiłem, żeby zaczekał pan w radiowozie – upomniał go McDonald.

Obaj mężczyźni nastroszyli się niczym zwierzęta walczące o swoje terytorium. Napięcie między nimi było tak wyczuwalne, że policjanci, strażacy i nurkowie przerwali pracę, by popatrzeć, co będzie dalej.

– Mam najwyższy szacunek dla policji i pomagam jej, kiedy tylko mogę – grzecznie oznajmił Curt – niestety muszę wracać do pracy. Oficer Valenti ma moje nazwisko i dane. Jeżeli będę potrzebny, proszę zadzwonić, detektywie.

– Poruczniku – poprawił McDonald, podając mu swoją wizytówkę.

Curt obojętnie na nią popatrzył.

– A to moja. – Uśmiechnął się i podał Kendallowi wizytówkę ze złotymi napisami. – Kapitan. Kapitan Curt Norske. – Zagryzłam wargę, z przyjemnością patrząc na błysk w jego oku.

Poszliśmy do mojego samochodu, zostawiając McDonalda ponuro wpatrującego się w wizytówkę Curta. Po chwili drgnął i naskoczył na bogu ducha winnego Valentiego. Nie odzywaliśmy się z kapitanem aż do samochodu.

– Co mu jest? – mruknął Curt. – Zapomniał, że gliny są po to, żeby chronić i służyć, nie zaś dokuczać i szykanować?

Roześmiałam się.

– Nie zawsze jest taki zły.

– A jeżeli chodzi o twój numer telefonu... – zawiesił z oczekiwaniem głos.

Wahałam się. Jestem profesjonalistką i byłam w pracy.

– Praktycznie zawsze można mnie złapać w redakcji – powiedziałam, sięgając po wizytówkę. – Tu jest mój numer.

Wyjął z kieszeni złote pióro i napisał coś na swojej wizytówce. Podał mi ją i patrzył, jak czytam.

– Na pewno nie możesz wybrać się dziś po południu na wycieczkę?

– Muszę wracać do pracy. – Wsiadłam do samochodu i włączyłam silnik. – Z chęcią skorzystam z zaproszenia kiedy indziej, kapitanie, naprawdę. Zawsze chciałam odbyć taką wycieczkę.

– Załatwione. Będę czekał. – Odwrócił się i poszedł do swojego białego kabrioleta eldorado.

Kiedy odjeżdżałam, Kendall McDonald patrzył za mną. Nacisnęłam trochę za mocno pedał gazu i spod opon wytrysnęła chmura żwiru i kurzu. Po raz pierwszy od naszego rozstania jego widok wywoływał we mnie złość, a nie poczucie straty. Zostawił mnie, żeby zostać porucznikiem. Jak śmiał zachowywać się tak wrednie i urzędowo? Podobał mi się chłodny sposób, w jaki potraktował go Curt. Uśmiechnęłam się z rozmarzeniem, zaraz jednak nakazałam sobie powrót do rzeczywistości: zaczęłam myśleć o Gwałcieliu z Centrum, czekających na biurku notatkach o telefonach do mnie, martwym od lat kierowcy zardzewiałego, ociekającego wodą wraka samochodu.

Jedna z tajemnic została rozwiązana niecałą godzinę później dzięki mojemu nieocenionemu informatorowi, Danowi.

– Strasznie ciężko się do ciebie przebić, Britt. Mam coś dla ciebie.

Uwielbiam, kiedy ktoś mówi mi coś takiego. Wiem, że to zwariowane, ale nic nie podnieca mnie bardziej niż znalezienie nowego tematu na artykuł. Tak więc moja matka powoli traci nadzieję na wnuki.

– Słyszałaś o samochodzie wyłowionym tuż przy Venetian?

– Nawet więcej. – Zaczęłam przeglądać kartki z informacjami o telefonach. – Byłam tam.

– Wiesz, kto siedział za kierownicą?

– Kto? – Odłożyłam kartki i chwyciłam długopis. – Czyżbyś wiedział?

– W radiu podano, że samochód miał tablicę rejestracyjną z osiemdziesiątego siódmego.

– To prawda.

– Paul Eldridge. Prowadziłem śledztwo w sprawie jego zaginięcia. Zniknął wiosną osiemdziesiątego siódmego, jadąc z Miami Beach do Miami niebieskim malibu rocznik osiemdziesiąt pięć.

– No, no! Czas się zgadza, miejsce też. Wygląda, że to on.

– Istnieją dane stomatologiczne, z którymi można porównać zęby znalezionego kierowcy. Oczywiście, jeżeli coś jeszcze zostało mu w szczęce.

– Zęby zachowały się w komplecie.

Eldridge uczestniczył w wieczorze kawalerskim kolegi z pracy. Wraz z kilkunastoma kumplami poszedł do klubu przy plaży na striptiz i kilka piw. O drugiej nad ranem wsiadł do samochodu i odjechał. Ostatni raz widziano go znikającego w oparach mgły, unoszącej się nad gorącym asfaltem po nocnej mżawce. Rodzina – żona, rodzice i teściowie – natychmiast zgłosili jego zaginięcie. Zaangażowali prywatnych detektywów, rozdawali ulotki, wyznaczili nagrodę i przez kilka miesięcy co dzień dzwonili na policję. Łudzili się, że może zaginął z powodu utraty pamięci, ale mijał czas, a on się nie zjawiał. Nie był na ślubie przyjaciela, ominęło go ząbkowanie córki, Boże Narodzenie, potem rocznica ślubu. Z czasem bliscy pogodzili się z myślą, że już nigdy go nie zobaczą, uznawszy, że albo miał wypadek, albo padł ofiarą przestępstwa. Kiedy przez lata nikt nie użył jego kart kredytowych ani nie pobrał nic z jego konta, Dan też zaczął w to wierzyć. Zatrudniony przez rodzinę prywatny detektyw wynajął nurków w celu przeszukania zatoki i dróg wodnych wzdłuż prawdopodobnej drogi Eldridge’a do domu, lecz nic nie znaleziono. Ponieważ jednak czasami zdarza się, że kierowcy pod wpływem alkoholu nie wracają do domu logicznymi trasami, a niekiedy wręcz się gubią, sprawdzono kanały wzdłuż autostrady McArthura, dwa kilometry na południe od Venetian. Dopiero teraz okazało się, że z jakiegoś powodu pojechał węższą, płatną trasą. Gwałtowny sztorm i bystry wzrok kapitana statku wycieczkowego spowodowały, że tajemnica została wyjaśniona, zmuszając zatokę do ujawnienia tego, co skrywała. Zdaniem

Dana wdowa nigdy nie uwierzyła, że mąż mógł opuścić ją i ich małą córeczkę. Teraz stało się jasne, że miała rację.

– Nie będzie zaskoczona, gdy dowie się o jego śmierci – dodał Dan. – Wiedziała o tym od początku, to trzeba jej przyznać. Teraz wszyscy się przekonają, że się nie myliła. Będzie mogła go pochować i żyć dalej. Ich córeczka pewnie już poszła do szkoły.

Podziękowałam Danowi za telefon.

– Jak za dawnych czasów. Nigdy nie zapominasz żadnej sprawy.

Opowiedziałam mu o wizycie u matki Mary Beth Rafferty, obciążającym fakcie, że Fieldingowie wspierali ją finansowo, oraz o tym, że kandydat na gubernatora ma teraz ośmioletnią pasierbicę.

– Powinnaś o tym napisać.

– Nie jestem do końca przekonana – stwierdziłam z powątpiewaniem. – Trudno będzie to opublikować bez oczywistych dowodów.

W każdym razie z jednego mogłam być zadowolona – miałam artykuł o Eldridge’u na cztery godziny przed ujawnieniem przez policję jego tożsamości. Na czołówkach gazet znajdowała się nowa tajemnica, rozwiązana została jedna z wielu starych. Powodem, dla którego kocham moją pracę, jest między innymi to, że nigdy nie jest nudna. Historie zaczynają się i kończą. Wystarczy siedzieć w tym odpowiednio długo, a zauważa się określone cykle.

Rozdział siódmy

W drodze na lunch z Danem wpadłam na chwilę do redakcji. Miałam wolny dzień, ale chciałam sprawdzić, kto do mnie dzwonił, z nadzieją, że może pojawiła się jakaś informacja w sprawie Gwałciciela z Centrum.

Czekała na mnie zarówno sterta korespondencji, jak i wiadomości o telefonach. Nie było nic od Kendalla McDonalda, ale w końcu niczego od niego nie oczekiwałam. Oddzwoniłam do paru osób, lecz nie miały mi nic konkretnego do powiedzenia. W końcu odezwał się do Harry'ego z wydziału gwałtów. Rozmawiając przeglądałam listy.

– Nic konkretnego, Britt. Od twojego artykułu mieliśmy ponad siedemset telefonów. Pracujemy po godzinach, by wszystko sprawdzić. Jak na razie, śmieci.

– Na przykład? – Pytanie było w zasadzie niepotrzebne, wiedziałam z własnego doświadczenia, co ma na myśli.

– Cholera, Britt, różne rzeczy. Jedna kobieta była pewna, że gwałcicielem jest facet, który co dzień siedzi w samochodzie pod szkołą jej córki i obserwuje dziewczynki. Kazaliśmy ochronie szkoły go sprawdzić, ale okazało się, że przyjeżdża codziennie po swoją córkę. Inna kobieta twierdziła, że śledził ją w drogerii, chodził za nią krok w krok. Była przerażona i przekonana, że nie zaatakował jej wyłącznie dlatego, że wokół było zbyt wielu ludzi.

– Może to nieporadny detektyw sklepowy?

– Zgadłaś. Gdybyś kiedyś zechciała przejść do policji, moglibyśmy pracować razem. Najwyraźniej wyglądała dla niego podejrzanie.

– Śmieszne: on wziął klientkę za złodziejkę, ona go za gwałciciela.

– Witamy w Miami, stolicy pistoletu i paranoi.

– Coś jeszcze?

– Zwykli wariaci. Kobiety próbujące oskarżyć byłych mężów i kochanków, skłóceni sąsiedzi wskazujący jeden na drugiego, faceci usiłujący oczernić szefa, który wyrzucił ich z pracy, albo nowego narzeczonego byłej dziewczyny. Jedno fałszywe przyznanie się do winy.

– Naprawdę? – Rozerwałam kolejną kopertę. List był napisany odręcznie na papierze liniowym.

Droga Pani

Pani zezwolenie na pisanie poezji straciło ważność.

Czas uiszczać wyższe opłaty.

Nie było podpisu.

– Aha. Na jakiś czas nieźle namącił nam w głowach. Zadzwoił z więzienia, gdzie siedzi za włamanie, i powiedział, że jest tym, kogo szukamy. Podał różne szczegóły, których nie było w twoim artykule, znane tylko ofiarom i nam. Prawie nas nabrał.

Cholera, ciekawe, co zachowali dla siebie.

– Skąd je znał? Może to naprawdę on?

– Nie. Sprawdziliśmy i okazało się, że kiedy policja stanowa złapała go za miastem, przykuto go do krzesła przed wydziałem włamań, gdzie dłuższy czas czekał na przesłuchanie. Obok jest sekcja przestępstw seksualnych, oddzielona jedynie parawanem. Gdy czekał, zadzwonił detektyw z wydziału gwałtów, by wprowadzić tamtejszych ludzi w sprawę, i miejscowy detektyw przełączył telefon na głośniki, by rozmowie mogło się przysłuchiwać dwóch jego kolegów. Oczywiście nie zdawali sobie sprawy, że po drugiej stronie siedzi i wszystkiego słucha ten skurwiel. Wsadzony do więzienia, ten drobny złodziejaszek, który mógł się spodziewać surowego wyroku z powodu recydywy, uznał, że jego życie jest ubogie w podniety, i stwierdził, że zamiast pozostać byle złodziejem, woli być wplątany w sprawę z pierwszych stron gazet.

– Jesteście pewni?

– Był w więzieniu w Palm Springs, kiedy zdarzył się jeden z gwałtów.

– Cholera – westchnęłam.

– Co dowodzi, że im mniej ludzi, nie wyłączając policjantów, wie wszystko, tym lepiej.

Uznałam, że chwila nie jest najlepsza, by pytać o inne szczegóły.

– Większość dzwoniących chce jednak pomóc.

– Tak, ale uczciwi nic nie wiedzą, pozostają więc wariaci, łobuzy i kłamcy.

– Może zdarzy się jeden telefon z rzetelną, pomocną informacją. – Rozerwałam następną kopertę. Była brudna, jakby upadła w sortowni na podłogę i przespacerowało się po niej kilka osób.

– Miejmy nadzieję. I miejmy też nadzieję, że kiedy go dostaniemy, zdołamy go rozpoznać.

Pożegnałam się z Harrym i spojrzałam na list. Kolejny świr.

Hej, Britt Montero!

Mam z twojej gazety artykuł. Pisziesz dużo słów. Pisziesz ładnie, ale kim jesteś, żeby się wymądrzać?

Posłuchaj dobrej rady. Pisz lepiej o Haitańczykach. Nie złość mnie.

Zamiast podpisu był niewyraźnie narysowany łuk ze strzałami albo inicjały – nie dało się tego ustalić. Zmieniłam list i rzuciłam go do poprzednich. Złapałam torebkę i wygladziłam

spodnie. Zauważyłam, że na granatowym materiale pozostała smuga pyłu. Czy w tej redakcji nikt nigdy nie sprząta? Popatrzyłam na wyloty klimatyzacji, nieustannie wypływającej do pomieszczeń czarny kurz, bakterie i drobnoustroje, które kiedyś z pewnością nas zabiją. Nic dziwnego, że biedny Ryan był ciągle chory. Przed wyjściem poszłam do łazienki umyć ręce, a potem ruszyłam na lunch z Danem do „Clifforda”, rodzinnej restauracji znajdującej się na Bulwarze, tuż za północną granicą miasta. Inne restauracje zmieniają wystrój, wprowadzają innowacje i po jakimś czasie zwijają interes, ale „Clifford” jest niezmienny od lat: wielka, zazwyczaj tętniąca życiem sala do posiłków rodzinnych jest tak usytuowana, że nie widać jej z dyskretnie oświetlonego baru z przytulnymi wnękami, w których można się czuć całkowicie swobodnie.

Stałam w drzwiach, by oślepienie słońcem oczy przystosowały się do mroku, i zaczęłam się rozglądać za Danem. Wstał zza stołu w barze i pomachał do mnie. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, silny i tchnący optymizmem głos przypominał dawnego Dana, ale jego wygląd temu zaprzeczał: miał opuchniętą twarz, a garnitur wisiał na nim, jakby był dwa numery za duży. W słabym świetle jego skóra wydawała się szara jak popiół. Cmoknęłam go w policzek i wsunęłam się do wnęki tak, by usiąść naprzeciw niego. W jednej ręce trzymał papierosa, w drugiej szklaneczkę z czymś, co przypominało szkocką. Choć nie mógł długo czekać, w popielniczce leżały dwa niedopałki.

– Cześć – powiedziałam najswobodniej jak potrafiłam. – Zdawało mi się, że w zeszłym roku przestałeś palić. Nie za wcześnie na to? – spytałam, wskazując na drinka.

– Od kiedy jesteś moją mamusią?

– No tak. Przepraszam. Długo czekasz?

– Przyszedłem wcześniej, żeby nadrobić trochę dystansu. – Podniósł szklaneczkę, na co pokręciłam głową i udając dezaprobatę, klasnęłam językiem.

Aż się palił do plotkowania – natychmiast zaczął z werwą opowiadać o wydziale i starych sprawach. Ani słowem natomiast nie wspomniał o obecnym życiu na emeryturze. Zanim przyszła kelnerka, zdążyliśmy pogadać o Eldridge’u i omówić parę innych tematów, które znajdowały się na topie. Zdecydowałam się na sałatkę z owoców morza, Dan zamówił pieczone żeberka ze smażoną cebulą.

– Oszalałeś? – szepnęłam, kiedy kelnerka odeszła. – Chcesz jeść coś takiego?

Popatrzył na mnie głupkowato, z powrotem przywołał kelnerkę i zamówił kolejną whisky. Wpatrywał się przy tym we mnie z szelmowskim uśmiechem i czekał na moją reakcję.

– A rób, co chcesz – oświadczyłam z obrażoną miną. – Nic więcej nie powiem, ale myślałam, że słuchasz zaleceń lekarza...

– Zdawało mi się, że zamierzałaś nic nie mówić.

Poddałam się i odwinęłam sztucę z serwetki.

– Britt, nie przejmuj się, nic mi nie będzie. Pracując w wydziale zabójstw, dość napatrzyłem się na trupy i wiem, co się dzieje w moim organizmie. – Dźgnął kciukiem powietrze tuż przy sercu. – Złe nawyki nie mogą jeszcze bardziej skrócić mi życia.

Uśmiechnęłam się, patrząc mu prosto w oczy, ciekawa, jakie to uczucie wiedzieć, że ma się za sobą więcej niż przed sobą. To musi być okropne. Człowiek przejechany przez autobus albo zastrzelony nie ma zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad swoim losem, ale żyć ze świadomością, że się niedługo umrze, to coś zupełnie innego.

– Chodzi tylko o to, że pragnę mieć cię jak najdłużej – powiedziałam, starając się, by nie zabrzmiało to ponuro. – Nie mam wielu prawdziwych przyjaciół i nie chcę ich utracić.

– Będę z tobą jeszcze długo. Obiecuję – odparł, głaszcząc mnie po dłoni. Odsunął połę marynarki, pokazując baterię buteleczek i fiolek w kieszeni koszuli na piersi. – Widzisz, mógłbym otworzyć aptekę.

Spośród buteleczek najbardziej rzuciła się w oczy niewielka brązowa, z przyklejonym na zakrętce krążkiem jaskrawoczerwonej samoprzylepnej folii.

– Co to? – zapytałam.

– Nitrogliceryna. Przeciwno bólom w klatce piersiowej. Ta czerwona kropka to mój pomysł, dzięki temu szybciej odnajduję buteleczkę wśród innych. – Wyjął naczynie, które niemal ginęło w jego grubych palcach, i uniósł je. – Lekarz kazał mi porozmieszczać nitroglicerynę wszędzie, żebym w każdej chwili miał do niej dostęp. Jedną trzymam tu, drugą w samochodzie, trzecią w kuchni, czwartą w łazience. Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie połknąć tabletkę. Widzisz? Jestem przygotowany na wszelką ewentualność. – Wetknął buteleczkę z powrotem do kieszeni. – A teraz opowiedz o Gwałcicielu z Centrum.

Opowiedziałam.

– Pod numer linii specjalnej dzwonią najróżniejsze świry. Część dociera do mnie – telefony, listy.

Spojrzał znad sałatki.

– Było coś istotnego?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Jeden szurnięty poinformował mnie, że moje zezwolenie na pisanie poezji straciło ważność, inny kazał posłuchać jego rady i zacząć pisać o Haitańczykach, a nie Kubańczykach.

– Podpisali się?

– Pierwszy nie, drugi naskrobał coś pod spodem. Wiesz, jak to wygląda.

– Latynosi?

– Chyba tak.

– Przekaż listy do wydziału, Britt. Niech rzucą na nie okiem w laboratorium.

– Mają dość roboty. Już i tak mnie nienawidzą za ogłoszenie sprawy. Jeżeli się okaże, że nic to nie dało, znienawidzą mnie jeszcze bardziej.

– Tak, ale nie wolno ci ryzykować. Ten facet jest naprawdę niebezpieczny.

– Od kiedy jesteś moim tatusiem?

Roześmiał się.

– Dobrze, zgoda, jeden jeden, ale wiem, jak pracujesz, i wiem, że czasami poruszasz się na krawędzi. Zawsze byłeś jak ci akrobaci, którzy chodzą po skrzydłach latających samolotów. Pamiętaj, że już nie mogę cię pilnować ani złapać, kiedy się poślisz.

Tym razem ja się uśmiechnęłam. Dan nie sprawiał wrażenia człowieka zrezygnowanego ani szykującego się do śmierci. Zarówno sposób, w jaki mówił, jak i opanowane ruchy świadczyły o energii i witalności.

– Wiesz, na czym polega sekret chodzenia po skrzydle lecącego samolotu? – spytałam. – Kiedyś robiłam wywiad z kimś, kto się tym zajmuje.

– Nie patrzeć w dół?

– Nie. Nie wolno się puścić, dopóki nie złapiesz czegoś innego.

– To brzmi rozsądnie.

– Nigdy mi nie mówiłeś, dlaczego sto lat temu zostałeś gliną.

– Z tego samego powodu co ty dziennikarzem. Byłem za leniwy, żeby pracować, a za tchórzliwy, by kraść. – Uśmiechnął się; wyraźnie sprawiało mu przyjemność żartowanie sobie ze mnie.

– Ale poważnie.

– No, zgoda. Nie umiałem śpiewać ani tańczyć.

– Daj spokój. – Postawiłam łokieć na stole i oparłam podbródek na dłoni. – Chciałeś zostać policjantem już jako chłopiec. Mam rację?

– Prawda jest taka, że kiedy byłem małym, zbierano takich jak ja w Georgii, przywożono tu ciężarówkami, zrzucano do wykopu w kamieniołomach i wstawiano drabinę. Komu udało się wspiąć na górę, zostawał strażakiem, komu nie – policjantem.

– A mnie się zawsze zdawało, że policjantami zostawali ci, którzy łamali drabinę i walili się szczeblami po łbach.

Śmialiśmy się jeszcze, kiedy kelnerka przyniosła nasze zamówienia.

– Wygląda wystarczająco dobrze, by zjeść – zażartował do niej Dan, po czym zwrócił się do mnie: – Oglądasz reklamy i czytasz ulotki naszego kandydata? – Oczy płonęły mu oburzeniem. – Reklamy są wszędzie: w gazetach, radiu, telewizji. – Zapatrzył się w szklaneczkę z whisky i kręcąc głową, dodał: – Trochę tego za dużo. – Zamówił następnego drinka i popatrzył na mnie pytająco. – Myślisz, że wygra?

– Znacznie bardziej ode mnie doświadczeni obserwatorzy sceny politycznej twierdzą, że tak. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że moja gazeta będzie go wspierać.

– Jak tak można?

– Nigdy szczególnie nie podpadł. Ani razu nie ukradł pociągu towarowego ani nie narobił głupot, pracując w zarządzie miasta. Wydawcy uważają, że dobrze się spisywał.

– Boże, ten człowiek nie powinien zostać gubernatorem.

– Ani ty, ani ja nie będziemy na niego głosować, ale przypuszczalnie to mu nie zaszkodzi. Dan odłożył widelec i zaczął się bawić szklaneczką.

– Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy znaleziono Mary Beth Rafferty.

Mówił już niewyraźnie. Nie powinien był zamawiać ostatniej whisky. Nieco mnie niepokoiło, że biorąc tyle leków, pije alkohol.

– Przeszukaliśmy całą południową część miasta i właśnie zamierzaliśmy wezwać na pomoc straż pożarną, kiedy zjawił się młody Fielding na rowerze. Był spocony, bardzo zdenerwowany i z trudem wydyszał, że znalazł ciało. Teraz to miejsce nazywa się park Kennedy’ego, tam gdzie Kirk Street dochodzi do wody.

Skinęłam głowę.

– Jest tam teraz wysokościowiec. „Sea Breeze”.

– Wtedy to było wysypisko. Stare deski, śmieci – to, czym zwykle się zasypuje takie dziury w ziemi. Przy wodzie warstwa śmieci była jeszcze niewielka, wszędzie rosły namorzyny. Znaleźliśmy ją przewieszoną plecami przez drzewo; głowa i nogi wisiały w powietrzu. Była naga, z ust wystawał jej kawałek szmaty. Nie żyła. Miała osiem lat. Na sam widok zrobiło mi się niedobrze. – Zapalił kolejnego papierosa i głęboko się zaciągnął. – Też miałem wtedy córkę. – Zapatrzył się w ciemną przestrzeń. – Mary Beth Rafferty była śliczną małą dziewczynką.

– Wiem. Sprawy z dziećmi są zawsze najbrzydliwsze.

Chwycił nóż jak broń.

– Najbardziej mnie wkurzyło, że kiedy zaczął robić karierę polityczną i poszedłem do jego protektorów – wściekle dźgał żeberka, aż wypływał różowawy sos – by ostrzec ich, że wspierają w staraniach o stanowisko publiczne podejrzanego o morderstwo, zadali mi tylko jedno pytanie. Wiesz, jakie?

Pokręciłam głowę i przełknęłam kawałek krewetki.

– Nie spytali: „Zrobił to?”, „Jest winien?”, jedynie chcieli wiedzieć, czy dysponujemy dowodami, by go oskarżyć. Odparłem zgodnie z prawdą, że aby tak się stało, musielibyśmy mieć szczęście albo on musiałby się przyznać, więc popierali go dalej. Nigdy nie wzięto pod uwagę możliwości zrezygnowania z niego. Ludzi u steru władzy, tych, którzy pociągają za sznurki, absolutnie nie obchodziło, co zrobił, na co go stać ani co się przydarzyło ośmioletniej dziewczynce.

– Wiesz, jacy są politycy.

– Taa. – powiedział, odkładając nóż. – Urzeczeni władzą, pieniędzmi, seksem, własnym pępkiem. Wsadziłem do więzienia paru, którym byłbym w stanie zaufać bardziej niż jemu.

– Trudno w to wszystko uwierzyć. Ktokolwiek patrzy na niego teraz, nie uwierzyłby, że mógł zrobić coś takiego.

Dan oparł się i popatrzył na mnie wzrokiem mędrca.

– Zaskakujesz mnie, Britt. Przecież się na tym znasz. – Ściszył głos. – Przecież właśnie dlatego są tak niebezpieczni, że wyglądają jak zwyczajni ludzie, jak ty czy ja. Spójrz na tych – szepnął, wskazując na siedzących plecami do nas ludzi przy barze. – Twoim gwałcicielem może być ten drugi z prawej – wskazał nożem. – A ten pierwszy z lewej to być może seryjny morderca, który wpadł na chwilę do miasta. – Przyglądał się każdemu po kolei z niebezpiecznym błyskiem w oku. – Ten z baczkami obok niego mógłby być zabójcą policjanta z napadu na bank w północnym Miami w zeszłym miesiącu. Pasuje do ogólnego opisu. Mógłby nim być.

Popatrzyłam na mężczyznę, którego wskazywał Dan. Był w starych roboczych spodniach i właśnie brał z miseczki kilka precli. Moim zdaniem Dan nie miał racji. Też ściszyłam głos.

– Dan, naprawdę dostajesz lekkiej paranoi. – Roześmiałam się. – To miła restauracja, przychodzę tu na obiad z mamą... – Przerwałam na widok jego miny. Wcale nie było mu do śmiechu. Zastanawiałam się, w którym momencie nasza rozmowa zeszła na niewłaściwy tor. Może winna była whisky. Znałam lepsze sposoby spędzania wolnego dnia. – Dan, jeśli nie napijesz się kawy, natrę ci uszu. Nie mam ochoty odwozić cię do domu.

– Nie będziesz musiała. – W ułamku sekundy zmienił mu się nastrój. Uśmiechnął się, potrząsnął głową, wyprostował i odsunął szklaneczkę. – Nic mi nie jest, to tylko gadanina.

Zamówiliśmy kawę i spróbował puddingu chlebowego. Potem zaczęliśmy się spierać o rachunek. Wygrał, byłam więc mu winna lunch.

Objęliśmy się na pożegnanie i obiecaliśmy sobie solennie znów spotkać się niedługo. Moja propozycja była jak najbardziej poważna, uważałam bowiem, że Dan powinien jak najwięcej przebywać z przyjaciółmi, by nie myśleć za dużo o ciemnej stronie ludzkiej natury i sytuacjach z przeszłości, kiedy sprawiedliwość nie zwyciężyła.

– Wiesz – rzekł na pożegnanie – byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby ułożyło się między tobą a moim partnerem Kenem McDonalodem. Ciągle mam nadzieję, że tak się stanie. Wtedy bylibyśmy w pewnym sensie spokrewnieni.

– Jeśli ci na tym zależy, to mnie adoptuj.

Mimo palenia, picia, nieodpowiedniego odżywiania się i garnituru zwisającego na nim jak na straszędzie, Dan zdawał się w niezłej kondycji. Kiedy szedł przez parking do samochodu, wyglądał na człowieka zdrowego, krok miał mocny i zdecydowany.

Pomachał, co mnie jeszcze bardziej pokrzepiło. Jego duch był niezłomny.

Miałam za sobą ciężki tydzień. Po rozstaniu się z Danem pojechałam do Spa poćwiczyć na atlasie, potem machałam hantlami, aż zaboląły mnie wszystkie mięśnie. Na koniec poszłam na plażę popływać. Leżałam w wodzie na plecach, wyginając rozkosznie kręgosłup, chłodząc całe ciało, dając unosić się falom i chłonąc widok różowego nieba oraz stojących wzdłuż plaży pastelowych hoteli w stylu art deco, pełnych zaokrąglonych rogów, wieżyczek, parapetów i portali, poprzecinanych jaskrawymi turkusami i zieleniami. Kiedy człowiek

wypływa poza falochron, otaczają go jedynie woda i niebo – wszystkie widziane w oddali kontury stają się łagodne i rozmyte. Miasto zdaje się jarzyć od wewnątrz łagodnym światłem niczym magiczna wioska z bajki.

Potem zamierzałam zostać w domu, poczytać i pójść wcześniej spać, byłam jednak dziwnie pobudzona, zadzwoniłam więc do Lottie, która siedziała jeszcze w redakcji. Obiecała być u siebie w mieszkaniu około siódmej, co jak na nią jest wczesną porą. Zabrałam Bitsy, podjechałam do „La Esquiuna” kupić coś do jedzenia i ruszyliśmy do Lottie. Zostawiłam prowiant w samochodzie i czekając przechadzałyśmy się po okolicy. Lottie zjawiała się dwadzieścia pięć minut później, niż obiecała, co jest niezwykle małym spóźnieniem w wypadku kogoś, kto pracuje w gazecie. Ewakuowanie się na czas z redakcji to sztuka granicząca z niemożliwością. Wzięłam do ręki paczkę z pachnącym przyprawami ciepłym jedzeniem i ruszyłam ku Lottie przez półmrok koloru soczystej lawendy.

– Hej, dziewczyno, co tu robisz! – zawołała, wyciągając z samochodu sprzęt. – Czy nie masz czasem dziś wolnego? Gdzie ci wszyscy mężczyźni, którzy powinni się za tobą uganiać?

– Myślę, że tam, gdzie i ci, którzy powinni uganiać się za tobą.

Otworzyła drzwi i wpuściła nas do środka.

Dom Lottie jest niezwykle; każdy, kto się w nim znajdzie, ma wrażenie przeżywania jednej wielkiej przygody. Jest umeblowany i ozdobiony pamiątkami zebranych podczas dwudziestu lat wędrówek po świecie, kiedy to Lottie – ciągle w drodze, obywając się tym, co miała w walizce i torbie z aparatem fotograficznym – uwieczniała na taśmie filmowej dramatyczne i historyczne wydarzenia. Od początku swej kariery zawsze myślała o chwili, kiedy postanowi osiąść i zapuścić korzenie. Jestem jej wdzięczna, że wybrała Miami.

Zapaliła światła. Była spocona, brudna i zmęczona, jej piegowatą twarz przecinały rozmazane szare, tłuste smugi.

– Zdaje się, że miałaś ciężki dzień.

Odstawiła sprzęt i rzuciła mi mordercze spojrzenie.

– Nic mi nie jest, ale nie uwierzysz, co mi się przytrafiło. Czuję się, jakby do mnie strzelano i nie trafiono, a potem za to obrzucono gównem. Mogę na ciebie liczyć, że będziesz świadczyć na moją korzyść? Przyda mi się pomocna dusza w sądzie, jak dorwę tego zdrańca Eduarda. Jej ubranie wyglądało, jakby odbyła kilka rund walki w błocie.

– Pobrudziłaś się tak na eleganckim przyjęciu, na które cię zaprosił, byś zrobiła kilka zdjęć?

Znów spróbowała zamordować mnie wzrokiem, zbyt zmęczona, żeby mówić. Bez słowa zaniósłam jedzenie do jasnej, miłej kuchni, otworzyłam lodówkę, sprawdziłam zawartość i nalałam jej kieliszek zimnego białego wina.

– Masz. Napij się i idź do wanny, a ja podgrzeję jedzenie.

– Och! Tak chyba jest, gdy ma się kochającego dom męża. Tego nam właśnie potrzeba – mężczyzn, którzy by nas rozpieszczali. – Z wdzięcznością wzięła wino i zaczęła popijać, zamknawszy z rozkoszy oczy, a potem poszła do łazienki.

Przełożyłam *arroz con pollo* i banany do garnków i wstawiłam wszystko do kuchenki mikrofalowej. Ledwie skończyłam rozkładać serwetki z serii „Cudowna gospodyni” i kupione na meksykańskiej fiście talerze, była z powrotem. Włożyła na siebie haitański szlafrok z cienkiej bawełny, na ramiona zarzuciła żółty kąpielowy ręcznik. Była boso, twarz miała zaróżowioną, rude włosy mokre.

– A teraz – powiedziałam, dolewając jej wina – opowiedz, co ci zrobił Eduardo.

– Wszystko zaczęło się od tego... – Usta miała pełne kurczaka. – Mmm, niebo w gębie. – Potrawka rozkosznie pachniała. Były w niej zasmażone w karmelu cebulki, pieczona słodka papryka, pojedyncze ziarna zielonego groszku, a wszystko to na ryżu z szafranem, potraktowanym odrobiną czosnku i sherry. – Gdzie to kupiłaś? W „La Esquina”? – Skinęłam głową, a ona podjęła: – Wszystko zaczęło się od położenia kamienia węgielnego pod nowy stadion treningowy Cleveland Indians w Homestead. Pojechałam tam robić zdjęcia.

– Co robił Eduardo na...

– Czekaj. – Podniosła kieliszek i wypła kolejny łyk. – To dopiero początek. Kiedy wróciłam do redakcji, na policyjnej krótkofalówce złapaliśmy wezwanie do nagłego wypadku. Próba samobójcza. Zgadnij, o kogo chodziło.

– Nie wiem, miałam dziś wyłączony odbiornik. – Wbiłam zęby w chrupki krążek pieczonego banana i o mało nie rozpląnęłam się z rozkoszy. Nie wiedziałam, że jestem aż tak głodna. – O kogo?

– O małą Muffy, narzeczoną Dietera Steinera.

– Nic jej się nie stało?

Lottie popatrzyła zdeglustowana.

– Wielka mi figura! Smutna bogata dziewczyna ogłasza wszem i wobec, że nikt jej nie kocha i chce umrzeć, wsiada do drogiego kabrioletu i rusza spod domu z rykiem silnika. Rodzice dostają ataku paniki i dzwonią na policję, która raz-dwa znajduje samochód na mieście i zaczyna jechać za gówniarą, by ją chronić. W końcu głupia wjeżdża eleganckim jaguarem w drzewo figowe tuż obok bulwaru San Souci. Dwa radiowozy na sygnale pędzą jej na ratunek i się zderzają. Widok dwóch rozbitych pojazdów wywołuje reakcję łańcuchową – dochodzi do kolizji sześciu samochodów i ciężarówki z piwem. Na autostradzie w obu kierunkach tworzą się kilometrowe korki. Kiedy odstawiłam swój samochód na pobocze, żeby zrobić kilka zdjęć, wjechał mi w tyłek jakiś przejeżdżający karambolem francuski Kanadyjczyk w wozie z wypożyczalni.

– O nie! Nie zauważyłam, żebyś miała zniszczony samochód.

– Nie jest tak tragicznie – powiedziała, machając ręką. – To jedynie tylny zderzak.

– Muffy nic się nie stało?

– Nie ma nawet zadrapania. Wsiadła z samochodu o własnych siłach i od razu zaczęła się wydzierać, że to syreny tak ją przestraszyły, iż wjechała w drzewo.

– Chyba ją zamknęli?

– Z powodu niebezpiecznej jazdy. Potem odesłali ją do szpitala okręgowego na badania psychiatryczne. Prawdopodobnie siedzi teraz w jakiejś superluksusowej klinice. – Lottie westchnęła głęboko, oparła się i sięgnęła po kieliszek. – Potem pogałam na haitańską demonstrację.

– Nie wiedziałam, że się szykuje.

– Nic dziwnego, nie była zgłoszona. Nie mieli pozwolenia, ale zorganizowali się spontanicznie na znak protestu przeciw dzisiejszemu odesłaniu na Haiti grupy „ludzi z tratw”. Było co najmniej trzydzieści siedem stopni, a ja musiałam biec za nimi przez pięć przecznic, targając dwudziestokilową torbę z aparatami. – Zaciśnęła powieki i pomasowała sobie skronie. – Co za cholerny ból głowy.

– To od stresu.

– Nie, od dymu.

– Jakiego dymu?

– Zaraz do tego dojdę. Kaznodzieja Julian St. Pierre i jego wierni postanowili spalić przy nowym Centrum Pomocy Uciekinierom z Haiti kukłę prezydenta.

– O nie!

– Tak, z tym że nie chciała się palić, dopóki ktoś jej nie oblał benzyną.

– Boże! – Nietrudno się było domyślić, co się wydarzyło potem.

Lottie skinęła głową.

– Na szczęście udało mi się odbiec kawałek. Dwie osoby trafiły na oddział poparzeń, piętnaście do aresztu. Wozy strażackie nie mogły dojechać na miejsce, bo policja zablokowała teren, żeby wyłapać demonstrantów. Nim dojechały, zajął się już dach Centrum i ogłoszono trzeci stopień zagrożenia pożarowego. Boże! – powiedziała, trąc nasadę nosa. – Płonące budynki zawsze źle wpływają na moje zatoki. Zawsze mnie wtedy boli głowa. Wybrudziłam się, spociłam, przesiąknęłam dymem i sadzą. Musiałam chodzić po kałużach. Przemokły mi nogi i moje wyjściowe kowbojki.

– Dlaczego nie włożyłaś kaloszy strażackich, które wozisz ze sobą?

– Bo mój samochód stał pięć przecznic dalej. Nigdy bym się nie spodziewała, że Haitańczycy podpalał swoje Centrum. Wszystko wydarzyło się tak szybko, kiedy miałam pobiec do samochodu?

– Gdzie jest w tym wszystkim Eduardo?

– Już do niego dochodzę. Już dochodzę do tego obślizgłego sukinsyna. Musiałam ci najpierw opisać tło. No więc wracam do redakcji, mam roboty jak cholera, wszystko się piętrzy niczym gównem w zapchanym kiblu, a tu dzwoni Gretchen. – Przy tym groźnym imieniu wymieniliśmy znaczące spojrzenia. – Eduardo chce, żebyśmy zrobiła kilka zdjęć na

koktajlu dla dygnitarzy z Ameryki Południowej z okazji otwarcia Dni Kultury Latinoamerykańskiej.

– Dlaczego ty?

– Był wyznaczony Villanueva, ale utknął w korku, wracając z innej roboty. Padło na mnie, bo okazałam się na tyle głupia, żeby podnieść telefon w ciemni. Prawie się dogadałam z Gretchen, kiedy Eduardo znów dzwoni z płaczem i wrzaskiem, że potrzebuje fotografa natychmiast.

– Widziała cię?

– Jak? Przecież byłam w ciemni.

– Boże drogi.

– Był to prywatny koktajl, po którym miało się odbyć duże, eleganckie przyjęcie, a nie muszę chyba mówić, jak ci ludzie ubierają się na takie okazje. Panie były wysztafirowane, w sukniach do ziemi, a tu raptem ja wparowuję do Sali Ambasadorów „InterContinentalu” brudna, spocona, z przemoczonymi nogami i włosami pełnymi sadzy, do tego śmierdzącymi spalenizną.

– *Caramba*. Boże, Lottie!

– Czułam się jak dziewczynka z zapałkami.

Zważywszy na jej metr siedemdziesiąt dwa i burzę rudych włosów, nie bardzo mogłam ją sobie wyobrazić jako dziewczynkę z zapałkami, ale skinęłam ze zrozumieniem, wydając z siebie współczujące pomruki.

– I co dalej?

– Wśliznęłam się cichcem przez boczne drzwi i schowałam za palmami. Usiłowałam dać znać Eduardowi, ubranemu oczywiście w smoking i śnieżnobiałą koszulę, żeby tak podprowadził mi ambasadora i pozostałe szczy, bym mogła im zrobić zdjęcia, nie pokazując się.

Znów skinęłam głową. Pomysł był logiczny.

– A co on na to? Dał mi szansę? O nie! Narobił wokół siebie szumu, ściągnął uwagę wszystkich obecnych, choć cały czas starałam się dawać mu znaki i szeptałam, no i oznajmił wszem i wobec moją obecność. Potem wyciągnął mnie zza palmy, kazał wmieszać się w tłum i robić zdjęcia, aż nagle zauważył – a raczej poczuł – moje łachy. Skoczył do tyłu jak oparzony i zaczął udawać, że mnie nie zna. Jakbym była włóczęgą, Britt. To było takie poniżające. Britt, wiesz, że rzadko się skarżę. Nigdy nie narzekam, że od dwóch lat mam zdrętwiałą rękę i sztywny kark od dźwigania ciężkiej torby. Nie powinien był się tak zachować.

– Oczywiście, w zupełności się z tobą zgadzam – próbowałam ją pocieszyć. – Kobiety w naszych zawodach niestety muszą być twardsze od mężczyzn. Eduardo nigdy nie byłby w stanie robić tego co ty.

– Masz rację jak cholera. Popatrz na siebie, Britt. O mało nie zginęłaś w ostatnich rozruchach. Zmarła ci na rękach przyjaciółka, a ty co zrobiłaś? Pojechałaś natychmiast do redakcji. Popatrz na nas. Skurcze, zespół przedmiesiączkowy, i co z tego – jedziemy na miasto. Nigdy nie przekraczamy terminów, nie skarżymy się ani nie żądamy specjalnego traktowania.

Wszystko to święta prawda. Dla kobiet chcących osiągnąć sukces w zdominowanych przez mężczyzn zawodach nie ma pobłażania.

– Eduardo za to zapłaci – obiecałam Lottie. – Prędzej czy później zapłaci. A teraz zgadnij, kogo spotkałam.

Przyglądała mi się chwilę spod półprzymkniętych powiek. Czytała we mnie jak w otwartej księdze.

– Mężczyznę. Gliniarza. McDonalda. McDonald wrócił!

– Niezupełnie. – Opowiedziałam, jakiego idiotę zrobił z siebie Kendall.

– Kim więc jest ten nowy?

– Kapitan „Sea Dancera”.

– Curt Norske? Bomba! Ogień! Facet jest tak gorący, że jedyne, co pozostaje kobiecie, to paść przed nim i wić się jak kotka!

– Znasz go?

– Jasne, robiłam mu kiedyś zdjęcia. O mało nie stopiły mi się soczewki w obiektywach. To było podczas jakiejś dobroczynnej wycieczki jego statkiem. Wielki blondyn o płonących oczach. Wspaniały uśmiech.

– Zgadza się. Próbował cię podrywać?

– Grzecznie i z pełną kulturą, ale nie zaprosił mnie na wycieczkę we dwoje ani nie poprosił o numer telefonu.

– To nie ma być wycieczka we dwoje, tylko wycieczka za darmo. W dalszym ciągu w głowie mi się nie mieści, jak McDonald mógł się tak zachować.

– Pokazał, na co go stać, co? Po prostu nie chce, żeby ktoś się przy tobie kręcił. Cóż w tym niezwykłego? Widzi cię z innym facetem i odbija mu palma. Ma co prawda robotę, na której mu zależało, ale to nie wszystko. Odznaka nie ogrzeje go w zimną noc. Założę się, że nagrał się dziś na twojej sekretarce. – Zrobiła minę wyrażającą absolutną pewność.

– W Miami nie ma aż tylu chłodnych nocy – westchnęłam, dziobiąc widelcem w ryżu. Pokręciłam głową. – Lottie, wtedy nam nie wyszło, teraz też nie wyjdzie.

Usiadłyśmy w salonie i oparłyśmy nogi wysoko na wygodnych fotelach. Popijałyśmy wino i oglądałyśmy obraz w cicho nastawionym telewizorze. Bitsy pomrukiwała na moich kolanach. Pulitzer, greyhound Lottie, którego uratowała przed śmiercią, kiedy przestał się nadawać do wyścigów, zwinął się pod jej nogami.

– Co to? – spytałam, zauważywszy na stole kopię produkowanego w latach czterdziestych radia.

– Radio. Świeci różnokolorowo, kiedy baterie są dobre. Wybrałam z katalogu firmy wysyłkowej. – Lottie wyglądała na zakłopotaną. Wskazała dłonią na stertę kolorowych katalogów przy kanapie. – Nigdy nie mam czasu robić zakupów, toteż po ciężkim dniu, takim jak dzisiejszy, siedzę sobie sama z moją kartą kredytową i przeglądam katalogi. Jak zamówisz jeden, to będą ci przysyłać nowe co kilka dni. W każdym razie gdy wypiję dwa albo trzy kieliszki wina, dzwonię pod numer zaczynający się na osiemset i zamawiam jakiś szajs. Można dzwonić całą dobę. Nieważne, która godzina. Potem oczywiście zapominam, co zamówiłam. No i wracam do domu, a tu czeka na mnie paczka z niespodzianką. Jak na Boże Narodzenie. Niektóre rzeczy są dość dziwne – zmarszczyła czoło – i nieraz się zastanawiam, po cholerę coś takiego zamówiłam.

Zobaczywszy moją minę, lekko się zachnęła.

– Wszyscy mamy słabostki i manie – stwierdziła, wzruszając ramionami. – Każdy czasem czuje się samotny.

– Popatrz na to – pokazałam w katalogu, który kartkowałam, bukiety kwiatów z jedwabiu. – Nie są takie złe.

Spojrzała mi przez ramię.

– Wiesz, to śmieszne, ale mimo całego bogactwa tutejszych kwiatów tropikalnych, brakuje mi wiesiołka, kastillei, bławatków i dzwoneczków z domu – powiedziała z melancholią. – A ty za długo nie możesz się uwolnić od tego niebieskookiego diabła. Powinnaś zacząć wychodzić, przyjmij ofertę kapitana. Spotykaj się częściej z mężczyznami.

– Jadłam dziś obiad z Danem Floodem.

– To miłe, lecz miałam na myśli nie starych przyjaciół, tylko kogoś mniej więcej w twoim wieku, kto przeżyje dłużej niż pół roku. Co u starego Dana?

– Jest przygnębiony, żyje przeszłością. Bierze mnóstwo leków. Martwię się o niego. Mam nadzieję, że nie ma skłonności samobójczych.

– Biedny Dan, ale kto by nie był przygnębiony, gdyby wisiał nad nim wyrok śmierci.

– Nigdy nie wiadomo, Lottie. Kiedy mój dziadek miał dwadzieścia sześć lat, lekarz spisał go na straty z powodu gruźlicy, a dziadunio dożył dziewięćdziesięciu dwóch. Dan Flood też może zakpić z lekarzy i przeżyć nas wszystkich.

Lottie nie wyglądała na przekonaną, ale uniosła kieliszek.

– Za Dana. Jeszcze nie złapałaś Gwałciciela z Centrum?

– Popatrz – wtrąciłam w tym momencie, bo na ekranie telewizora pojawiła się przystojna twarz Erica Fieldinga. – Zrób głośniej.

Była to płatna reklama. Obserwowałyśmy bez słowa jego przemowę. Był politykiem w każdym calu: miał idealną fryzurę, idealny profil, idealnie skrojoną marynarkę. Za jego plecami wisiało zdjęcie parlamentu stanowego.

– Sądysz, że to zrobił? – spytała Lottie. – Zamordował tę dziewczynkę? Mary Beth, tak się nazywała, prawda?

– Rafferty. Mary Beth Rafferty. – Skinęłam głową. – Jestem pewna, że tak.

– To okropne. Uważam, że zostanie wybrany. Ma więcej pieniędzy, wsparcia i charyzmy niż jego kontrkandydat.

Obserwując migoczący obraz, mimowolnie się wzdrygnęłam. Fielding przemawiał do klasy szkolnej na temat przyszłości obywateli i naszego stanu. Te dzieci nigdy nie słyszały o Mary Beth Rafferty, która straciła swą przyszłość dwadzieścia dwa lata temu, kiedy ten człowiek był nastolatkiem.

– Gliniarze wiedzieli, że to morderstwo mu się upiecze. A gdy bezczelnie zajął się prawem i polityką, stało się to dla nich jeszcze trudniejsze do przełknięcia.

– Co się dzieje z tym stanem? – Wino spowolniło u Lottie mowę i uwydatniło jej teksaski akcent. – Odkąd tu mieszkam, mieliśmy już gubernatora, którego wszyscy nazywali Księciem Ciemności, ponieważ wyglądał jak Dracula, potem chłopka ze wsi, a teraz zapowiada się, że gubernatorem zostanie morderca. Brakuje mi Draculi.

– W końcu nie był aż taki zły. – Spojrzałam na zegar ścienny – śmiejącego się ceramicznego kota, którego oczy chodziły nieustannie w lewo i prawo; bez wątplenia była to kolejna zdobycz z katalogu. – Będę leciała, miałaś ciężki dzień. Pojadę do domu, póki mogę prowadzić. Właśnie dobrali się do kierowców, a nie zamierzam dać się złapać za jazdę w stanie nietrzeźwym.

– Gliniarz, który by cię złapał, prawdopodobnie natychmiast zostałby policjantem miesiąca. Jeśli chcesz, możesz spać w pokoju gościnnym.

– Dziękuję, ale nie.

– Niech Bitsy prowadzi.

– Nic mi nie jest. – Faktycznie tak było. Większość wina wypła Lottie.

Oparła się wygodnie w fotelu, zamknęła oczy.

– Dzięki za wizytę, Britt. Idź i zostaw mnie, jak siedzę. Ledwo żyję, ale nic mi nie będzie.

Rozdział ósmy

Zalana falą nic niewartych telefonów i listów na temat Gwałciciela z Centrum, ucieszyłam się, że nadeszła moja kolej na pisanie artykułu do piątkowej kolumny „Drugi raz”. Idea rubryki – zwanej w naszym wewnętrznym języku „Dwójką” – polega na tym, by wybrać sprawę, która zniknęła z czołówek gazet, i przedstawić jej aktualny stan. Coś w rodzaju: „Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, co się stało z...?” Niektórzy dziennikarze wzbraniają się pisać do tej rubryki, ja jednak do nich nie należę. Tak jak w realnym życiu, w dziennikarstwie jest pełno niedokończonych historii. Zawsze ciekawią mnie losy ludzi, których nazwiska i twarze pojawiały się na pierwszych stronach gazet, a „Dwójka” jest znakomitym pretekstem, by ich ponownie odwiedzić i zobaczyć, jak wygląda ich życie, gdy przestali być sensacją.

Na temat wybrałam, oczywiście, sprawę Mary Beth Rafferty. Przedstawiłam projekt Fredowi Douglasowi.

– Chcesz ujawnić, że wschodząca na politycznym firmamencie gwiazda, kandydat na najwyższe stanowisko w stanie był podejrzany o morderstwo w prehistorii, jeszcze jako dziecko? – Z każdym słowem jego głos przybierał na sile.

– Jako nastolatek – sprostowałam, poprawiając się w fotelu. – Był wówczas nastolatkiem.

– Po pierwsze, sprawa jest przestarzała. Większość naszych czytelników nawet nie wie, że coś takiego się wydarzyło. Po drugie, Fielding ma nieskazitelną przeszłość i nigdy nie opublikowano nic, co łączyłoby go z tym morderstwem.

– Pisano, że znalazł ciało.

– W Miami różni ludzie codziennie znajdują ciała i nie czyni to z nich morderców.

– A co sądzisz o finansowych powiązaniach jego rodziców z rodzicami zamordowanej dziewczynki?

Westchnął.

– Co o tym sądzę? Może ci ludzie są świętymi społecznikami, ludźmi zaangażowanymi i chętnymi do pomocy potrzebującym sąsiadom. A może uznali, że nowy mąż tej pani jest łebskim facetem, który zapewni im zwrot inwestycji z dobrym procentem? Inwestowanie pieniędzy nie jest przestępstwem. Boże, Britt. – Sprawiał wrażenie zirytowanego. – Czyżbyś za długo już była reporterem policyjnym? Człowiek jest w trakcie najtrudniejszej kampanii

wyborczej swego życia, wieść niesie, że jego następnym celem będzie Biały Dom, i najprawdopodobniej się tam dostanie, nikt nigdy o nic go nie oskarżył i nie ma żadnych nowych faktów. Wykluczone, żeby nasza gazeta opublikowała bezpodstawne oskarżenia, które mogłyby go jedynie oczernić.

– Ale wszystko wskazuje, że to on zrobił.

– Jeżeli zdołasz to udowodnić, będzie to bomba, zasługująca na znacznie więcej niż znalezienie się w „Dwójce”, sama jednak mówisz, że nawet matka zamordowanej dziewczynki nie jest zainteresowana odgrzebywaniem historii. To skończona sprawa, Britt. Nie marnuj na nią czasu. Daj sobie z tym spokój.

– Ale...

– Daj sobie spokój!

Wycofałam się i z płonącymi policzkami wróciłam do biurka. Nie miałam ochoty pisać na przykład o polityce społecznej w Homestead albo o pożyczce hrabstwa na budowę kanałów. Na samą myśl o tym zaczynało mi drgać oko. Wiedziałam teraz, co czuł Dan, kiedy dwadzieścia dwa lata temu jego zwierzchnicy kazali mu odłożyć sprawę Fieldinga *ad acta*.

Ponieważ musiałam znaleźć inny temat do „Dwójki”, zdecydowałam się na prześledzenie losów faceta nazwiskiem Applewaite, niedawno warunkowo zwolnionego zabójcy, który sześć lat temu zastrzelił policjanta. Dan wspomniał o nim podczas ceremonii w Dniu Policjanta. Applewaite, kurdupel, który lubił machać bronią, by zrekompensować sobie niedobór wzrostu, skazany został na dwadzieścia lat. Odsiedział pięć, po czym z powodu dobrego prowadzenia się złagodzone mu karę, wliczając oczywiście do ogólnego czasu odsiadki okres spędzony w areszcie śledczym. Stosowana w naszym stanie polityka wczesnych zwolnień, w połączeniu ze światłą dobroczynnością komisji do spraw zwolnień warunkowych, pozwoliły mu wkrótce wyjść na wolność.

Po kilku telefonach udało mi się odnaleźć kuratora Applewaite’a, który odklepał swą zwykłą śpiewkę: skazany spłacił dług wobec społeczeństwa, znakomicie radzi sobie na wolności i szakale z prasy powinny dać mu święty spokój. Po sprawdzeniu w dokumentach oświadczył, że Applewaite jest sukcesem resocjalizacyjnym i znakomicie się sprawdza jako mechanik w warsztacie samochodowym w Hialeah.

Musiałam zadzwonić do sześciu warsztatów samochodowych w Hialeah, nim znalazłam ten, o który mi chodziło. Właściciel poinformował mnie, że Applewaite był w pracy trzy dni, po czym zniknął bez słowa; podobno siedzi teraz w więzieniu w hrabstwie Monroe. Jeden telefon wystarczył, by to potwierdzić. Powód: napad z bronią w rękę. Kocham „Dwójkę”.

Był to znakomity pretekst, by zadzwonić do Dana i trochę z nim poplotkować. Poinformowałam go, że mój szef kategorycznie się sprzeciwił artykulowi o Fieldingu, następnie oboje przez chwilę ponarzekaliśmy na kierownictwo gazety i jeszcze wyraziliśmy oburzenie z powodu aspiracji Fieldinga do Białego Domu. Dan był zadowolony, że Applewaite znalazł się ponownie za kratkami.

– Dzięki, że mi o tym powiedziałaś. To dla niego najbezpieczniejsze miejsce – oznajmił tajemniczo.

Rozmowa z Danem poprawiła mi nastrój. Był znacznie bardziej towarzyski niż podczas naszego lunchu, nawet doprowadził mnie do śmiechu.

– Nic już nie może nas zaskoczyć, Britt. Gdyby istniała sprawiedliwość, Elvis jeszcze by żył, a jego naśladowcy hurtem powymierali.

Na koniec obiecaliśmy sobie, że musimy jak najszybciej ponownie pójść razem na lunch.

Choć nie byłam przekonana co do przeświadczenia Lottie, że zazdrość odnowi romantyczne uczucia McDonalda względem mojej osoby, przesłuchałam automatyczną sekretarkę. Było we mnie oczekiwanie, do którego niechętnie się przyznawałam. Dzwoniła masa innych ludzi, ale nie on.

Następnego popołudnia zaczęłam oddzwaniać z redakcji. Dla lepszego wykorzystania czasu wcisnęłam słuchawkę pod brodę i jednocześnie otwierałam listy. Zaintrygował mnie zwłaszcza jeden z telefonów – ktoś imieniem Jeff twierdził, że „nie jest Gwałcicielem z Centrum”. Kiedy do niego zadzwoniłam, odetchnął z wyraźną ulgą.

– Proszę pani – zaczął przytłumionym głosem, jakby się bał, że ktoś może go usłyszeć. – Mam kłopot. – Odniosłam wrażenie, jakby mówił kątem ust, tak jak to często robią kierowcy, żeby nakłonić policjanta, by nie wystawiał im mandatu. – Byli u mnie gliniarze w sprawie gwałciciela...

– Podejrzewają pana?

Westchnął z rozpaczą.

– Nie, z tym że nie wiem, czy mi wierzą. Wie pani, mogę wyglądać podejrzanie. Czasami, rozumie pani, kręcę się po okolicy, parkuję samochód kilka ulic od domu, wracam okrężną drogą, zdarza się, że wejdę do tej czy innej bramy, a wychodzę inną, ale to z powodu czegoś zupełnie innego...

– Czego?

Wahał się.

– Jeżeli policja się panem interesuje, to zapewne nie bez przyczyny. – Byłam zaciekawiona i starałam się ułatwić mu, by wydusił z siebie, co leży mu na sercu.

– Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda.

– Zazwyczaj jest.

– Może – pisnął. – Przyznaję, że sporo się kręciłem koło budynku Universalu.

– Gdzie gwałciciel zaatakował dwa razy.

Wziął głęboki wdech i wyrzucił z siebie prawdę:

– Jedynie przechodziłem przez hol. Zna pani te domy z apartamentami do wynajęcia po drugiej stronie ulicy, tuż za wieżowcem?

– Znam.

– No więc chodzę tam parę razy w tygodniu, rozumie pani, spotkać się z kimś.

– Z dostawcą?

– Nie, z dziewczyną. Rozumie pani.

– W czym więc problem?

– W tym... – ściszył jeszcze bardziej głos – że jestem żonaty i mam rodzinę.

– I...

– I nie chcę, by żona się dowiedziała. Pragnę się tylko upewnić, że nic na mój temat nie znajdzie się w prasie.

– Dał pan policji nazwisko pańskiej przyjaciółki, by mogli do niej pójść i potwierdzić pańską niewinność?

– To nie jest takie proste. Wie pani, sprawa jest dość delikatna.

– Mężatka?

– Szybko pani łapie.

Poczucie winy oraz nieznamość metod działania policji i prasy spowodowały, że biedak już widział swoje nazwisko na pierwszych stronach gazet. Nie miał pojęcia, że z wyjątkiem uczestników jego opery mydlanej nikogo nie interesuje, co robi. Nie czułam do niego współczucia, choć najprawdopodobniej robił ze swoją ukochaną to, co robią liczni żonaci mężczyźni i wiele mężatek. Bez względu na środki ostrożności, jakie podejmują ludzie zdradzający współmałżonka, trudno uniknąć złapania w sieć, którą zastawia policja, ścigając podejrzanego.

– Obie strony mają dzieci – ciągnął mój rozmówca. – Mogłoby to zranić wiele osób.

– Powinien był pan pomyśleć o tym wcześniej.

– Czy nie dostanie się to do prasy? – Głos drżał mu z niepokoju.

– Nie. – Westchnęłam. – Proszę się nie martwić. Jeżeli nie jest pan gwałcicielem i nie zasłużył na oskarżenie z jakiegokolwiek innego powodu, ani policji, ani mojej gazety nie interesuje pańskie życie prywatne.

Zapadła chwila ciszy.

– To znaczy, że jednak powinienem się martwić.

– Nie powiedziałam tego, ale nie byłby to najgorszy pomysł – stwierdziłam, rozrywając list napisany grubym czarnym flamastrem na żółtym papierze liniowym.

Szybcy chłopcy niszczą Miami. Nie mogę dać czadu, cały czas jestem śpiący i przymulony. Żądam lepszych narkotyków!

Uśmiechnęłam się, odkładając nie podpisaną kartkę na bok. Kiedy dam ją chłopcom z VIN-u, czyli brygady zajmującej się przestępstwami obyczajowymi, walką ze szpiegostwem i zwalczaniem handlu narkotykami, uśmiechną się radośnie. Są nazywani „szybkimi chłopcami” z powodu sprawnych, niespodziewanych akcji, w czasie których wyskakują z

cywilnych samochodów i ciężarówek jak diabełki z pudełek i zwijają zaskoczonych handlarzy narkotyków.

– Ma pani rację – odezwał się mężczyzna po drugiej stronie słuchawki. – Myślę, że będę się musiał nad całą sprawą poważnie zastanowić.

Rozerwałam następny list.

Brudna koperta wydała mi się znajoma. Kolejny stały korespondent.

Powiedz, Britt Montero,
dlaczego nie słuchasz. Obraziłaś mnie.

Na dole był naskrobany łuk ze strzałami.

Zgniotłam kartkę i cisnęłam do kosza. Kiedy rzuciłam za nią kopertę, posypała się strużka pyłu. Palce miałam śliskie jak od brudu. Popatrzyłam z wściekłością na klimatyzację, potem na ścieżkę pyłu na moim biurku. Cholera... Podniosłam palce do nosa. Pachniały słodko. Proszek musiał pochodzić z koperty.

Zadrzało mi serce. Chciałam wyciągnąć zgnieciony list z kosza, ale zamiast tego odwróciłam się do redaktorki działu medycznego, która siedziała tuż za Ryanem.

– Miriam?

Podniosła głowę, mrużąc oczy za ochronnymi okularami, w których zielonkawo odbijał się ekran jej komputera.

– Słuchaj, te rękawiczki chirurgiczne z talkiem w środku... Czy po ich zdjęciu zostaje go na rękach tyle, że zostawiłby ślad, gdyby ktoś, kto je nosił, wziął do ręki kartkę papieru? A poza tym, czy ten talk pachnie jak puder?

– Skąd mam to, do cholery, wiedzieć? – odparła niecierpliwie i wróciła do swojej pracy.

Podziękowałam jej serdecznie za pomoc i zadzwoniłam do Rica, który pracuje jako sanitariusz w pogotowiu i czasem przekazuje mi informacje. Na oba pytania odpowiedział „nie”. Cholera, chyba naprawdę dostaję paranoi. To jedynie kolejny wariat, któremu zachciało się pisać do mnie listy.

Nagle przez redakcję przebiegło drżenie. Podniosłam głowę i mnie też zadrzało serce. Przez chwilę byłam przekonana, że mam halucynacje. Dwa metry od mojego biurka stał Eric Fielding.

Był stuprocentowo prawdziwy.

Wysoki, wysportowany, opalony, ubrany w granatowy garnitur w delikatne prążki, białą jedwabną koszulę w wyciskane wzory i szpanerski krawat. Mimo przedwczesnej siwizny wyglądał młodzieńczo i witalnie. Towarzyszyła mu żona, wysportowana blondynka, która znakomicie musiała się prezentować na korcie. Wysoka i smukła jak mąż, ubrana starannie, choć zarazem swobodnie w kostium od Laury Ashley z drukowanej bawełny, niezobowiązująco uśmiechnięta, stanowiła ideał żony polityka. Była z nimi dziewczynka w

różowej plażowej sukience. Nie miała na głowie kapelusika, ale na jej widok pomyślałam o Mary Beth Rafferty.

Fielding klepał ludzi po ramionach, ścisnął dłonie, przywitał się z dziennikarzami z działu politycznego jak ze starymi kumplami, uśmiechnął się do Gretchen, która o mało nie pękła z zachwytu.

Pozegnałam się w pośpiechu z moim rozmówcą.

– Co on tu robi? – spytałam Janowitz, jedną z najstarszych dziennikarek działu ogólnego, która podeszła do mnie zza swego biurka w głębi hali redakcyjnej.

– Przyszedł na spotkanie z kierownikami działów.

Jest rutyną, że starający się o poparcie gazety politycy przychodzą na rozmowę z kierownikami działów i redaktorami. Rzadko się zdarza, by ściskali ręce połowie redakcji, Fielding jednak był kandydatem pochodzącym z naszego miasta, „swoim chłopakiem”, który znał większość dziennikarzy.

– Chodź, Kimberly – zwróciła się do dziewczynki pani Fielding. Wzięła córeczkę za rękę i odprowadziła ją nieco na bok, by mała nie zgubiła się w otaczającym ojczyma tłumie.

– Spędziliśmy kilka dni w Keys – mówił właśnie Fielding. – Trochę golfa, ryby, krótki odpoczynek w gronie rodzinnym przed finiszem w rodzinnym mieście.

– Prognozy wyglądają dobrze – odezwał się jakiś głos.

Dołączyłam do tłumu.

– Britt Montera – powiedziałam, kiedy nadeszła moja kolej.

Skinął głową; miał silny uścisk dłoni.

– Czytałem rano pani artykuł o Applewaicie. Znakomite i na czasie. Właśnie takim sytuacjom zamierzam zapobiegać w naszym stanie. To nie do zaakceptowania – stwierdził, a jego oczy zamigotały oburzeniem.

Pomyślałam, że ten człowiek jest znakomity, naprawdę świetny.

Otworzyłam usta i wtedy dostrzegłam w tłumie Freda Douglasa. Zmrużył oczy i lekko pokręcił głową.

– Życzę szczęścia – wymamrotałam, sama nie wierząc, że coś takiego przeszło mi przez gardło.

Uśmiechnięty kandydat odwrócił się, by uścisnąć rękę następnej osobie. Potem ruszył w kierunku biur kierowników działów, a za nim poczłapali nasz komentator polityczny i Gretchen. Żona Fieldinga i jej córeczka stanęły przy dziennikarzach zajmujących się modą i wydarzeniami towarzyskimi; wyszedł im naprzeciw rozradowany Eduardo z paroma innymi osobami. Fred Douglas kazał Ryanowi zaprowadzić obie panie do kawiarenki na drugim piętrze, gdzie będą mogły zaczekać na męża i ojczyma przy kawie i ciastkach.

– Czy powinienem za nie zapłacić? – spytał mnie zdenerwowany Ryan. – Myślisz, że pozwolą mi to rozliczyć jako koszt?

Usiadłam przy biurku, udając, że pracuję, ale tak naprawdę obserwowałam hol pomiędzy biurami szefów i windą. Coś mi mówiło, że nie wolno stracić takiej okazji. Popatrzyłam na zegarek – tego typu wywiady trwały od trzech kwadransów do godziny. Fielding pojawił się po godzinie, rozpromieniony i triumfujący, znów ciągnąc za sobą fanów i popleczników. Wstałam z notesem i długopisem w ręce i podeszłam do niego.

– Panie Fielding, pańska żona i córka są w kawiarence. Pokaże panu drogę.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, towarzyszący mu ludzie pożegnali się i wrócili do pracy. Weszliśmy do windy tylko we dwoje. Sytuacja była delikatna, ale nie miałam czasu na pogaduszki.

– Panie Fielding, czy pamięta pan Mary Beth Rafferty?

Zareagował, jakby strzelono mu tuż nad głową; uśmiech natychmiast zniknął z jego ust.

– Oczywiście – odpowiedział po chwili. – Czegoś takiego nikt by nie zapomniał.

– Sprawa do dziś nie została wyjaśniona.

– Tak, wiem. – Nieoczekiwanie zmienił się na twarzy. Może był to efekt oświetlenia, ale nie wyglądał już tak zdrowo i rześko.

– Zapewne wie pan też, że policja uważała pana za podejrzanego?

Wbił we mnie lodowaty wzrok. Cóż, nie miał pod ręką zawodowego autora przemówień, który by mu podrzucił odpowiedni tekst.

– Wtedy każdy był podejrzany – odparł.

– Dla funkcjonariusza, który prowadził sprawę, jest pan nim do dziś. Dlaczego...

Powolna winda którą zawsze przeklinam, dziś poruszała się z prędkością światła. Drzwi się otworzyły. Byliśmy na parterze.

– Przepraszam, zapomniałam nacisnąć drugie piętro – powiedziałam, kiedy zamierzał wysiąść. – Musimy wrócić na górę.

Czekający na dole wsiedli, rozpoznali Fieldinga i zaczęli się witać.

– Cieszę się, że pana widzę – mrucał, ściskając po kolei ręce dziennikarzowi od spraw biznesu i redaktorowi wydania hiszpańskojęzycznego.

W drodze do góry bez słowa wbijał wzrok w mój profil.

– No to jesteśmy na miejscu – poinformowałam wesoło, kiedy dojechaliśmy. – Drugie piętro.

Do kawiarni szło się w lewo płataniną korytarzy, ale ja skręciłam w prawo, a on podążył za mną. Staaliśmy w niewielkiej wnęce niedaleko kadr.

– O co pani chodzi? Czy ktoś panią prosił o grzebanie w tej starej historii?

– Nie, chcę jedynie zadać panu kilka pytań. Dlaczego, pańskim zdaniem, policja wciąż pana podejrzewa?

Zacisnął szczęki.

– Nie wiedziałem o tym. Nie rozmawiałem z nimi od lat. W czasie tego typu kampanii różni ludzie lubią wracać do obrzydliwych plotek, pomówień i półprawd. Niech pani posłucha, pani...

– Montero.

– Pani Montero. Mam bardzo napięty kalendarz zajęć. Przykro mi, że nie mogę poświęcić pani więcej czasu, zależy mi jednak na tym, by pani zrozumiała, że tamten okropny dzień całkowicie zmienił moje życie.

– W jakim sensie?

– Byłem młodym człowiekiem, nastolatkiem, który odkrył zwłoki okropnie z maltretowanej dziewczynki. To stało się jednym z powodów, dla których zająłem się polityką, dla których postanowiłem poświęcić życie służbie publicznej i reprezentować prawo i porządek. – Złapał wiatr w żagle i rozwijał skrzydła.

– Czy przed tym morderstwem był pan oskarżany o podglądactwo?

– Kto naopowiadał pani takich bzdur? Z kim pani rozmawiała? – zapytał, kontrolując głos. Z jego oczu zniknęły dotychczasowa pewność siebie i optymizm. Przeobraził się w przeciętnego człowieka, którego dopadła niemiła przeszłość. – Byłem zwykłym, ciekawym życia i świata młodzieńcem. Jeżeli popełniłem jakieś błędy, to nie większe niż moi rówieśnicy i z pewnością znacznie mniej poważne niż te, które popełnia większość dzisiejszej zagubionej młodzieży.

– Przyznaje pan więc, że był młodzieńcem z problemami. Czy kiedykolwiek korzystał pan z pomocy psychiatrycznej?

– Do czego pani zmierza? – Patrzył na mnie z nie skrywaną pogardą.

– Próbuję jedynie odtworzyć wydarzenia sprzed lat. Dziwi mnie na przykład, że pańscy rodzice wspomagali finansowo matkę Mary Beth Rafferty.

– Nie ma pani prawa, nie ma pani... – Spurpurowiał, na skroni pulsowała mu żyła. – Posuwa się pani za daleko. Ani myślę odpowiadać na pani insynuacje. Nie wiem, o co pani chodzi, ale gra idzie o dużą stawkę, i nie pozwolę, by mnie szantażowano czy pomawiano! – Prawie wrzeszczał, na jego twarzy malowała się przerażająca wściekłość.

– Jestem jedynie dziennikarką i moja praca polega na zadawaniu pytań.

– Niech pani uważa, co robi, panno Montero – powiedział powoli. – Niech pani uważa.

Odwrócił się wściekle i ruszył przed siebie.

– Kawiarenka jest po lewej – oznajmiłam słabo. – Proszę iść prosto korytarzem, a potem skręcić w lewo. Na pewno pan trafi.

Jeszcze raz gwałtownie się odwrócił i wbił we mnie wzrok, jakby chciał zapamiętać moją twarz. Świetnie. Patrzyłam za nim. Urodziłam się w Miami, Kocham Florydę. Jeżeli ten facet zostanie gubernatorem, będę musiała się stąd wyprowadzić.

Wróciłam do biurka jakby nigdy nic. Nie było to łatwe, zwłaszcza gdy zjawiał się Ryan.

– Wiesz co, Britt? Chyba nie będziemy popierać Fieldinga.

– Dlaczego?

– Trzeba go było widzieć po rozmowie z kierownikami. Musieli dać mu nieźle popalić.

Był wściekły jak osa.

– Co ty powiesz...

– Warczał na żonę i dzieciaka. Chciał jak najszybciej stąd wyjść.

– Masz rację, to nie najlepszy znak.

Rozdział dziewiąty

W nocy nie mogłam zasnąć, a kiedy wreszcie mi się to udało, obudził mnie brzęk telefonu. Dzwonił Harry Arroyo.

– Co się stało? – Usiadłam na łóżku, w ułamku sekundy całkowicie rozbudzona. – Złapaliście gwałciciela?

– Nie. Znów zaatakował.

– Cholera. Uciekł?

– Tak.

– Co się stało?

– Tym razem zachował się inaczej. Wyraźnie zmienia styl.

– To znaczy?

– Nie zaatakował w toalecie biurowca, ale w podziemnym garażu. Był znacznie brutalniejszy, pociął ofiarę nożem.

– A może to ktoś inny?

– Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to on.

– Jak poważnie jest ranna?

– Nic jej nie będzie. – Łatwo mu było mówić, wiedziałam jednak, co ma na myśli. Chodziło o to, że obrażenia fizyczne nie są groźne dla życia.

– Dzięki, że zadzwoniłeś, Harry. – Nigdy przedtem tego nie robił i byłam mu naprawdę wdzięczna.

– To nie był mój pomysł, Britt. Ofiara chce z tobą rozmawiać.

– Słucham? – Strach ścisnął mi serce. – Czy to ktoś, kogo znam?

– Nie, ale powiedziała, że musi się z tobą widzieć. Mogłabyś przyjechać?

– Oczywiście. Za dwadzieścia minut. Gdzie teraz jesteś?

– U siebie w biurze. Właśnie przywieźliśmy ją z ośrodka dla zgwałconych.

Była druga piętnaście. Przeciągnęłam grzebieniem przez włosy i wskoczyłam w kombinezon, który zawsze wisi po wewnętrznej stronie drzwi szafy na wypadek wezwań w środku nocy. Bitsy przybiegła od razu, z nadzieją, że ze mną pojedzie. Kiedy wychodziłam, poszczekiwała i popiskiwała.

Zwykle uwielbiam jazdę nocą, nie ma bowiem korków, upału ani pośpiechu. Niedawno spadł deszcz i puste ulice były jeszcze mokre. Gdzieś po nich krążył gwałcieł. Dlaczego nie można go złapać? Nastawiłam krótkofalówkę na pasmo policji i słuchałam relacji gliniarzy z akcji przy banku Eastcoast. Czekali, aż przestanie padać, by ściągnąć samochód ofiary do zbadania w policyjnym garażu.

Zaspany oficer przy wejściu podszedł ze mną do windy i włożył do zamka kartę magnetyczną, żebym mogła wjechać na górę. Była za piętnaście trzecia, komenda świeciła pustkami. Większość funkcjonariuszy z nocnej zmiany znajdowała się na ulicach. Harry wyszedł po mnie na korytarz.

– Pracuje przy obsłudze sieci komputerowej banku, nie zamierzała zostać dziś tak długo, ale mieli kłopoty z głównym komputerem. Nazywa się Marianne Rhodes, biała, trzydzieści jeden lat. Zaręczona z maklerem giełdowym, który jest już w drodze. Wiedziała o gwałcieł, miała w torebce gaz i za każdym razem, kiedy szła do toalety, prosiła ochroniarza, żeby jej towarzyszył. Opuściła budynek o jedenastej dwadzieścia jeden; ochroniarz odprowadził ją do garażu. Widział, jak wkłada kluczyk do zamka i otwiera drzwi; potem się odwrócił i podjął obchód.

– Co było dalej?

– Wsiadła do samochodu, ale zanim zdążyła zamknąć drzwi, wyskoczył z cienia i rzucił się na nią z nożem w rękę.

Poczułam na krzyżu lodowaty dreszcz, zrobiło mi się niedobrze.

– Jeszcze nigdy nie był tak brutalny. Poranił ją nożem i zostawił związaną. Prawdopodobnie leżałaby tak do rana, ale na szczęście ten sam ochroniarz zauważył po godzinie, że jej samochód wciąż jeszcze jest. Podszedł, by sprawdzić, co się stało, i znalazł ją – związaną, z ustami zaklejonymi plastrem.

– Nie zauważył nikogo?

– Nie, tylko sprzętaczkę i pracowników z nocnej zmiany. Facet jest jak duch.

– Dlaczego dziewczyna chce ze mną rozmawiać?

– Ponieważ gwałcieł jest wściekły jak cholera. Na ciebie. – Uśmiechnął się i otworzył mi drzwi.

– Na mnie?

Kobieta siedziała na prostym krześle, obejmując się ramionami, jakby jej było zimno, ze spuszczoną głową i ściśniętymi kolanami. Miała na sobie łańchman, który kiedyś był ładnym kostiumem, a teraz wisiał na niej poszarpany, pocięty i zakrwawiony. Prawa część jej twarzy była sina i spuchnięta, oko otoczone czarnym siniakiem. Bandaż na lewym policzku nie do końca zakrywał szwy. Ciemne błyszczące włosy były z lewej strony matowe i pokryte jakimś proszkiem. Skórę pod brodą miała przeciętą, przód bluzki zakrwawiony, pończochy porwane, spódnicę poplamioną i brudną.

– Dobrze się pani czuje? – zapytałam, wiedząc, że czuje się źle.

– To pani? – Spojrzała na mnie czerwonymi, zapłakanymi oczyma.

– Britt Montero.

Na dźwięk mojego nazwiska aż jęknęła.

– To pani, ale ja przecież wcale nie wyglądam jak pani.

– Nie rozumiem.

– Zachowywał się, jakbym była panią. Zwracał się do mnie pani imieniem i nazwiskiem.

– Pokręciła głową i wzdrygnęła się.

– Nie myli się pani?

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Sądzi pani, że sama to sobie zrobiłam?

– Nie, oczywiście, że nie. Jestem po prostu zszokowana. Co mówił?

– Nie wiem, nie znam hiszpańskiego. Jedyne, co wychyciłam, to kilka przekleństw i pani nazwisko. Czytam pani artykuły. Za każdym ciosem, który mi wymierzał, powtarzał pani nazwisko.

Po ramionach przebiegł mi zimny dreszcz, pozostawiając gęsią skórkę. Popatrzyłam na Harryego, ale wyglądał na obojętnego. Prawdopodobnie już to słyszał.

– Niech pani na siebie uważa – ostrzegła dziewczyna, szcękając zębami. – On naprawdę pani nienawidzi.

– Harry, pani marznie – odezwałam się ni w pięć, ni w dziewięć. – Macie koc albo jakąś kurtkę?

Wszedł inny detektyw, zbliżył się do Harry’ego i wyszeptał mu coś do ucha.

– Przyślijcie go na górę – odparł Harry. – Jest Ben, pani narzeczony.

Do oczu napłynęły jej łzy i wbiła wzrok w podłogę.

– Jeżeli mogłabym coś dla pani zrobić, proszę do mnie dzwonić – powiedziałam, podając kobiecie wizytówkę. Jej długie, ładne palce były pocięte i posiniaczone, paznokcie połamane.

– Niech pani o mnie napisze, wymieni z nazwiska – zażądała, podnosząc głos. – Niech pani powie wszystkim, co mi zrobił. Staralam się jedynie wykonywać moją pracę i mieli mnie chronić. Każdy wiedział o gwałtocielu. Dlaczego nie zabezpieczyli lepiej biura? – Jej głos się załamał.

– Zazwyczaj nie wymieniamy nazwisk ofiar gwałtu, chyba że wyraźnie o to proszą.

– Proszę o to. Chcę, żeby moje nazwisko znalazło się w gazecie. Niech się wszyscy dowiedzą, co mi zrobił.

– Radziłabym się jeszcze zastanowić – odparłam jak najłagodniej.

W tym momencie do pokoju wpadł blady młody człowiek o napiętej twarzy.

– Boże, Marianne! – Objął ją. Po chwili zauważył mnie. – Kim pani jest?

Powiedziałam.

– Boże drogi! Chyba nie zamierza pani pisać o tym w gazecie?! – Patrzył na mnie z niesmakiem. – Proszę zachować choć trochę przyzwoitości i pozwolić nam na odrobinę prywatności!

Wyszliśmy z Harrym na korytarz; odprowadził mnie na dół do holu.

– Uważaj na siebie, Britt – rzekł na pożegnanie.

Ostrzegano mnie po raz drugi w ciągu niecałej doby.

Rozdział dziesiąty

Powietrze było łagodne i wilgotne. Kiedy szłam do samochodu, między budynkami tańczyły groźne cienie, moje kroki odbijały się w ciemności wielokrotnym echem. Wyjechałam z policyjnego parkingu i ruszyłam przed siebie, przecinając noc ostrzami reflektorów. Powtarzałam sobie, że nie muszę się obawiać gwałciciela, że przestępcy to tak naprawdę tchórze, którzy atakują bezbronnych. Nienawidzą rozgłosu i unikają jak ognia ludzi, których szefowie kupują beczkami atrament.

Kiedy kawałek na zachód od Bulwaru stanęłam na czerwonym świetle – ulica była zupełnie pusta – z ciemnego zaułka wyszła jakaś postać. Poczułam, jak krew tężeje mi w żyłach; palce same zacisnęły się na kierownicy. Mężczyzna zbliżał się, wcisnęłam więc pedał i przemknęłam przez skrzyżowanie, choć było jeszcze czerwone światło. Serce waliło mi jak oszałałe. Dlaczego w nocy nie przełącza się światel na skrzyżowaniach na migające żółte? Samotny kontur stał na chodniku, patrząc na moje znikające tylne światła.

Gwałciciel mnie nie zna, nie będzie zatem wiedział, jak odnaleźć mnie wśród tysiąca pięciuset osób, przewijających się codziennie przez olbrzymi budynek „News”. W odróżnieniu od ludzi z telewizji, dziennikarze prasowi mają ten przywilej, że ich twarze nie są publicznie znane.

Zanim zaparkowałam pod domem, objechałam kwartał, sprawdzając zarówno przed sobą, jak i we wstecznym lusterku ulicę, samochody, krzewy chińskich róż – wszystkie potencjalne kryjówki intruza. Mówiłam sobie, że ani Miami, ani noc nie są straszne – straszny jest jedynie zagubiony w nocnym mieście człowiek. Człowiek, którego nie były w stanie powstrzymać ni rozgłos, ni zmasowana akcja policji.

Wysiadłam jak najszybciej z samochodu, już z kluczami w ręce, i ruszyłam prosto do drzwi wejściowych, szczęśliwa, że zostawiłam zapalone światło. Zamykając za sobą drzwi, westchnęłam z ulgą – bezpieczna w domu, gdzie mam mocne zamki, uważną gospodynię i psa z wieloletnim doświadczeniem pracy w policji.

Umyłam zęby, pogasiłam światła i położyłam się drugi raz tej nocy. Sama byłam zaskoczona, że to robię, ale wstałam, by sprawdzić zamki w drzwiach, po czym wyciągnęłam spod materaca rewolwer i wsadziłam go pod poduszkę.

Obudziłam się wcześniej rano, połknęłam szybko śniadanie i pojechałam do redakcji napisać artykuł o kolejnym dokonany przez gwałciciela napadzie. Mimo braku snu i apetytu czułam się nadzwyczaj pobudzona. Znalazłam numer policyjnego psychiatry, doktora Stone'a Simmons, i choć go nie znam, postanowiłam do niego zadzwonić. Potrzebowałam więcej szczegółów o gwałcicielu i jego zachowaniu i miałam nadzieję czegoś się od niego dowiedzieć. Doktor podniósł słuchawkę, ale kiedy usłyszał, kto dzwoni, nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

– To niezgodne z przepisami – zaczął. – Wie pani, że nie wolno mi rozmawiać na temat sprawy, w której toczy się śledztwo, bez zgody oficera prowadzącego albo porucznik Riley.

– Doktorze, nie chodzi mi o szczegóły dotyczące materiału dowodowego, które chciałaby utajnić policja, lecz o pańską opinię na temat stanu psychicznego sprawcy. Dlaczego na przykład wymienia moje nazwisko? Czym może być spowodowana wściekłość, którą zaobserwowała u niego ostatnia ofiara? Jak wyjaśnić zmianę jego sposobu działania, eskalację agresji?

W słuchawce rozległo się ciche mlaskanie – Simmons ssał swą nieodłączną fajeczkę. Był szczupłym mężczyzną w średnim wieku z przetykaną siwizną brodą, ubranym – bez względu na temperaturę – w szarą, robioną na drutach kamizelkę. Miał irytujący sposób obserwowania ludzi, jakby studiował ich z wyższego poziomu wiedzy i pojmowania świata, niczym owady.

– Ciekawe pytania – oznajmił po chwili.

– Co pan o tym sądzi?

– Moim zdaniem mężczyźni określanemu przez panią jako Gwałciciel z Centrum, trudno odmówić intelektu, o czym świadczy choćby to, że czyta gazetę – a jest to oczywiste, ponieważ zna pani nazwisko. Nie wszyscy gwałciciele to ograniczeni włóczędzy, półgłówki i wariaci.

– Jest wystarczająco sprytny, by jak na razie uniknąć złapania.

– Zgadza się – stwierdził doktor, jakbym była niedorozwiniętym uczniem, który nieoczekiwanie dał prawidłową odpowiedź.

– Uważa pan, że zmienił sposób działania, ponieważ zbyt wiele osób o nim wie?

– Niekoniecznie. Jest wściekły, a co robią gwałciciele, by wyrazić swoją złość?

– Gwałcą.

– Otóż to. Mówiąc ogólnie, człowiek z jego skłonnościami będzie się starał dać odczuć swą obecność osobie, na którą jest szczególnie zły, czyli – sądząc z relacji ofiary – pani. – Znow zaczął ssać fajkę.

– Ale dlaczego jest tak wściekły akurat na mnie? Wszyscy w mieście o nim piszą.

– Pani była pierwsza, nieprawdaż? To pani więc jest w jego oczach za wszystko odpowiedzialna, za wszystkie następne artykuły. Poza tym pisała pani o nim znacznie

bardziej szczegółowo niż inni. Może chodzi o jakieś konkretne zdanie, które wyraziła pani na jego temat.

Wyglądało, że uważa to za zabawne. Ale mnie nie było do śmiechu.

– W dodatku jest pani kobietą. A dla niego ważne jest mieć władzę nad kobietami. W wydaniu weekendowym zacytowała pani fragment z przygotowanego dla policji profilu psychologicznego o tym, że dokonuje gwałtów, by udowodnić sobie, iż należy do mężczyzn o normalnej seksualności, co jest oczywistą nieprawdą. Bardzo możliwe, że wziął to za osobistą obrazę.

– Dlaczego zmienił sposób działania?

– Kiedy pisała pani o nim ostatni raz?

– W niedzielę, a w poniedziałek w wydaniu hiszpańskojęzycznym.

– Gwałt zaś został dokonany dwa dni później. – Przerwał, by się zastanowić. – Oczywiście nie wiemy, kiedy przeczytał pani artykuły...

– Chce pan powiedzieć, że gwałt był następstwem mojego artykułu?

– Można założyć, że postanowił przekazać pani wiadomość, na przykład taką, że coś podobnego może się przydarzyć i pani. Niewykluczone też, że ofiara była pani substytutem. Nie mogąc skrzywdzić pani, zgwałcił kogoś innego.

– Doktorze Simmons... – mój głos był bardzo napięty, miałam ściśnięte gardło – nie podoba mi się, że sugeruje mi pan winę. – Przypomniałam sobie pociętą twarz Marianne Rhodes i jej przepełnione strachem oczy. – Grasował na długo, zanim cokolwiek o nim napisałam. Policja utrzymywała sprawę w tajemnicy, toteż zdążył zgwałcić kilka kobiet, nim choć słowo na jego temat pojawiło się w prasie. Należało wreszcie ostrzec kobiety w naszym mieście, powiadomić opinię publiczną o niebezpieczeństwie, wstrząsnąć ludźmi na tyle, by zaczęli pomagać w jego ściganiu.

– Ale jak na razie to nie nastąpiło, prawda? Moim zdaniem trochę zbyt gwałtownie pani protestuje, pani Montero. Rozumiem pani punkt widzenia, ale w tym konkretnym wypadku jest oczywiste, że złość na panią odreagował na innej kobiecie.

Mimowolnie dotknęłam policzka w miejscu, gdzie u Marianne Rhodes przebiegały szwy. Zamknęłam na moment oczy i zobaczyłam jej pokryte krwawymi sińcami ciało.

– Czy sugeruje pan, że spróbuje zaatakować mnie?

Przez chwilę nic nie mówił, jedynie pykał fajeczkę.

– Możliwe. Dokładne przewidzenie, co zrobi ktoś taki jak on nie jest łatwe, ale nie byłbym zaskoczony, gdyby podjął próbę nawiązania z panią bezpośredniego kontaktu.

Przełknęłam ciężko ślinę.

– Czy pani adres i numer telefonu znajdują się w ogólnodostępnej książce telefonicznej, pani Montero?

– Jedynie z pierwszą literą imienia – odparłam, starając się zachować obojętny ton głosu.

– W Miami jest mnóstwo Monterów.

– Nie chcę ingerować w pani życie prywatne, ale czy jest pani mężatką albo mieszka z kimś?

– Nie. Lubię mieszkać sama.

– Jak wygląda pani sąsiedztwo?

– Mój dom jest wprawdzie ostatni na ulicy, mam jednak psa i tuż obok mieszka moja gospodyni z mężem.

– To bardzo dobrze. Czy otrzymywała pani ostatnio niezwykle telefony albo listy?

– Żartuje pan? Nie ma w tym mieście świra, paranoika, schizofrenika ani samotnego starszego pana, który nie usiłowałby nawiązać ze mną kontaktu. Doktorze Simmons, miałby pan kupę radości, odbierając telefony i czytając listy do mnie. W moim zawodzie to normalka. Na przykład jeden taki twierdzi, że jest radioaktywny i podróżuje na inne planety – oczywiście bez statku kosmicznego. Inny przysłał mi listy w brudnych kopertach z jakimś proszkiem w środku. Były pacjent szpitala psychiatrycznego uskarża mi się bez przerwy, że chodzi za nim facet, który wygląda jak Sylvester Stallone z *Nocnego jastrzębia*. Jeszcze inny oskarża sąsiadów o powodowanie u niego bólów głowy przez kierowanie na jego mieszkanie lasera. Jakaś starsza pani uważa, że rozwiążemy sprawę, jeżeli obejrzymy jeden ze starych odcinków *Kojaka* albo *Perry'ego Masona*... – Przerwałam. Nie miało sensu zalewać go tymi idiotyzmami. Dlaczego psychiatrzy zawsze mnie denerwują?

Zapadła długa cisza.

– To bardzo interesujące. Co pani robi z tą korespondencją?

– Zastanawiałam się, czy nie wytapetować nią łazienki.

Parsknął.

– Zamierza pani dalej pisać o Gwałcicielu z Centrum?

– Oczywiście. Właśnie pracuję nad kolejnym artykułem. Chyba nie radzi mi pan przerwać pisania o nim, żeby go nie zdenerwować?

– Jestem jak najdalej od tego, by narażać się czwartej władzy. Ciekaw byłem jednak, czy zamierza pani kontynuować temat, czy przekazać go jakiemuś mężczyźnie.

– To mój temat – odparłam, nie zamierzając dyskutować. – Może mi pan powiedzieć o gwałcicielu coś jeszcze?

– Tylko to, co jest oczywiste: że agresywność jego działania się nasila i z niepokojem myślę o tym, co zrobi następnym ofiarom.

– Uważa pan, że może się posunąć do morderstwa?

– Wszystko jest możliwe.

– Co radziłby pan kobiecie, która znalazłaby się z nim sam na sam?

– Osobie, która znalazłaby się w tak nieszczęsnym położeniu, radziłbym, żeby nie próbowała zdenerwować go jeszcze bardziej.

Pomyślałam, że to niezbyt interesująca perspektywa.

Kiedy się pożegnaliśmy, usiadłam i zaczęłam zastanawiać się nad tym, o co mnie pytał. Simmonsowi prawdopodobnie wydawało się, że jest dowcipny. Skurwiel próbował mnie nastraszyć, chociaż mój adres rzeczywiście jest w książce telefonicznej. Mieszkam sama. Mój pies to właściwie piesek, ważący zaledwie trzy kilo. Moi czujni gospodarze to starsi ludzie, którzy w razie czego na pewno nic nie usłyszą przez grube mury budynku, gdzie mieszkam. Pomyślałam, żeby zadzwonić do Marianne Rhodes, zanim to jednak zrobiłam, ona odezwała się pierwsza.

– Pisz pani o mnie? – Jej głos wyraźnie drżał.

– Właśnie pracuję nad artykułem.

– Zastanawiałam się, dlaczego pani nie dzwoni. – Jej głos brzmiał, jakby całą noc nie spała, i choć w tle słychać było protesty narzeczonego, powtórzyła żądanie opublikowania jej nazwiska.

– Wie pani... – zaczęłam ostrożnie. – Ponieważ on ciągle jest na wolności, nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Nie obchodzi mnie to! I tak mnie zna. Zabrał mi torebkę, prawo jazdy, dowód osobisty. To ja decyduję! Najwyższy czas, aby ofiary gwałtów przestały się kryć! Chcę, żeby wszyscy się dowiedzieli, co się stało. Proszę kogoś przysłać, żeby zrobił mi zdjęcie, żeby ludzie zobaczyli, jak mnie urządził! – Zaczęła się kłócić z narzeczoną, który starał się przerwać połączenie. – Nie wtrącaj się, Ben! – zapiszczała.

Czułam niemal fizycznie, jak cierpi, i zapewniłam ją, że przedyskutuję sprawę ujawnienia jej nazwiska z kierownikiem działu.

Poinformowałam o jej żądaniu Freda Douglasa, kiedy przed kolegium redakcyjnym spytał mnie o mój artykuł. Zasepił się.

– Co o tym sądzisz, Britt?

– To bez sensu. Nie odpowiada w tej chwili za swoje czyny. Potem będzie tego żałować.

– Brzmi to przekonująco.

Wspomniałam też o opinii doktora Simmonsa, że to nasze artykuły prowokują gwałciciela do działania.

– Absurd! – parsknął.

Zastanawiałam się, dlaczego jego reakcja nie zadowalała mnie.

– Też tak uważam – stwierdziłam, dodając, że zdaniem doktora gwałciciel może spróbować nawiązać bezpośredni kontakt ze mną.

Fred zagryzł dolną wargę i uważnie na mnie popatrzył.

– Britt, wolisz, żeby sprawę przejął Ryan?

– Nigdy w życiu! – zaprotestowałam z większym zapałem, niż naprawdę go miałam.

Wycofanie się z niewygodnego tematu byłoby jedynie wodą na młyn tych, którzy uważają, że kobieta nie ma co szukać w reportażu policyjnym.

– Odważna dziewczynka. Powiniennem chyba zawiadomić Maddie, na wypadek gdyby napisał skargę do wydawców. – Maddie Elliott jest nieco po sześćdziesiątce, pracuje jako sekretarka, a zarazem odpowiada na listy czytelników.

– Niech go poprosi o adres zwrotny.

Uśmiechnął się i pospieszył na kolegium, a ja wróciłam do pracy nad artykułem.

Marianne Rhodes nie dostarczyła nowych informacji o gwałtcielu. Zmiana przez niego sposobu działania była denerwująca. Myśli takie krążyły mi po głowie, kiedy pchałam masywne drzwi z napisem: DLA PAŃ. Wąskim korytarzykiem doszłam do następnych drzwi, prowadzących do pomieszczenia z kanapami do wypoczynku i dwoma kabinami prysznicowymi. Obok jest pomieszczenie z sześcioma ubikacjami i sześcioma umywalkami. Jedynym odgłosem było kapanie wody w którejś z kabin prysznicowych. Mógł być wszędzie. Nawet tutaj.

Kiedy wróciłam z kawiarenki z kubkiem kawy w ręku, natychmiast przyciągnęła moją uwagę jedna z wiadomości na biurku:

Zadzwoń do porucznika McDonalda do jego biura. Pilne!

Tyle. Nie było to ani namiętne, ani romantyczne, toteż nie poczułam dreszczy na plecach. Wsunęłam wiadomość pod stertę pozostałych. Wetknęłam słuchawkę pod brodę i zaczęłam oddzwaniać do ludzi, jednocześnie rozrywając koperty. Jedna z wiadomości pochodziła od Dana, do którego natychmiast zadzwoniłam.

– Gdzie łazisz? Nigdy nie ma cię w domu! – naskoczyłam na niego. – Już zamierzałam zgłosić twoje zaginięcie. Dwa razy dzwoniłam!

– Nie wiedziałem, że powinienem czekać na telefon od ciebie. Byłem zajęty – odparł hardo. – Masz gdzieś w pobliżu telewizor?

– Oczywiście. – Sekretarka działu miejskiego ma przed swoim biurkiem trzy telewizory, w których ogląda wiadomości i zapisuje tematy oraz godziny ich nadania, byśmy byli pewni, że niczego nie przeoczyliśmy.

– Radzę ci zobaczyć coś w południowych wiadomościach na kanale siódmym. Nie odkładam słuchawki.

Gloria, sekretarka, właśnie rozmawiała przez telefon. Podeszłam do niej i zaczęłam obserwować ekrany. Na jednym z nich pojawiła się znajoma twarz Marianne Rhodes.

– O nie! – Więcej nie byłam w stanie z siebie wydobyć.

Kiedy prezenterka wiadomości – kobieta z burzą utapirowanych blond włosów i głupkowatym uśmiezkiem zapytała: „Jak to jest być siódmą ofiarą Gwałtciela z Centrum?“, cicho zaklęłam i wróciłam do telefonu.

– Tak właśnie myślałem, że cię to zainteresuje. Jestem zaskoczony, że nie ukryli jej tożsamości, pokazując na przykład jedynie przyciemniony kontur. Wymienili jej nazwisko i wszystkie dane. Zapowiedzieli dalsze informacje o szóstej.

– Wiem, to sępy. Wykorzystali sytuację. Jestem pewna, że będzie tego potem żałować.

– Zamierzasz podać jej nazwisko?

– Jeżeli uda mi się temu zapobiec, to nie, ale wszystko popsuka wystąpieniem w telewizji.

– Dzwoniłaś do mnie w konkretnej sprawie?

Opowiedziałam o rozmowie z Fieldingiem.

– Szkoda, że nie widziałem jego twarzy – skomentował Dan ze złośliwą radością. – Co za skurwiel.

– Na pewno nie wyszedł od nas zadowolony.

– Jest coś nowego o gwałtocielu?

– Nic oprócz tego, że jest wściekły jak cholera i zmienił sposób działania. Dan, słyszałeś o facecie, którego aresztowano za udawanie policjanta?

– Nie – odparł bardzo poważnie.

– Zasnął o trzeciej nad ranem w cukierni.

– Nic w tym śmiesznego. Pytałaś tę Rhodes, czy zna którąś z pozostałych ofiar? – spytał obojętnym tonem. Słyszając go, nikt by nie uwierzył, że Dan jest policjantem na emeryturze.

– Nie. Myślę jednak, że gdyby tak było, sama by o tym powiedziała.

– Nigdy niczego nie zakładaj z góry. Powinnaś spróbować sprawdzić, co ma wspólnego z pozostałymi ofiarami. Oczywiście, jeżeli coś ma. Może kiedyś spotkała którąś z nich na przyjęciu, może chodziły razem na aerobic, może kupują na tej samej stacji benzynę.

– Sądziłam, że wybiera ofiary przypadkowo – przyznałam, marszcząc czoło. – Atakuje osoby, które znajdują się w nieodpowiednim momencie w nieodpowiednim miejscu. Czai się w damskiej toalecie i napada kobietę, która akurat miała pecha wejść.

– A jeżeli nie? W każdym z budynków, w których grasował, jest mnóstwo starszych kobiet, ale ofiary są atrakcyjnymi kobietami w wieku między dwudziestym pierwszym a trzydziestym piątym rokiem życia. Może to nie przypadek. Jakoś udaje mu się pojawiać i znikać bez śladu. A jeżeli wybiera swe ofiary wedle określonego klucza? Może istnieje coś, co je łączy? Może robią zakupy w tym samym supermarkecie, jedzą lunch w tej samej restauracji, chodzą na tę samą plażę?

– Skąd tyle wiesz o prowadzeniu dochodzenia w sprawie gwałtu? Przecież zawsze pracowałeś w wydziale zabójstw.

Gloria dawała mi znaki, że jest do mnie telefon. Poinformowała, bezgłośnie poruszając wargami:

– Porucznik McDonald na drugiej linii. Mówi, że musi natychmiast z tobą porozmawiać.

Był taki czas, że rozmawiając z samym Panem Bogiem, z miejsca przerwałabym, by pogadać z McDonaldem. Teraz jedynie zasłoniłam słuchawkę i szepnęłam:

– Powiedz mu, że oddzwonię.

– Seryjni mordercy działają według podobnych mechanizmów jak seryjni gwałtocieli – ciągnął Dan. – Poza tym zapomniałaś chyba, że dziesięć lat temu policjanci z wydziału

zabójstw zajmowali się też przestępstwami seksualnymi. Wsadziłem za kratki niejednego gwałciciela.

Mówił znowu jak dawny Dan.

– Pozwól, że zapiszę sobie kilka z twoich pytań. Będę musiała porozmawiać z Harrym, bo nie mam nazwisk wszystkich ofiar.

– Świetnie, może da mu to trochę czadu. Sprawdź też, czy któraś z ofiar w ciągu kilku miesięcy przed napadem kontaktowała się z policją albo strażą pożarną.

– Myślisz, że on może być gliną lub strażakiem?

– Niektórzy gliniarze są zdolni do wszystkiego.

– Ale uważamy, że jest Kubańczykiem, prawdopodobnie *marielito*.

– To nic nie znaczy. W służbach miejskich jest niejeden *marielito*.

– Co podpowiada twój instynkt, Dan? Czujesz coś nosem?

Wzięłam z kupki list. Pismo wydało mi się znajome. Rozerwałam go, ale kiedy podniosłam wzrok, okazało się, że przy moim biurku stoi Gloria. Nie miała wesołej miny.

– Na jednej linii jest do ciebie porucznik Riley, na drugiej Harry Arroyo. Obydwoje chcą rozmawiać z tobą natychmiast.

Zadrżało mi serce. Może go złapali.

– Dobrze – odparłam podniecona. – Daj mi panią porucznik i poproś Harry’ego, żeby chwilę zaczekał. – Pożegnałam się pospiesznie z Danem i podniosłam słuchawkę po pierwszym dzwonku.

K. C. Riley była w zwykłej formie.

– Cholera jasna, Britt. Co pani wyprawia?

– Też się cieszę, że panią słyszę, pani porucznik.

– Proszę się przestać wygłupiać. Komunikacja to zjawisko, które musi się odbywać w obie strony. Dlaczego, do jasnej cholery, nic nam pani o tym nie powiedziała?

– O czym?

– Proszę nie udawać głupiej!

– Naprawdę nie wiem, o co chodzi. – Już miałam dość tej rozmowy. Szkoda, że nie kazałam się najpierw połączyć z Harrym, wtedy może bym wiedziała, o czym mówimy.

– Chcemy mieć te listy, i to natychmiast!

– Jakie listy?

– Te z tym zasranym proszkiem!

– Skąd pani o nich wie?

– Podobno dostaje je pani od wielu już dni. – Jej głos był oskarżycielski.

– Wyrzuciłam je. – I w tym momencie poczułam, że ściska mi się żołądek.

Musiałam odsunąć słuchawkę od ucha, ale potok inwektyw, jaki z niej wypłynął, był doskonale słyszalny.

– Proszę się jednak nie martwić – oznajmiłam, kiedy Riley trochę się wykrzyczała. – Właśnie otrzymałam następny.

– Co? Dziś?!

– Przed chwilą. Dopiero go otworzyłam.

– Natychmiast kogoś po niego wysyłam i lepiej będzie, jeżeli pani przyjedzie do nas. Niech nikt go nie dotyka!

Odsunęłam gwałtownie dłoń od koperty, jakby parzyła, i zaczęłam trzeć opuszki palców. Odłożyłam słuchawkę i podniosłam tę od aparatu obok.

– Harry?

– Boże, Britt. Gdzie byłaś? Jezus Maria...

W tym momencie rozległ się w tle głos wrzeszczącej na niego pani porucznik.

– No to na razie – rzucił szybko i odłożył słuchawkę.

Niemal natychmiast telefon znów zadzwonił. Nie mając czasu zawiadomić kierownika działu, co się dzieje, niecierpliwie poderwałam słuchawkę.

– Britt Montero, słucham!

– Britt? – Od tego głosu zwykle miękły mi kolana. Tym razem jednak byłam zbyt zajęta.

– McDonald...

– To ja. Rozmawiałaś może z wydziałem gwałtów?

– Ściśle mówiąc, porucznik Riley zmieszała mnie właśnie z błotem, a Arroyo odłożył słuchawkę bez słowa.

– Trzeba było zaraz do mnie oddzwonić. – Zabrzmiało to tak, jakby sam lada chwila zamierzał się ze mną pokłócić.

O co tu chodziło? Jaki miał powód, żeby się na mnie wściekać? Wpatrywałam się zafascynowana w list. Rozerwałam kopertę, ale znajdująca się w środku złożona na pół kartka wystawała jedynie do połowy. Powinnam czy nie powinnam?

Przyjrzałam się brudnej kopercie formatu A-5, zaadresowanej czerwonym długopisem do:

Pani Britt Montero,

„Miami Daily News”

Miami, Floryda.

Pionowe kreski wrzynały się w papier, jakby piszący bardzo się spieszył albo był wściekły jak cholera. „Y” miało oderwany „ogonek”, kropki nad „i” były wypełnionymi kółeczkami. Brakowało ulicy i kodu, oczywiście także adresu zwrotnego.

Gdyby koperta zawierała wygrany na loterii los albo propozycję małżeństwa od dawno nie widzianego kochanka, który nagle postanowił mnie uszczęśliwić, uznano by, że adresata nie da się ustalić. Wystarczy jednak, by do człowieka napisał kilka linijek domniemany

gwałciciel, a pracownicy poczty staną na głowie. Dziwiło mnie, na jakiej podstawie gliniarze uważają, że autor tych listów i gwałciciel to jedna i ta sama osoba.

– Sprawa jest naprawdę poważna – warknęła moja utracona miłość po drugiej stronie łącza.

Nagle zapaliło mi się zielone światelko.

– To doktor Simmons, tak? Od niego wydział gwałtów dowiedział się o tych listach?

McDonald przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się: skłamać czy powiedzieć prawdę. W końcu się zdecydował.

– Tak.

– McDonald, przesadzają. Niechcący wspomniałam w rozmowie z nim o listach od wariata. Dostają ich tony. Wszyscy dostajemy ich tony. To dla mnie dość nieprzyjemne. Te listy są upudrowane, fakt. Wiem, że gwałciciel używa rękawiczek chirurgicznych z pudrem w środku, ale ten proszek jest grubszy i bardziej aromatyczny.

– To prawda, nie znasz jednak paru szczegółów, Britt. To poważna sprawa.

Zdawało mi się, że w jego głosie usłyszałam ton niepokoju, zapytałam więc:

– Co ci się stało? Dlaczego zachowywałeś się jak wariat tego dnia, kiedy wyciągnęli z wody wrak samochodu? Kiedy rozmawiałam z kapitanem Norske.

– Kapitanem? – prychnął ironicznie. – Masz na myśli tego lalusia w uniformie lodziarza? Myślałam, że kupujesz u niego lody.

Cholera, pomyślałam. Naprawdę jest zazdrosny.

– Co to znaczy, że nie znam paru szczegółów?

Wrócił do oficjalnego tonu.

– Nie jestem upoważniony do ich ujawniania. Uczestniczyłem wprawdzie w poświęconej sprawie naradzie, ale śledztwo prowadzi porucznik Riley. Jestem pewien, że wydział gwałtów udzieli ci koniecznych informacji. W każdym razie uważaj na siebie, Britt. Facet przebywa na wolności, a jest niebezpieczny. Wiem, że nigdy nie słuchasz rad, ale nie baw się w kaskaderkę jedynie dla artykułu.

Podziękowałam za radę, odłożyłam słuchawkę i pognałam do gabinetu Freda Douglasa. Wiadomość, że policja jest w drodze do redakcji, wprawiła go – jak się wydawało – w szampański nastrój.

– Zaraz poproszę Marka Seybolda, żeby się tym zajął – powiedział, wystukując numer. – Myślisz, że coś w tym jest? – zapytał, nim Mark, prawnik „News”, podniósł słuchawkę.

– Nie sądzę, ale wiem teraz, że ukrywają informacje o podejrzanym i strasznie się podniecili czymś związanym z tym listem. Oczywiście na odległość.

Fred pogadał chwilę z Markiem, który zapewnił, że natychmiast się zjawi.

– Gdzie ten list? – spytał Douglas, wychodząc do hali redakcyjnej.

– Na moim biurku – odparłam z lekkim niepokojem. – Nie powinniśmy go dotykać.

– Otworzyłaś go?

– Rozerwałam kopertę, ale nie zdążyłam przeczytać, bo przerwała mi porucznik z wydziału gwałtów.

– Wołaj fotografa! – rzucił do mnie, kierując się do mojego biurka. – Potrzebujemy kogoś, kto natychmiast zrobi kilka zdjęć. Czasami wyrwanie czegoś z rąk policji bywa trudne. Technicznie biorąc, list jest własnością gazety i twoją jako jej przedstawicielki. Musimy wynegocjować z nimi jak najlepsze warunki. – Potarł dłonie niczym król Midas po dotknięciu rzeczy, która natychmiast zmieniła się w złoto.

– Fred, myślę, że powinniśmy im go dać bez przeszkód. Jeżeli naprawdę przysłał go gwałcieciel, jeśli może pomóc zidentyfikować przestępcę, nie chciałabym, żeby policja marnowała czas.

– To on? – Nachylił się nad biurkiem tak, że nosem właściwie dotykał koperty.

– Nie dotykaj go!

– Zawołałaś fotografa?

Zadzwoiłam do działu fotograficznego i poprosiłam Antonia, który właśnie pracował w ciemni, by szybko przyszedł zrobić kilka zdjęć listu.

– Co się dzieje, Britt? – Obok Freda stał Ryan. Brzęknął dzwonek windy i wysiadł z niej Mark Seybold.

– To on? – spytał, przyglądając się kopercie zmrużonymi oczami przez swe grube okulary. Wokół zaczęli się zbierać ludzie.

– Nie dotykać! – syknęłam.

Fred i Mark odbyli krótką naradę.

– Musimy za niego wynegocjować od glin wprowadzenie nas we wszelkie informacje dotyczące śledztwa – oświadczył w końcu Fred.

Mark skinął głową.

– Informacja za informacją. Zmusimy ich, by dali nam wszystko, co ukrywają przed opinią publiczną. Częścią umowy powinien być punkt, że nie wolno im niczego zdradzić konkurencji. Otrzymają list pod warunkiem, że... – wskazał na mnie – Britt dostanie do wglądu wyniki badań laboratoryjnych.

Boże drogi, gliniarze nigdy się na to nie zgodzą.

– Sądzę, że dla dobra dalszych stosunków z policją powinniśmy im dać list bez żadnych warunków – zaproponowałam. – Dla dobra sprawiedliwości.

– Zadzwońię do ochrony – oznajmił Mark, jakbym się wcale nie odzywała – i każę im zatrzymać policję w holu, dopóki nie uzyskamy zgody ich szefa. Jaki jest do niego numer, Britt?

– Szefem wydziału jest porucznik K. C. Riley – odparłam, niechętnie wyjmując z notesu kartkę z numerem wydziału gwałtów.

– Już do niego dzwonię – poinformował Mark, ruszając do biura Freda Douglasa.

– To nie on, tylko ona! – zawołałam za nim.

– Britt, zdejmij z biurka plakietkę z nazwiskiem, na wypadek gdyby weszli do redakcji, zanim będziemy gotowi. Nie muszą od razu wiedzieć, które biurko jest twoje. – Błyszczały mu oczy i zacierał ręce. – Trochę im to utrudni zadanie, bo najpierw będą musieli iść po nakaz rewizji. Co z twoim okiem?

– Nic – mruknełam, próbując powstrzymać drganie powieki. – Brak potasu. – Zachowywali się, jakbyśmy się spodziewali ataku sił specjalnych. Niechętnie wrzuciłam plakietkę z nazwiskiem do szuflady i przykryłam stosem starych wydruków. Miałam wrażenie, że robię coś nieuczciwego. Ochroniarze zatrzymają policję w holu? Sprawa chyba wymykała się spod kontroli.

Pojawił się Antonio, wyposażony w canona z pięćdziesięciomilimetrowym obiektywem.

– *Que pasa?* Dzie to masie? – Urodził się na Kubie, ale wychował w Miami i kiedy dwadzieścia lat temu zaczął pracować w „News”, podobno mówił perfektnie po angielsku. Wraz z kubanizacją Miami i gazety, stopniowo zapominał angielskiego i teraz ledwie się nim posługiwał.

– Nie dotykaj! – krzyknęłam.

Wspiął się na moje krzesło, postawił nogę na biurku i zrobił kilka zdjęć pionowo z góry. Potem zeskoczył i nie zważając na mnie, zaczął popychać kopertę ołówkiem i ją rozchyłać.

– Zaraz zabiorę ten list do laboratorium, Antonio. Nie dotykaj go.

– Tyko szestawiam. *Para la composición* – stwierdził, cofając się i lustrując biurko, zmrużywszy oko jak wielki artysta. Zmarszczył czoło i ponownie pchnął kopertę – tym razem kciukiem.

– *No lo toces!* – krzyknęłam, odsuwając jego dłoń.

– Co się tu dzieje, Britt? – dopytywał Ryan.

– Gliniarze uważają, że to list od Gwałciciela z Centrum – wyjaśniłam i Ryan natychmiast wyciągnął łapę po kopertę. – Nie dotykaj!

Mark najwyraźniej dodzwonił się do porucznik Riley, twarz miał bowiem czerwoną jak burak i wykrzywioną, jakby ktoś go dusił albo właśnie dostawał ataku apopleksji.

– W holu jest policjant i ktoś z laboratorium. Chcą się z tobą widzieć, Britt! – zawołała Gloria zza biurka.

– Proszę powiedzieć ochronie, żeby zatrzymała ich, aż Mark wyjaśni sytuację z ich zwierzchnikami – zarządził Fred niczym prowadzący bitwę generał.

– Fred – zaprotestowałam – jak sobie wyobrażasz moją z nimi współpracę i wyciąganie od nich na co dzień informacji, jeżeli odmawiamy współpracy, kiedy oni raz czegoś od nas chcą?

– To nie to samo, Britt. Oni są urzędnikami państwowymi, a my nie.

Gloria, ciągle ze słuchawką przy uchu, machała podekscytowana ręką i przekazywała najnowsze wieści. W holu odbywała się przepychanka ochroniarzy z policją. Do wianuszka ludzi wokół mojego biurka dołączyła Gretchen, marszcząc czoło, jakby całe zamieszanie było

tylko i wyłącznie moją winą. Stawiałam na gliniarzy. Detektyw na dole był najprawdopodobniej w kontakcie radiowym z porucznik, istniała więc spora szansa, że właśnie dała mu instrukcję, by zdobył list i szedł na górę niczym oddział piechoty morskiej. Prawdopodobnie był to Harry.

– Jeżeli odmówimy wydania listu – głośno myślał Fred – może się zdarzyć, że ktoś będzie musiał iść do aresztu za utrudnianie wykonania czynności służbowej.

Wszystkie głowy zwróciły się w moim kierunku. O nie.

– Tylko do momentu, aż Mark przedstawi sprawę sędziemu – dodał Fred, klepiąc mnie po ramieniu gestem, który miał być pocieszycielski. Nie podobał mi się ani rozwój wypadków, ani wyraz jego oczu.

– Zwołaj kolegium redakcyjne – mruknął półgębkiem do Gretchen, która ze złośliwym uśmiechem na ustach pognęła do telefonu.

Jasne. Męczennica będzie gnęła w lochu, a oni w tym czasie będą pisać płomienne artykuły. Oczywiście zachowam się jak dobry żołnierz i w imię nieujawniania źródła informacji pójdę siedzieć, tyle tylko że tym razem nie będę po stronie gazety.

– Jadą na górę – zaświergotała Gloria.

– Co jest, zastrzelili ochroniarzy? – zdziwiłam się.

– Wszyscy odchodzą od biurka Britt! – krzyknął Fred. – Natychmiast!

Grupka błyskawicznie się rozproszyła. Opadłam na fotel Ryana i próbowałam udawać niewiniątko.

– Britt! – syknął Ryan. – Nie chcę, żeby przeszukiwali moje biurko!

Piorunując go wzrokiem, wstałam. Przez chwilę rozważałam myśl, czy nie schować się w damskiej toalecie, ale przy moim szczęściu istniała szansa, że czeka tam na mnie gwałcieł. Brzęknął dzwonek przy windzie. Wyszli z niej Harry i Warren Forrester, technik z laboratorium. Na widok wybiegającego ze szklanego boksu Marka Seybolda stanęli i obciągnęli mundury. Twarze mieli nabiegłe krwią; byli wściekli.

– Świetnie – zaczął Mark – właśnie rozmawiałem z waszą szefową i zgodziła się, żeby Britt uczestniczyła w badaniach laboratoryjnych tego dokumentu w zamian za to, że nie opublikujemy przedwcześnie nic, co mogłoby zaszkodzić śledztwu. – Odwracając się do mnie, szepnął: – Ta Riley jest potworna. Co za niewyparzona gęba! Często masz z nią do czynienia?

Skinęłam głową, zadowolona, że nareszcie ktoś z kierownictwa gazety zrozumiał, jakich akrobacji wymaga moja praca. Nie wiadomo jednak dlaczego, poczułam potrzebę wzięcia w obronę K. C. Riley.

– Jedyne, na czym naprawdę jej zależy, to złapać gwałcieła – wyjaśniłam. Doskonale wiedziałam, że cała ta historia nie otworzy mi jej małego, twardego serduszka.

Harry, ciągle rozpalony na twarzy, rozglądał się wokół, nieufny i niepewny na obcym gruncie. Na ulicy był znakomity, ale nie miał doświadczenia w kontaktach z wrogo

nastawionymi redaktorami największej w Miami gazety i jej prawnikiem. Musiało mu nieco ulżyć, kiedy mnie zobaczył.

– Britt? – zapytał szorstko.

– Tutaj – powiedziałam, wskazując kopertę i uśmiechając się przyjaźnie.

Antonio zmienił obiektyw na szerokokątny i fotografował teraz panoramę stojących dokoła biurka ludzi.

– Po co to wszystko? Dostałam już parę takich i wyrzuciłam.

– Pogadamy o tym później – burknął Harry, lustrując pełne oczekiwania twarze.

Skinęłam głową. Tłum w miejscu przestępstwa zawsze mnie denerwuje, a teraz otaczali nas moi koledzy z pracy, czyli najagresywniej wścibscy ludzie w Miami.

Warren, technik, położył na krześle wyglądającą na wyposażenie rybaka walizeczkę i otworzył ją, ukazując cztery równe szeregi przegródek w środku. Z jednej z nich wyjął pęsetę. Ostrożnie złapał nią za rożek listu i włożył go do przezroczystej koperty. Zadaniem Warrena jest zbieranie i zabezpieczanie dowodów. Jest on pierwszym ogniwem łańcucha ludzi oglądających to, co w końcu zostanie zaprezentowane w sądzie. Spotykamy się często na miejscach przestępstw. Następnie wyjął blok zawierający białe cienkie acz mocne kartki i oderwał dwie z wierzchu. Jedną z nich przystawił do skraju biurka jak śmietniczkę, a drugą przez pełną minutę zgarniał na nią kurz i brud z blatu. Potem złożył kartkę tak, by to, co zebrał, nie wysypało się, i włożył ją do innej przezroczystej koperty. Kiedy skończył, poprosili mnie, żebym pojechała z nimi do komendy. Perspektywa wyduszenia z nich po drodze informacji była nęcąca, stwierdziłam jednak, że lepiej będę się czuła we własnym samochodzie. Jeżeli coś pójdzie nie tak z porucznik, będę miała przynajmniej samochód do ucieczki.

Spotkaliśmy się ponownie przed wydziałem gwałtów i Harry zaprowadził mnie na dobry początek do porucznik Riley. Zachowywała się niezwykle sztywno i z dystansem, wyraźnie wzburzona akcją prawnika „News” i jego szefa.

– Po co cały ten cyrk? – spytała.

– Sekundę – zaczęłam z nadzieją, że uda mi się wybielić. – Jestem tylko szeregowym żołnierzem. Musiałam im powiedzieć, że ktoś przyjdzie po list. Nie ma pani pojęcia, jak dokuczliwi potrafią być redaktorzy-ważniacy.

Skinęła ponuro głową, jakby to wiedziała. Harry usiadł nastroszony na skraju jedyne wolnego krzesła w gabinecie. Żeby zadowolić przełożoną, zaczął opowiadać, że właśnie zamierzał dokonać w „News” masowych aresztowań, niestety ku swemu wielkiemu żalowi został odwołany. Czułam jednak, że nie mówi tego z przekonaniem. W każdym razie z niezbyt wielkim.

– Jeżeli w tym liście i w poprzednich dwóch, które dostałam, jest coś ważnego, to szkoda, że nie uprzedziliście mnie o tym, bo wtedy umiałabym docenić ich wagę i mogłabym zawiadomić, kogo trzeba. – Ponieważ nie było odpowiedzi, ciągnęłam dalej: – Każdy

pracownik gazety, który podpisuje artykuły nazwiskiem albo którego nazwisko znajduje się w stopce, otrzymuje listy od wariatów. Przypuszczam, że i w tym wypadku jest to tylko jeszcze jeden pomylenieć.

– To się okaże – warknęła Riley, po czym rozpromieniła się w uśmiechu. Przez chwilę byłam kompletnie zaskoczona, zaraz jednak zrozumiałam, że nie dotyczy on mnie.

Do gabinetu wetknął głowę porucznik Kendall McDonald. Kiwnął mi krótko i spytał:

– Wszystko w porządku, Kathy?

Nie mogła być bardziej uszczęśliwiona.

– Dzięki Ken, tak.

Kathy? Ta uśmiechająca się baba, która zamrugała kokieteryjnie oczami i odrzuciła do tyłu blond loki, jeszcze niedawno zamierzała mi przestrzelić oba kolana za samo wymienienie jej imienia. McDonald zamknął drzwi i oczy porucznik znów zwróciły się ku mnie, a uśmiech zniknął. Spróbowałam skoncentrować się na temacie, który nas skojarzył.

– Dlaczego sądzi pani, że list pochodzi od gwałciciela?

Wstała, podeszła do okna i zaczęła z zadumą patrzeć w dal. Jej szczupłą, wysportowaną sylwetkę podkreślały granatowe spodnie męskiego kroju i prosta bluzka, ozdobiona jedynie odznaką strzelca wyborowego, którą umieściła strategicznie na lewej piersi.

– Umowa brzmi, że nie będzie pani publikować niczego, póki nie wyrazimy na to zgody.

– Żadnych nowych informacji, które uzyskam od pani ludzi. – Najlepiej było na początku wyjaśnić sobie zasady.

Wróciła za biurko. Wyglądała na niespokojną, oczy miała zamyślane, nerwowo postukiwała długopisem w zawleczkę atrapy granatu przed sobą.

– Otrzymaliśmy wyniki analizy pudru pozostawionego na skórze ofiar.

Podniosłam głowę.

– Talk z rękawiczek?

– Nie. Dziwi mnie, że jeszcze tego pani nie wie. Sądziłam, że moi ludzie mówią pani wszystko.

Harry aż się skulił. Staralam się nie patrzeć na niego i udawać niewiniątko. Prawdopodobnie z daleka widać było po nim, że czuje się winny. Gliniarze nie są zbyt dobrzy w maskowaniu się. Riley wpatrywała się we mnie, wykrzywiając twarz w sardonycznym grymasie. Zastanawiało mnie, czy McDonald uważa ją za atrakcyjną kobietę. Na pewno tak. Mieli wiele wspólnych tematów – wielokrotne morderstwa, seryjne gwałty, sekrety i plotki zawodowe, którymi ze mną nie podzieliliby się nigdy.

– Po każdym gwałcie pudrował ofiary, ich ciała i twarze.

Aż się skuliłam z powodu tej wizji.

– Czym?

– Tanim perfumowanym pudrem w proszku o nazwie „Północny jaśmin”, który sprzedawany jest w dużych, okrągłych jaskraworóżowych pudełkach z wielkimi puszystymi poduszkami w środku. Można go kupić w każdej drogerii, każdej sieci z tanimi kosmetykami.

– Dlaczego to robi?

– A dlaczego robi każdą inną rzecz z tych, które robi? Może realizuje jakieś swoje fantazje? Pamięta pani tego śmiecia, który nacierał ofiary olejem spożywczym? Może podoba mu się zapach, może dotyk napudrowanej skóry? Zapytamy o to, kiedy go złapiemy.

– Czy coś jeszcze ukrywacie?

– Tak, ale nie chcemy jeszcze o tym mówić.

Westchnęłam.

– Gdzie jest teraz list?

– Warren zabrał go do laboratorium.

– Mogę popatrzeć, co z nim wyczynia? – Zmrużyła oczy. – Taka jest umowa – przypomniałam.

– Harry, niech ją pan zaprowadzi. – Pani porucznik podniosła słuchawkę i machnęła ręką, byśmy sobie poszli.

Zauważyłam jeszcze, jak wciska cztery klawisze – wewnętrzny numer. Szczęki jej się rozluźniły, rysy wygładziły – założyłabym się o kolację w najlepszym lokalu, że Kathy dzwoniła do Kena.

Rozdział jedenasty

W supernowoczesnym laboratorium policyjnym byłam dotychczas tylko raz – z okazji pokazu prasowego w dniu otwarcia nowej komendy. Sufity są tu wysokie, światła jasne. Pod dwiema ścianami bieżną błyszczące chromem kontuary, podzielone na segmenty dla chemików, kryminologów i techników. Przed każdym miejscem pracy znajduje się okno – z jednej strony wygląda się na boisko, z drugiej – na parking.

Wyżej, w nadbudówce na dachu, mieści się wentylowana suszarnia tak zwanych mokrych dowodów. Tam przechowuje się wszystko, co brzydko pachnie – zakrwawione ubrania, rzeczy znalezione przy zgniłych zwłokach. Technicy pobierają z nich próbki w celu ustalenia grupy krwi, chemikaliów, z jakimi kontaktowały się zwłoki, lub określenia różnych danych na podstawie nadpaleń wokół ran postrzałowych.

Przywitał nas Warren. Jest niski, ma jasne kręcone włosy, okulary i cienki wąsik. Jak większość techników kryminalnych, bardzo lubi swoją pracę, w laboratorium bowiem można wykonywać porządną robotę policyjną bez użerania się z małostkową polityką wydziału, no i nie ma się do czynienia z opinią publiczną. Ludzie z laboratorium są jak mało kto napaleni na rozwiązywanie łamigłówek, składanie całości z drobnych fragmencików i odsłanianie zagadek dotyczących ciemnych stron życia i świata. Należą do absolutnej czołówki – razem z policjantami z wydziału zabójstw, prokuratorami zajmującymi się zbrodniami pierwszego stopnia, patologami i sądami wyższych instancji tworzą grupę najświatlejszych umysłów z zakresu prawa, medycyny i zachowania porządku publicznego.

– Zawiadomiłem już daktyloskopa, eksperta od dokumentów, analityka śladów i serologa – poinformował Harry'ego.

– Serologa? – zdziwiłam się.

Skinął głową z wyraźnym zadowoleniem.

– Jeżeli polizał kopertę, zrobimy analizę DNA. Zobaczymy, czy zgadza się z próbkami nasienia pobranego u ofiar.

Wspaniale. Jeżeli nie zdradzi go jeden płyn ustrojowy, zdradzi następny.

– Ile czasu to zajmie?

– Za dwa lub trzy dni będziemy wiedzieć, czy DNA pochodzi od tego samego osobnika. Na pełną analizę i stworzenie profilu potrzeba czterech do sześciu tygodni. – Włączył nie większy od zabawki odkurzacz z odkręcanym zbiorniczkiem i pieczołowicie oczyścił kopertę, potem pęsetą wyjął ze środka kartkę i też ją odkurzył.

– A więc po to są te zabawki – zażartowałam, ale nie uśmiechnął się. – Zawsze chciałam poznać mężczyznę, który umie sprzątać. Myje pan też okna?

– Najciekawsze znajduje się przed zbiorniczkiem – poinformował, najwyraźniej zafascynowany swoją zabawką. – Jest tam specjalne urządzenie, które wyłapuje najdrobniejsze cząstki.

– Zobaczmy, co napisał – powiedziałam niecierpliwie.

Warren niezwykle pieczołowicie rozłożył list płasko na blacie. W zagięciach zebrało się trochę proszku, który też dokładnie wessał.

– Hmm – mruknął, więc zajrzałam mu przez ramię.

Autor listu tak mocno naciskał czerwony długopis, że w kilku miejscach przedarł kartkę. Pomyślałam, że to nie najlepszy znak.

Uważaj, Britt Montero.

Nie posłuchałaś. Obraziłaś mnie.

W podpisie był ten sam symbol co zawsze – chyba łuk z trzema strzałami.

Krótko i zwięźle, ale niezbyt oryginalnie. Próbowałam wyobrazić sobie autora i sposób, w jaki pracuje jego umysł. Czy tak bardzo dotknęło go moje przypuszczenie, że jest chory i coś z nim nie w porządku? Czy byłby tak samo urażony, gdyby napisał to mężczyzna?

– Kiedyś już coś takiego widziałem – oznajmił Harry, przyglądając się podpisowi. – Jako tatuaż u *marielitos*.

– Tak – potwierdziłam. – Wydaje mi się, że to symbol jakiegoś boga z kultu santerii. – Wiedziałam, kto mógłby powiedzieć mi więcej na ten temat.

Warren wyjął z biurka grubą księgę, stanowiącą przygotowany na użytek policji wykaz najróżniejszych, niezliczonych religii, których przedstawiciele pojawili się w ostatnich dwudziestu latach w Miami. Wudu z Haiti, obeah z Jamajki, jahwici, zwący się też czarnymi hebrajskimi Izraelitami: wystarczy podać nazwę, a wszystko się znajdzie.

O ile wiem, santeria jest wiarą w różnych bogów, mieszanką katolicyzmu i religii afrykańskich, przywiezioną na Kubę przez niewolników z Nigerii, sprowadzonych tam dwieście lat temu do pracy na plantacjach trzciny cukrowej. Zmuszeni do przejścia na katolicyzm, zachowali oni starą wiarę, ale przed swymi ciemieżcami udawali, że czczą chrześcijańskich świętych. Tak naprawdę jednak kontynuowali dawne praktyki, obejmujące między innymi składanie ofiar ze zwierząt.

– Mam – stwierdził Warren, wskazując na odpowiedni rozdział.

Między czarnym stalowym kotłem, symbolem boga Ogguna, patrona wojny, pracy, żelaza i stali, a dwustronnym kamiennym toporem boga Chango znajdował się rysunek łuku i strzał.

– Symbol boga Ochosi – przeczytał Warren – patrona myśliwych, do którego należą ptaki i zwierzęta. Ceni jako ofiarę kurczaki i rum. Rozgniewany może sprowadzić kłopoty z prawem.

– Jeżeli gwałcieciel to wyznawca santerii, być może wierzy, że jest niezwyciężony – powiedziałam.

– Miejmy nadzieję, że dalej będzie wierzył – ponuro skonstatował Harry.

Warren zabrał się do robienia zdjęć listu. Położył go na płaskim blacie z nierdzewnej stali i wziął do ręki skomplikowane wyglądającego polaroida z trzydziestopięciomilimetrowym obiektywem. Potem list przejął kryminolog Andy Eckberg.

Andy ma falowane, przetykane siwizną włosy, okulary w rogowych oprawkach, szeroki uśmiech i dyplomy z biologii oraz chemii. Gdy po dwudziestu latach pracy w laboratorium FBI zasłużył na państwową emeryturę, przeniósł się na Florydę, by korzystać ze słońca i pracować w tutejszym laboratorium policyjnym. Dowiedziałam się tego, kiedy Warren nas przedstawił. Uścisnęliśmy sobie dłonie – miał przyjemny, mocny uścisk, choć jego dłonie były miękkie jak u kobiety.

Skierował na list skośnie padające światło, by sprawdzić, czy na papierze nie ma odcisków pisma. Byłoby sympatyczne odkryć wiadomość napisaną na poprzedniej kartce bloku – na przykład zawierającą nazwisko i adres autora, ale tym razem nie mieliśmy tyle szczęścia.

Koperta, papier w środku i tusz były tanie i niczym się nie wyróżniały. Andy sypnął na papier aluminiowy pył, by poszukać odcisków palców. Na liście nie było nic, ale na kopercie uwidocznił się wyraźny odcisk kciuka. Zanim jednak zaczęliśmy się cieszyć, przyniósł poduszkę z tuszem oraz kartę wzorów odcisków palców i zdjął moje. Mierziło mnie, że w ten sposób znajdę się w policyjnej kartotece, ale nie dało się tego uniknąć. Odcisk na kopercie był mój.

– Prawdopodobnie pisał w rękawiczkach – stwierdziłam, nacierając palce specjalnym żelem myjącym. Opłukałam dłonie w zlewie i wytarłam papierowym ręcznikiem. – Dlaczego wkłada rękawiczki, a nie używa prezerwatyw?

– A dlaczego gwałcieciel miałby używać prezerwatyw? – zdziwił się Harry, jakbym zadała głupie pytanie.

– A dlaczego używa rękawiczek?

– Wygląda mi na to, że ktoś tu nie rozumie pewnych zasad – oznajmił Warren, pakując sprzęt, żeby móc go zabrać na miejsce przestępstwa.

Stukrotne powiększenie stereoskopowe wykazało, że proszek z listu jest nieorganiczną substancją z dodatkami zapachowymi.

– Weźmy go pod mikroskop polaryzacyjny i sprawdźmy, czy jest identyczny z poprzednim pudrem – zaproponował Andy. – Talk to właściwie wydobyty z ziemi i odpowiednio przerobiony minerał. Cechami charakterystycznymi poszczególnych jego rodzajów są dodatki pochłaniające wilgoć, zapachy i rozjaśniacze, dodawane w celu poprawienia granulacji i spowodowania, żeby proszek był bardziej jedwabisty w dotyku. Mikroskop polaryzacyjny pokaże nam frakcję krystaliczną, analizy chemicznej zaś dokonamy za pomocą podczerwieni.

– Jak ustalicie producenta?

– Producenci kosmetyków i środków zapachowych zrzeszeni są w związkach. Umieją identyfikować własne wyroby i rozpoznać, czy nie dodano domieszek.

– Czyli możecie uzyskiwać od nich informacje tak samo jak od producentów farb i opon? Skinął głową.

– Mamy w komputerze dane dotyczące standardowych wyrobów Duponta, Pittsburgha i Gliddena.

Okazało się, że Andy pracował kiedyś nad pewnym zabójstwem, o którym pisałam; jedynym śladem był wówczas fragment odcisku opony, zostawiony na pustkowiu, gdzie porzucono zwłoki. Związek producentów opon samochodowych ustalił na podstawie profilu i szerokości opony, że została wyprodukowana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku przez Goodyeara. Listę specyfikacyjną opon sporządzono na potrzeby inżynierów i architektów, którzy projektując domy, parkingi i garaże, muszą brać pod uwagę promienie skrętu różnych pojazdów. W tym wypadku dostarczyła ona informacji, że opona, której ślad pozostawiono, mogła pasować jedynie do checkera albo pewnego specjalnego modelu cadillaca, czyli dwóch bardzo rzadkich modeli samochodów. Tylko jedna osoba z kręgu znajomych ofiary miała taki samochód – cadillaca. Detektywi skoncentrowali się na obserwacji tego podejrzanego, zebrali dowody i wykazali jego winę. Andy wie, co robi.

Zaczęłam snuć w głowie wątki artykułu o nieznanym bohaterach laboratoriów kryminologicznych. Przyjemnie byłoby coś takiego napisać; może mogłabym też dzięki temu zawrzeć nowe znajomości i zdobyć dodatkowe źródła informacji. *Uczeni detektywi*, czyli rzecz o ludziach prowadzących śledztwo z użyciem najnowocześniejszego sprzętu i najciekawszych przypadkach w ich karierze. Tak, to byłoby idealne dla „Perspektyw” albo do magazynu niedzielного. Kiedy skończy się sprawa z gwałcicielem, zaproponuję taki artykuł redaktorowi naczelnemu „Perspektyw”, Pete’owi Sanchezowi.

Andy znalazł w odessanym z listu pudrze tylko jedną nietypową cząsteczkę.

– Może to skądś spadło, kiedy pisał list, a może pochodzi z jego włosów albo skóry.

Spektrometr masowy określił drobinę jako cząsteczkę farby.

– Na bazie ołowiu – stwierdził Andy.

– Gdzie się używa takich farb?

– Obecnie w bardzo niewielu miejscach. W produkcji osprzętu dla statków, w stoczniach i dokach naprawczych, gdzie zeszkrobuje się kadłuby.

– Niewielka to pomoc w okolicy pełnej wody, portów, przystani i baz Straży Wybrzeża – mruknął Harry. – A poza tym może byś wreszcie się poddała i poprosiła kogoś innego, żeby przejął sprawę?

– Oszalałaś?

– Pomyślałem, że nie zaszkodzi zaproponować. To wcale nie byłoby takie głupie.

Nie ze mną takie numery, pomyślałam gorączkowo. Wzruszył ramionami i się odwrócił.

Wróciwszy do domu, zadzwoniłam do ciotki Odalys. Szczęśliwa jak zwykle, że się odzywam, zadała mi mnóstwo pytań na temat tego, co jadam, co z mężczyznami i pracą. Zapytałam o Ochosi.

– *Si* – szepnęła. – Święty Norbercie, co chcesz konkretnie wiedzieć?

– Opowiedz ogólnie.

– Jest myśliwym. Bogiem polowania i zastawiania pułapek, obrońcą tych, którzy chcą uniknąć uwięzienia. Jego symbolami są łuk z trzema strzałami, jelenie poroże oraz zielone i brązowe paciorki. Można sporządzić Aguana, aby oddawać mu cześć poprzez Elegguę – oszusta, Ogguna – właściciela noża i Oshuna – obrońcę narządów płciowych.

– Oshun? Czy to...

– Tak, kielich wypełniony piórami i prochem, z głową koguta na wierzchu.

Rozboliła mnie głowa. Zaczęłam się zastanawiać, czy mam w domu aspirynę.

– Do sporządzenia Aguana potrzeba mięsa, miodu, ryżu, owoców i jajek. No i oczywiście zwierząt – dla krwi.

Podziękowałam ciotce i obiecałam, że wkrótce wpadnę.

Myśliwy. Wzdrygnęłam się, odkładając słuchawkę.

Rozdział dwunasty

Następny dzień zaczął się od wielkiego „bum”, nie miałam więc czasu myśleć ani o gwałcicielu, ani o Mary Beth Rafferty. W apogeum godzin szczytu zapaliła się jadąca autostradą furgonetka i natychmiast stanęła w płomieniach. Kierowcy udało się uciec, ale zostawił w środku dwie skrzynki amunicji rewolwerowej dużego kalibru. Po chwili naboje zaczęły eksplodować i strażacy oraz kierowcy, którzy zatrzymali się, by gasić furgonetkę, musieli się rozpierzchnąć, by ujsć z życiem, i chować przed strzałami. Wybuchy dudniły niczym serie z karabinu maszynowego. Zamknięto autostradę w obu kierunkach i gliniarze ze strażakami zalegli w rowie, aż było po wszystkim. Kilka razy ogień cichł i wydawało się, że naboje się skończyły, natychmiast jednak zaczynała się kolejna salwa. Można było odnieść wrażenie, że w Miami o ósmej rano ogłoszono wojnę, przy czym dodatkowego smaczku dodawał sytuacji koncert, jaki urządzili na klaksonach wściekli kierowcy.

Lottie była zachwycona, że nareszcie ma okazję włożyć kamizelkę kuloodporną, którą wraz z innymi niezbędnymi do życia akcesoriami wozi w bagażniku. Na miejscu zdarzenia byliśmy zbyt zajęte, by rozmawiać, spotkałyśmy się jednak potem na szybką kawę w redakcyjnej kawiarence.

– Masz dobre zdjęcia furgonetki? – spytałam, rozrywając paczuszkę z cukrem i wsypując połowę do filiżanki.

– Mam. Widziałaś ją po wszystkim?

– Nie widziałam czegoś tak posiekanego kulami, od kiedy wspólnicy Mauricia Mirandy postanowili go załatwić z przesadnym użyciem ołowiu.

– Mówisz o tym kolumbijskim handlarzu narkotyków, którego załatwiono we własnym samochodzie ponad pięćdziesięcioma kulami? – Mówiąc patrzyła w małe lusterko i malowała usta koralową szminką.

– Aha. – Zerknęłam na wiszący wysoko na ścianie wielki zegar, dający jednoznaczna wskazówkę tym, którzy chcieliby posiedzieć trochę dłużej.

– Jakież wieści od nowej listownej sympatii?

– Od gwałciciela? Nie, ale jeszcze nie sprawdzałam dzisiejszej poczty. Lottie... – mieszałam kawę drewnianą pałeczką, które służą tu za łyżeczki – martwię się.

– Też bym się martwiła, gdyby czyhał na mnie gwałcieciel.

– Nie o to chodzi – mruknęłam smętnie i opowiedziałam o Kendallu McDonalddie oraz K. C. Riley.

– Najgorsi porucznicy wszech czasów. Może prawda jest inna, niż to z pozoru wygląda? Trudno rywalizować z kimś, z kim facet pracuje i kogo codziennie widuje. – Wypiła łyk kawy i pogłaskała mnie po dłoni. – Jeżeli jednak tak jest, może warci są siebie. Z tego, co mówisz, ona wygląda na obcinaczkę jaj. Potrzeba ci trochę rozrywki i odpoczynku. – Popatrzyła kokieteryjnie. – Rozmawiałś ostatnio z kapitanem Norske?

Pokręciłam głową.

– Zadzwon do niego, przyjmij zaproszenie na wycieczkę. Zobacz, co z tego wyniknie.

– Cześć, dziewczyny! – Ryan niósł w jednej ręce styropianowy kubeczek, z którego wylewała się kawa, w drugiej zaś olbrzymie ciastko. – Britt, Gretchen próbuje od jakiegoś czasu cię złapać.

Cholera. Sprawdziłam przypięty do torebki pager.

– A niech mnie, zapomniałam go rano włączyć.

– Zapomniałaś? – chytrze spytał Ryan.

Lottie wyszczerzyła zęby.

– Wiedziałaś, że Gretchen ma dziś dyżur, co?

Odsunęłam krzesło, wstałam i wróciłam do redakcji. Wzięłam z przegródki w sekretariacie pocztę i ostrożnie ją sprawdziłam. Z żadnej koperty nie posypał się puder, nie było niczego dziwnego ani podejrzanego, przynajmniej nic dziwniejszego i bardziej podejrzanego niż zwykle. Jeden z listów zaadresowano pomarańczową kredką, była też stara, pożółkła kartka pocztowa, która musiała przeleżeć ostatnie dwadzieścia pięć lat w czyjejs szufladzie. Zapisano ją drobnym, przypominającym pajęczynę pismem, zajmującym też margines. Gruby list ze stemplem poczty więziennej zaczynał się od słów: *Droga Pani lub Panie, w zależności, na kogo padnie. JESTEM NIEWINNY!*

– Gdzie się pani podziewała? – przywitała mnie Gretchen.

– Biegałam po autostradzie, na której wybuchały naboje, a samochody stały w obie strony w kilometrowych korkach.

– Proszę nie przeznaczać na to zbyt wiele czasu i miejsca. Wystarczy kilka linijek, mamy dość tematów. Co rusz przydarzają się w godzinach szczytu jakieś incydenty – skomentowała, bagatelizując sprawę.

– Ale takie jak dziś nieczęsto. Jedna z kul drasnęła strażaka, inna trafiła w reflektor na policyjnym radiowozie. – Spojrzałam do notesu. – Wśród cywilów były dwa zawały i udar mózgu. Tysiące ludzi spóźniło się do pracy. Na dodatek mamy dobre zdjęcia, bo Lottie zdążyła dotrzeć tam na czas.

Gretchen nie okazywała entuzjazmu.

– Na miejscu zjawily się wszystkie stacje telewizyjne i reporterzy z gazet – dodałam. – Sądzę, że telewizja zamierza zrobić z tego temat dnia. Podobno jedna ze stacji planuje poświęcić temu wydarzeniu program specjalny.

To przyciągnęło jej uwagę. Redaktor naczelny ogląda wszystkie trzy stanowe stacje telewizyjne i kooperujące z nimi lokalne. Jeżeli któraś z nich nada reportaż z południowej Florydy, którego nie zauważymy albo potraktujemy z niewystarczającą uwagą, w redakcji zaczyna się piekło.

– No tak... – powiedziała Gretchen, udając, że podjęła decyzję niezależnie od mojej sugestii. – Proszę napisać, co pani uważa, potem zobaczymy.

Prawdą było, że na miejscu zdarzenia nie rozmawiałam z nikim z telewizji, zwłaszcza że większość ekip latała nad autostradą helikopterami, miałam jednak dziwne przecucie, że kilku redaktorów telewizyjnych mniej więcej w tym samym czasie przekonuje swoich opornych szefów argumentem: – Słyszałem, że „News” zamierzają dać to na pierwszą stronę. Wściekłe poranne zatory są jednym z tematów, od których Izba Handlowa i miejski Wydział Turystyki dostają bólów głowy, ale ludzie z radością o nich czytają. Ledwo skończyłam pisać, kiedy przy moim biurku zjawił się Bobby Tubbs, jeden z zastępców kierownika działu miejskiego.

– Dostaliśmy właśnie telefon o wypadku na budowie, który może cię zainteresuje.

– Wypadek na budowie?

– Tak, przedsiębiorca budowlany, facet, do którego należała firma stawiająca budynek, wpadł do mokrego cementu. Chyba coś dla ciebie. – Rzucił mi na biurko kartkę z adresem.

Miejscem zdarzenia było wznoszone w zachodniej części hrabstwa Dade centrum handlowe, które wdarło się w subtropikalną puszcze dającą na zimę schronienie kilku gatunkom rzadkich ptaków. Ponieważ jednocześnie budowano zjazd z autostrady i domy mieszkalne, musiałam przeciskać się między wielkimi ciężarówkami i ciężkim sprzętem budowlanym. W czasie szybkiej jazdy nieco mnie chłodził wpadający przez okno wiaterek, ale wystarczyło nieco zwolnić, by wilgotne strąki włosów zaczęły oblepiać czoło i kark. Cholera jasna, powinnam oddać samochód do warsztatu, żeby naprawili mi klimatyzację.

Zaparkowałam w cieniu wielkiego sączyńca i zostawiłam samochód z otwartymi oknami, żeby zbyt nie rozgrzał. Dookoła kręcili się gliniarze z policji stanowej: rozmawiali z inwestorem, architektem, brygadzistą betoniarzem. Kierownik budowy okazał się jednak wolny i zechciał wprowadzić mnie w szczegóły. Al Benjamin był krępy i opalony, koszula opinała mu brzusek, na głowie miał pomarańczowy hełm z nazwą firmy i swoim nazwiskiem. Z powodu działań policyjnych musiano przerwać pracę i wyglądało na to, że Al przejmuje się tym znacznie bardziej niż tragicznym zejściem przedsiębiorcy.

– Mam w kontrakcie klauzulę terminowości – wyjaśnił, zapalając cygaro. Otwarcie centrum planowano na wiosnę, dosłownie „na styk”. Za każdy dzień wcześniejszego skończenia prac wyznaczono nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, a za każdy

dzień spóźnienia – karę w takiej samej wysokości. Dotrzymanie lub przyspieszenie terminu było też chyba sprawą osobistej ambicji Benjamina. – Moje budowy zawsze są kończone na czas i bez przekraczania budżetu. Robotnikom płaci się od godziny i nie stać nas na stratę pół dnia. – Skrzywił się, wyjął z ust cygaro i krzyknął do kogoś ze swoich ludzi: – Jedzie wyżerka! – Pojawił się mikrobus mający jeden bok z niemalowanego aluminium – objazdowa stołówka z kanapkami, kawą i przekąskami – zatrąbił pierwsze takty z *La Cucaracha* i stanął, otoczony natychmiast przez robotników. Wróciliśmy do rozmowy. Po tym, co mi opowiedział Al, przestałam się dziwić, że każdy chciał się napić kawy. Sama chętnie napiłabym się czegoś mocniejszego.

Od kilku dni stawiano dwadzieścia pięć żelbetowych słupów mających stanowić konstrukcję piętrowego garażu. Najpierw w wyznaczonych miejscach zakotwiczano w ziemi po cztery pionowe stalowe pręty, utrzymywane w odpowiedniej od siebie odległości przez żelazne kształtki. Dwa dni temu skończono wykonywać szalunki, czyli formy w kształcie kolumny z grubej na dwa centymetry sklejki. Wczoraj o świcie podjechało pierwszych sześć z trzydziestu betoniarek, gotowych do wylania po osiem metrów sześciennych cementu każda. Przedsiębiorcy, Sama Farringtona, lat pięćdziesiąt pięć, nie widziano w tym momencie na budowie, choć jego czarny mercedes stał jak zwykle obok przyczepy mieszkalnej firmy budowlanej. Zdaniem Benjamina, Farrington był trudnym szefem, ze skłonnościami do nadmiernej kontroli podwykonawców i ingerowania w ich zadania, toteż załoga wcale nie była zmartwiona, że go nie ma. Musieli wylać masę cementu, a wiadomo, że dobry efekt zależy w takim wypadku od właściwej koordynacji poszczególnych elementów pracy. Przystoje są bardzo drogie. Dostawca cementu poczekał więc dwadzieścia minut i dał znak brygadziście, by zaczął swoje.

Brygadzista musi wówczas utrzymywać stały kontakt radiowy z kierowcami betoniarek, by po opróżnieniu jednej, natychmiast podjeżdżała następna. W tym czasie stojący na biegnącej wokół szalunku specjalnej platformie robotnik zanurza w płynnym cemencie specjalny, napędzany benzynowym generatorem wibrator, który usuwa mogące osłabić konstrukcję pęcherze powietrza. Skończywszy wylewanie cementu, zostawiono kolumny na dwadzieścia cztery godziny, żeby beton stwardniał, i dziś robotnicy przyszli zerwać z nich szalunki. Farringtona dalej nie było, ale jego mercedes stał w tym samym miejscu. Kiedy zerwano szalunek z czwartej kolumny, stało się jasne, gdzie się podziewał.

– Proszę za mną, pokażę pani – ponuro rzucił Benjamin, odwracając się na pięcie i ruszając przed siebie.

Obeszliśmy kolumnę, która wkrótce będzie północno-zachodnią podporą piętrowego garażu. Choć wiedziałam, czego oczekiwać, dosłownie mnie zatkało.

– Oto on – obojętnie powiedział Benjamin. – Robię w tym interesie od dziecka, a pierwszy raz widzę coś takiego.

Zaginiony przedsiębiorca stał, co było jedyną pozycją możliwą do zajęcia w kolumnie. Ze stwardniałego betonu wystawały: pukiel włosów, nos, kolana i czubki butów. Najwyraźniej został przyciśnięty do szalunku, kiedy lano z góry cement. Wyglądał jak skamieniała ofiara wybuchu wulkanicznego.

Kiedy brygadzysta przekazał informację o znalezisku, przedstawiciel inwestora, architekt, Benjamin, jego zastępca i inspektor okręgowy zebrali się na naradę. Ktoś zadzwonił pod dziewięćset jedenaście, myśląc, że wypadek dopiero co się wydarzył, ale nie był on nagły. Żeby wyciągnąć zwłoki, trzeba by użyć dynamitu. Takie też było moje pierwsze pytanie.

– Jak go ruszycie, żeby zrobić sekcję zwłok?

– Spece właśnie nad tym debatują – stwierdził Benjamin, marszcząc czoło na widok robotników, którzy zamiast pracować, zaczęli się rozchodzić z kanapkami i kawą w dłoniach.

Policja kazała zburzyć ośmiometrową kolumnę, co wydało mi się logiczne. Brygadzysta, chudy mężczyzna w gumiakach, wyglądał na zadowolonego, kiedy okazało się, że jego ludzie, choć zabrali się do roboty młotami pneumatycznymi, mają z tym ogromne trudności.

– Co postawimy, to stoi – stwierdził filozoficznie.

Śledztwo prowadził Orestes Diaz, policjant z wydziału zabójstw policji Metro-Dade, odpowiedzialnego za pozamiejski teren hrabstwa.

– Jak, pańskim zdaniem, tam się dostał? – spytałam, przekrzykując huk młotów pneumatycznych.

Diaz się pocił, w gęstych wąsach i włosach miał drobiny betonu.

– Nie wiem! – odkrzyknął.

Właśnie ściągano mercedesa ofiary, by zbadać go w policyjnym laboratorium.

– Uważa pan, że to wypadek czy przestępstwo?

– Nie wiadomo. Ostatni raz widziano Farringtona w domu, w środę, a szalunki skończono we wtorek. Moi ludzie twierdzą, że po robocie nigdy nie kręcił się na budowie. – Diaz podrapał się w głowę i charknął. W gorącym, nieruchomym powietrzu unosił się drażniący drogi oddechowe betonowy pył, który też natychmiast przyklejał się do skóry. – Coś pani powiem, Britt. Gdyby nie przycisnęło go do szalunku, nigdy by go nie odnaleźli. Podobno w jednym z filarów stadionu Gigantów zacementowany jest Jimmy Hoffa. Jeżeli tutaj było zabójstwo, to sprawcy zależało, żeby nie odnaleźli ciała. Farrington podtrzymywałby to centrum handlowe przez sto lat.

Skrócono kolumnę do wysokości mniej więcej pięciu metrów, rozkruszono beton u podstawy i robotnicy przecięli palnikami pręty, uwalniając blok, w którym zamknięte były zwłoki. Dźwig przeniósł czterometrową betonową trumnę Farringtona na platformę z niskim podwoziem. Na czas podróży do ośrodka medycyny sądowej przykryto blok plandeką.

– Myśli pan, że zdołają ustalić przyczynę śmierci? – spytałam.

– Sądzę, że tak, tyle tylko że będzie masa roboty z wydostaniem go ze środka.

Wcisnęłam się do samochodu, by jak najszybciej wrócić do redakcji i napisać krótką notkę do pierwszego wydania. Po drodze wstąpiłam do maleńkiego przydrożnego sklepiku po coś chłodnego do picia. Zatoki miałam pełne betonowego pyłu i zaczynała boleć mnie głowa. Skorzystałam z toalety, opryskałam twarz i ramiona wodą, popatrzyłam, co leży w chłodziarce, wzięłam napój czekoladowy i poszłam z nim do kasy. W sklepie – maleńkim rodzinnym interesie, który prawdopodobnie splajtuję, kiedy otwarte zostanie centrum handlowe – spędziłam nie więcej niż siedem, może osiem minut. Zaparkowałam tuż przy budynku, na parkingu z miejscami na sześć samochodów, ale mój był jedyny. Wyjechałam tyłem i po drodze popijałam napój. Kiedy skończyłam, sięgnęłam na tylne siedzenie, by wrzucić butelkę do torby na śmieci, którą zawsze tam wożę. Tak porządnej obywatelce jak ja nawet przez myśl by nie przeszło wyrzucić pustą butelkę przez okno. Na autostradzie był spory ruch, patrzyłam więc uważnie przed siebie, prawą ręką ściskając kierownicę, lewą zaś macając na ślepo za sobą. W pewnym momencie poczułam, że włożyłam palce w coś lepkiego i śliskiego. Szarpnęłam gwałtownie dłoń i spojrzałam na nią. Krew!

Gdy nieoczekiwanie przecięłam trzy pasy, z tyłu rozległ się koncert klaksonów. Kierowca furgonetki, której o mało nie staranowałam, pokazał mi wyciągnięty w górę środkowy palec, inni posłali mi wiązki obelg i piorunowali mnie wzrokiem. Na szczęście udało mi się odzyskać kontrolę nad wozem, prowadząc jedną ręką. Wstrząsały mną gwałtowne dreszcze, obrzydzeniem napawała myśl, że mogłabym dotknąć kierownicy zakrwawioną dłonią. Ponieważ zbyt drżały mi nogi, żeby wcisnąć gaz lub hamulec, zjechałam na pobocze i toczyłam się siłą rozpędu, aż samochód sam stanął.

Pojękując walczyłam z chęcią wyskoczenia z samochodu i pognania przed siebie jak najdalej od niego. Oparłam czoło na kierownicy, by zebrać odwagę i spojrzeć, co leży na tylnym siedzeniu. Otworzyłam drzwi, wyśliznęłam się na zewnątrz i odsunęłam przednie siedzenie, by lepiej widzieć. W pierwszym odruchu chciałam wyrzucić obrzydlistwo, które zobaczyłam, i odjechać, ale byłoby to głupie. Mdlilo mnie, dygotałam na całym ciele, wsiadłam jednak z powrotem i ruszyłam. Zastanawiałam się, czy nie udać się prosto na komendę policji, uznałam jednak, że najpierw odwiedzę ciotkę Odalys. Lepiej się na tym zna. Próbowałam myśleć jasno. Nie przysięgłabym, że tego czegoś nie było w moim samochodzie, kiedy opuszczałam teren budowy, ale jeśli nie było, to znaczy, że zostało podrzuczone w ciągu tych kilku minut, które spędziłam w sklepie. Nasuwał się dość logiczny wniosek, czyja to sprawa, i myśl ta bynajmniej nie wydawała mi się pocieszająca. Nie miałam przy sobie broni, bo zostawiłam ją w domu. Zatrzymałam się więc na skraju drogi przy budce telefonicznej i zadzwoniłam do laboratorium kryminologicznego. Czekając na połączenie, nerwowo lustrowałam przejeżdżające samochody. Gdzieś tu był i obserwował mnie – to było pewne. Na szczęście odebrał Warren.

– Cześć, Britt. Jest pani gotowa napisać artykuł o uczonych detektywach? Gdyby pani wiedziała, nad czym właśnie pracuję.

– Warren, możemy się spotkać za dziesięć minut na parkingu za komendą? To ważne. Proszę wziąć ze sobą gumowe rękawiczki.

Jego odpowiedź zabrzmiała sceptycznie, ale się zgodził. Byłam na miejscu za pięć minut. Już czekał.

– To santeria.

– Tak – potwierdził. – Zdaje się, że ktoś złożył małą ofiarę, ale nie wygląda mi na taką, która ma pomóc pani wygrać na loterii. – Ostrożnie wziął obiekt w dłonie. Był to obwiązany wstążką krowi język. Kiedy Warren go nieco obrócił, okazało się, że jest rozcięty wzdłuż, a połówki są spięte gwoździem. W środku coś było. Choć zakrwawione i podziurawione gwoździem, bez trudu dało się rozpoznać – był to wyrwany z gazety artykuł z moim nazwiskiem pod spodem oraz małe zdjęcie. Artykuł dotyczył oczywiście ścigania Gwałciciela z Centrum. Fotografia przedstawiała mnie i pochodziła ze starej policyjnej legitymacji prasowej. Nigdy nie lubiłam tego zdjęcia – uważający się za wielkiego dowcipnisia fotograf policyjny pstryknął mnie z półzamkniętymi oczami i otwartymi ustami i odmówił zrobienia następnego. Legitymacje są ważne tylko rok, byłam więc zadowolona, kiedy skończył się termin jej ważności i dostałam nową, z lepszym zdjęciem.

– Skąd on je wziął? – spytał Warren, przyglądając mi się zza okularów.

Zastanawiałam się. Nie miałam pojęcia, gdzie ostatni raz widziałam tę starą legitymację. Możliwe, że wyrzuciłam ją do śmieci w domu albo w pracy, ale ta myśl jeszcze bardziej mnie zmroziła. Kotłowało mi się w głowie. A może ta legitymacja leżała w schowku samochodowym albo w kuchni, w szufladzie ze szpargałami? Czyżby zatem ukradł mi ją z domu? Mimo palącego słońca zadrżałam; skórę miałam lodowatą, jakbym przed chwilą wyszła z zamrażarki.

– Czy ktoś włamał się do pani samochodu?

– Nie, ale ze względu na popsutą klimatyzację często zostawiam go z otwartymi oknami.

Wyraz jego twarzy jednoznacznie mówił, że nie uważa mnie za najsprytniejszą osobę w świecie. Sama to wiedziałam.

– Warren, co pan radzi? Muszę natychmiast wracać do redakcji pisać artykuł.

– No cóż, to się nie wydarzyło na naszym terenie. Sprawa leży w kompetencji policji stanowej, ale może mieć związek z naszą. Musimy sporządzić raport i zawiadomić stanową.

– Wolałabym, żeby nie nadawano temu rozgłosu.

– Sama pani najlepiej wie, że raport jest konieczny. Zajmiemy się tym. Zawiadomię Harry'ego.

– No dobrze. Niech pan robi, co trzeba, ale ja muszę lecieć.

– Będzie chciał z panią porozmawiać.

– Wie, gdzie mnie znaleźć. – Wróciłam do samochodu i trzasnęłam drzwiami.

– Britt, jeżeli to zrobił gwałciciel, to znaczy, że wie, jak pani wygląda, zna pani samochód, a może nawet dowiedział się, gdzie pani mieszka. Proszę pogadać z Harrym.

– Później – rzuciłam i przekreśliłam kluczyk.

Rozdział trzynasty

Wiadomość była jednoznaczna. Gwałciciel jest wyznawcą santerii, co znaczy, że stałam się obiektem – dziękuję bardzo – diabelskich czarów, które wycudował wraz ze swoim *santero*. A niech to!

Myśl o zwierzęcych ofiarach i rytuałach santerii przywołała niewyraźne, mroczne wspomnienie pewnej ciemnej nocy z mojego dzieciństwa. Ale teraz nie czas się nad tym zastanawiać, uznałam, wpadając do redakcji. Miałam do napisania artykuł. A kiedy nad głową wisi groźba, że nie zdąży się z pracą przed zamknięciem numeru, człowiek przestaje panikować – nieraz już udało mi się dzięki temu zachować zdrowy rozsądek. Zmusiłam się więc do myślenia jedynie o Samie Farringtonie. Gdy skończę ten artykuł, będę musiała napisać następne, i znów będą mnie goniły terminy. Jakie to szczęście, że gazety wychodzą siedem razy w tygodniu.

Zadzwoiłam do biblioteki, do Onnie, z prośbą, by sprawdziła, czy mamy coś o Farringtonie.

– Może coś jest w dziale gospodarczym. Był przedsiębiorcą budowlanym.

– Coś się stało? – odpowiedziała pytaniem. – Twój głos jakoś dziwnie brzmi.

– Nic się nie stało. To znaczy stało się, ale opowiem ci później, bo muszę skończyć artykuł przed zamknięciem numeru. Teraz sprawdź jak najszybciej, o co cię prosiłam.

Zadzwoiłam do ośrodka medycyny sądowej: udało mi się złapać szefa. Powiedział, że niedawno przywieziono do nich Farringtona; przyczepa z blokiem betonu stoi w hali „przyjęć” i spędzi tam jeszcze jakiś czas.

– Ważyliście go?

– Tylko po drodze, na wadze dla ciężarówek.

Nad blokiem betonu pracowali pod nadzorem anatomopatologa detektyw i jeden z robotników; posługiwali się przebijakami i dwukilowymi młotkami. Hala „przyjęć” była idealnym do tego miejscem – jest to zamknięta hala przypominająca wielkością lotniczy hangar i zdarza się, że faktycznie umieszcza się tu ściągnięte z miejsca wypadku wraki samolotów. Można tu też w komfortowych warunkach badać wraki samochodów – przy

odpowiednim oświetleniu, w klimatyzowanym powietrzu, poza wzrokiem ciekawskiego tłumu.

– Chyba nigdy jeszcze nie mieliście ciała w betonie? – spytałam.

– Raz.

– Kiedy? – Nie pamiętałam podobnego przypadku, z tym że lekarz pracował na swoim stanowisku mniej więcej tyle lat, ile ja w ogóle miałam.

– Osiemnaście lat temu – odparł. – Ofiarą była młoda kobieta, najprawdopodobniej zamordowana przez męża, który umieścił jej ciało w schodach, które własnoręcznie zbudował w ich domu. Chodziło o żonę tego pana, którym się właśnie zajmujemy.

– Zabił żonę? Farrington zabił kiedyś żonę?!

– Zgadza się.

– Został skazany? – Przez głowę przemknęła mi pewna myśl i choć zaraz zniknęła, poczułam się, jakby trafił mnie piorun. – Kto prowadził tamtą sprawę?

– Nigdy nie został skazany, nawet nie doszło do procesu. Zawdzięczał to luce prawnej – odparł na moje pierwsze pytanie. – Sprawę podciągnięto pod paragraf o przedawnieniu. Wydaje mi się, że śledztwo prowadziła policja miejska. Mamy akta, ale jeszcze nie zdążyłem do nich zajrzeć.

– Przecież morderstwo nie podlega przedawnieniu – stwierdziłam, choć nigdy jeszcze nie spotkałam się z tym, by główny anatomopatolog się pomylił. Coś kazało mi zaprotestować, musiałam jak najszybciej dowiedzieć się, skąd we mnie tyle niepokoju.

– Akurat tego przypadku to nie dotyczyło. Jak już powiedziałem, chodziło o lukę prawną. Radzę przejrzeć stare artykuły prasowe. O ile pamiętam, sporo o tej sprawie pisano.

Odłożyłam słuchawkę. Waliło mi serce. Po chwili zjawiła się Onnie i położyła na moim biurku grubą granatową teczkę z wycinkami prasowymi.

– Trafione – oznajmiła z uśmiechem. – Całe mnóstwo artykułów w środku. Wiedziałaś, że zamordował żonę?

– Dowiedziałam się przed chwilą – mruknęłam, koncentrując się na pieczołowicie poskładanych wycinkach.

Onnie postąpiła chwilę i w końcu odeszła.

– Wiem, jaka jesteś przed zamknięciem numeru. Zadzwoń później – rzuciła na pożegnanie śpiewnym tonem i wróciła do biblioteki.

Przeglądałam ułożone chronologicznie wycinki. Najstarsze pochodziły sprzed dwudziestu lat; były to drobne wzmianki z rubryki gospodarczej, dotyczące realizowanych przez firmę Farringtona niewielkich projektów budowlanych. Zaczynał od budowy domków jednorodzinnych.

Potem wybuchła sprawa zaginięcia jego żony.

Po kilku latach małżeństwa ich drogi się rozeszły i rozpoczął się burzliwy proces rozwodowy. Obydwoje wyprowadzili się ze wspólnego domu, który miał zostać sprzedany, a

uzyskane pieniądze podzielone. Oboje zachowali klucze do domu. Pewnego dnia umówili się o czwartej po południu z agentem sprzedaży nieruchomości. Pośrednik zjawił się o czasie. Samochód pani Farrington stał na podjeździe, ale nikt nie reagował na dzwonek do drzwi. Agent dzwonił przez dłuższy czas, pukał do tylnych drzwi, zaglądał do środka przez okna, dom jednak wyglądał na pusty, więc w końcu sobie poszedł.

Alice Farrington znajdowała się na liście zaginionych przez siedem lat.

Natychmiast po jej zniknięciu matka i przyjaciele zaczęli twierdzić, że odpowiedzialny za to jest jej mąż. Oskarżali go o fizyczne i psychiczne znęcanie się nad nią. Zaprzeczał wszystkiemu, zapewniał, że przybył na umówione spotkanie – tuż przed albo tuż po maklerze, ale nikogo nie zastał i odjechał. Ponieważ żona zniknęła, wkrótce sprowadził się z powrotem do domu i dokonał w nim kilku modernizacji: Rodzina zaginionej upierała się, by policja przeszukała dom. Farrington wpuścił funkcjonariuszy do środka, ale nie znaleziono nic, co by wskazywało na przestępstwo, choć uwagi glin nie uszły nowe betonowe schody.

Obawiając się najgorszego, rodzina zaginionej zaczęła błagać policję o zburzenie schodów. Odpowiedziano jej, że nie można niszczyć nikomu domu bez uzasadnionych podejrzeń, iż zostało popełnione przestępstwo, zwłaszcza że Farrington twierdził, iż otrzymuje od czasu do czasu telefony od żony, która jednak nie chce ujawnić, gdzie się znajduje.

W tym właśnie czasie powstała szeroko omawiana w prasie luka prawna. Stan Floryda zniósł karę śmierci i choć – z powodu nacisku społecznego – przywrócił ją pół roku później, przez sześć miesięcy nie istniały w tym stanie przestępstwa główne. Prawo jednoznacznie określało, że wszystkie przestępstwa, z wyjątkiem głównych, podlegają przedawnieniu, a ponieważ – z technicznego punktu widzenia – przez pół roku te najcięższe nie istniały, przedawnieniu ulegały wszelkie sprawy o popełnione w tym czasie morderstwa pierwszego stopnia. Po upływie siedmiu lat od popełnienia czynu zabójcy mogli stanąć na schodach sądu i wykrzyknąć przyznanie się do winy, a i tak szli do domu bez obaw, że ktokolwiek ich oskarży. W hrabstwie Dade zdarzyło się kilkanaście takich przypadków. Komu udało się przez siedem lat uniknąć sprawiedliwości, był wolny na zawsze i mógł zagrać władzom stanowym na nosie.

Farrington po siedmiu latach sprzedał dom, żeby kupić posiadłość w Bay Point, lepiej pasującą do jego – obecnie wyższego – statusu bogacącego się przedsiębiorcy budowlanego. Mieszkając w starym domu, utrzymywał go w dobrym stanie i chyba nie sądził, że nowi właściciele zechcą go przebudowywać. Alice Farrington znaleziono w schodach, zamurowaną od siedmiu lat, ale było już za późno na oskarżenie jej męża o morderstwo.

Farrington wygrał, teraz jednak nie mógł grać nikomu na nosie, bo sam też nie żył.

Kończyłam pisać, kiedy zadzwonił Dan.

– Pamiętasz Sama Farringtona? – zapytałam.

– Słyszałem, że został podporą społeczeństwa.

- Nic w tym śmiesznego.
- Zawsze robię, co mogę, żeby cię rozśmieszyć. Ślicznie wyglądasz, kiedy się śmiejesz. Życie jest zbyt krótkie, by się smucić.
- Skąd wiesz, co się stało? Przecież jeszcze nie ujawniono nazwiska, zostanie podane dopiero po potwierdzeniu tożsamości i zawiadomieniu rodziny.
- Ken McDonald pamiętał, że to mój dawny przypadek. Coś takiego nie mogłoby się przydarzyć nikomu miłszemu.
- Od razu wiedziałam, że tak pomyślisz. – Przypomniałam sobie sceny na budowie i moment odcinania kolumny.
- O co ci chodzi, Britt? Zdaje się, że jesteś zdenerwowana.
- Bo jestem. – Przyjacielski ton głosu Dana nieoczekiwanie sprawił, że popłynęły mi łzy.
- Miałam dziś problem.
- Podaj nazwisko, a już do niego lecę.
- Nazywa się Gwałciciel z Centrum. Wiele osób, ze mną na czele, będzie ci wdzięczne, jeżeli go znajdziesz.
- Opowiedziałam o krowim języku.
- Boże drogi, Britt. Czy policja potraktowała to poważnie? Dali ci ochronę?
- Potrafię sama o siebie zadbać – mruknęłam.
- Słuchaj, nikt nie ochroni człowieka lepiej niż stary glina. Mogę wpaść wieczorem i posiedzieć przez noc.
- Dzięki, Dan, ale nie trzeba. Denerwuje mnie tylko, że wie, jak wyglądam, i zna mój samochód. Zdawało mi się, że jestem uważna, ale nie. Tak samo jak nie widziano go w żadnym z budynków, gdzie napadał. Jeszcze trochę, a uwierzę, że jest niewidzialny.
- Masz broń?
- Tak. – potwierdziłam, ale bez przekonania.
- Gdzie ją trzymasz?
- W domu, w sypialni.
- Bardzo ci się tam przyda. O ile wiem, nigdy jeszcze nie napadł nikogo w domu.
- Wiem.
- Załaduj broń i noś ją ze sobą, Britt. Nie zostawiaj jej w samochodzie i nie wahaj się strzelać, jeśli tylko się zbliży. I to opróżnij od razu magazynek. Zawsze powtarzałem to żółtodziobom. Jeżeli musisz już do kogoś strzelać, działaj tak, by zabić. Wtedy pozostaje do opowiedzenia tylko jedna wersja – twoja.
- Oczywiście, Dan – zgodziłam się, przeciągając dłonią przez włosy. – Jeszcze tak się tym przejmę, że zastrzelę listonosza.
- Najważniejsze, żebyś na jakiś czas wyprowadziła się z domu. Jedź tam z kimś, spakuj rzeczy i przeprowadź się do hotelu czy do koleżanki. Albo nie – zamieszkaż u mnie! Mam

mnóstwo miejsca. – Przy następnym zdaniu głos mu złagodniał. – Możesz zająć pokój mojej córki. Nie jestem może najlepszym gospodarzem, ale zostań, jak długo zechcesz.

– Nie, Dan, nie musisz się mną tak bardzo przejmować. – Mówiąc to, pomyślałam, że może jego propozycja wcale nie jest zła. Dan trzymałby gwałciciela z dala ode mnie, a ja bym w tym czasie pogrzebała trochę w jego rzeczach i rzuciła na niego okiem.

Roześmiałam się histerycznie i potrząsnęłam głową, jakby można było w ten sposób pozbyć się szalonych myśli, które wirowały mi po głowie i pączkowały jedna za drugą. Dzień nieźle dał mi się we znaki.

– To wcale nie jest śmieszne, Britt.

– Wiem, ale gdybym się nie śmiała, musiałabym płakać.

Pozegnałam się i obiecałam, że niedługo znów zadzwonię.

– Britt, wychodź i wracaj o różnych porach – ostrzegł na koniec. – Moim zdaniem powinnaś zmienić samochód i nie wracać do domu, jeżeli uznasz, że jesteś śledzona. – Choć ściszył głos, jego słowa brzmiały jeszcze dobitniej. – Britt, nie muszę ci tego powtarzać. Oni albo my. Nie wahaj się użyć broni.

Pokręciłam głową. Dan zachowywał się, jakbyśmy byli żołnierzami totalnej wojny, którzy mają się zabarykadować i ćwiczyć szybkie wyciąganie broni. Pomyślałam, że powinien częściej wychodzić z domu i więcej przebywać z normalnymi ludźmi, a nie tylko z gliniarzami. Nie umiałam jednak wyobrazić go sobie, jak gra w karty albo bingo w osiedlowym klubie rencisty. Skończyłam artykuł o Farringtonie, wzięłam filizankę wody, trochę mydła i kilka papierowych ręczników i poszłam na parking wyczyścić tylne siedzenie samochodu. Wracając poprosiłam ochronę, by w miarę możliwości zwracali na niego uwagę. Kiedy usiadłam za biurkiem, zbliżył się do mnie Ron Sadler, nasz komentator polityczny.

– Słyszałem, że może nas opuścisz, Britt... – zaczął cichym, konfidencjonalnym tonem.

– Słucham? – Zdziwiona, wbiłam w niego wzrok.

Ron jest bardzo eleganckim trzydziestolatkiem o wyglądzie intelektualisty, znakomicie orientuje się w polityce na każdym szczeblu i komentuje dla „News” zarówno lokalne, jak i ogólnokrajowe kampanie wyborcze.

Jego inteligentne brązowe oczy wpatrywały się we mnie uważnie zza okularów, przywodząc na myśl sowę.

– Mnie możesz powiedzieć prawdę. Nikomu nie pisnę słówka.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – parsknęłam. – Jeżeli to ma być dowcip, daj sobie lepiej spokój. Nie jestem akurat w nastroju do żartów.

Skłonił się przez biurko.

– Ludzie Fieldinga pytają o ciebie – szepnął ledwie słyszalnie. Musiał źle zrozumieć moją minę, zaraz bowiem dodał, uśmiechając się uspokajająco: – Ale nic się nie martw. Powiedziałem im o tobie same dobre rzeczy. O tym, jaka jesteś sumienna, nieustępliwa i wytrwała, i gdy się do czegoś zabierzesz, nigdy nie rezygnujesz.

– Ron, do diabła, o czym mówisz... – przerwałam przerażona.

Popatrzył zaskoczony i zaczął skubać dolną wargę.

– Odniosłem wrażenie, że jesteś brana pod uwagę jako kandydatka do pracy w gabinecie Fieldinga. Wyglądało, jakby dobierał sobie ludzi do współpracy, kiedy już będzie gubernatorem. Mówisz, że nie starasz się o żadne stanowisko u niego?

– Nigdy nie pracowałam dla żadnego polityka, a zwłaszcza dla Fieldinga.

– W takim razie powinnaś się spodziewać oferty. Są bardzo tobą zainteresowani, Britt. Chcą wiedzieć o tobie, co się da.

– Na przykład co?

– Wszystko. Jaką masz reputację, sposób bycia, nawyki, gdzie mieszkasz.

– Cholera jasna! – Co tu się działo? Jediną zemstą, jakiej spodziewałam się za rozmowę z kandydatem na gubernatora, była skarga do naczelnego.

Ron cofnął się o krok.

– Britt, powiedziałem im wszystko, co wiedziałem. Myślałem, że ci pomagam.

– Ron, gdybym potrzebowała pomocy, to bym o nią poprosiła. Jak możesz udzielać na mój temat informacji, nie pytając mnie o zgodę? Przecież doskonale wiesz, że gazeta nie informuje osób trzecich o swoich pracownikach!

– Przepraszam, ale akurat cię nie było, a sprawa wydała mi się ważna. Byli bardzo dyskretni i nie wypytywał o ciebie pierwszy lepszy człowiek z ulicy, ale przyszły gubernator, a raczej ktoś z jego bliskiego otoczenia. – Ron sprawiał wrażenie zaniepokojonego, choć na pewno nie był tak zaniepokojony jak ja. Co tu się działo?

– Wiem, nie zrobiłeś tego złośliwie – przyznałam ponuro. – Kto cię wypytywał?

– Martin Mowry, szef ochrony Fieldinga. – Ron wyglądał bardzo smętnie. – To były wojskowy, taki wielki facet, które zawsze chodzi tuż za kandydatem.

– A niech to cholera.

– Co się stało? Uważasz, że nie zamierzają zaoferować ci stanowiska?

– Na pewno nie. Proszę, nie mów o tym nikomu więcej, dobrze? Wyjaśnię ci to kiedy indziej, jak będę miała więcej czasu.

Zadzwoiłam do biura prowadzącego kampanię Fieldinga i zostawiłam dla Mowry'ego wiadomość, żeby się ze mną skontaktował. Kobieta, która odbierała telefon, nie sprawiała wrażenia, że zna moje nazwisko, ale kto to wie. Pomyślałam, że mam już niezłą paranoję.

Potem zadzwoniłam do biblioteki i poprosiłam Onnie, żeby spotkała się ze mną i Lottie w ciemni. Usiadłyśmy przy pustym biurku i Lottie włączyła elektryczny czajnik. Kazałam im przysiąc, że dochowają tajemnicy, i opowiedziałam o tym, co znalazłam w samochodzie.

– Nie ma się czym przejmować – zapewniłam natychmiast z pozorną pewnością siebie. – Ktoś, kto naprawdę chce zrobić człowiekowi krzywdę, nie dzwoni przedtem ani nie pisze listów.

– Chyba że jest szalonym byłym mężem albo kochankiem – skomentowała Onnie.

– Taa, wtedy przestają obowiązywać jakiekolwiek zasady – przyznała Lottie.

Miały rację. Sądowe zakazy zbliżania się czy policyjne ostrzeżenia są dla byłych ukochanych jedynie drobnymi niedogodnościami, jeżeli zależy im na morderstwie albo zemście. Widziałyśmy dość takich przypadków, by wiedzieć, że jeżeli przyszła kolej na czyjś tyłek, nie ma co liczyć na to, że policja mu go uratuje. Prawda jest taka, że każdy jest odpowiedzialny za siebie, no może jeszcze za sąsiadów, a kawaleria przybywa na czas jedynie w filmach. John Wayne nie żyje, świat zaś bywa obrzydliwy, zwłaszcza oglądany oczami reportera policyjnego.

– To jeszcze nie wszystko – dodałam.

– Co się stało? – spytała Lottie, popijając ziółka.

– Nie uwierzycie.

Onnie – z brodą opartą na dłoni – marszczyła czoło. Oczy Lottie były bystre i czujne. Zwierzyłam im się, że Ron Sadler uważa, iż mam pracować dla Fieldinga. Lottie gwizdnęła.

– A niech cię, Britt! Gratuluję! Wszyscy o tobie mówią jak o wszach w lecie!

Skinęłam smętnie głową.

– Wszystko naraz, co?

– Jeżeli nie dorwie cię goryl Fieldinga, to dopadnie gwałciciel – stwierdziła filozoficznie Onnie.

– Może się pomylą i wyłapią nawzajem – dodała Lottie.

Zaczęła mnie namawiać, bym na jakiś czas zamieszkała u niej. Onnie zaproponowała to samo, podkreślając, że Darryl byłby zachwycony. Miałam wielką ochotę się zgodzić, zwłaszcza że już dawno nie widziałam jej syna, ale odmówiłam. Nie zamierzałam narażać przyjaciółek na wizytę gwałciciela, lecz nie był to jedyny powód.

– Nikt nie zmusi mnie do ucieczki z domu – stwierdziłam. Przyznaję, nie jest wielki, to tylko jednopokojowe mieszkanie z jęczącą w nocy lodówką i sąsiadem, który po pijanemu uważa, że wolno mu grać na kobzie, ale jest moje. – Nie pozwolę, by jakiś śmieć wygonił mnie z własnego domu!

– A czym się różnisz od tylu innych ludzi? – zaszydziła Lottie. – Setki tysięcy Kubańczyków pozwoliły się wypędzić z domów brodaczowi w brudnym roboczym ubraniu.

Wysunęłam dolną wargę i przybrałam zdeterminowaną minę.

– Może to jeden z powodów, dla których nie dopuszczę, by mi się to przydarzyło. – W tym momencie przypomniałam sobie o odpornej na penicylinę rzeżączce gwałciciela i zaczęłam się zastanawiać, czy jednak się nie spakować.

Ustaliłyśmy system komunikowania się, polegający na wzajemnych telefonach o określonych porach. Jeżeli nie zadzwonię i nie odpowiem na telefon, mają natychmiast do mnie jechać.

Wróciłam do biurka w nieco lepszym nastroju. Bycie ostrożną nie jest dla mnie niczym niezwykłym, bo dzięki mojej pracy doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co może mi się

przydarzyć. Większość ludzi – zwłaszcza starszych i nowo przybyłych obywateli Florydy – ciepło i uroda okolicy usypiają, prażące słońce rozluźnia i skłania do marzeń na jawie, co czasem okazuje się zgubne. Ostrzegam więc, kogo mogę, by zwracał uwagę na to, co robi, i pamiętał, że Miami jest jak dżungla pełna dzikich i niebezpiecznych zwierząt, które w każdej chwili mogą zaatakować. Sama też staram się być uważna, ostrożna i czujna. Wiedza to potęga. Im więcej wiemy, tym lepiej.

Zadzwoiłam do ciotki Odalys i zapytałam, czy mogę wpaść. Zachwycona, natychmiast zapomniała o telenoweli, której przebieg właśnie śledziła, i oznajmiła, że czym prędzej zabiera się do gotowania. A kiedy powiedziałam, że nie potrzebuję jedzenia, tylko fachowej porady, była zachwycona w dwójnasób.

Gdy przyjechałam, wokół jej niedużego, dobrze utrzymanego domku w Małej Hawanie unosił się ciężki zapach *pollo asado*: duszonej kury z czosnkiem, olejem z oliwek, cebulą, sokiem z limety, białym winem i oregano. Obok drzwi frontowych kwitły piękne różowe i białe chińskie róże o ogromnych kwiatach z niewinnie rozchyłonymi płatkami i złotymi środkami. A tuż za drzwiami znajdowała się twarz – wcale nie niewinna. Była to prymitywna gliniana gęba wykrzywiona w ohydny grymasie, z oczami, nosem i ustami z muszelek. Przedstawiała Elegguę – oszukańczego boga pilnującego drzwi, skrzyżowań i bram oraz zapewniającego komunikację pomiędzy kapłanami santerii a orishami – bóstwami. Jednym z jego zadań jest strzeżenie drzwi i trzymanie z dala niepożądanych gości. W czasie nalotów na mieszkania przestępców policjanci często znajdują zatknięte za podobiznę Eleggui własne zdjęcia albo wizytówki. Nie byłabym zaskoczona, gdyby za wizerunkiem Eleggui u ciotki tkwiło zdjęcie mojej matki.

Ciotka (młodsza siostra mego ojca) była ubrana skromnie i – jak zwykle – całkowicie na białe. Jest nieco niższa od mnie, ale porusza się z taką godnością, że ma się wrażenie, jakby była wyższa. Choć skończyła pięćdziesiąt lat, jest w dalszym ciągu piękna: zielone oczy, oliwkowa skóra i wysokie kości policzkowe nadają jej koci wygląd. Objęła mnie jak zawsze serdecznie, wymamrotała pod nosem coś miłego i wycalowała w oba policzki. Jej wielkie oczy aż pały miłością – po śmierci ojca chciała mnie nawet wychowywać.

Pamiętam, jak pewnej nocy, kiedy miałam pięć lat i spałam u ciotki, wyjęła mnie z łóżeczka, ubrała na białe i dokądś zabrała. Najpierw byłam ciekawa, potem przestraszona. Przypominam sobie walenie bębnow, dźwięk dzwonów, zawodzące śpiewy i jęki umierających zwierząt. Otaczali mnie obcy ludzie, w rogu podskakiwał kogut bez łba, czuć było zapach perfumowanej wody i ziół. Rozsmarowano mi na czole coś ciepłego i lepkiego, później włożono naszyjnik z czerwonych i białych paciorków.

Kiedy z dziecięcą niewinnością opowiedziałam matce o tej nocnej przygodzie, zdecydowała – ku mojej uldze – że nie będę więcej nocować u kubańskich kuzynów ze strony ojca. Do dziś nie rozmawia z ciotką Odalys. Jestem jedynym ogniwem łączącym ich światy i ani w jednym, ani w drugim nie czuję się do końca u siebie. Podejrzewam, że w mojej

rodzinie tylko ciotka wyznaje santerię. Kocham ją, ale nie wierzę w rozgniewanych bogów ani złe duchy; tego typu ceremonie wywołują we mnie jedynie wściekłość miłośnika zwierząt.

Mimo wszystko ciotka Odalys zawsze była mi bliska. Uwielbiała opowiadać historie o młodzieńczych eskapadach mojego ojca. Potem, kiedy zostałam dziennikarką i pisałam swój pierwszy artykuł o zabójstwie związanym z santerią, jej wiedza okazała się jak znalazł. Morderca, najprawdopodobniej namówiony przez swego *santero*, pokrył ciało olejem, kurzem pierzem i anielskim pyłem, czyli srebrnym proszkiem, jakim dzieci ze szkoły podstawowej posypują robione na Boże Narodzenie kartki pocztowe. Ciotka uważała, że *santero* najprawdopodobniej obiecał mu, iż kombinacja ta uczyni go niewidzialnym dla wrogów, a przynajmniej niezwykniętym. W każdym razie tak wystrojony pomaszerał zastrzelić rywala, który rzucił na niego zły urok. Ślad srebrnego proszku i kurzych piór zaprowadził gliniarzy prosto z miejsca zabójstwa do mieszkającego w tej samej dzielnicy sprawcy. Kiedy przybyli, był jeszcze cały srebrny, a w majtkach wciąż miał kurze pióra.

– Jesteś aresztowany, wielki ptaku! – zażartował anglosaski gliniarz.

Chyba wtedy po raz pierwszy zaczęłam mieć poważne wątpliwości co do santerii i jej wyznawców.

Oczywiście nic z tych rzeczy nie powiedziałam teraz ciotce. Siedziałyśmy w jej salonie i popijałyśmy z maleńkich porcelanowych filiżanek mocną kawę po kubańsku. Staralam się nie patrzeć na *ngangę*, wielki żelazny kocioł, dominujący w kącie skądinąd przytulnego pokoju. W czymś takim znajduje się zawsze mnóstwo przedmiotów: gwoździe do przybijania szyn, sprężyny, noże, paciorki, kamienie, maczety, teksty modlitw, suche liście, umocowane do zwierzęcych poroży lustra, w których widzi się przyszłość. W trakcie niektórych ceremonii w kotle ozywają wzywane duchy zmarłych. *Nganga* zawiera też krew oraz zwierzęce, czasem nawet ludzkie, resztki. Zazwyczaj czaszki i kości długie. Na pierwszych latach studiów w akademii policyjnej w Miami uczy się przyszłych policjantów rozpoznawania ludzkich czaszek używanych w rytuałach santerii. Znakami rozpoznawczym mogą być: krople wosku ze świec, suche liście, ślady krwi albo rdzy z kotła. Większość czaszek można kupić legalnie w *botánicas*. Pochodzą one z Afryki lub Indii Zachodnich i były przewidziane do celów naukowych albo medycznych, części wyznawców santerii zależy jednak na czaszkach zawierających mózg, uważają bowiem, że dzięki temu duchy będą „mądrzejsze”. W ten sposób powstają realne problemy. Okradanie grobów jest oczywiście przestępstwem.

Rozróżnienie między pospolitym okradaniem grobów a rytualnym, spowodowanym wiarą w santerię, jest proste – należy szukać kontekstu symbolicznego. W kulcie santerii dominuje siedem afrykańskich sił. Ofiara pierwszego zbezczeszczenia grobu, o którym pisałam dla „News”, zmarła w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Jej grób był siódmy od bramy cmentarnej. Tak więc kupując grób w Miami, trzeba uwzględnić wiele czynników.

– Mam problem... – zaczęłam rozmowę z ciotką.

– Mężczyzna. – Westchnęła, kładąc idealnie wymanikiowaną dłoń na sercu.

– Tak jakby.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem. Policja jeszcze go nie znalazła.

Jej pięknie wygięte w łuk brwi uniosły się dramatycznie, a zmarszczki zniekształciły idealnie gładkie czoło. Opowiedziałam o gwałtcielu. Znała sprawę z hiszpańskojęzycznej rozgłośni. Wspomniałam o listach, o znalezisku w samochodzie, o tym, dlaczego pytałam o Ochosi.

– *Ay, Dios mio. Què horror! Chica!* Musimy zapytać bogów – oznajmiła grobowym głosem i wstała.

Wydałam się sobie głupia. Co ja tu robię? Po chwili uznałam jednak, że warto spróbować – jeżeli gwałtciel jest wyznawcą santerii, ciotka będzie wiedziała, w jaki sposób myśli.

Usiadłyśmy po obu stronach polakierowanego na wysoki połysk stołu w kuchni. Ciotka rzuciła muszle na blat jak kości; zagrzechotały też jak kości. Muszłom zadaje się pytania, na które mają odpowiedzieć „tak” albo „nie”, tylko jednak po hiszpańsku, a ciotka mruczała dla mnie zbyt szybko. Przeliczała, ile muszli upadło otworem do góry, ile do dołu, po czym zbierała je, mruczała i rzucała dalej, raz za razem.

– Bogowie mówią, że jesteś zbyt ufna – powiedziała w którymś momencie oskarżycielskim tonem. Chyba nie odnosiło się to do mnie. Możliwe, że bogowie pomylili mnie z kimś innym, ale wołałam się nie odzywać. Rzuciła ponownie – muszle wypadły z jej szczupłych, pięknych dłoni, migocząc niewinnie, tak zapewne jak w dniu, kiedy fala wyrzuciła je na słoneczną plażę. – Niebezpieczeństwo, śmiertelne niebezpieczeństwo, *muerte* – wyszeptała, spoglądając na mnie wypełnionymi strachem oczami. Muszle ponownie zagrzechotały. – Potwierdzają, co mówisz. Niebezpieczeństwo ze strony kogoś, kogo nigdy nie spotkałaś. Musimy zrobić *despojo* – dodała głosem nie znoszącym sprzeciwu. – Poprosić duchy i zmarłych o pomoc.

– Nic z tego. Żadnych zwierząt, nawet kury.

– Przecież jestem twoją *madrina*, Britt – oznajmiła z takim wyrazem twarzy, jakbym ją zraniła. – Mogę wezwać ojca żyjących w kotle duchów i poprosić go o pomoc.

– Bardziej mi pomożesz, mówiąc jak najwięcej o gwałtcielu.

Opierając się na moich informacjach, ciotka doszła do wniosku, że gwałtciel poszedł z problemem dotyczącym mnie i moich artykułów do swego doradcy religijnego, prawdopodobnie kapłana palo mayombe, najbardziej agresywnego z istniejących kultów. Przypuszczalnie odbyła się *brujeria*, czyli seans czarnej magii. Obrządek z krowim językiem – bardzo skomplikowany – musiał kosztować ponad pięćset dolarów.

Po przeprowadzeniu tylu potężnych magicznych rytuałów gwałtciel poczuł się na pewno potężny i wszechwładny.

– Britt, musisz mi pozwolić, żebym ci pomogła – nalegała ciotka.

Po coraz głośniejszych negocjacjach zgodziłam się wreszcie na prosty rytuał oczyszczający. Ciotka uparła się, by wetrzeć mi we włosy zioła, i wymusiła na mnie obietnicę, że przez trzy dni ich nie zmyję. Kiedy wcierała mi w głowę ostro pachnące liście, doszłam do wniosku, że już dziwniejszy ten dzień nie mógł być. Zastanawiałam się, co robią w tej chwili dziennikarze w innych amerykańskich miastach.

– Potrzebujesz ochrony – stwierdziła ciotka. – *Resguardo*. Talizman.

– Ma w sobie coś zwierzęcego?

Obrzuciła mnie tak groźnym spojrzeniem jak chyba nigdy w życiu. Podeszła do szafki przy ścianie i zaczęła napełniać niewielki woreczek. Wrzuciła do środka trochę ziół, monetę i nabój pistoletowy.

– Skąd go masz? – Nabój wyglądał na trzydziestkęósemkę z zagłębieniem na czubku.

Wydeła wargi, skłoniła głowę i popatrzyła na mnie spod półprzymkniętych powiek jak lekarz na opornego pacjenta.

– To cię ochroni.

– Tylko jeżeli ta torebeczka ma cyngiel.

– Obcy człowiek będzie próbował cię zranić – powiedziała poważnie. – Musisz to nosić, nie wolno ci tego nigdy zdejmować.

Westchnęłam. Nienawidzę, gdy mi się mówi, co mam robić. Zawiązała woreczek i przekłuła go agrafką.

– Nie noś amuletu w torebce. Mogłabyś go zgubić. Noś w ubraniu. Przypnij do *pantalones*. Przy mnie.

Nie zamierzałam zaczynać kłótni. Potrzebowałam wszelkiej możliwej pomocy, więc posłuchałam. Podniosłam spódnicę i przypięłam amulet do gumki majtek. Cóż to byłaby za niespodzianka dla Curta, gdyby kiedyś miał mi je ściągnąć.

Ciotka wyszła na chwilę do drugiego pokoju, a to nie zapowiadało niczego dobrego.

– Jeszcze jedno – oznajmiła wracając. W ręce trzymała naszyjnik z czerwonych i białych paciorków. Zapięła mi go na szyi i ułożyła. Byłam tak zadowolona, że nie wróciła z kozą na sznurku, że pozwoliłam jej na wszystko bez słowa protestu.

– Jesteś córką Chango – szepnęła. – Wojownika panującego nad grzmotami i błyskawicami. Noś to. – Ostatnim razem, kiedy założono mi taki naszyjnik, miałam pięć lat i natychmiast skonfiskowała go i wyrzuciła moja matka.

Odmówiłam zostania na obiad, dałam jednak do zrozumienia, że nie miałabym nic przeciwko „paczce żywnościowej”, na co ciotka zapełniła kilka pojemników wspaniałościami: duszonym kurczakiem, pachnącymi muszkatem i cynamonem naleśnikami *calabaza* i plackiem z mango. Kiedy ścisnęła mnie w drzwiach, rozglądałam się po ulicy jak włamywacz. Przebiegłam możliwie najszybciej do samochodu, otworzyłam zamek, wsunęłam się do środka i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Wnętrze natychmiast wypełnił ostry zapach ziół w moich włosach.

– Britt! – Na dźwięk mego imienia aż podskoczyłam, ale to była tylko ciotka, która wyszła za mną i stała teraz przy samochodzie. Twarz miała pociętą zmarszczkami zmartwienia. – Zatrzymaj się przy *botánica* i kup siedem czerwonych świec. Pal je przez dwadzieścia cztery godziny przed figurą świętej Barbary. Potem złóż jej w ofierze owoce.

– Dobrze, jeżeli znajdę czas, żeby wpaść do kościoła – skłamałam. Posłałam jej na pożegnanie całusa i ruszyłam. Jeszcze długo widziałam ją we wstecznym lusterku – cała w bieli, wyglądała jak duch.

Ani myślałam robić zakupy w *botánica*. Sklepy zaopatrujące wyznawców santerii istnieją w Miami od dziesięcioleci, ale od czasu przybycia fali *marielitos* przeżywają prawdziwy boom. Wygląda na to, że na każdym rogu ulicy w Małej Hawanie jest sklepik z napojami, ziołami, świecami, talizmanami, specjalnymi mydłami, statuetkami świętych i bogów oraz innymi mistycznymi akcesoriami. Są małe, ciemne i respektują wszystkie popularne karty kredytowe.

Dzięki wsparciu jedzeniem, ziołami i magią czułam się znacznie lepiej, mimo to raz za razem spoglądałam w lusterko wsteczne, a wchodząc do domu, wstrzymałam oddech. Na mój widok Bitsy zaczęła z podnieceniem podskakiwać i machać ogonem. Billy Boots, który leżał zwinięty w fotelu, otworzył ślepią, wstał i przeciągnął się, wyraźnie jednak nie z mojego powodu, lecz znęcony zapachem jedzenia. Wszystko – z bronią włącznie – wyglądało na nie ruszone.

Nie myślałam, że jestem aż tak głodna. Ledwie sprawdziłam mieszkanie, usiadłam i zaczęłam łapczywie jeść, nawet nie odgrzewając tego, co przyniosłam. Po kolacji zabrałam Bitsy na spacer, ale tylko do ulicy. Idąc uważnie się rozglądałam, czy nie zbliża się ktoś nieznajomy, a jednocześnie potrząsałam głową, by pozbyć się ziół z włosów. W drodze powrotnej zauważyłam, że w oknach Goldsteinów pali się światło, więc postanowiłam zajrzeć do nich, żeby ich ostrzec. Nie chciałam ich niepokoić, jedynie uczulić na sytuację, zwłaszcza że pani Goldstein kilka razy dziennie wchodzi i wychodzi z mojego mieszkania, wyprowadzając Bitsy na spacer. Zasugerowałam, żeby na razie przestała to robić, ale kategorycznie odmówiła, twierdząc, że suka wymaga ruchu. W głębi duszy byłam oczywiście zadowolona.

Po powrocie do mieszkania natychmiast zadzwoniłam do Onnie i Lottie, by dać znać, że jestem cała i zdrowa. Obie już czekały na mój telefon. Potem usiadłam i jedząc placek z mango, zaczęłam się zastanawiać, co dalej. Placek był tak delikatny, że sam służył do żołądka, toteż jak zwykle, kiedy jestem zdenerwowana, zjadłam znacznie więcej, niż zamierałam. Jeżeli zjawi się teraz groźny obcy, żeby mnie skrzywdzić, przynajmniej będę najedzona.

Ustalenie następnego ruchu nie było trudne. Będę się dalej zajmowała Gwałcicielem z Centrum. Miałam nadzieję, że wkrótce dojdzie do jego aresztowania, ale patrząc na sprawę realistycznie, wiedziałam, że równie dobrze może ono nigdy nie nastąpić. Jedyne, co mogłam

w tej sytuacji, to pilnować pleców i nadal porządnie robić to, co do mnie należy. Mogłam też przejąć inicjatywę w sprawie Fieldinga; postanowiłam więc iść do Martina Mowry'ego.

Właśnie szłam do łóżka, kiedy zabręczał dzwonek u drzwi. Zadrżały mi wszystkie nerwy. Zarzuciłam szlafrok i chwyciłam broń.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem, Britt. Powinienem był uprzedzić cię telefonicznie.

Szybko wetknęłam rewolwer pod poduszkę i otworzyłam drzwi. W progu stał pan Goldstein – z nieśmiałym uśmiechem na ustach i skrzynką z narzędziami w dłoni.

– Żona pomyślała, że może przydałoby się to u ciebie zamontować. – Wzruszył ramionami i pokręcił głową. – To wcale nie jest taki głupi pomysł.

Uśmiechnął się znów i zaczął pracować. Wiercił dziurki, wkręcał śrubki i po kilkunastu minutach miałam w drzwiach wizjer. Kiedy odchodził, pocałowałam go w pomarszczony policzek. Sprawdziłam drzwi i okna, wyjrzałam przez judasza, przypięłam *resguardo* do nocnej koszuli, wsunęłam rewolwer i naszyjnik pod poduszkę, położyłam się i zaczęłam wpatrywać w ciemność.

Rozdział czternasty

W nocy śniłam o widowiskowych pogoniach, w których raz byłam zwierzyną, raz myśliwym. Niezwykle męczące dla mojej podświadomości było to, że ciągle zmieniała się obsada ról – jakby sny chciały przekazać coś, czego nie mogłam usłyszeć w otaczającej mnie gęstej ciemności.

Obudziłam się z okropnym samopoczuciem, wiedziałam jednak, co robić. Zadzwoiłam do Curta Norske i wprosiłam się na wycieczkę. Lottie miała rację – potrzebowałam odpoczynku. Tak zmęczona i rozbita nie czułam się od ostatnich rozruchów.

Obecna pora roku – z osiągniętymi apogeum temperaturami i gwałtownymi ulewami – jest moją ulubioną. Co popołudnie nad półwyspem przetaczają się czarne chmury: suną znad Zatoki Meksykańskiej w kierunku Everglades i wylewają swoją zawartość nad miastem. Po takim deszczu słyhać wręcz, jak rośnie trawa. W nocy z mangowców za moimi oknami odrywają się ogromne, dojrzałe różowe owoce i spadają z cichym plaśnięciem na miękką ziemię. Zbieram je rano, wybieram największy i najlepszy owoc i – czytając poranną gazetę – zjadam go, popijając kawą i zagryzając płatkami. Pozostałe kładę pod drzwiami pani Goldstein, która chętnie uczestniczy w spożywaniu tego wspaniałego daru natury.

Wykonałam rutynowe czynności porannego rytuału, nie miałam jednak apetytu ani nie czułam zwykłego zadowolenia. Byłam spragniona tylko jednego – odpowiedzi.

Po przybyciu do redakcji postanowiłam przede wszystkim dotrzeć do Martina Mowry'ego. Jak mnie poinformowano w biurze wyborczym, pojechał z Fieldingiem na północ stanu. Nie udało mi się złapać go w hotelu, w którym przebywała ekipa kandydata, dopadłam go jednak w LaBelle, gdzie Fielding uczestniczył w dorocznym festiwalu kapusty. Miał przemawiać do weteranów wojennych – po paradzie, a przed śpiewami gospel. Nie powiedziałam, że dzwoni ktoś z prasy, jedynie zaanonsowałam międzymiastową dla Mowry'ego. Po kilku minutach w słuchawce rozległo się krótkie warknięcie:

– Mowry. Słucham.

– Dzień dobry – przywitałam się radośnie. – Kłania się Britt Montero z „Miami News”. Dotarło do mnie, że zbiera pan informacje na mój temat. Czy mogłabym służyć osobiście odpowiedzią na jakieś pytanie?

Przez chwilę panowała cisza.

– Britt Montero. – Głęboki, charakterystyczny głos cechowała szorstkość typowa dla kogoś przyzwyczajonego do wydawania i wykonywania rozkazów.

– Zgadza się. Chętnie poznałabym powód pańskiego zainteresowania moją osobą.

– Doskonale pani zna powód. Chodzi o stek kłamstw i oskarżeń, które pani wygrzebała.

– To były pytania, panie Mowry. Pytania. Jestem dziennikarką, to moja praca. Zadaję pytania, ale większość pozostaje jeszcze bez odpowiedzi.

– Nie zsikaj się tylko w majtki – rzucił arogancko. – Posłuchaj, dziennikarko. Być może nie zdajesz sobie sprawy z tego, że Eric Fielding był przez lata osobistym prawnikiem wydawcy waszej gazety. Przeszli razem Harvard i byli świadkami na swoich ślubach.

– Przyznaję, nie wiedziałam o tym, ale nie ma to nic wspólnego z tym, co robimy w redakcji.

A może ma? Boże! Czy to dlatego Fred Douglas kazał mi trzymać się od sprawy z daleka? Czyżbym ryzykowała utratę pracy?

– Nie pomagasz sobie w karierze – ostrzegł Mowry. – Najwyraźniej nie dociera do ciebie, że jesteś dla swojej gazety tak ważna jak pryszcz na dupie słonia.

Musiałam przełknąć ślinę.

– Mimo wszystko chciałabym wiedzieć.

Połączenie zostało przerwane.

Co za drań. Chociaż tak naprawdę moja wściekłość wcale nie dotyczyła Mowry'ego, lecz Fieldinga. Mowry najprawdopodobniej wypełniał jedynie rozkazy, by mnie zastraszyć.

Gdyby istniał jakiś sposób powrotu do sprawy Mary Beth Rafferty przed wyborami. Nigdy nie opublikowaliśmy nazwiska świadka – chłopca, który wtedy się z nią bawił. Być może zdołałabym go odnaleźć. Albo ktoś osobiście w tym zainteresowany zwróciłby się do środków masowego przekazu i zażądał zbadania Fieldinga za pomocą wykrywacza kłamstw. Jaka szkoda, że ojciec Mary Beth nie żyje. Mogłabym się założyć, że bez wahania by mi pomógł.

Teraz jednak musiałam aż do momentu aresztowania Gwałciciela z Centrum trzymać rękę na pulsie, napisałam więc do pierwszego wydania artykuł o Marianne Rhodes. Mimo występu w telewizji, Fred Douglas podtrzymał decyzję o niewymienianiu jej nazwiska. Pisałam więc o niej jako o „ciemnowłosej młodej urzędniczce”. Rozgoryczona, opowiedziała mi, że zatrudniła adwokata, by zaskarżył jej pracodawcę i zażądał odszkodowania, ponieważ nie zapewniono jej bezpieczeństwa w miejscu pracy. Brzmiało to logicznie. Co prawda nasze sądy duszą się od nadmiaru sporów prawnych, ale jeżeli efektem kolejnego ma być poprawa bezpieczeństwa kobiet w miejscu pracy, jestem całym sercem za.

Z rozmysłem powtórzyłam tezę, która zdaniem doktora Simmonsa najbardziej wścieka gwałciciela, a mianowicie, że popełnia przestępstwa, aby udowodnić sobie, że jest prawidłowo zorientowany seksualnie, chociaż prawdopodobnie nie jest.

Zakończyłam artykuł i wyszłam z redakcji, zostawiając informację, że badam ślad związany z odkryciem przez laboratorium cząsteczki farby, która może pochodzić ze stoczni remontowej. Pojechałam do Bayside, zaparkowałam samochód i zamknęłam pager w schowku.

„Sea Dancer” jest śnieżnobiałym dwudziestometrowcem, ma dwa pokłady i okucia z nierdzewnej stali. Kapitan przywitał mnie na pokładzie osobiście; jego nakrapiane złotem oczy były tak ciepłe, jakimi je zapamiętałam. Miałam na sobie białe bawełniane spodnie i brzoskwinową bluzkę; usiadłam jak najbliżej kapitana, koła sterowniczego i megafonu.

Zatoka Biscayne jest stale zmieniającym się żywym dziełem sztuki. Tego dnia była łagodna i płaska jak stół: w gładkiej niczym lustro niebieskozielonej płaszczyźnie odbijały się ze wszelkimi szczegółami mosty i drapacze chmur. Siedząc między śmiejącymi się, rozpaplanymi turystami, pomyślałam sobie, że niezależnie od tego, czy nawiążę z kapitanem Norske nic porozumienia, czy nie, będzie to dla mnie miłe przeżycie. Uwielbiam – oglądać Miami, a od strony wody jego widok jest szczególnie piękny i zawsze skłania mnie do fantazjowania, jak miasto wyglądało dawno temu, zanim panorama wieżowców nadała mu charakter nowoczesnej metropolii.

Statek był mniej więcej w trzech czwartych wypełniony hałaśliwymi turystami w szortach i jaskrawych bawełnianych koszulkach. Co sprytniejsi zaopatrzyli się w kapelusze, okulary słoneczne oraz wysmarowali kremem do opalania. Część dzieciaków miała na głowach kupione w Disneylandzie uszy Myszki Miki. Sennie obserwowałam migoczącą powierzchnię zatoki; jej piękno pozwalało mi wyrzucić z głowy ponure obrazy, spowijające mrokiem moje myśli. Wybrzeże zatoki od niepamiętnych czasów przyciągało ludzi. Trzy tysiące lat temu mieszkali tu Indianie Tequesta, a podczas prac archeologicznych w południowej części zatoki Biscayne znaleziono ślady człowieka sprzed dziesięciu tysięcy lat. To tu właśnie przybił Ponce de Leon. Pływały tędy załadowane złotem hiszpańskie galeony i dłubanki Seminolów. Tutejsze wody były domem dla piratów, pionierów, zbiegłych niewolników i wynędzniałych weteranów wojny secesyjnej. Ciekawe, jakie byłoby dziś ich zdanie o Miami – najruchliwszym porcie turystycznym świata. Zastanawiało mnie, czy za sto lat ktokolwiek będzie pamiętał o obecnych nowościach, procesach i chaosie.

Głęboko oddychając, czułam, że wszystko odzyskuje właściwe proporcje. Jakże potrzebowałam wypoczynku. Zaczęłam rozważać, czy potrzebnie umieściłam w artykule zdanie o „niesprawności” gwałciciela. Rozejrzałam się – na pokładzie musiał być telefon. Nie! Stłumiłam myśli o redakcji i skoncentrowałam się na obserwacji miasta, zmieniającego barwy jak kameleon – z akwamarynowej w srebrną i natychmiast potem w trawiaściezieloną.

Wypłynęliśmy z portu. Na południu przesunął się hotel „Dupont Plaza”, usytuowany niedaleko ujścia rzeki Miami, która była kryształowo przejrzysta i miała tak czystą wodę, że dało się ją bez obaw pić do tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego roku, czyli do momentu, kiedy powstało miasto. Miejsce, gdzie znajduje się hotel, zawsze było

zamieszkane. W dawnych czasach żyli tu niewolnicy, koloniści, żołnierze i Seminolowie, ale nie ich uważa się za pierwszych mieszkańców tego terenu. Przed nimi byli Indianie Toquesta. Podczas budowy parkingu zniwelowano i zalano cementem wzgórze, na którym grzebali oni swoich zmarłych. Hotel otwarto w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku i moja matka nieraz bywała w nim na pokazach mody, obiadkach i potańcówkach przy herbatce. Mieszkańcy Miami wszystkich generacji mają wspomnienia związane z „Dupont Plaza” albo historycznym miejscem, na którym został wybudowany.

Moje związane z tym miejscem wspomnienia nie są najszcześniejsze. Za każdym razem, kiedy widzę hotel, przychodzi mi na myśl pewien ślub. Nie byłam ani jego uczestnikiem, ani zaproszonym gościem – zostałam wezwana do opisanego strzelaniny, która wówczas wybuchła. Pamiętałam piękny bufet ze wspaniałym wielopiętrowym tortem pośrodku. Na lodzie ułożono tace z zakąskami, świeże krewetki i bujne kwiaty. W równym dwuszeręgu stały dopiero co nalane, nietknięte kieliszki szampana. Byłyby to idealne motywy na zdjęcia do broszury reklamowej firmy obsługującej przyjęcia, tyle że tuż obok tortu leżały trupy dwóch mężczyzn w wieczorowych garniturach. Jeden był drużbą, drugi zaproszonym gościem. Strzelec, dawny narzeczony panny młodej, nie został zaproszony – z oczywistego powodu.

Mijaliśmy groble, statki pasażerskie i czerwone dachy dostępnych wyłącznie od strony wody i wartych miliony domów na Fisher Island, przepływaliśmy obok dochodzących do wody działek, zajmowanych przez rosnącą armię bezdomnych, rozwieszających swój nędzny dobytek na płotach, które odgradzają ich od świata ludzi sytych. Curt dzwicznym, doskonale wystudowanym głosem opowiadał historyjki. Zwrócił uwagę turystów na znajdujący się na wyspie Watson terminal wodolotów, na Wieżę Wolności, na stojący tuż przy brzegu zatoki wielki budynek „News”. Słuchałam grzecznie monologu naszego przystojnego kapitana, który sprawiał wrażenie, że wygłasza go tylko i wyłącznie dla mnie. W którymś momencie uśmiechnął się i tak długo demonstracyjnie do mnie machał, że nie wytrzymałam, zaczerwieniłam się i odpowiedziałam mu uśmiechem. Wtedy przypomniał historię pustelnika, który w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku mieszkał na maleńkiej piaszczystej wysepce, będącej obecnie portem Dodge Island. Znałam dalszy ciąg – w czasie huraganu rok później samotnik odmówił opuszczenia wysepki i więcej go nie widziano.

– Z wyjątkiem... – kapitan dramatycznie zawiesił głos – bezksiężycowych nocy, kiedy to – jak wielokrotnie donosili robotnicy portowi, marynarze i turyści – spotykano tajemniczego brodatego mężczyznę. Takie spotkania zdarzają się zwłaszcza przed sztormem – wtedy najłatwiej natknąć się na ducha Dodge Island, odwiedzającego dawny dom.

Spojrzałam sceptycznie na Curta, ale turyści wzdrygnęli się z zachwytem. Nigdy nie słyszałam, by duch pustelnika odwiedzał wyspę, na której samotnik ten niegdyś mieszkał. Curt jednak ciągnął dalej. Zapewniał, że tego lata, wyjątkowo obfitującego w sztormy, wielu robotników zwolniło się z pracy z powodu częstego pojawiania się ducha, inni zaś odmówili

pracy po zmroku. Zmarszczyłam czoło – z chęcią porozmawiałabym z kimś, kto widział zjawę.

Mieliśmy teraz przed sobą sławny dom na Palm Island, gdzie w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku zmarł Al Capone. Turyści zaczęli robić zdjęcia, a kapitan opowiadać, że Capone sterował olbrzymim zbrodniczym syndykatem znad położonego tuż nad brzegiem zatoki basenu. Kiedyś na oglądanym właśnie fragmencie grobli doszło do krwawej rozprawy o podział rewirów, podczas której goryli Capone’a skosił ogniem z karabinów maszynowych gang z Miami. Momencik! – przeszło mi przez myśl i gwałtownie usiadłam. Przecież nic takiego nigdy się nie zdarzyło! Kapitan opowiadał bajki! Pracując w „News”, mam dostęp do biblioteki, a uwielbiam czytać oryginalne doniesienia o dawnych sensacjach. Człowiek z Blizną przyjechał do Miami, uciekając przed mroźnymi zimami Chicago i zachowywał się tu w sumie dość przyzwoicie. Pod koniec jednak miał już mózg tak zżarty chorobą weneryczną, że nie był w stanie prowadzić jakiegokolwiek działalności przestępczej.

Jeżeli nawet Curt zauważył moją sceptyczną minę, nie dał tego po sobie poznać. Skierował statek na północ, pod zwodzony most, przy którym odkrył samochód Eldridge’a. Sieć powbijanych w dno pali znaczyła czworokąt, który miał kiedyś być Wyspą Pelikanów.

– Od sterburty, czyli z prawej strony – oświadczył kapitan – widzicie państwo pale wyznaczające granice Wyspy Pelikanów. Została ona zaplanowana w latach dwudziestych jako romantyczny raj, na którym zamierzał spędzić miodowy miesiąc zakochany milioner. – Jego wzrok spoczywał łagodnie na mnie. – Sztuczna wyspa miała być prezentem ślubnym dla pięknej gwiazdy musicalu, niestety – jadąc do ukochanego do Miami – zginęła ona w wypadku samochodowym. Milionerowi pękło serce, zrezygnował z dalszych prac nad budową wyspy i wkrótce sam zmarł... – Curt opowiadał o tej tragedii ściszym głosem, z oczami pełnymi smutku. Zrobił dramatyczną przerwę. Turyści byli zachwyceni. – Niektórzy twierdzą, że popełnił samobójstwo – podjął na nowo z mocą – ale ja mówię na to: „złamane serce”. Wyspy nigdy nie ukończono, lecz pale pozostały i do dziś, choć minęło już pół wieku, są pomnikiem miłości.

Piękna historia i do tego znakomicie opowiedziana. Byłam naprawdę pod wrażeniem. Spojrzałam na kapitana Norske i kiedy turyści jak jeden mąż wbijali wzrok w pale, bezgłośnie ułożyłam usta w słowa: „Ale bajer”. Zamrugął zdziwiony, machnął na mnie ręką i ciągnął dalej. Stał przy sterze wyprostowany i rozglądał się po swym mokrym królestwie jak książę mórz. Ani jedno słowo z tego, co mówił, nie było prawdą. Rozciągające się w poprzek zatoki ze wschodu na zachód Wyspy Weneckie zostały usypane w latach dwudziestych. Wyspa Pelikanów nieco na północ od łańcucha miała być następnym elementem grupy, ale inwestorzy splajtowali z powodu kryzysu, który nastąpił po huraganie w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku.

Kiedy wracaliśmy, popołudniowe słońce pokryło wodę purpurą. Przybiliśmy do brzegu, turyści się rozproszyli, a my poszliśmy do ulicznej kafejki, gdzie przy muzyce na beczkach podawano ogromne porcje mrożonego *daiquiri* z truskawkami i bananami. Norske wyglądał na odprężonego i szczęśliwego; złościło mnie to jego samozadowolenie.

– Skąd wytrzasnąłeś tę historię o Wyspie Pelikanów?

– Spodobała ci się? – Błysnął zębami, jakby były podświetlone stuwatową żarówką. Był sobą zachwycony.

Dźgnęłam kilka razy plastikową słomką stojący przede mną lodowaty napój.

– Nic z tego nie jest prawdą i doskonale o tym wiesz. Milioner i dziewczyna z musicalu! To brzmi jak kiepski film klasy B.

Zrobił minę, jakbym sprawiła mu przykrość. Przeciągnął dłonią przez swą gęstą blond czuprynę.

– Oryginalny scenariusz – powiedział. – Sam to wymyśliłem.

– Otóż to. Prawda jest taka, że inwestorzy splajtowali i przerwano prace z braku funduszy.

– Sądzisz, że coś takiego zainteresowałoby turystów? To nudne, nie ma w tym dreszczyku tajemnicy.

– Miasto skrywa w sobie dość prawdziwych tajemnic – oznajmiłam, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Kocham Miami, ale czasami mam wrażenie, że burmistrzem jest Rod Serling. Naprawdę nie ma potrzeby zmyślać na temat tego miasta historyjek.

– Nie rozumiesz turystów, Britt. Nie są bogaci i sławni, nie są zgłębiającymi księgi naukowcami. Większość z nich pracowała ciężko cały rok, by pozwolić sobie na wakacje. Myślisz, że interesuje ich bankructwo przedsiębiorców budowlanych? Są żądni przygód, romantyki, chcą gęszej skórki i dreszczy wzdłuż kręgosłupa.

– Czyli ducha z Dodge Island?

Uśmiechnął się zachwycony.

– Spodobał ci się?

Kapitan nie zapiął dwóch górnych guzików koszuli, toteż wychodziły mu spod niej złote włosy, migocząc w znikającym słońcu.

– Nie wierzę w tę historię. Nikt nigdy go nie widział, prawda? – Wywołany moim przesłuchaniem stres spowodował, że Curt zbyt gwałtownie postanowił wypić *daiquiri*, i aż jęknął z bólu, kiedy fala zimna gwałtownie zaatakowała jego zatoki. – Nie sądzisz, że masz obowiązek do mówienia prawdy? – drażylałam, podczas gdy on chwycił łapczywie powietrze i masował nasadę nosa. – Nie czujesz, się winny, wprowadzając pasażerów w błąd?

– Absolutnie nie – stwierdził zdecydowanie, nachylając się ku mnie przez maleńki stolik.

– Lepiej od innych wiesz, że prawda potrafi być bolesna. Naprawdę uważasz, że ludzie, którzy wydają ostatnie dolary, aby się trochę rozerwać i zgromadzić miłe wspomnienia, chcą słuchać o twoim gwałcieliu? Albo o innych ponurych, smutnych sprawach? Nie, nie chcą.

Będą tego słuchać dzień w dzień w wiadomościach, kiedy wrócą do domu. Nie przelewa im się i pragną rozrywki. Dajmy im więc szansę zapomnieć o codzienności, pozwólmy zabrać ze sobą kilka ciekawych opowiadań. Owszem, ty masz obowiązek kierowania się prawdą, działania według pięciu podstawowych zasad dziennikarstwa, ale ja nie. Ja dostarczam rozrywki. Ludzie, których wożę, wydają masę pieniędzy na wakacje i moim zadaniem jest sprawić, by je zapamiętali. To wręcz mój obowiązek. – Jego otwarty uśmiech spowodował, że moja dezaprobata gdzieś znikła. A może był to skutek *daiquiri*. Wiedziałam doskonale, co ma na myśli, mówiąc o zimnej, trudnej prawdzie. Właśnie dlatego tu byłam, że potrzebowałam odpoczynku od prawdy. Niestety, nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że to, co robi Curt, jest nieetyczne.

– I pracujesz tak ciężko tylko po to, żeby wszyscy wszystko zapamiętali?

Wbił we mnie świdrujący wzrok.

– To taka wada charakteru. Jestem niepoprawnym perfekcjonistą. A ty nie?

Było oczywiste, że zaczyna mnie podrywać, a ja czułam ucisk w klatce piersiowej i dziwne łaskotanie poniżej pasa. Zagryzłam górną wargę i wbiłam wzrok w szklanę, by powstrzymać głupkowaty uśmieszek.

– Chyba zasługujesz na Oscara – przyznałam niezbyt chętnie. – Historyjka o Wyspie Pelikanów jest znakomita. Rzecz jasna, wiesz, że nie było w Miami żadnej strzelaniny, w której brali udział ludzie Ala Capone’a?

– Oczywiście, ale czym byłyby jakkolwiek opowieść o Alu Capone bez karabinów maszynowych?

Wyszliśmy z kawiarni i pojechaliśmy na południe. Nocne powietrze było łagodne i wilgotne. Curt opuścił w kabrioletcie dach i włosy fruwały mi na wietrze. Zjedliśmy kolację w restauracji rybnej w północnym Largo, potem tańczyliśmy przy rytmicznej karaibskiej muzyce, granej głównie na bębnach. Curt jest zbudowany jak atleta, ma wąskie biodra i naturalną grację człowieka, który dobrze się czuje we własnym ciele. I jest w nim więcej ciepła i poczucia rytmu, niż można by się spodziewać po kimś tak bardzo w typie skandynawskiego marynarza. Przytulał mnie mocno i poruszaliśmy się wolno w rytm muzyki. Zamknęłam oczy i odrzuciłam wszelkie dręczące mnie myśli o pracy, wszelkie niepokojące wizje i strachy. Kłopotliwy moment nastąpił, kiedy Curt wtulił twarz w moje włosy.

– Co to? – spytał, pociągając nosem. – Jakaś odżywka? Pachnie jak sos do sałaty.

Potem pojechaliśmy do Bayside, gdzie zostawiłam samochód. Całowaliśmy się i pieściliśmy na prawie pustym piętrowym parkingu niczym nastolatki. Curt był bardzo delikatny, męski, ale w najmniejszym stopniu nie nachalny. Miałam ochotę na więcej, nagle jednak zeszytniałam, wydało mi się bowiem, że usłyszałam w otaczającej nas ciemności stąpienie.

– Co to było? – rzuciłam przerażona, uważnie się rozglądając. – Ktoś tu jest!

Zamrugnął wciąż nieprzytomny i też zaczął się rozglądać.

– Nikogo nie ma – mruknął mi w ucho. – Zawsze jesteś taka czujna? – Możliwe, że nie był to prawdziwy dźwięk, że „usłyszałam” jedynie naciśnięcie hamulca przez moją podświadomość. Kolejny raz zwyciężyły ostrożność i rozsądek. Oderwałam się od Curta i oznajmiłam, że muszę jechać do domu. Zanim jednak pozwolił mi odejść, musiałam się zgodzić na specjalną nocną wycieczkę „Dancerem” – jako jedyna pasażerka.

– Zobaczysz, nie ma nic piękniejszego – kusił. – Sami na statku! Będziemy mogli rzucić kotwicę na środku zatoki, przy pełni księżyca. Zobaczysz, jak wtedy jest pięknie.

Brzmiało to niebezpiecznie: niemoralnie, szalenie i fascynująco.

Obiecałam, że się zastanowię. Zapowiedział, że sprawdzi, kiedy jest następna pełnia, i mnie zawiadomi.

Pojechałam do domu w stanie zbliżonym do narkotycznego odrętwienia. Marzyłam o łóżku, choć miałam położyć się do niego sama. Gdy ściągnęłam ubranie i wślizgnęłam się pod kołdrę, z niewiadomych powodów moje myśli zaczęły krążyć wokół Kendalla McDonalda i przyjemności, jaką znajdowaliśmy w swych ramionach, zanim rozdzieliły nas nasze niemożliwe do pogodzenia zawody.

Rozdział piętnasty

Już następnego dnia mój miniurlop poszedł w niepamięć. Czekają na mnie mnóstwo informacji o telefonach – część z nich wydrukowana na komputerze, część wypisana ręcznie przez sekretarkę działu miejskiego. Jednakże początkowy strumień sygnałów dotyczących gwałciciela wysechł do strumyczka. Ostatnia różowa karteczka zawierała tajemniczą wiadomość: *Może następnym razem będzie blondynka*. Nie było nazwiska i numeru telefonu tego, kto dzwonił. Przyglądałam się wiadomości, mrużąc oczy; czułam mrowie przebiegające mi po ramionach. Nie, to niemożliwe. Pokazałam kartkę Glorii, sekretarce działu miejskiego.

– Ty to przyjmowałaś?

– Nie. – Podniosła głowę, jej ciemne oczy patrzyły pytająco.

– A kto? – Rubryczki, w których wpisuje się datę i godzinę przyjęcia informacji, były puste; brakowało również inicjałów wypełniającego zgłoszenie.

Gloria uważnie przyjrzała się kartce.

– Jeżeli dzwoniło dziś, mogła to przyjąć nowa asystentka, która zastępowała mnie podczas przerwy, albo ktokolwiek z redakcji miejskiej.

– To może być ważne! – rzuciłam z irytacją.

Gloria ponownie spojrzała na kartkę. Treść najwyraźniej nie wydała jej się ważna, ale Gloria jest świetna i wierzy mi na słowo.

– To chyba pismo Gretchen – stwierdziła w końcu.

– O nie! – jęknęłam.

Gretchen popatrzyła na kartkę, jakbym podetknęła jej pod nos kupkę psiego łajna.

– Nie pamiętam, Britt.

– To może być ważne. Przyjmując tak dziwnie brzmiącą wiadomość na pewno zapamiętała pani, czy... – Im bardziej ją naciskałam, tym bardziej starała się wykręcić. Oczy miała pozbawione wyrazu.

– Możliwe, że to ja, ale...

– Jak brzmiał głos tego człowieka? O której godzinie dzwonił? Pod mój numer czy przez sekretariat? Mówił coś jeszcze?

– Britt, mam mnóstwo obowiązków, ale nie należy do nich przyjmowanie telefonów. – Gretchen starała się mówić tonem, jakim zdenerwowani rodzice strofują niegrzeczne dziecko.

– Jeżeli przypadkiem podniosłam słuchawkę i przyjął z uprzejmości telefon...

– Mężczyzna, tak?

– Tak.

– Powiedział coś jeszcze?

– Nie przypominam sobie. – Jej zniecierpliwienie rosło.

– Kiedy dzwonił?

– Britt... – Udawała rozbawioną, choć była wyraźnie zirytowana. – Naprawdę jestem zajęta.

– Gretchen, jak pani sądzi, kto to był?

– Jakiś pani znajomy – stwierdziła, wzruszając ramionami.

– Nie, Gretchen. To był Gwałciciel z Centrum.

Słyszac to, lekko zadrżała, ale nie pozbyła się protekcyjnego tonu.

– Skąd ten pomysł, Britt?

Wzięłam głęboki wdech, z całej siły powstrzymując się, żeby nie wybuchnąć.

– Pamięta pani, że pisał do nas? A przypomina pani sobie nasz ostatni artykuł? O ostatniej ofierze? – Ciągle jeszcze nie kontaktowała. – O ciemnowłosej specjalistce obsługi komputerów?

Gretchen jeszcze raz popatrzyła na wiadomość. Przeczytałam ją na głos.

– *Może następnym razem będzie blondynka.* – Widziałam niemal, jak zapala się w jej głowie zielone światełko. – Tak, tak, Gretchen. Pani jest blondynką, ja jestem.

Zaniosłam wiadomość do Freda Douglasa.

– Uważasz, że powinniśmy zawiadomić policję? – spytał kompletnie zaskoczony.

– Nie mam pojęcia. Co im powiemy? Gdyby Gretchen zapisała przynajmniej datę i dokładny czas – westchnęłam smętnie – albo zapamiętała coś charakterystycznego w głosie, ale to... – pomachałam kartką – to nie da im żadnej wskazówki, nie wniesie nic nowego. Mógł to zrobić jakiś dowcipniś albo miłośnik czarnego humoru. Gdybym to ja odebrała telefon, mielibyśmy pewność. Ktoś powinien nauczyć ją, jak się przyjmuje telefony.

Fred machnął ręką na moje żale.

– To nie jej robota. Ważniejsze, czy nie jest to groźba pod twoim adresem, Britt.

– Prawdopodobnie nie. – W jaskrawym świetle jarzeńówek na czwartym piętrze pełnej ludzi redakcji, z działem pisania tytułów po lewej, redakcją sportową po prawej i dobrze obstawionym przez ochroniarzy holem na parterze, anonimowa wiadomość zdawała się nie groźniejsza od zwykłego kawałka papieru. Cichy, skryty głosik gdzieś w moim wnętrzu był jednak ciekaw, co o niej pomyśle o północy, sama w domu.

Duma nie pozwalała mi okazywać niepokoju. Doskonale pamiętałam dowcipy i szyderstwa, jakie musiał znosić jeden z naszych kolegów z wydania hiszpańskojęzycznego,

któremu – jego zdaniem – grożono przez telefon. Zażądał od redakcji wysłania go na kilka tygodni do Portoryko, „aż sprawa przyschnie”, a po powrocie przez miesiąc musieli go pilnować ochroniarze. Zawsze uważałam, że ci, którzy dzwonią, robią to tylko po to, żeby kogoś nastraszyć. Poza tym w „News” ciągle jeszcze pracują ludzie przekonani, że kobieta reporter policyjny to nieporozumienie. Nie widziałam powodu, żeby lać wodę na ich młyn.

– Nie ma się czym przejmować – stwierdziłam swobodnie i odwróciłam się, by iść do siebie.

– No cóż, uważaj na siebie.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się, robiąc dobrą minę do złej gry. Ciekawe, kto będzie uważał na gwałciciela.

Zadzwoiłam do Harry’ego, by zapytać o nowości z laboratorium. Wstępne badania DNA potwierdziły hipotezę, że list do mnie napisał gwałciciel. Harry też nie był zachwycony, że Marianne Rhodes wystąpiła w telewizji.

– No cóż, ostatecznie to jej sprawa – stwierdził w końcu.

Przez chwilę miałam ochotę powiedzieć mu o telefonie, który przyjęła Gretchen, ale uznałam, że to bez sensu. Jeżeli facet zadzwoni ponownie i przekona mnie, że jest gwałcicielem, a nie świrem, wtedy powiem. Ryan wybierał się do redakcyjnej kawiarenki, więc poprosiłam go, by przyniósł mi kawę. Kiedy wrócił i przechylił się przez swoje biurko, żeby postawić kubek na moim, zamarł w pół ruchu i głośno pociągnął nosem. Po chwili zrobił to jeszcze raz.

– Co masz we włosach, Britt?

– Nieważne.

– Znów byłaś na akcji z gliniarzami?

Odwróciłam się i uważnie na niego popatrzyłam.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo to pachnie jak marihuana – stwierdził rozanielony, zamknął oczy, wsadził nos w moje włosy i ponownie głęboko wciągnął powietrze.

– Ryan, niech cię! – prychnęłam, odpychając go.

– Bez obrazy. Lubię ten zapach.

Wypiłam kawę i zadzwoniłam do detektywa Orestesa Diaza, by zapytać o wynik sekcji Farringtona. Po spędzeniu wielu godzin na rozbijaniu małymi młotkami betonu lekarze sądowi stwierdzili, że – tak jak jego żona osiemnaście lat temu – otrzymał przed zacementowaniem strzał w głowę. Sprawę przejął wydział zabójstw.

Kiedy spadł albo został zepchnięty z platformy, utknął pomiędzy stalowymi prętami konstrukcji. Teoretycznie ciało powinno pozostać w środku kolumny, ale ciśnienie wlewane cementu wypchnęło je pomiędzy prętów i przycisnęło do szalunku. Detektyw miał rację – niewiele brakowało, a Farrington pozostałby po wsze czasy zaginiony.

– Nie ma wątpliwości, że nie było to samobójstwo?

– Nie znaleźliśmy broni, a naprawdę szukaliśmy. Poza tym dostał kulę w tył głowy, dokładnie tak jak jego żona. Mam kopię akt jej sprawy. Prowadzący ją detektyw zrobił kawał znakomitej roboty – szkice, wykresy, wszystko. To zabójstwo jest wierną kopią tamtego.

– Uważa pan, że to przypadek, czy też zabójca wiedział o tamtym morderstwie?

– Przy zabójstwach nie ma przypadków.

– W takim razie, czy to samosąd, coś w rodzaju zemsty? Sprawdzacie rodzinę zamordowanej? Dlaczego ktoś czekałby tak długo? Dlaczego powtórzył zbrodnię w tak oczywisty sposób? Przecież mógł zastrzelić Farringtona na ulicy i upozorować rabunek – myślałam głośno, całkowicie zdezorientowana.

– Zapomina pani, że został znaleziony przez przypadek. O powtórcie mieli wiedzieć jedynie ofiara i zabójca.

– Jakiej broni użyto?

– Chciałbym zachować tę informację w tajemnicy.

– Dlaczego?

– Ponieważ jeżeli zabójca dowie się z prasy, że ustaliliśmy rodzaj użytej broni, może się jej pozbyć, a chcielibyśmy go złapać razem z nią.

Westchnęłam. Dla mnie to było bez sensu. Nie ma zabójcy, który nie oglądałby telewizji, i każdy wie, co to jest balistyka. Jeżeli morderca zamierzał pozbyć się broni, już dawno to zrobił. Oczywiście bywają sprawcy, którzy „przywiązują się” do broni, i nieraz już dyskutowałam na ten temat z Diazem, ale tym razem pozostał nieugięty.

– Odkryliście jeszcze jakieś rany? Co miał w kieszeniach? Został obrabowany? Był alkohol we krwi? Czy mogli spotkać się w barze? Sprawdziliście robotników z budowy, aby ustalić, czy może ktoś, z kim pracował...

– Britt, przegania mnie pani o kilometry, poza tym muszę lecieć do roboty – przerwał mi niecierpliwie Diaz. – Miał przy sobie portfel i dokumenty, trochę pieniędzy, rolexa na rękę. Pozostałe rany można uznać za nieistotne, prawdopodobnie bowiem są skutkiem upadku w oszalowaną formę. To wszystko, co mogę powiedzieć teraz. – Odłożył słuchawkę.

Poszłam do biblioteki po akta Farringtona, które oddałam po napisaniu pierwszego artykułu. Widząc mnie, Onnie wyraźnie się ucieszyła. Wyglądała świetnie – miała na sobie jasny żakiet i spodnie, idealny ciemny makijaż, w uszach maleńkie złote kolczyki. Nuciała pod nosem i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Jej świetny humor działał mi na nerwy, ale zachowałam to dla siebie. Akta Farringtona zostały odstawione na miejsce i aby sięgnąć do „F”, Onnie musiała skorzystać z drabinki. Kiedy schodziła z teczką w dłoni i nachyliła się, by mi ją podać, pociągnęła kilka razy nosem i na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Co to za szampon, Britt?

– To nie szampon – odparłam. Cholera, minęło trzydzieści sześć godzin, a zostało jeszcze drugie tyle!

– Lakier do włosów?

– Nie pytaj. To długa historia.

– Pachnie jak sałatka warzywna albo przyprawa do zup. – Wzruszyła ramionami i zaczęła nucić pod nosem jakąś piosenkę Tyny Turner.

Ciekawe, dlaczego nie ufam w pełni moim przyjaciołom. Jediną osobą, której zwierzam się ze wszystkiego, jest Lottie, ale też tylko dlatego, że domyśla się, o co chodzi, zanim cokolwiek powiem, albo tak długo zamęcza mnie pytaniami, aż wszystko wyśpiewam. Ciekawe, jak zareagowałyby Onnie, gdybym przyznała się do ziół we włosach i dyndającym na majtkach amulecie.

Napisałam drugi artykuł o Farringtonie, koncentrując się tym razem na dziwnym podobieństwie między jego śmiercią a morderstwem, o które był oskarżony osiemnaście lat temu. Przekazałam materiał do dalszego opracowania, zrobiłam kopię do mojego prywatnego archiwum i wepchnęłam ją do szuflady, w której trzymam notatki i wydruki. Mój system jest prosty. Kiedy szuflada już się nie zamyka, przeglądam jej zawartość i wpinam wszystko do teczek, które następnie upycham w stojącej tuż obok szafce na akta. Byłam zmęczona i podenerwowana – także wskutek niewyspania – i moim największym marzeniem było uciec z redakcji, nim ktoś zacznie gdzieś do kogoś albo czegoś strzelać i skaże mnie na spędzenie w redakcji nocy. Kiedy zadzwonił telefon, wyciągnęłam dłoń ze złym przeczuciem. Męski głos, który się odezwał, był mi nie znany i bardzo zirytowany.

– Mówi Ronald DeAngelo.

Chwilę potrwało, nim skojarzyłam, że rozmawiam z obecnym mężem matki Mary Beth. Właścicielem fabryki żarówek w Hialeah.

– Tak, panie DeAngelo?

– Dotarło do mnie, że napastowała pani moją żonę.

Zamknęłam oczy i westchnęłam.

– Nie uważam, by słowo „napastować” było najodpowiedniejsze, panie DeAngelo.

– Dowiedziałem się także, że próbuje pani zdyskredytować kandydata na gubernatora, pana Fieldinga, starego przyjaciela mojej rodziny.

– Obawiam się, że ma pan błędny pogląd na...

– Chciałbym panią poinformować, że traktuję te działania jako zagrożenie bezpieczeństwa i spokoju mojej rodziny. Mój adwokat uznał, że jest to poważna ingerencja w sferę prywatną... – Z każdym słowem stawał się coraz bardziej wściekły.

– Działalam w związku z niewyjaśnionym morderstwem – powiedziałam jak najspokojniej.

– Odgrzebywanie bolesnych historii w celu użycia ich przeciwko niewinnym ludziom jest brutalnym atakiem na ich prywatność. Ostrzegam, że poczynię wszelkie niezbędne kroki dla ochrony mojej rodziny.

Najchętniej bym zapytała, czy jego żona pamięta nazwisko jedyne go świadka porwania Mary Beth, chłopca, z którym jej córka się wtedy bawiła, ale nie był to najlepszy moment.

Zresztą i tak było już za późno – odłożył słuchawkę. Wyciągnęłam rękę, żeby oddzwonić i zapewnić go, iż ostatnią rzeczą, jaką zamierzałam, było sprawienie bólu jego rodzinie, przypominałam sobie jednak, że ich numer jest zastrzeżony.

Kiedy wstałam, by nareszcie iść do domu, sekretarka działu miejskiego z nocnej zmiany podała mi kartkę z wiadomością o telefonie, który odebrała w trakcie mojej rozmowy z panem DeAngelo. Marianne Rhodes prosiła o pilny kontakt. Westchnęłam i wykręciłam jej numer. Trzy razy było zajęte, podniosła za czwartym. Była zdenerwowana i głośna; mówiła niewyraźnie.

– Czy coś już wiadomo, Britt? Policja o niczym mnie nie informuje. Detektyw Arroyo w ogóle się nie odzywa.

– Najprawdopodobniej jest w terenie – wyjaśniłam uspokajającym tonem. – Na pewno, gdy tylko pojawi się coś nowego, natychmiast panią zawiadomi.

– Ci skurwiele nic nie robią! Opuścili sobie śledztwo! Zamierzają pozwolić, żeby wszystko uszło mu na sucho! – Wyglądało, jakby w każdej chwili miała się załamać.

– Skierowano do śledztwa wielu funkcjonariuszy – zapewniłam. – Pracują nad sprawą najlepiej jak potrafią.

– Nie zauważyłam! Pani też nic dziś na ten temat nie napisała! – Zabrzmiało to jak poważne oskarżenie.

– Ponieważ nic się nie dzieje. Odpoczęła pani trochę?

– Nie mogę spać.

– Lekarz nic pani nie dał?

– Nienawidzę pigułek. Mój przyjaciel słyszał, że jedną z poprzednich ofiar szpikują czym tylko się da i chodzi jak żywy trup.

– Musi się pani nieco przespać – poradziłam. Samej by mi się przydało trochę snu.

– Wypiłam odrobinę za dużo alkoholu – przyznała ze skruchą. – To jedyne, co pomaga.

– Musi pani walczyć dalej, dalej żyć.

– Żyć? Jak żyć? – chlpała. – Nie mogę wrócić do pracy, a była najlepsza, jaką miałam w życiu. Straciłam jedynego człowieka, który mnie kochał. – Przerwała, by się napić; słysząc było brzęk kostek lodu w szklance.

– Bena? Pani narzeczonego?

– Bena, skurwysyna jednego. Nie wyrobił. A kto by zresztą wyrobił? Muszę regularnie chodzić na badania gardła i intymnych części, żeby lekarze mogli stwierdzić, czy nie zaraził mnie rzeżączką.

Cholera jasna!

– Czy pani rodzice mieszkają gdzieś w pobliżu?

– Tak. W Cutler Ridge.

– Dlaczego nie przeniesie się pani do nich na jakiś czas?

– Nie wytrzymuję ich obecności. Jedyne, co robią, to patrzą na mnie i płaczą.

– Marianne, niech pani posłucha – powiedziałam pewnym siebie, rozsądnym tonem, choć naprawdę mało brakowało, bym się rozplakała. – Musi pani spróbować sobie pomóc. Musi pani wziąć się w garść, by pomóc w jego skazaniu, kiedy zostanie złapany. – Od razu jednak pomyślałam, co to będzie, jeżeli nie zostanie złapany.

– Nie chcę, żeby go skazali! – zawyła. – Chcę, żeby zdechł za to, co mi zrobił!

– Wiem.

– Przecież panią też ściga.

– Na pewno jakoś pani z tego wybrnie. Powinniście iść z Benem do psychologa.

– Mogłaby pani zadzwonić do niego w moim imieniu?

– Do Bena? Chyba lepiej będzie, jeżeli sama pani to zrobi. Sądzę, że dziennikarz jest ostatnią osobą, z którą ma ochotę rozmawiać.

– Ale wyrzuciłam jego rzeczy na ulicę. Powiedziałam mu, że nie chcę go widzieć na oczy. Dlaczego nie napisze pani o tym artykulu? – Znow chlipnęła. Zaraz potem w słuchawce trzasnęło – chyba upuściła swoją.

– Marianne? Nic pani nie jest?

Nie podjęła rozmowy, słyszałam jedynie pochlipywania i pomruki. Po kilku minutach ja też odłożyłam słuchawkę, zadzwoniłam do wydziału gwałtów i zostawiłam wiadomość dla Harry’ego, żeby odezwał się do Marianne Rhodes, bo potrzebuje pomocy.

Miewałam już lepsze dni w pracy. Wpatrywałam się w telefon jak we wroga. Potem wyszłam z budynku, a ponieważ byłam sama, uważnie rozejrzałam się po parkingu. Na szczęście po chwili pokazała się pracownica ochrony. Pomachałam do niej, otworzyłam samochód i sprawdziłam, czy w środku nie czekają na mnie jakieś niespodzianki. Przez całą drogę do domu rozglądałam się, czy nikt mnie nie śledzi.

Rozdział szesnasty

Rano świat aż migotał, umyty nocną burzą. Wsparcie o białe drewniane tyczki krzewy alamandy kwitły jaskrawym różem, co tworzyło taki kontrast z soczystym błękitem nieba i zielenią trawy, że wprost bolały oczy. Wzięłam prysznic, z niezwykłą przyjemnością umyłam włosy i pojechałam do redakcji. Na biurku czekała na mnie niespodzianka – wielka brązowa koperta. W środku znajdowało się zrobione na pokładzie „Sea Dancera” błyszczące zdjęcie formatu osiemnaście na dwadzieścia cztery, ukazujące w pełnej krasie uśmiechniętego, przystojnego kapitana Curta Norske. Opierał się o reling, za nim pyszniła się panorama wieżowców Miami. Był w pełni zrelaksowany i śmiał się – prawdopodobnie z czegoś, co właśnie usłyszał od fotografującej go osoby. Lottie musiała starannie przejrzeć stare negatywy, by znaleźć tę fotkę. Do zdjęcia była przypięta kartka, naskrobana jej charakterystycznym leworęcznym pismem: *Nie przegap wycieczki!*

Zakłęty na filmie jego empatyczny uśmiech spowodował, że się uśmiechnęłam. Wsunęłam zdjęcie z powrotem do koperty i zadzwoniłam do Lottie.

– Dzięki za zdjęcie. Cóż za miły początek dnia.

– Widziałaś?

– Przecież leżało na biurku.

– Artykuł wstępny. – Jej głos był całkowicie bezbarwny.

– Co?! – Choć przeglądałam przy śniadaniu gazetę, ominęłam felieton na pierwszej stronie. Rzadko je czytuję, zwykle są nudne, czasem żenujące.

– Gazeta ogłosiła dziś poparcie dla Fieldinga.

Poszłam do działu miejskiego i wzięłam egzemplarz. Autor felietonu wychwalał niezwykle umiejętności Fieldinga i entuzjastycznie rekomendował go jako najlepszego kandydata na gubernatora. Byłam ciekawa, czy Dan już to czytał, i nagle stwierdziłam, że wiem, co powinnam dziś zrobić, jeżeli nie zostanę nagle porwana przez nieoczekiwane wydarzenie.

Wybiegłam z redakcji, jakbym gnała do pożaru. Ośrodek medycyny sądowej jest przysadzistym prostopadłościennym blokiem, który jednorazowo może przyjąć do trzystu pięćdziesięciu zwłok. Choć nie wymieniana przez Izbę Handlową jako atrakcja turystyczna,

kostnica Miami jest najnowocześniejsza na świecie. Bezosobowemu głosowi, który docierał do głośnika przy bramie skądś ze środka budynku, przedstawiłam swoją sprawę i masywne wierzeje zaczęły się odsuwać. Zaparkowałam między błyszczącym czarnym karawanem i nieoznakowanym wozem wydziału zabójstw i poszłam do głównego wejścia, pilnowanego przez antyczną armatę, wydobytą z wraku hiszpańskiego galeonu.

„Santa Margarita” zatoniła trzysta siedemdziesiąt lat temu u wybrzeży Florydy podczas huraganu, pociągając za sobą w otchłań całą załogę. Kiedy dyrektor zbudowanego za dwanaście milionów dolarów ośrodka miał wybrać dzieło sztuki (od jakiegoś czasu ozdabianie budynków państwowych dziełami sztuki jest w Miami obowiązkowe), zażądał tej właśnie armaty. Komitet do Spraw Sztuki w Miejscach Publicznych był oburzony. Jego członkowie, którzy wolą, aby miasto szpeciły nic nie przedstawiające abstrakcyjne dzieła drogich współczesnych artystów, uznali, że armata, nawet piętnastowieczna, nie jest dziełem sztuki, a jeden z krytyków zarzucił wręcz, iż stanowi ona militarystyczny symbol śmierci. Lufa jest obecnie skierowana na centrum miasta; mniej więcej wskazuje miejsce, gdzie wybuchły ostatnie rozruchy. Uważam, że to bardzo dobry wybór.

Główny inspektor był u siebie. Akta tutejszego archiwum sięgają roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego i nie podlegają zniszczeniu. Zwykłą praktyką jest utajnianie przed prasą akt niewyjaśnionych morderstw, zwłaszcza tych, w których toczy się śledztwo, i dziennikarze chcący uzyskać jakiegokolwiek informacje odsyłani są do prowadzących sprawę funkcjonariuszy. Zabójstwo sprzed dwudziestu dwóch lat jest jednak czymś bardzo starym, toteż nie spodziewałam się kłopotów, dopóki ktoś się nie domyśli, że sprawa ma związek z Fieldingiem – wtedy mogłaby zostać uznana za znaczącą politycznie. Na szczęście główny anatomopatolog miał wykład dla studentów i nie wiedział o mojej wizycie.

Inspektor, doświadczony, kuty na cztery nogi był policjant, nie miał nic przeciwko pokazaniu mi akt, poszliśmy więc do jednego z magazynów, gdzie bez słowa zaczął szukać w kartonach odpowiedniej teczki. Kiedy znalazł akta Mary Beth Rafferty, rzucił krótko:

– Proszę dać znać, kiedy pani skończy. – Odwrócił się i wyszedł.

Usiadłam przy stole i zaczęłam wertować. Zdjęcia były podpięte osobno, koperta z przeźrocami również.

Na zdjęciu ogólnym Mary Beth wyglądała jak połamana i wyrzucona lalka. Nic dziwnego, że sprawa tak poruszyła Dana. Zamknęłam oczy i odsunęłam zdjęcia, dopiero po chwili zaczęłam czytać raport z sekcji. Przeprowadzał ją osobiście główny anatomopatolog.

Obiektem badania są zwłoki dobrze rozwiniętego i odżywionego osobnika płci żeńskiej; wzrost sto pięćdziesiąt jeden centymetrów, waga dwadzieścia pięć kilogramów. Wygląd zmarłej odpowiada biologicznemu wiekowi ośmiu lat.

Włosy ciemne, pofalowane, sięgają ramion; tęczęwki brązowe, średnica źrenic jednakowa – wynosi pięć milimetrów. Na spojówkach widoczne liczne petechiae.

Petechiae to wedle słownika „krwawe wybroczyny, czyli drobne punkcikowate wynaczynienia krwi, powstające wskutek uszkodzenia ciągłości ścian naczyń włosowatych lub drobnych tętniczek, w tym wypadku – pęknięcia naczynek krwionośnych w oczach. O ile się na tym znam, ich obecność oznacza uprzednie duszenie lub udławienie się.

Uzębienie w stanie dobrym.

Frenulum labii superioris przerwane, poszarpane i stłuczone.

Wędzidełko wargi górnej, czyli znajdujący się między wargą górną a dziąsłem fałd błony śluzowej, został rozerwany i krwawił przed śmiercią.

Badanie szyi wykazuje liczne liniowe – do regularnych – częściowo zlewające się otarcia z pojedynczymi stłuczeniami.

Zadrapania i siniaki na szyi.

Zobaczyłam Fieldinga, pozującego do telewizyjnych kamer w klasie pełnej podnieconych dzieciaków, i po plecach przebiegł mi zimny dreszcz.

Przy następnej linijce załomotało mi serce.

Na lewym barku rana gryziona o przekątnej trzy i pół na dwa i pół centymetra. Wywołane zębami otarcia suche i zaczerwienione. Pod spodem podskórne purpurowoczerwone stłuczenia tkanki miękkiej.

Zaczerwienienie i zasinienie pod skórą wskazywało, że Mary Beth została ugryziona przed śmiercią, a naczynia krwionośne uszkodzone, kiedy jeszcze krążyła krew. Gdyby ugryziono ją po śmierci, tkanka spodnia by się nie przebarwiła.

Zaciekawił mnie ślad po ugryzieniu. Sięgnęłam po zdjęcia i zaczęłam je przeglądać.

Dokładnie pokazywały, co oznaczają dziennikarskie określenia „seksualne molestowanie” i „seksualne uszkodzenie zwłok”.

Mary Beth została zgwałcona gałęzią.

Walcząc z mdłościami, próbowałam nie patrzeć na obrazujące to zdjęcia i zaczęłam energicznie szukać tych, których potrzebowałam. Następne zostały zrobione w kostnicy – nagie ciało wyglądało niezwykle żałośnie na stalowym stole. Bliskie ujęcie ugryzienia. Uznałam, że wystarczy.

Główny anatomopatolog zawsze, jeszcze przed pojawieniem się naukowych ekspertyz odontologicznych, dokładnie dokumentował ślady zranień. Zrobiono wiele zbliżeń pod różnymi kątami.

Kopia z tutejszej kserokopiarki nie była tak dokładna, jak bym sobie tego życzyła; nie pomagały żadne manipulacje kontrastem i jasnością. Złożyłam odbitki na czworo, włożyłam do notesu i wyszłam z archiwum.

Biuro doktora Everetta Wyatta znajduje się w moim ulubionym budynku Starego Miasta. Ingraham Building nie jest składanką neonu, przydymianego szkła, luster i sprytnych architektonicznych sztuczek, lecz jednym z klejnotów Miami – zbudowanym w tysiąc

dziewięćset dwudziestym siódmym roku wieżowcem w stylu neorenesansowym. W tamtych czasach dziesięć kondygnacji było sporym osiągnięciem. Sufit holu pokryty jest płatkowym złotem, wiszą na nim niepowtarzalne kandelabry z brązu, a na brązowych drzwiach wind wygrawerowane są sceny przedstawiające dawną florę i faunę Florydy. Budynek nazwano na cześć jednego z pionierów Miami, Jamesa Ingrahama, który zorganizował w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku historyczne spotkanie Henry'ego Flaglera i Julii Tuttle, „matki Miami”. Efektem tego spotkania była budowa linii kolejowej, co w decydujący sposób zmieniło oblicze miasta.

W wysokim, wyłożonym marmurem holu jest taka akustyka, że za każdym razem, kiedy tu jestem, mam ochotę jodłować. Czekałam, siedząc w wygodnym skórzanym fotelu w prywatnym gabinecie doktora Wyatta, i wyglądałam przez znajdujące się za jego plecami zachodnie okno, kontemplując widok miasta i sieci autostrad, niewyobrażalny w czasach, kiedy stawiano ten budynek. Doktor Wyatt jest tryskającym energią, szybko mówiącym mężczyzną o ogromnej ciekawości świata i bystrym intelekcie, a jego kwitnąca praktyka obejmuje zarówno żywych, jak i martwych. Nieco ponad dziesięć lat temu rozszerzył swe zainteresowania na stomatologię sądową i zajął się identyfikowaniem zwłok na podstawie badań uzębienia i porównań z zawartymi w archiwach danymi. Praca ze szkieletami czy poddanymi procesowi rozkładu, spalonymi i rozczłonkowanymi ciałami wymaga od dentysty szczególnych cech. W którymś momencie doktor Wyatt zajął się dodatkowo analizą ran gryzionych.

Jego ekspertyzy doprowadziły do licznych wyroków za morderstwo; w dwóch z nich winnego skazano na krzesło elektryczne. Analiza śladów pozostawionych przez zęby może okazać się bardziej obciążająca niż odciski palców, czasami bowiem udaje się podejrzanemu wytłumaczyć, skąd się na miejscu zbrodni wzięły jego odciski palców, trudniej jednak przekonać przysięgłych, że pozostawione na ciele ofiary ślady zębów znalazły się tam przypadkiem.

Poczekalnia była pełna pacjentów; większość prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy z drugiej specjalności doktora. Dzięki temu, że jest on przy okazji moim dentystą, zostałam wpuszczona niemal natychmiast. Doktor pamięta mnie, ponieważ za każdym razem, kiedy u niego jestem, rozmawiamy o ciekawych przypadkach, poza tym zawsze gdy siedzę na fotelu, krzyczę:

– Jeszcze żyję, doktorze! Jeszcze żyję!

Wyatt wpadł do gabinetu z właściwą sobie energią, rozejrzał się jak zwykle uważnymi jasnoblękitnymi oczami, szybko zlustrował wszystko dokoła.

– Co się stało, Britt? Przekazano mi, że to ważne. – Popatrzył na moją kartę, którą asystentka położyła mu na biurku, i zmarszczył czoło. – Kiedy ostatni raz czyściła pani zęby?

– Doktorze, czy byłby pan w stanie porównać ślad zębów, jaki zabójca pozostawił dwadzieścia dwa lata temu na ciele ofiary, z odciskiem jego obecnego uzębienia?

– Dwadzieścia dwa lata temu?! – Oczy aż błysnęły mu entuzjazmem na samą myśl o takim wyzwaniu. – Niedługo mam składać zeznanie w sprawie Archiego Greena. – Green był robotnikiem podejrzanym o zabicie w ciągu wielu lat kilkunastu prostytutek. – Ugryzł jedną z nich w tyśiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, odcisk jego zębów dostaliśmy w tyśiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim i zdołaliśmy je porównać, ale nigdy nie spotkałem się z przypadkiem sprzed dwudziestu dwóch lat. Zęby zabójcy musiałyby mieć jakieś szczególne cechy.

Wyciągnęłam kserokopię zdjęcia. Doktor przyjrzał się jej i zmarszczył czoło.

– Musiałbym dostać oryginalną fotografię i ją przetworzyć.

– Przetworzyć?

– Komputerowo. Ma to pani z akt medycyny sądowej?

Skinęłam głową.

– Świetnie, to znaczy, że mają slajd. Zrobimy odbitkę ze slajdu, zeskanujemy i przetworzymy na zapis cyfrowy. Nie uwierzy pani, jakie to daje efekty. – Przyjrzał się ponownie kserokopii. – Klasyczne koliste ugryzienie – oznajmił radośnie i przekreślił kartkę. – Widzi pani, nawet na tak kiepskiej kopii widać na skórze ślady ostrych górnych zębów. Wygląda to na ślad kła. Zabójca musiałby mieć coś charakterystycznego w uzębieniu, przerwę między zębami, coś, co zachowało się dwadzieścia dwa lata – mówił, głośno myśląc. – Wszelkie indywidualne cechy pojedynczych zębów do dziś oczywiście zostały zniwelowane.

Staralam się nie okazywać kipiącego we mnie podniecenia.

– Co uniemożliwiłoby porównanie?

– Jeżeli nosił aparat na zębach, zrobił korony albo wyrwał zęby, możemy wybić sobie sprawę z głowy.

– Korony... – westchnęłam z niepokojem, przypominając sobie idealny uśmiech polityka.

– Tak jest, korony to sztuczny twór.

– Ale zakładając, że nic z tego, co pan wymienił, nie wchodzi w rachubę, czy dałoby się dokonać porównania?

– Zająłbym się tym z ogromną radością.

– Jakich potrzebowałby pan materiałów porównawczych?

– Najlepszy byłby odcisk zębów podejrzanego, często jednak posługujemy się czymś, co badany ugryzł. Niedawno robiłem ekspertyzę na podstawie śladu zębów pozostawionego w batonie czekoladowym. Najlepsze są: miękka kielbasa, ser albo czekolada, choć czekolada łatwo się rozpuszcza. Dobre są też jabłko albo ciastko. – Oparł się wygodnie i zamyślił. – Pamięta pani, jak próbowaliśmy zdobyć odcisk zębów Bundy'ego? Strażnicy ciągle dawali mu owoce, jabłka, ale był na tyle sprytny, że domyślił się, o co chodzi, i zjadał je całe. Raz przysłali mi ogryzek, ale tak dokładnie objedzony, że nie było niczego, na czym mógłby zostawić ślad.

Słuchałam opowieści Wyatta jednym uchem, myśląc gorączkowo nad koniecznymi dalszymi ruchami. Znalezienie dentysty Fieldinga nie powinno być dużym problemem i choć ludzie darzą swoich dentystów podobnym zaufaniem jak innych lekarzy, adwokatów czy duchownych, musiał istnieć jakiś sposób uzyskania od niego potrzebnych danych. Może w końcu uda się wyegzekwować sprawiedliwość dla Mary Beth Rafferty.

– Szkoda, że to nie przydarzyło się współcześnie – powiedział Wyatt. – Teraz pobiera się z ran gryzionych próbki śliny i bada na zawartość endoamylaz i antygenów, co pomaga zidentyfikować sprawcę na podstawie grupy krwi.

Zapisałam mu numer sprawy, a on obiecał sprowadzić akta i przeanalizować zdjęcia pod koniec tygodnia. Wrócił do swoich pacjentów, ja zaś musiałam przed wyjściem skorzystać z toalety. Wzięłam z recepcji klucz i ruszyłam przed siebie. Jeżeli się uda, Fielding zostanie przyszpilony. Cóż to będzie za historia! O czymś takim marzy się stale, pisząc wciąż o tym samym: o morderstwach w środowisku handlarzy narkotyków, zabójstwach z powodu trójkątów partnerskich, napadów zazdrości czy wakacyjnych tragedii. Takie sprawy zdarzają się na okrągło, a ta historia była zupełnie inna.

Całe ciało aż mi pulsowało, czułam się lekka i pobudzona, pchana energią, która przepełnia każdego dziennikarza będącego na tropie sensacji. Rzadko czuję się tak ożywiona, skoncentrowana w dążeniu do celu.

Tutejsza staromodna toaleta jest w porównaniu z łazienkami w nowocześniejszych budynkach mniejsza, ale nieskazitelnie czysta i znakomicie utrzymana, wyłożona oryginalnymi białymi i czarnymi kafelkami sprzed prawie siedemdziesięciu lat. Są tu cztery kabiny, dwie umywalki na podwyższeniach i ściana z luster. Kiedy weszłam, stojąca przy umywalce i przeglądająca się w lustrze kobieta wzdrygnęła się i natychmiast sięgnęła do wielkiej torby. Widząc swe odbicie, aż uśmiechnęłam się na widok promieniejącej energią, zaczerwienionej twarzy, ozdobionej sznurem biało-czerwonych paciorków. Pomyślałam, że nie czas jeszcze informować zwierzchników – muszę się najpierw w stu procentach upewnić. Jeżeli – mimo ostrzeżeń Freda Douglasa i gróźb Mowry'ego – przekonam ich, że wszystko jest pewne i udowodnione, nie będą bronili mi pisać. Jak na razie jednak nie miałam tej pewności, ale sama perspektywa przyłapania Fieldinga działała na mnie elektryzująco.

Coś zastanowiło mnie w lustrzanym odbiciu stojącej nie dalej niż dwa metry ode mnie kobiety. Była wysoka i szczupła, miała opalone łydki, na bosych stopach sandały, zawijaną spódnicę, bluzkę z długim rękawem i długie, błyszczące ciemne włosy. Sznur paciorków na szyi. To one musiały przyciągnąć moją uwagę. Były podobne do moich, ale sznur był wielokolorowy i dłuższy od mojego – przeciągnięty pod pachą, przebiegał przez pierś kobiety niczym generalski sznur. Może знаła ciotkę Odalys? Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze; szybko odwróciłam wzrok i weszłam do kabiny.

Z westchnieniem zaczęłam robić swoje. Jestem chyba jedyną kobietą na świecie, która wydała więcej płynów, niż ich przyjmuje. Czyżbym naprawdę wypila dziś tyle herbat i kaw?

Coś spadło bezgłośnie na podłogę przed moją kabiną, na fragment, który widziałam. Dotykając kafelków, przedmiot wybrzuszył się jak opadający spadochron. Peruka. Peruka z ciemnych długich, błyszczących włosów.

Zamarłam i wstrzymałam oddech. Zza drzwi dochodził jedynie cichy szelest. Po chwili na podłodze wylądował zwinięty materiał – zawijana spódnica, w którą ubrana była kobieta, kiedy weszłam. Wraz z zaciśnięciem się żołądka przeszło mi przez myśl, że toaleta nie ma okien. Kiedy na podłogę spadła bluzka, o kafelki cicho zadzwoniły guziki. Jak mogłam być tak nieostrożna! Prerażona, wstałam i trzęsącymi się dłońmi podciągnęłam majtki. Gdy sięgnęłam do wiszącej na klamce torebki po broń, nogi gwałtownie uciekły spode mnie. Upadłam, boleśnie uderzając barkiem o sedes. Silne dłonie chwyciły mnie za kostki i wyciągały przez odstęp między podłogą a drzwiami. Usłyszałam własny krzyk. W napływającej fali przerażenia przeleciała mi przez głowę niezwykle jasna myśl: tym, co mnie zastanowiło w wyglądzie kobiety, nie były paciorki, lecz jabłko Adama. Znow strasznie zachciało mi się sikać.

Żeby nie dać się wyciągnąć na środek toalety, wpiłam się obiema rękami w dolną krawędź drzwi; walczyłam, ile sił, starając się jak najenergiczniej kopać. Przeciągnął dłońią w górę po moich nogach, złapał mnie za rękę i oderwał ją od drzwi. Uśmiechał się diabolicznie. Osoba, która jeszcze przed chwilą była kobietą, przemieniła się w nagiego mężczyznę, o piersi i przedramionach pokrytych tatuażami. Chwycił mnie za włosy i mocno pociągnął.

– *Chupen* – szepnął i uśmiech przeszedł w grymas triumfu. – *Chupen*.

Przebarwione turkusowe tatuaże na jego skórze były jakby wyblakłe. Plecy przecinał topornie narysowany smok, przechodzący przez prawy bark na przód ciała. Po lewej stronie klatki piersiowej miał węża z kobiecą głową, na lewym ramieniu napisy, a wszędzie strzały.

– Puść mnie! Zostaw! – zawylałam, walcząc zażarcie. Musiał trzymać gdzieś w zasięgu ręki nóż.

Szarпалиśmy się, zdołał jednak sięgnąć za siebie – pomyślałam, że po nóż, okazało się jednak, że po rolkę taśmy samoprzylepnej. Trzymając ją w lewej ręce, prawą chwycił mój nadgarstek. Wyszarpnęłam się i zaczęłam uciekać na czworaka. Udało mi się dotrzeć do stojącego w rogu kosza na śmieci i zastawić nim jak tarczą – jednocześnie zauważyłam leżący na umywalce nóż i stojącą obok puszkę z pudrem. Nie odwracając ode mnie wzroku, sięgnął po nóż i puszka z pudrem spadła na podłogę. Powietrze natychmiast wypełniła gęsta chmura słodkiego pyłu.

Moje wrzaski odbijały się od ścian, podłogi i sufitu jak w dźwiękoszczelnej komorze. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że nie słyhać ich w holu, nie mówiąc już o biurach. Musiał powiesić na drzwiach tabliczkę z napisem NIECZYNNE. Walczyłam bez nadziei na nadejście pomocy. Ratunek mógł nadejść jedynie wówczas, gdyby recepcjonistka doktora zaczęła się dziwić, dlaczego nie oddaje klucza, i przyszła sprawdzić, co się dzieje.

Gryzący puder opadał. Pokrywał podłogę, miałam go na brwiach i we włosach. Gwałcieciel nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego moimi wrzaskami – jego oczy zdradzały, że wręcz sprawiają mu przyjemność. Cieszył się pogonią, stąpał tanecznym krokiem i odparowywał moje ciosy jak igrający ze swoim łupem drapieznik. Chce, abym walczyła, dopiero potem wyciągnie nóż.

Rewolwer... Niestety, wisiał poza moim zasięgiem w zamkniętej kabynie.

Gwałcieciel wyrwał mi kosz z ręki i rzucił go na bok. Jednocześnie zrobiłam krok do tyłu. Nie było szansy minąć go i dotrzeć do masywnych dębowych drzwi. Drąc się i kaszłając, wsunęłam się tyłem do ostatniej kabiny w szeregu, usiadłam na sedesie i zaczęłam kopać obiema nogami. Ponieważ był nagi, mogłam go trafić boleśnie w genitalia, cofnął się więc dwa kroki baletowym ruchem znakomicie wyszkolonego boksera. Widziałam nóż w jego dłoni i wytatuowane na ramieniu zdanie:

Mis amigos son los muertos. Moi przyjaciele to zmarli.

Na włosach wokół jego penisa, sztywnych niczym druciak do zmywania naczyń, perlił się pot. Pomyślałam o Marianne Rhodes. O jego chorobie. Co za skurwysyn! Skoczyłam na równe nogi, jęknęłam, zacisnęłam zęby i zatrzasnęłam drzwi do kabiny. Zaryglowałam zasuwkę, świadoma, że pomoże to jedynie na chwilę. Do oczu napłynęły mi łzy. Mój rewolwer znajdował się trzy kabiny dalej. To tyle, jeśli chodzi o noszenie ze sobą broni. Dzięki, Dan – pomyślałam, ciężko oddychając. Coś zachrobotło w kabinie obok. Próbował dostać się do mnie górą. Wydawał z siebie obrzydliwe gardłowe dźwięki – ułamek sekundy i przełożył do mojej kabiny obie nogi. Opadłam na podłogę i wrzeszcząc jak szalona, zaczęłam się przeczołgiwać dołem do sąsiedniej kabiny. Daleko nie uciekłam. Sięgnął za mną – długie ramię machało na wszystkie strony, błyskał nóż. Kiedy cofnął rękę, zatrzasnęłam drzwi. Byłam teraz oddalona od swojego rewolweru o dwie kabiny.

Myśl o przyszłości jako ofiary gwałtu – jeżeli miałam jakąkolwiek przyszłość – wywoływała we mnie przerażenie i mdłości. K. C. Riley, McDonald, Harry, koledzy z pracy nie omieszkają napomknąć, że mnie ostrzegali. Wpatrywałam się sparaliżowana w górną krawędź przepierzenia, oczekując, że w każdej chwili znów spróbuje tamtędy wejść, ale on wśliznął się dołem, na plecach, jak wsuwający się pod samochód mechanik. Uśmiech na jego ustach był przerażający; wywinął wargi, ukazując strzałę wytatuowaną wewnątrz dolnej wargi. Kopnęłam z całej siły, bez trudu jednak złapał mnie za kostkę. Wypluwał z siebie przekleństwa. Machałam rozpaczliwie ramionami, rozglądając się za czymś, co dałoby się użyć jako broń. Wijąc się niczym piskorz, chwyciłam porcelanową pokrywę dolnopłuka, uniosłam ją nad głowę i cisnęłam mu prosto w twarz. Zareagował na tyle szybko, by się zasłonić, na szczęście tylko jedną ręką, drugą bowiem trzymał moją kostkę. Na kafelki i ściany kabiny trysnęła krew. Pokrywa pękła na pół. Ciągłe kopiąc i wrzeszcząc, złapałam większy jej fragment i ponownie zdzieliłam napastnika. Trafiłam go tuż przy nasadzie

włosów. W rezultacie wysunął się z kabiny, wyrzaskując potok przekleństw i obelg po hiszpańsku. Jeżeli znajdzie teraz mój rewolwer, będzie po mnie.

Na chwilę zapadła cisza. Ponownie zbliżył się do kabiny – zobaczyłam stopy, tuż obok nich na kafelek spadła kropla krwi. Ktoś zaczął szarpać drzwi wejściowe, po chwili w zamku zaczął się obracać klucz. Wrzasnęłam, ile sił w płucach. Jeżeli to sekretarka albo sprzątaczką, zaraz będzie tu policja.

Za drzwiami kabiny rozległo się szuranie. Dysząc cofnęłam się jak najdalej pod ścianę, usiadłam na sedesie i podciągnęłam nogi. Serce waliło mi jak oszalałe, ale czekałam bez ruchu.

Zgasło światło – musiał je wyłączyć – i zapadła całkowita ciemność. Dostałam na całym ciele gęsiej skórki, strach zacisnął mi gardło.

Drzwi wejściowe otworzyły się, padły głośne słowa, ktoś wrzasnął i o podłogę załomotały gołe stopy.

Uciekł? Jeżeli tak, trzeba go zatrzymać! Nie miałam odwagi otworzyć drzwi kabiny. Pomieszczenie wypełniło światło. Zamrugałam, stanęłam na sedes i spojrzałam przez krawędź przepierzenia w zaskoczone oczy niskiej siwej ciemnoskórej kobiety w granatowym kitlu. Za nią stał wózek ze ścierkami, mopem, środkami do czyszczenia i wiadrem. Zaczęłam płakać. Kobieta wyglądała na oburzoną.

– Co się tu dzieje? – Z otwartymi ustami patrzyła za złością na pokrywający wszystko puder.

Skoczyłam na podłogę i wypadłam z kabiny, drąc się wniebogłosy:

– Łapać go! Zatrzymać go! To Gwałciciel z Centrum!

Sprzątaczką odwróciła się ku mnie, zamarła na chwilę ze zdziwienia i wybałuszyła oczy. Na szczęście nie trwało długo, nim zaskoczyła – zaczęła mi wtórować:

– Łapcie go! Zatrzymajcie go!

Nie wiedziałam, że potrafię wydawać z siebie tak głośne dźwięki. Kiedy biegłam do gabinetu doktora Wyatta, od przenikliwego wibrowania aż bolały mnie uszy. Wpadłam jak bomba do pełnej ludzi poczekalni, wrzeszcząc niczym opętana:

– Dzwońcie pod dziewięćset jedenaście! Niech ktoś zadzwoni na policję! Policja!

Recepcjonistka Wyatta, już niecierpliwie czekająca na klucz od toalety, spojrzała na mnie i ze zdumienia zamrugała.

– Co się pani stało?

– Niech pani dzwoni na policję! – zawylałam. – Gwałciciel z Centrum! Jest w budynku!

Wykręciła numer i niemal rzuciła we mnie słuchawką. Profesjonalnie spokojna oficer dyżurna doprowadzała mnie swą powolnością do szafu.

– Jest jeszcze w budynku! Przyślijcie kogoś! Szybko! – Skle³am ją, kiedy kazała mi przeliterować nazwisko, i cisnęłam słuchawkę na widełki, gdy zażądała nazwiska gwałciciela. Wysłałam na korytarz, zapełniony ludźmi, którzy wypadli z biur, słysząc koncert wrzasków,

jaki urządziłam ze sprzątaczką. Zza poszumu głosów i mrużanych pytań dotarły do mnie zbliżające się charakterystyczne trzaski policyjnego radia.

Był to Harry, który mówił coś do swojego walkie-talkie, sunąc korytarzem na czele ochroniarzy budynku.

– Boże, Britt... – wydyszał na widok pudru w moich włosach i na ubraniu.

– To on, Harry! Gwałciiciel. Łapcie go!

Gdy położył mi dłoń na ramieniu, musiałam siłą powstrzymać się, by nie paść bezwładnie w jego objęcia.

– Britt, zgwałcił cię? – zapytał zażenowany.

– Nic mi nie jest. – Nie było czasu na sentymenty. – To on! Łapcie go!

– Britt, tylko mi teraz nie zgłupiej! – Harry, patrząc mi prosto w oczy, podniósł rękę. – Co ma na sobie? – zapytał nagłoco. Szarpnęłam głowę w bok, by wskazać na sprzątaczkę, rozmawiającą kawalek dalej z ochroniarzem i mundurowym policjantem, który wziął się nie wiadomo skąd.

– Ona widziała go ostatnia, kiedy uciekał z toalety. Byłam zamknięta w kabinie. – Brakowało mi powietrza, głos mi się łamał i dusiły mnie łzy. – Ma brązową torebkę, może mieć dzinsową zawijaną spódnicę, białą bluzkę z długimi rękawami i czarną perukę z długimi włosami. Harry, był ubrany jak kobieta! Dlatego nikt go nie widział. Nikt nie zauważył gwałciiciela w kilku pełnych ludzi budynkach, ponieważ przychodził i wychodził przebrany za kobietę!

Kiedy odkryłam tę tajemnicę gwałciiciela, Harry sprawiał wrażenie, jakby chciał się klepnąć dłonią w czoło, ja zresztą miałam ochotę zrobić dokładnie to samo. Zaczął przekazywać przez radio rysopis przestępcy i wskazówki swoim ludziom, koordynować pościg. Na jego twarzy malowało się podniecenie i pulsował taką energią jak każdy, kto jest na ważnym tropie. Dotychczas nie zwróciłam uwagi, że obojga nas opanowuje czasami to samo rozgorączkowanie.

Patrzyłam, jak idzie korytarzem, krótko rozmawia z energicznie gestykującą sprzątaczką, potem udziela szybkich instrukcji grupie przybyłych gliniarzy. Zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie czuje się lepiej niż w takich momentach. Podeszłam do policjantów.

– O mało mnie nie dorwał, Harry. – Drżały mi kolana. – Musi być bardzo blisko!

– Wiem. Pilnujemy holu i przeszukamy budynek piętro po piętrze. Wątpię, by zdążył uciec, na wszelki jednak wypadek zamknęliśmy kordon wokół budynku.

– Jak ci się udało tak szybko przyjechać?

– Byłem tu cały czas – stwierdził ściszym głosem, przybierając cwaniacką minę. – Śledziliśmy cię, na wypadek gdyby się do ciebie przyczepił.

– Chodziliście za mną? – zaskrzeczałam schrypniętym od krzyku gardłem.

– Tak. Kiedy zostawił w twoim samochodzie prezent, pomyśleliśmy, że znajdziemy go tam, gdzie będziesz ty.

– W takim razie gdzie, do cholery, byliście, gdy siedziałam zamknięta z nim w klozecie?!

– Nie wiedziałem, gdzie weszłaś. Cholera, Britt, lepiej tłuc kamienie niż cię śledzić. Nie robisz nawet przerwy na lunch. Raz już nawet obszedłem cały budynek, a potem wróciłem do holu, żeby zawołać kogoś, kto usiadłby na masce twojego samochodu i nie pozwolił ci się wymknąć. Później ochrona dostała informację o wrzaskach na tym piętrze i akurat gdy weszliśmy na górę, dyspozytorka z centrali przekazała wiadomość, że dzwoniłaś. Chyba go okrążyliśmy.

– Śledziliście mnie?!

Szybko przebiegłam myślą miejsca, w których ostatnio byłam, tropiąc Fieldinga, nie zdając sobie sprawy, że sama jestem zwierzyną. Gliniarze wykorzystali mnie wbrew mojej wiedzy jako przynętę, co wcale się nie spodoba moim szefom. Dziennikarze mają prawnie zagwarantowaną wolność poruszania się po mieście w celu zbierania materiałów, w moim wypadku – wolność bycia zgwałconą i zamordowaną na własny rachunek, niejako obiekt obserwacji policji. Na szczęście to się opłaciło. Jeżeli oczywiście dzięki temu gwałciciel zostanie złapany.

Najwyraźniej za mną chodził i najprawdopodobniej zauważył, że gdziekolwiek jestem, korzystam z toalety. Zaskoczyłam go jeszcze w kobiecym przebraniu. Wielką torbę nosił po to, aby chować w niej swoje rekwizyty – i nóż.

Budynek został ewakuowany (każdy pracownik i gość musiał się przy wyjściu wylegitymować) i zappełnił się policjantami, policyjnymi psami i członkami brygady antyterrorystycznej. Torbę gwałciciela znaleziono na klatce schodowej pomiędzy czwartym a piątym piętrem, a półtorej godziny później wyciągnięto go za nogi z szybu wentylacyjnego na trzecim piętrze. Prasy nie wpuszczono do budynku, ja jednak byłam w środku – traktowana nie jako dziennikarka, lecz niedoszła ofiara, która będzie mogła zidentyfikować sprawcę.

Zarówno ja, jak i sprzątaczką natychmiast go rozpoznałyśmy. Nie było to trudne, miał bowiem złamany nos i krwawił z rany na czole, którą zadałam mu pokrywą dolnopłuka. Na usta cisnęły mi się obelgi, milczałam jednak, drżąc na całym ciele. Był zakrwawiony, miał na sobie jedynie spódnicę i naszyjnik i płakał jak dziecko. Jeżeli czegokolwiek żałował, to tego, że dał się złapać, płakał zaś tylko dlatego, że policjanci wykurzyli go z szybu za pomocą gazu łzawiącego.

Mimo moich zapewnień, że jedyną raną, jaką odniosłam, są siniaki na kostkach nóg od chwytu gwałciciela, Harry chciał, żebym pojechała do centrum dla zgwałconych kobiet. Policja sfotografowała siniaki, a Harry namawiał mnie na wizytę u psychologa. Kiedy uparłam się, że nic mi nie jest, wymyślili, żeby zawieźć mnie do komendy na przesłuchanie. W końcu wytargowałam, że najpierw porozmawiają ze sprzątaczką, ja zaś przyjadę za godzinę. Nie byli tym zachwyceni i zgodzili się dopiero, gdy stwierdziłam, że przed przesłuchaniem muszę porozumieć się z przełożonymi. Zależało mi na tym, żeby wpaść choć na kilka minut do redakcji i napisać krótki artykuł do najbliższego wydania.

Kiedy przyjechałam do redakcji, z wytargowanej godziny zostało mi jedynie czterdzieści minut, od razu więc poszłam z kilkoma kolegami do gabinetu Freda Douglasa opowiedzieć swoją przygodę.

– Nic ci się nie stało? – zapytał natychmiast. Jego blada twarz dawała do zrozumienia, że mimo prób wyczesania muszę mieć jeszcze we włosach i na ubraniu sporo pudru.

– Nic mi nie jest, ale nie mamy czasu. Muszę szybko napisać artykuł do wydania ogólnostanowego i jechać na policję złożyć zeznanie.

Fred podrapał się po karku, jakby go bolał. Wymienił spojrzenia z Markiem Seyboldem, który też przyszedł na spotkanie.

– Nie bardzo wiem, czy wolno nam ujawnić twoje nazwisko jako ofiary przestępstwa seksualnego.

– Nie widzę w tym problemu – odparłam, dotykając wiszących ciągle na mojej szyi białoczerwonych paciorków. – Możliwe, że zamierzał mnie zgwałcić, ale udało mu się jedynie trochę mnie poturbować. – W gabinecie panowała całkowita cisza. – Złapał mnie za nadgarstki i kostki. – Głos mi drżał, tak samo kolana pod stołem. Z nadzieją, że nikt tego nie widzi, zamilkłam na chwilę i przełknęłam ślinę. – Gliniarze mogą oskarżać go o próbę gwałtu, ale formalnie nie jestem ofiarą przestępstwa seksualnego.

Zrobiło mi się nieswojo – uczucie, że patrzą na mnie nie jak na koleżankę, zawodowca, lecz jak na kobietę, którą właśnie próbowano zgwałcić, nie było przyjemne.

– Britt... – zaczął Fred – nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale zamierzamy zlecić dalszą pracę nad tym tematem Janowitz. Jesteś osobiście zbyt głęboko zaangażowana w sprawę, by o niej pisać.

Przerwał, przygotowany na mój wściekły wybuch. Wszyscy w redakcji wiedzą, jak bardzo emocjonalnie podchodzę do „mojego” działu i „moich” historii, teraz jednak naprawdę mi ulżyło. Musiałam zająć się czymś ważniejszym.

Pisanie o gwałcieliu to zajęcie na wiele dni – trzeba będzie poinformować o aresztowaniu, potem o oskarżeniu, przeprowadzić wywiady z ludźmi, którzy go znali, i napisać historię jego życia. Porozmawiać z psychologami, dlaczego stał się taki, jaki jest, a być może nawet z nim samym w więzieniu. Niech Janowitz się pomęczy.

– W porządku – stwierdziłam spokojnie, myśląc po cichu, że gwałciciele przychodzą i odchodzą, tym zaś, na czym naprawdę mi zależy, jest przyszpilenie Fieldinga.

Fredowi Douglasowi wyraźnie ulżyło, że tak łatwo się poddałam.

– No to wprowadź Janowitz w sprawę i weź kilka dni wolnego – zaproponował uprzejmie.

Zdenerwowało mnie to.

– Pracuję właśnie nad kilkoma innymi materiałami – odparłam ostro. – Dlaczego miałabym brać wolne?

Wpatrywali się we mnie jak w dziwaczkę.

– Jak sobie życzysz, Britt. – Fred nie bardzo wiedział, co mówić. Jedyne, czego naprawdę chciałam, to żeby traktowano mnie jak fachowca. Jak każdego innego.

Rozmowa z Janowitz, która nie pozwalała mi dokończyć odpowiedzi na żadne pytanie, była mordęgą. Pierwszy raz w życiu tak naprawdę zrozumiałam, co czują ofiary przestępstw, kiedy robię z nimi wywiady. Eduardo i Ryan byli oczywiście ciekawi każdego najdrobniejszego brudnego szczegółu. W końcu poradziłam im, żeby przeczytali jutrzejszą gazetę.

Kiedy dotarłam do komendy, gliniarze walczyli właśnie o zorganizowanie konfrontacji z gwałcicielem, który nazywał się Hector Ugalde. Znalezienie jednak kilku jeszcze osób ze złamanymi nosami, które mogłyby stanąć w jednej z nim linii, nie było takie proste. Ciekawe, czy oskarży mnie o brutalność.

Składanie zeznania – wbrew pozorom – nie okazało się zbyt niemiłe. Harry i jakiś jego kolega zadawali pytania, a protokolant policyjny stenografował każde słowo. Cholera, czekający na każde moje słowo ludzie to ci sami, którzy czasami w ogóle nie chcą ze mną rozmawiać. Teraz stałam według nich po dobrej stronie, a jak długo będą tak uważać, zależało od mojego następnego artykułu. Nie było nigdzie widać McDonalda, wpadła natomiast na chwilę porucznik Riley.

– Dobra robota, Britt – rzuciła, klepiąc mnie po ramieniu, jakbym zrobiła coś więcej niż tylko ocalenie własnego tyłka.

– Jasne – odparłam gorzko, myśląc, że to przecież ona wyraziła zgodę na śledzenie mnie.
– Może zostanę policjantem miesiąca.

Kiedy skończyliśmy, poczułam dziwną niechęć do wyjścia z jasno oświetlonego biura, w którym roiło się od mniej lub bardziej rozentuzjasmowanych ludzi. Z miasta zniknęła kolejna groźba, ale ciemność mnie odrzucała, bardziej niż kiedykolwiek kazała być ostrożną.

Z komendy mechanicznie pojechałam do redakcji, w drodze przypominałam sobie jednak, że nie jestem tam potrzebna. Być może powinnam mimo to pomóc Janowitz, ale mierziło mnie, że będą mnie lustrowały dziesiątki ciekawskich oczu.

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek czuła się tak samotna. Ruszyłam do domu jak zombie. Samochód jechał, jakby miał wbudowanego automatycznego kierowcę.

Rozdział siedemnasty

Zatrzymałam się przy domu państwa Goldsteinów, by powiedzieć im, że gwałcieciel został aresztowany.

– Co ty jesteś taka zakurzona? – zapytała pani Goldstein z niepokojem, zapraszając na talerz znakomitego rosółu z leciutkimi, puszystymi kluseczkami z grysiku. Nie byłam głodna, nie popuściła jednak i kazała mi zabrać porcję w słoiku.

Kiedy otworzyłam drzwi, Bitsy rzuciła mi się w ramiona, zaraz jednak pokręciła łebkiem, cofnęła się i kichnęła. Zamknęłam drzwi, opuściłam żaluzje i nakarmiłam zwierzęta.

Na sekretarce były nagrane wiadomości od Dana, Curta Norske i McDonalda. McDonald. Oczekiwałam, że poproszę go, by przyszedł potrzymać mnie za rączkę, czy też chciał powiedzieć: „A nie mówiłem”? Zastanawiałam się, czy zadzwonić do Curta, wszystko było jednak tak skomplikowane, czułam się śmiertelnie zmęczona i bolało mnie gardło. Wykręciłam numer Dana.

– Nic ci nie jest? Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie? – zaczął z mety. – Wiem, co się stało, z wiadomości. Zostawiłem ci w redakcji dziesięć informacji.

– Myślałam, że usłyszysz, jak wrzeszczę – powiedziałam, próbując mówić swobodnie. – A wrzeszczałam naprawdę głośno. Nie, nic mi nie jest. Musiałam pojechać na komendę złożyć zeznanie.

– Ale ten śmieć cię nie tknął? – zapytał zaniepokojony.

– Próbował, na szczęście mu się nie udało. Mam parę siniaków, odciski palców na kostkach nóg, jestem zachrypnięta od krzyku – i to wszystko.

– Skurwysyn! – W słuchawce coś huknęło, jakby Dan walnął pięścią albo kopnął w ścianę.

– Dan! Co to było?

– Szkoda, że nie mogę pobyć z nim pięć minut sam na sam. Masz broń, prawda? Dlaczego nie odstrzeliłaś mu dupy?

– Dan... – robiłam wszystko, aby mówić spokojnie, ale głos mi drżał – posłuchałam twojej rady, lecz on mnie zaskoczył. Noszenie rewolweru w torebce nie na wiele się zdało. Walczyliśmy i wyciągnął mnie dołem z kabiny.

– Boże! Co za skurwiel!

– Bałam się, że znajdzie moją broń. – Słowa utkwiły mi w gardle. – Broń powinno się nosić w kaburze przy nodze, jak rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Żaden z nich nie przeżyłby dwudziestu minut w Dodge City, gdyby musiał grzebać w damskiej torebce.

Dan nie zostawił suchej nitki na Harrym, że nie było go na miejscu, kiedy najbardziej go potrzebowałam.

– Jak mógł cię spuścić z oka? Ten facet nawet w najlepszej formie nie potrafiłby śledzić słonia w półtorametrowym śniegu!

– No cóż... – wycharczałam – nie bądź dla niego zbyt surowy. Nie bardzo mógł stać na czatach przed damską toaletą. Gdyby za mną chodził, zobaczyłabym go i uciekła.

– A tak przy okazji: co tam robiłaś?

– Poszłam do doktora Wyatta. Zgodził się rzucić okiem na ślad ugryzienia, który morderca zostawił na ciele Mary Beth Rafferty. Istnieje możliwość, że uda mu się dokonać analizy porównawczej.

– Po tylu latach? – W głosie Dana dosłyszałam wątpliwość. – Kilka lat temu prosiłem kogoś o to samo, ale mi odmówiono.

– Technika poszła do przodu. – Usiadłam i rozwiązałam buty. – Obecnie można przetworzyć obraz za pomocą komputera.

– No to warto spróbować. Twój głos brzmi okropnie, dzieciaku. Naprawdę nic ci nie jest? Potrzebujesz czegoś?

– Dzięki, Danny, dobry z ciebie przyjaciel, ale naprawdę nic mi nie jest. Zadzwoń jutro.

Odłożyłam słuchawkę i przeciągnęłam palcami po włosach. Kiedy wyjęłam dłonie, były całe w pudrze. Wzdrygnęłam się i poczułam nagle tak brudna, że najchętniej zerwałabym z siebie ubranie i wrzuciła je do pieca.

Nastawiłam telefon tak, by nie słycać było dzwonka, ale sekretarka nagrywała rozmowy, odpięłam od majtek *resguardo*, położyłam amulet na umywalce, by go widzieć, i zarygłowałam drzwi. Poszłam pod prysznic z naszyjnikiem na szyi i zaczęłam zlewać się gorącą wodą. Podkręcałam kurek z ciepłą wodą, aż otoczyły mnie kłęby pary, a skóra zaczerwieniła się jak u gotowanego homara. Trąc się twardą szczotką kąpielową, schyliłam się w którymś momencie i spostrzegłam na kostce odciski palców gwałciiciela. Mimowolnie wrzasnęłam. Jęcząc i klnąc, zaczęłam pocierać skórę tak mocno, że omal jej nie zdrapałam. Musiałam przyznać przed sobą samą, że nie wszystko jest ze mną w porządku. Otumaniona i osłabiona parówką, opadłam na podłogę, podciągnęłam kolana pod brodę i zaczęłam bezgłośnie chlipać.

Wreszcie skończyła się ciepła woda. Prysznic zrobił się chłodniejszy, a potem zimny. Nie mogłam się uspokoić. Ciaśniej oplotłam dłońmi kolana, a mimo to szczękały mi zęby. Wtedy usłyszałam łomot do drzwi. Przestraszona, złapałam kilka razy łapczywie powietrze, niepewnie wstałam, zakręciłam wodę i zaczęłam nasłuchiwać. Łomot nie ustawał, dodatkowo

– nie słyszałam go przed zakręceniem wody – dźwięczał dzwonek. Rewolwer! Policja nie zabrała mi go, był ciągle w torebce, ale zapomniałam, gdzie ją rzuciłam, wchodząc do mieszkania.

Za słaba i przerażona, by szukać szlafroka, owinęłam się ręcznikiem i – ciągle płacząc – podeszłam na bosaka do drzwi. Zostawiałam za sobą strugę wody.

– Britt, otwórz!

McDonald. Niewiele myśląc, zdjęłam łańcuch, odciągnęłam zasuwę, przekręciłam gałkę i rzuciłam mu się w ramiona.

– Dlaczego, do cholery, nie otwierasz? – mruknął mi do ucha. – Tak się bałem. – Głaskał mnie po włosach. – Cała jesteś mokra i lodowata. – Podniósł mnie i zaniósł do ulubionego fotela obok telefonu. – O mało nie oszalałem, kiedy nie podnosiłaś telefonu – powiedział łagodnie.

W dalszym ciągu z oczu ciekły mi łzy.

Wyszedł z pokoju, po chwili wrócił z moim szlafrokiem i nieporadnie mnie nim otulił.

– Co tu robisz? – spytałam pochlipując i starając się trafić w rękawy.

Wcisnął się na fotel obok mnie i objął ramionami. Był taki ciepły, a ja taka zziębnięta.

– Znajdowałem się poza zasięgiem radia. Pojechałem do Broward na konferencję, nie wiedziałem więc o niczym aż do powrotu. Musiałem się dowiedzieć, czy nic ci się nie stało. Chciałem trochę z tobą pobyc.

– Myślałam, że ty i K.C...

– Nic nie mów, spróbuj się odprężyć.

Poszedł do sypialni, o której kiedyś myślałam „nasza”, i wrócił z kwiecistą narzutą z łóżka. Kiedy mnie nią owinął, zamknęłam oczy jak ranne zwierzę, któremu udało się dostać w bezpieczne miejsce. Słyszałam, jak krząta się po kuchni. Wrócił z zupą pani Goldstein, podał mi wielki parujący kubek i powoli zaczęłam popijać. Było to znakomite lekarstwo na moje obolałe gardło. McDonald przysunął sobie drugi fotel, usiadł, położył moje stopy na swoich kolanach i wbił we mnie stalowobłękitne oczy.

– Chcesz porozmawiać?

– Tak się bałam. Byłam przekonana, że mnie zgwałci. Miał nóż. – Pokręciłam głową. – Nie wiem, co się ze mną dzieje. Zaraz po tym wszystko było w porządku, a później nagle jakbym się rozpadła na pół. Myślę, że przez wiele godzin trzymała mnie adrenalina, a kiedy się zużyła, rozkleiłam się.

– To normalna opóźniona reakcja. Doznałaś szoku i masz prawo tak reagować. Musisz się teraz trochę przespać. – Pomógł mi wstać. Opierałam się o niego, zbyt zmęczona, aby iść do łóżka o własnych siłach. Przykrył mnie i dotykając sznura paciorków na mojej szyi, zapytał: – Nie chcesz ich zdjąć?

– Nie! – Automatycznie sięgnęłam ręką do szyi. Prawie zasypiając, wzięłam głęboki wdech i wymamrotałam: – Jak będziesz wychodził, nie zapomnij zatrzasknąć drzwi.

– Nie będę wychodził. – Zdjął marynarkę, odpiął spod pachy kaburę i położył ją – jak wiele razy przedtem – na szafce przy łóżku. – Zostanę z tobą. Będę cały czas obok. – Położył się obok mnie, na kołdrze. Choć było ciepło, cała drżałam. Zaczął głaskać mnie po głowie. – Jestem przy tobie. Zamknij oczy. Pomyśl o plaży i ciepłym słońcu – szeptał. – Śpij.

Bezpieczna, zamknęłam na chwilę oczy.

Kiedy się obudziłam, przez opuszczone żaluzje przesączało się różowe światło świtu. McDonald spał w fotelu przy łóżku. Nie wiem dlaczego, ale jego widok mnie nie zaskoczył. Jego obecność wydała mi się naturalna. Gdy potrząsnęłam nim, natychmiast otworzył oczy, ziewnął i położył się obok mnie na łóżku. Objęliśmy się ramionami i zasnęliśmy na dłuższą chwilę.

Kiedy ponownie się obudziłam, żaluzje były podniesione. Popatrzyłam na niebo za oknem i drzewa mango w ogródku. Po chwili poczułam dolatujący z kuchni zapach kawy. Ken zrobił jajecznicę i tosty. Jedliśmy i piliśmy sok pomarańczowy, niewiele się odzywając. Potem McDonald przyniósł gazetę i tak jak pół miliona innych abonentów siedzieliśmy i czytaliśmy o Hectorze Ugalde, Gwałcicielu z Centrum. Wszystko wydawało mi się tak odległe, jakby przydarzyło się komuś innemu. Dla nas obojga było w artykule kilka nowości. Kiedy złapano Ugalde'a, miał na sobie majtki ostatniej ofiary, dzinsowa zawijana spódnica pochodziła od jednej z poprzednich ofiar. Najwyraźniej zabierał z ubrania napadanych kobiet to, co mu się podobało i co na niego pasowało. Może był przesądny i uważał, że taka część garderoby przyniesie mu szczęście, może znajdował w tym perwersyjną przyjemność, a możliwe też, że po prostu wstydył się kupować sobie damskie ubrania.

Oskarżenie obejmowało serię gwałtów (nazwano to „wymuszaniem aktów seksualnych”), napady z bronią w rękę, wielokrotne ciężkie uszkodzenie ciała, ingerencję w cudzą prywatność, czyny lubieżne i niemoralne zachowanie się, pobicie, próbę gwałtu oraz przebywanie w miejscach publicznych w przebraniu przedstawicielki przeciwnej płci. Był *marielito*; jego żona, z którą żył w separacji, pracowała kiedyś w budynku, gdzie dokonał dwóch gwałtów. Mieszkał w podupadającym domu z kwaterami do wynajęcia, znajdującym się za jednym z portów przy rzece Miami; pracował dorywczo na barkach. Jego ostatnim w miarę regularnym zajęciem była sprzedaż kwiatów na skrzyżowaniach przejeżdżającym kierowcom.

Policja twierdziła, że jako wyznawca santerii był po aresztowaniu bardzo zdziwiony i wściekły na swojego *santero*, któremu zapłacił dużo pieniędzy za rytuały mające go chronić przed uwięzieniem. Najwidoczniej zarzucał mu fuszerkę. Wytatuowane strzały miały trzymać policję z dala od niego. Dotknęłam paciorków na szyi – magia ciotki Odalys okazała się skuteczniejsza. Pomyślałam, że chyba mi odbija, i roześmiałam się.

– Wyglądasz znacznie lepiej – uznał McDonald.

Sam nie wyglądał dobrze. Przydałoby mu się ogolić i przebrać, ale i tak jego obecność w moim mieszkaniu wydawała się czymś wspaniałym.

– Dzięki. Rozmawiałeś ostatnio z Danem?

Pokręcił głową.

– Od tygodni nie miałem z nim kontaktu. Dan mnie martwi, Britt. Nie mówi o przyszłości ani terażniejszości, żyje tylko przeszłością. Sprawia wrażenie, jakby jedynie ona go obchodziła.

– Może uważa, że nic innego mu nie pozostało. Faktycznie, bywa czasem trochę przygnębiony. Powinien częściej widywać się z przyjaciółmi i miłymi ludźmi.

– To by się dało zorganizować – stwierdził z uśmiechem. – Gdybym zdołał go złapać, założyć mu kajdanki i zaciągnąć gdzieś siłą.

Popijałam kawę.

– Mogłeś mi powiedzieć, że jestem śledzona.

– Nie miałem uprawnień – odparł skruszony. – To nie była...

– Wiem. To nie była twoja sprawa.

– Powinnaś była naprawdę posłuchać Harry’ego. Mało brakowało, Britt. Zbyt mało. – Patrzył na mnie z powagą. – Harry ostrzegł cię, abyś nie pisała więcej o gwałcicielu, dopóki nie zostanie złapany, ale ty zawsze musisz postawić na swoim. Poza tym gdybyś wiedziała o ogonie, prawdopodobnie przestałby mieć sens. Zachowywałabyś się pewnie i przestępca mógłby się domyślić, że coś jest nie tak.

– Bawi was dyskusowanie z Harrym, jaka jestem uparta? – Coś w moim głosie spowodowało, że pomyślałam o Marianne Rhodes.

McDonald nie odpowiedział; siedział, wbijając wzrok w kawę. Kiedy się odezwał, jego głos był łagodniejszy, dźwięczało w nim coś rozpaczliwego.

– Britt, dlaczego zawsze musimy tak rozmawiać?

– Nie wiem, McDonald, nie wiem – szepnęłam.

Wziął mnie za rękę.

– No to powiedz, jak to jest być porucznikiem? – spytałam, ściskając go za palec.

– Świetnie! – odparł energicznie. – Wszystko znakomicie się układa. Być może zostaną na wiosnę wysłani do PIP-u.

– No, proszę. – Uśmiechnęłam się, ale poczułam ukłucie w sercu. Do Północnego Instytutu Policyjnego w Kentucky wysyła się jedynie policjantów przewidzianych do awansu.

– Każdy dotychczasowy komendant był absolwentem Instytutu.

– Wiem. – Błyszcząły mu oczy. – To może to być przełomowa sprawa.

– A co z tobą i K. C. Riley?

– To nie ma nic wspólnego z nami.

– Jak to?

– Obchodzi mnie, co się z tobą dzieje, i zawsze będziesz dla mnie ważna. Zawsze będziesz się dla mnie liczyła i zawsze będę do twojej dyspozycji. Wiesz, na początku byłem zazdrosny, kiedy zobaczyłem cię z tym gościem w ubraniu lodziarza – wyraz jego twarzy mówił, że trudno mi będzie w to uwierzyć – ale potem doszedłem do wniosku, że to dobrze. Zaslugujesz na to, żeby być szczęśliwa.

Wiedziałałam, co ma na myśli. Chciałam mu powiedzieć tyle rzeczy, tyle mu wyjaśnić, ale znowu dzieliły nas nasze zawody. Pocałował mnie na do widzenia i wyszedł. Mieszkanie zrobiło się nagle okropnie puste.

Dolałam sobie kawy i jeszcze raz przeczytałam artykuł o gwałcicielu. Oczekiwano dziś złożenia wniosku o zwolnienie za kaucją.

Janowitz zrobiła kawał dobrej roboty, ale ja napisałabym wszystko inaczej. Z irytacją stwierdziłam, że przynajmniej raz zostałam źle zacytowana. „Trzęsłam się jak diabli” brzmiało idiotycznie i nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała.

Zadzwoił telefon. Pani Goldstein przeczytała właśnie artykuł.

– Jaka to ulga, że jest już w więzieniu – oznajmiła. – To musiało być dla ciebie okropne, Britt.

Usiadłam w swoim ulubionym fotelu i podciągnęłam kolana pod brodę.

– Też się cieszę, że już po wszystkim – stwierdziłam. – Trzęsłam się jak diabli.

Usłyszawszy te słowa, przycisnęłam czoło do kolan i zamknęłam oczy. Człowiek spędza życie, przytaczając i relacjonując słowa innych ludzi, a gdy ktoś cytuje jego własną wypowiedź, nie jest w stanie uwierzyć, że to powiedział.

– Widziałam porucznika – chytrze dodała moja gospodyni. – Cieszę się, że wrócił.

– Wpadł tylko sprawdzić, czy jestem cała – szepnęłam przez zaciśnięte gardło. – Nic więcej.

Rozdział osiemnasty

Skorzystałam z propozycji Freda Douglasa, żeby wziąć sobie wolny dzień, i zwinęłam się na łóżku z Bitsy i Billym Bootsem, żeby podrzemać. Obudziłam się przed południem, wypoczęta i szczęśliwa, że żyję. Oddzwoniłam do Lottie, Onnie, matki, ciotki Odalys i jeszcze paru przyjaciół, zapewniając każdego, że żyję i dobrze się czuję. Twardo odmawiałam umawiania się z kimkolwiek na spotkanie. Chciałam być dziś sama. Założyłam Bitsy smycz i zabrałam ją na dwór.

– Mało brakowało, a musiałabyś szukać nowego właściciela – poinformowałam ją pod koniec spaceru, wzięłam na ręce i przytuliłam.

Naszła mnie fala żalu za Francie, pobiegłam myślą do Dana. Dzień był przepiękny, niebo błękitne. Obserwowałam świat jakby nowymi oczami. Jak można wytrzymać świadomość, że zostawi się to wszystko za sobą? Było niezwykle, że mimo tego, co go czeka, Dan martwił się o mnie. Postanowiłam być dla swoich przyjaciół lepsza i troskliwsza.

Kiedy następnego dnia przyjechałam do redakcji, czułam się jak nowo narodzona. Na moim biurku stał przepiękny bukiet z kolorowych kwiatów. Nie były od McDonalda. Na dołączonej kartce napisano: MAM NADZIEJĘ, ŻE DOBRZE SIĘ CZUJESZ. NIE ZAPOMNIJ O PEŁNI KSIĘŻYCA. CURT.

Janowitz w dalszym ciągu zbierała informacje o Hectorze Ugalde, któremu odmówiono zwolnienia za kaucją. Miał dodatkowo na koncie kilka aresztowań za próby gwałtu w Union City w stanie New Jersey, gdzie jakiś czas mieszkał. Poszukiwano go tam w dalszym ciągu za ucieczkę podczas zwolnienia warunkowego. Sporządzona na zlecenie sądu ekspertyza psychiatryczna stwierdzała, że w dzieciństwie, kiedy mieszkał jeszcze w Hawanie, jego matka, która utrzymywała się przed rewolucją z występów porno na żywo, za karę odmawiała mu obcinania włosów i ubierała go w dziewczęce stroje. Lekarz napisał w swojej opinii, że kobieta ta prowadziła bezładne, przypadkowe życie seksualne z wieloma partnerami i zachowywała się także wyzywająco wobec syna, który na przykład musiał jako dziecko pudrować ją po wyjściu z kąpieli.

Mam duże wątpliwości co do psychiatrów. Jasne było, że doktor uzyskał te informacje od samego Ugalde'a i nie miał możliwości ich zweryfikować, ale w pewien chorobliwy sposób wydawało się to logiczne.

Po południu zadzwoniłam do kancelarii Fieldinga, poprosiłam do telefonu jego sekretarkę i zaczęłam łączyć jak najęta.

– Dzwonię od dentysty pana Fieldinga w sprawie terminu.

– Terminu?

– Tak, chodzi o okresowe czyszczenie i przegląd.

– Ale przecież był u doktora Wisemana dziesięć dni temu, podczas ostatniej bytności w Miami. Nie rozumiem, o co chodzi. Jest w terenie w związku z kampanią wyborczą.

– Nnno tak, musimy mieć błąd w komputerze.

W książce telefonicznej był tylko jeden doktor Wiseman.

– A więc to pan jest odpowiedzialny za wspaniały uśmiech naszego kandydata – plotłam po wstępie, że zbieram materiały do artykułu o Fieldingu; w tym zakresie nie kłamałam. – Czy może go odziedziczył?

– Powiedzmy, że nieco dopomógł mu dentysta – stwierdził doktor Wiseman. Potem dodał, że dwa lata temu założono Fieldingowi nowe porcelanowe korony.

Cholera, a więc wróciliśmy do punktu wyjścia. Trudno, trzeba będzie przejść do codziennej rutyny i pogodzić się, że sprawa pozostanie niewyjaśniona. Wepchnęłam materiały dotyczące Mary Beth do szuflady biurka, obiecując sobie, że przy pierwszej okazji przeczytam je ponownie słowo po słowie. Niestety, Miami znów się obudziło. Działy się coraz dziwniejsze rzeczy, ale to norma w naszym gorącym jak piec lecie, najbardziej nerwowej porze roku.

Na przedmieściach, w poprzek leżących blisko wody ulic, odbywały się wędrówki zębaczy. Meduzy, które normalnie dokonują inwazji na południową Florydę późną zimą, teraz pojawiły się tysiącami; na falach unosiły się wielkie ławice migotliwych błękitnawych bąbli. W powietrzu wisiało coś nieokreślonego i groźnego – jakby coś było nie w porządku z matką naturą. Specjalizująca się w hard-rocku stacja radiowa zorganizowała „poszukiwanie skarbu”, chowając tysiąc dolarów w jednej z budek telefonicznych w mieście i podniecając słuchaczy podawaniem wskazówek, gdzie szukać. Masowe polowanie osiągnęło szczyt, kiedy przed jedną z budek – oczywiście nie tą, co trzeba – zderzyły się trzy samochody, powodując masowy karambol. Przed budką, gdzie schowano pieniądze, zrobił się najpierw potężny zator, potem w ruch poszły pięści i o mało nie doszło do rozruchów. Najpoważniej zraniono niewinnego gapia, który chciał jedynie zadzwonić. Znajdujące się w centrum kino „Rio”, znane jako punkt zborny nastolatków z niezamożnych rodzin, trafiło do środków masowego przekazu z powodu szczurów, które niefortunnie pojawiły się na sali w czasie projekcji horroru. Widzowie z zapartym tchem śledzili rozwój akcji i wówczas jedna z dziewczyn poluzowała chwyt na nie dojeżdżonej kanapce z kielbasą. Akurat gdy napięcie na ekranie

osiągnęło apogeum i zbliżał się przerażający finał, wielki szczur beczelnie złapał dziewczynie kanapkę, ta jednak nie chciała puścić i zaczęła się drzeć:

– Złapał mnie! Złapał mnie!

Przez dłuższy czas przeciągali się jak na zawodach, a tymczasem pięciuset rozwrzeszczanych dzieciaków szturmowało wyjście. Większość ran nie była poważna, było ich za to mnóstwo.

Następnego dnia przygotowałam przed pracą kilka bagietek z białym serem, pojechałam do redakcji i poszłam prosto do ciemni. Na mój widok Lottie natychmiast włączyła czajnik.

– Masz na mnie zły wpływ, Britt – poskarżyła się, wbiła zęby w bułkę i westchnęła z rozkoszą. – Mmm, pamiętałaś nawet, żeby wziąć serek ze szczypiorkiem.

Ponieważ nasze ostatnie rozmowy obracały się głównie wokół Hectora Ugalde, nie zdążyłam jej dotąd opowiedzieć o wycieczce z Curtem Norske. Nadrobiłam to teraz, nie pomijając jego zmyślonej wersji historii Miami i zaproszenia na wycieczkę w pełni księżyca.

– Oczywiście pojedziesz, prawda?

– Nie wiem – przyznałam niezdecydowana. Lottie przewróciła oczami.

– Ja bym nigdy nie przepuściła takiej okazji. Wyprawa w siną dal z kapitanem Curtem!

Wzruszyłam ramionami.

– McDonald twierdzi, że Curt wygląda jak sprzedawca lodów.

– A co ma innego powiedzieć? Potraktował cię jak przedmiot, flirtuje z koleżanką z pracy, ale wścieka się, widząc, że jesteś szczęśliwa z kimś innym. Wyobraź to sobie – płyniecie sami po zatoce, w górze księżyc w pełni...

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. McDonald zachował się wspaniale; przyszedł, kiedy najbardziej go potrzebowałam, a w czasie pełni notuje się najwięcej przestępstw.

– Britt, czyś ty oszalała? – Popatrzyła mi uważnie w oczy. – Po co ci facet, który pojawia się jedynie wtedy, kiedy jesteś bardziej martwa niż żywa? Musisz zbadać sobie krew i sprawdzić, czy nie dzieje się coś złego z twoim mózgiem.

W tym momencie włączył się interkom. Dzwoniono z działu miejskiego – skrzekliwy bełkot zaanonsował Gretchen. Chciała przefaksować zdjęcie do filii w Broward i potrzebowała pomocy. Lottie westchnęła i wstała.

– Ta baba nie umiałaby wylać sików z buta, nawet mając instrukcję! Zaraz wracam. – Wzięła resztkę bagietki i wyszła.

Siedziałam jedząc i popijając kawę. Po chwili sięgnęłam do wielkiej torby fotograficznej Lottie i wyciągnęłam z bocznej kieszeni dwa katalogi wysyłkowych domów sprzedaży. Pierwszy nazywał się „Sekrety Londynu”. Tępo przewracałam błyszczące kolorowe kartki z podniecającą bielizną i innymi ubiorami, prezentowanymi przez przepiękne długonogie modelki. Jedna z nich pozowała dość wyzywająco, z rozchyłonymi ustami, jedną rękę opierając na biodrze, drugą leniwie odrzucając do tyłu burzę wybielonych słońcem włosów.

Czerwone elastyczne body, które miała na sobie, było według opisu niezwykle delikatne, obszyte koronką, wstążkami i sztucznymi perłami. Wpatrywałam się dłuższy czas bez ruchu w zdjęcie i nagle dotarło do mnie, co było nie tak, czemu starałam się zaprzeczyć – nawet w snach. Poczulałam mdłości. Starłam z warg resztki serka ze szczypiorkiem i wstałam. W tym momencie wróciła Lottie.

– Nażarłam się jak prosię, ale to było takie doobre. – Spostrzegła moją minę. – Co się stało, Britt? Źle się czujesz?

– Muszę nagle wyjść – szepnęłam i pognałam do swojego biurka. Zaczęłam przewracać powpychane do najniższej szuflady papiery i wydruki, aż znalazłam, czego szukałam. Steiner, Creech, Farrington. Przejrzałam jeszcze raz artykuły na ich temat, potem kilka innych. Z drżącym sercem zadałam sobie pytanie, czy to możliwe. Co powiedział detektyw Diaz? „Przy zabójstwach nie ma przypadków”.

Kiedy gnałam z powrotem do Lottie, krążące po mojej głowie nieokreślone lęki zaczęły przybierać coraz wyraźniejsze kształty. Była w ciemni. Weszłam w obrotowe drzwi, po sekundzie pochłonęła mnie ciemność. Lottie pracowała w głębi, na końcu szeregu powiększalników, skąpana w upiornym pomarańczowym świetle. Ze stojącego w kącie magnetofonu dobiegała muzyka – *Mean Mistreatin' Momma* w wykonaniu funk-bluesowego gitarzysty Elmore'a Jamesa.

– Lottie, obawiam się, że stało się coś okropnego.

– Oczywiście, masz rację. – Odwróciła się ku stojącym na środku pomieszczenia zlewów.

– Zjadłam resztkę twojej bagietki, ale nie wiedziałam, kiedy wrócisz, i nie chciałam, żeby się zmarnowała.

– Mówię poważnie. – Od gryzącego kwaśnego zapachu utrwalacza, dolatującego z wielkiej kuwety na zlewie, przewracał mi się żołądek. Gdzieś bez przerwy szumiała woda, pracowała suszarka. Podeszłam bliżej Lottie.

– Masz na myśli Hectora Ugalde? Prześladuje cię myśl o nim? – zapytała.

– Gorzej. – Gwałciciel z Centrum był przerażający, ale był kimś obcym, nie zaś przyjacielem ani kimś, komu ufałam. – Czy uważasz, że to możliwe, aby ktoś, kto całe życie spędził jako porządny obywatel, mógł nagle zostać zabójcą?

– Chodzi ci o Gretchen?

– Lottie, mówię poważnie!

– Ja też! – Tupnęła dla podkreślenia prawdziwości swoich słów.

Podeszłam bliżej i patrzyłam na pojawiające się na papierze jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki migawki z Miami. Starzy mężczyźni grający w parku w domino, młodzi Kubańczycy na obozie sportowym w Everglades, bezdomni w parku Bayfront. Lottie brała zdjęcia szczypcami i przenosiła je do utrwalacza.

– Cholera jasna! – krzyknęła, cofnęła się krok i zaczęła przyglądać podwiniętemu rękawowi bluzki. – Chlapnęłam wywoływacz na bluzkę! To cholerstwo nigdy się nie spierze!

– Chodzi o Dana. Odkryłam kilka zdumiewających zbieżności. – Odwróciła się w moją stronę. – Wiesz, że kiedy śpi, je i pije, myśli o nie rozstrzygniętych starych sprawach.

– Jak stary bulterier, który nigdy nie popuszcza. – Skinęła głową i ponownie skoncentrowała się na odbitkach w kuwetach.

– Pamiętasz Farringtona, podejrzanego o morderstwo, który kilkanaście lat temu zalał żonę cementem? Teraz ktoś zrobił to samo z nim!

– To dobrze. Znakomity przykład sprawiedliwości. – Przeniosła odbitkę z utrwalacza do płukania.

– Być może. Kiedy przed chwilą oglądałam twój katalog „Sekrety Londynu”, przypomniał mi się Creech, facet, który udusił się w trakcie zabaw seksualnych. Podobno zginął przypadkowo, ale też był kiedyś podejrzanym o zabójstwo. Swojej nastoletniej siostrzenicy. Na tle seksualnym! Jest jeszcze Dieter Steiner, przyłapany z powodu morderstwa przez Dana. Miał zostać na nim wykonany wyrok śmierci na krześle elektrycznym, ale udało mu się wykręcić z przyczyn proceduralnych. Zginął porażony prądem!

Lottie przestała zajmować się zdjęciami.

– A niech to jasny gwint – mruknęła. – Sporo tej sprawiedliwości. Było coś jeszcze?

– Nie mam pojęcia.

– Uważasz, że ktoś rozlicza się z nie ukaranymi mordercami, niczym anioł zemsty? – Ściszyła głos. – Dan?

– Przypomina mi pluszowego misia. Poznałam go z moją matką. Z dziećmi i starszkami jest jak do rany przyłóż. – Ciemnia wydała mi się teraz zimna i wilgotna niczym krypta. Zdjął mnie chłód, aż się wzdrygnęłam. – Widziałam kiedyś, jak będąc na służbie, zatrzymał się na autostradzie, żeby uratować żółwia, który przechodził między samochodami.

– Ale ci, którzy zginęli, nie byli niewinnymi dziećmi, bezradnymi zwierzątkami ani starszymi paniami, Britt. To byli mordujący z zimną krwią przestępcy.

– Nie zapominaj, że on spędził życie na egzekwowaniu prawa.

– I zobacz, co mu z tego przyszło. – Wytarła dłonie o fartuch. – Obie doskonale wiemy, jak cienka linia oddziela dobro od zła. Być może ją przekroczył. – Jej twarz niemal świeciła w pomarańczowej poświacie.

– Dan nigdy by... Choć od odejścia z policji naprawdę się zmienił – myślałam głośno. – Podupada na zdrowiu, stracił rodzinę, ostatnio jednak sprawia wrażenie energiczniejszego, jak ktoś, kto ma zadanie do wykonania.

– Umiera. I nie pozostało mu już nic, po co warto żyć, z wyjątkiem sprawiedliwości, która go zawiodła. Może wyznaczył sobie misję.

Przez dłuższą chwilę milczałyśmy, słuchając leżącej wody i szumu suszarki. Elmore James zaczął śpiewać: *Mam prawo kochać moją małą.*

– Kto potrafiłby lepiej upozorować wypadek, jeśli nie człowiek, który przez trzydzieści lat zajmował się zabójstwami? – odezwała się w końcu Lottie.

– To szaleństwo. – Walczyłam z wyrzutami sumienia, że jestem tak niełojalna.

– Sądzisz, że ktoś jeszcze się domyśla?

– Wątpię. My też nie wiemy, czy to prawda. To przecież niemożliwe. Co z tym zrobić?

– To samo co zawsze, kiedy masz podejrzenie albo ślad. Zbadać sprawę. Dlaczego go nie zapytasz? Przecież twierdzisz, że nigdy cię nie okłamał.

– No tak... – przeciągnęłam palcami przez włosy – ale też nigdy go nie pytałam, czy popełnił przestępstwo. Cierpi na serce i przeszedł piekło. Ufa mi. Co zrobię, jeżeli powie mi coś, czego nie chcę usłyszeć?

Lottie pokręciła głową, jakby zaskoczyło ją moje wahanie.

– To co zawsze, Britt. Napiszesz artykuł.

– O Danie?

– Jeżeli to, co podejrzewasz, jest prawdą, prędzej czy później ktoś o nim napisze. Lepiej żebyś zrobiła to ty niż nie wiadomo kto. Tobie przynajmniej na nim zależy.

– Masz rację, ale na pewno niesłusznie go podejrzewamy.

– Przekonajmy się o tym. Zawsze uważałam, że przecucie rzadko cię zawodzi. – Położyła mokrą odbitkę na taśmie u wlotu suszarki i zdjęcie zaczęło znikać w środku. Kilka sekund później pojawiło się z drugiej strony – suche i wyprasowane.

Często dyskutowałam z Lottie, która z nas ma trudniejszą pracę. Wychodząc z ciemni, nie miałam już wątpliwości – fotografowanie jest prostsze. W fotografii nie ma pytań, a zdjęcia nie kłamią.

Rozdział dziewiętnasty

Wyszłam z redakcji, nie odmeldowując się, chociaż każdy z pracowników ma obowiązek informowania, dokąd się udaje. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Najchętniej wsiałabym w samochód, ruszyła na zachód, przejechała przez Everglades i zatrzymała się dopiero nad Zatoką Meksykańską. Dlaczego odczułam nagle pragnienie wyjazdu na łagodne wybrzeże? Byłam tam ostatni raz z Kendalllem McDonalodem; uciekliśmy od narosłych zawodowych napięć na idylliczny tydzień, w którym liczyły się jedynie białe plaże i ciepła woda. Było to tuż zanim miasto wybuchło, a nasz związek legł w gruzach.

Zaparkowałam w sekretnym miejscu, dokąd jeżdżę, by przemyśleć sprawy albo podładować wewnętrzny akumulator, kiedy zaczyna mnie podduszać prawda, przestępczość lub miasto jako takie. Mój samochód był jedyny na niewielkim placu zabaw, dającym doskonały widok na zatokę, rozległą srebrzystą powierzchnię wody na zachodzie, migoczącą panoramę wieżowców i nieskończone kobaltowe niebo.

Musiałam zebrać myśli. Po raz pierwszy w życiu podejmowałam dochodzenie z nadzieją, że się mylę, że za moimi podejrzeniami nie kryje się materiał na artykuł.

Tak będzie najlepiej. Dan nie powinien się domyślać, że przyjaciółka, której ufa, prowadzi w jego sprawie dochodzenie, jakby był bankierem-defraudantem, skorumpowanym urzędnikiem państwowym albo... policjantem, który zszedł na złą drogę.

Porozmawiam z nim na końcu. Nie wolno wywoływać u ofiary podejrzeń, dopóki nie jest się pewnym swego. Reguła numer trzy: zbieraj informacje, a dopiero mając konkrety, proś obiekt badań o wyrażenie zdania.

Przy odrobinie szczęścia nic nie znajdę i nie dojdzie nawet do tego.

Na parking wjechał poobijany zielony buick i zaparkował tuż obok. Kierowca był sam. Popatrzył na mnie i skinął głową. „Duchy” ciotki Odalys ostrzegały, że jestem zbyt ufna. Śmiechu warte. W odpowiedzi na uśmiech przybysza sprawdziłam, czy mam pozamykane drzwi i włączyłam silnik. Prawda bowiem wygląda tak, że jestem nadmiernie podejrzliwa, co jest znakomite dla dziennikarza, ale paskudne dla przyjaciela. Choć niebezpieczeństwo minęło, w dalszym ciągu noszę paciorki i *resguardo*. Nawyk czy chęć zabezpieczenia się?

Wróciłam do redakcji i zaczęłam sporządzać teczkę. Na szczęście dyżur miał Tubbs i był zbyt zajęty, by zażądać dokładnych wyjaśnień, kiedy ponownie wychodząc, mruknęłam, że chyba na coś trafiłam i muszę to dokładniej sprawdzić.

Pierwszym przystankiem był zakład medycyny sądowej. Nie było szefa, zastałam jednak doktora Duffy'ego.

– Zastanawia mnie sprawa Farringtona – poinformowałam go na powitanie.

Pokręcił głową, zdjął okulary i zaczął je czyścić. Patrzył wyczekująco, co powiem dalej, jedynie wyraz jego oczu zdradzał cień nieufności.

– Wszystkich zastanawia – odparł, wskazując na leżący przed nim stosik kartek. – Wywołała spore zainteresowanie, wie pani jednak, że w sprawach, w których jeszcze toczy się śledztwo, muszę odesłać panią do oficera prowadzącego.

– Już rozmawiałam z Diazem – rzuciłam mimochodem. – Wszystkich intryguje, jak wyciągnęliście ciało z betonu. Musiało to być niezwykle pracochłonne.

– Zgadza się. Niektóre morderstwa wydają się podlegać prawu cykliczności. Czy zwróciła pani uwagę, że raz mamy serię trupów zakopanych bardzo płytko, potem serię w bagażnikach samochodów, później w zatoce albo wywiezionych do Everglades? Mam nadzieję, że to zabójstwo nie zacznie serii.

– Przypuszczam, że nie było możliwości wydobycia czegokolwiek z betonu. Szkoda, bo gdyby to było samobójstwo i miał przy sobie broń albo list pożegnalny, nigdy nie zostałyby odnalezione.

Doktor Duffy wstał.

– Proszę za mną, coś pani pokażę. – Podążyłam za nim. Przeszliśmy korytarzem do zamkniętego pomieszczenia w sektorze dochodzeniowym.

Duffy wyłączył alarm, wszedł do środka i zdjął z półki kartonowe pudełko. Wyniósł je na zewnątrz i postawił na stole, pokrytym błyszczącą nierdzewną blachą. W pudle znajdowały się plastikowe butelki, coś co wyglądało na nie dojedzoną kanapkę, puszka po coca-coli, pudełko po papierosach, papierki po ciastkach i gumie do żucia, dwa puste pudełka od zapalek, kawałki drewna, młotek ze złamaną rączką. Wszystko nosiło ślady betonu i było przemieszane z jego okruchami.

– Co to?

– Na budowach przed wlaniem cementu robotnicy wyrzucają śmieci do szalunków. – Wzruszył ramionami. – Wszystko znika pod betonem po wsze czasy. Przynajmniej w większości wypadków. – Westchnął. – Zniszczyłem prawie nowy przebijak do kości. Musieliśmy zacząć od wiercenia dziur w betonie, by go osłabić, a potem odłupywaliśmy go delikatnie młotkami chirurgicznymi.

Przyjrzałam się jeszcze raz śmieciom w kartonie.

– Sądzi pan, że coś z tego mogło należeć do zabójcy?

– Wątpię, ale Diaz zamierza zabrać wszystko na miejsce zbrodni i sprawdzić, do czego przyznają się robotnicy.

W pudle leżała przezroczysta plastikowa torebka, zaklejona czerwoną taśmą z napisem: RZECZY OSOBISTE FARRINGTONA.

– Zawartość jego kieszeni nie została naruszona?

– Praktycznie nie. Stał na ugiętych nogach i nieco otworzyły mu się kieszenie spodni. Wlało się do nich trochę cementu, ale z wyjątkiem zmożenia nic się nie stało zawartości kieszeni.

– Zmożenia?

– Od wody w cemencie. Mamy wszystkie kawałki betonu, które obejmowały jego głowę. Zamierzam przedstawić je na wiosnę przyszłego roku w Chicago na kongresie Amerykańskiej Akademii Medycyny Sądowej. Są świetnym materiałem pogładowym. Tylina część jest nawet przebarwiona od krwi z rany po postrzale.

– Trzydziestkadwójka?

– Nie, trzydziestkaósemka. Obiecuje pani, że przed opublikowaniem czegokolwiek porozumie się z oficerem prowadzącym?

– Oczywiście – zapewniłam. – Ale zniszczyło mu zegarek.

Złoty rolex od strony, którą dotykał skóry Farringtona, błyszczał jak nowy, ale od strony szkiełka był cały pokryty betonem.

– Chodzi?

– Nie.

W torebce było jeszcze wiele innych, trudnych do rozpoznania przedmiotów.

– To pager – wyjaśnił Duffy, wskazując na jeden z nich. – Był przypięty do paska razem z kluczami.

W środku znajdowały się także: zapalniczka, portfelik, klips do spinania banknotów i buteleczka na lekarstwa.

– Jakie leki przyjmował?

– Tagamet. Na żołądek.

– W jakim był stanie zdrowia?

– Miał kłopoty z żołądkiem, ale oprócz tego był zdrow jak ryba.

Obracając torebką, obserwowałam jej zawartość. Zgnieciona chusteczka... Po chwili zobaczyłam coś, co spowodowało, że serce skoczyło mi w nagłym skurczu: niewielką zakrętkę od buteleczki z nitrogliceryną. Normalnie nie da się oczywiście stwierdzić po zakrętce, co zawierała fiołka, ta jednak miała naklejony jaskrawoczerwony krążek.

– Gdzie jest buteleczka od tej zakrętki? – Nie myślałam, że trafi mnie to aż tak mocno. Zamglił mi się wzrok, musiałam zamrużyć i odwrócić się od doktora Duffy'ego, by nie zauważył, że nagle stanęły mi łzy w oczach. Dan stracił córkę, ja straciłam ojca. Teraz stracimy siebie, a on straci wszystko.

– Zobaczmy. – Duffy nie spostrzegł mojej reakcji i sprawdzał przypięty do torebki spis. – Nie znaleziono pasującej do tej zakrętki buteleczki. Możliwe, że zakrętka została źle przyporządkowana i powinna zostać przeniesiona do pozostałych śmieci, ponieważ jednak znaleziono ją przy denacie, włożyliśmy do osobistych jego rzeczy. Niewykluczone, że wpadła mu przypadkiem za koszulę i została zablokowana pod brodą wskutek ciśnienia płynnego cementu.

– Widział pan kiedyś tak oznakowaną fiolkę do leków? – spytałam, dotykając zakrętki przez plastik i przypominając sobie dokładnie moment, kiedy sama zobaczyłam tę – czy może taką samą – zakrętkę po raz pierwszy.

– Nie – odparł doktor, wyjmując mi torebkę z dłoni – ale ludzie robią najdziwniejsze rzeczy.

Zaniósł karton z powrotem do magazynu i kiedy wrócił, zauważył moją zmienioną minę.

– Coś się stało, Britt?

Popatrzyłam na zegarek.

– Nie, po prostu zaczynam być spóźniona, a muszę jeszcze przed powrotem do redakcji wpaść w jedno miejsce.

Jechałam jak miotający się w szale wariat. A więc nie była to moja fantazja. Nie myliłam się, odkryłam prawdę. Teraz chodziło o sprawę życia i śmierci. Skręciłam z dużą prędkością w uliczkę, znalazłam lukę i wjechałam w nią, piszcząc hamulcami. Dlaczego? Jak mógł?

Była w domu i uchyliła drzwi.

– Witam! – zaczęłam serdecznym, przesadnie przyjaznym tonem. – Witam, pani Creech. Ruby. Na pewno mnie pani pamięta, nazywam się Britt Montero. Byłam tu, kiedy zmarł pani mąż. Muszę z panią porozmawiać.

– Mam telefon – odparła chłodno.

– To nie potrwa długo, a jest ważne dla nas obu. – Próbowałam zachować spokój, ale głos lekko mi drżał z napięcia.

– O co chodzi?

– O śmierć pani męża.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odparła jeszcze bardziej niechętnie.

– Nie chodzi o to, co pani myśli. Proszę poświęcić mi trzy minuty.

Drzwi się zamknęły, zachrobotał łańcuch, po czym znów się otworzyły. Wbijała we mnie wzrok, w końcu się cofnęła.

– Prawdopodobnie będę tego żałować.

– Dziękuję.

Była w czarnych spodniach i bawełnianym podkoszulku, być może w tych samych co poprzednio, wyraźnie jednak od tamtego dnia utyla. Miała jaskrawy makijaż, niedawno musiała być u fryzjera, zniknęły bowiem siwe odrosty.

– Dobrze pani wygląda – stwierdziłam, próbując uniknąć nadmiernego pośpiechu. – Co słyhać?

Na podłodze stało kilkanaście zapakowanych kartonów.

– Wyprowadza się pani?

Skinęła głową.

– Pani by się nie wyprowadziła?

Zamierzała wystawić dom na sprzedaż i pojechać do siostry w Sarasocie. Zapewniłam, że jest tam pięknie i na pewno się jej spodoba. Pomyślałam, że to nie najgorsze miejsce, aby zacząć życie od początku.

– Czego pani chce?

Wzięłam głęboki wdech.

– Pamięta pani śledztwo sprzed lat w sprawie śmierci pani siostrzenicy? – Kiwnęła głową i zapatrzyła się ponuro w podłogę. Usiadła – w tym samym miejscu za stołem w kuchni co tamtym razem. – Wiem, że to nieprzyjemne, gdy sprawa powraca... – Usiadłam naprzeciwko.

– Co to znaczy „powraca”? – spytała gorzko. – Ona nigdy nie zniknęła. Była z nami dzień w dzień.

– Pamięta pani prowadzącego ją detektywa, który podejrzewał pani męża?

– Nazywał się Flood. Kto by go nie pamiętał? Byłam zaskoczona, że w dniu, kiedy znalazłam Emersona, nie pojawił się razem z innymi, by się pogapić. Wtedy, kiedy pani tu była.

– Był już na emeryturze.

– Od kiedy?

– Od zeszłej wiosny.

– Na emeryturze?! – niemal wrzasnęła. – Na emeryturze? – Jej mina wyrażała niedowierzanie. – Skurwysyn! Jeżeli nie był policjantem, to po co dręczył nas wizytami?! Nie wiedziałam, że jest na emeryturze!

– Czy to znaczy, że widziała go pani niedawno? – zapytałam, czując rosnący ucisk w dole brzucha.

Wstała i zacisnęła pięści.

– Przychodził mniej więcej raz do roku, czasami w rocznicę, nieraz w święta, Boże Narodzenie albo Wielkanoc. Myślę, że kiedy nie miał co ze sobą zrobić. Emerson nie chciał z nim rozmawiać, a on zawsze tylko zapewniał, że pragnie jedynie, byśmy wiedzieli, że nie zapomniał o sprawie. Za każdym razem zostawiał wizytówkę i prosił, żeby dzwonić, gdybyśmy mieli coś do przekazania. Po każdej jego wizycie klóciliśmy się tygodniami.

– Kiedy był ostatnio?

– Dwa dni przed śmiercią Emersona. – Chodziła nerwowo po kuchni, trzy kroki od piecyka do zlewu, trzy kroki od zlewu do piecyka. – Ale wtedy wymyślił coś innego. Gdy rano wsiadłam do autobusu, zobaczyłam go kilkadziesiąt metrów od naszego domu. Siedział

w samochodzie po drugiej stronie ulicy i obserwował nasz dom. Myślałam, że znów przyjdzie, ale nie, nie zjawił się. Wspomniałam o tym mężowi i następnego dnia zauważyliśmy go oboje. Udaliśmy, że go nie widzimy. Uznaliśmy, że próbuje nowych sztuczek, chce na nas wywrzeć psychologiczny nacisk czy coś w tym rodzaju.

– Wtedy widziała go pani ostatni raz?

– Nie. W dniu, w którym zmarł Emerson, wyszłam rano z domu i znów go zobaczyłam; chował się w samochodzie, granatowym buicku rivierze, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Kiedy wracałam, już go nie było. Gdy znalazłam martwego męża, pomyślałam, że jednak postawił na swoim, że Emerson tak się przejął, aż się zabił. Zanim doktorzy opowiedzieli tę historię z seksem. – Miała głupkowatą minę. – Mówi pani, że skurwiel był na emeryturze i robił wszystko na własną rękę? Jakim prawem? Po co? – Zamilkła i usiadła wycieńczona przy stole.

– Chyba wiem, dlaczego. Proszę mi powiedzieć jeszcze jedno. To czerwone body było pani, prawda?

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Moje. Nie wiem, po co je kupiłam. Po tym wszystkim, co się wydarzyło w naszym życiu, byliśmy sobie jak obcy. Ale pomyślałam, że jeżeli mamy spędzić ze sobą resztę życia, to może...

Poprosiłam ją, żeby czytała na bieżąco gazetę, zamierzam bowiem niedługo napisać artykuł o Danie Floodzie.

– Ktoś w końcu powinien to zrobić – powiedziała. – Posunął się za daleko.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo ma rację.

Wychodząc spojrzałam na nią i spytałam:

– Jeszcze jedno. Sądzi pani, że to pani mąż zabił Darlene?

Oczy jej zmatowiały, głos stracił barwę.

– Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

Nadszedł czas wprowadzić w sprawę któregoś z szefów.

Mogłam grzebać się w tym jeszcze tygodniami, by znaleźć więcej dowodów, ale nie było czasu, poza tym i tak była to robota policji. Do mnie, jak stwierdziła Lottie, należało to, co zwykle – pisać. Dotychczas zawsze wydawało mi się to łatwe, teraz jednak nie do uniknięcia był wywiad z Danem. Znienawidzi mnie? Nie było mowy, żeby zostawić sprawę, trzeba go powstrzymać. Tak jak ja się wszystkiego domyśliłam, tak samo domyśla się inni. Detektywi z wydziału zabójstw nie są głupi. Należało działać, zanim poniesie szkodę następna osoba, również Dan.

Nie wychodziło mi jednak z głowy to, że jest chory i większość swego życia poświęcił, służąc miastu. Jakież go czeka życie za kratkami? Niewykluczone, że umrze w więzieniu.

Ciężko przełknęłam i wetknęłam głowę do gabinetu Freda. Skończył rozmawiać przez telefon i wskazał mi krzesło.

– Mam podstawy przypuszczać – zaczęłam ostrożnie, że umierający detektyw, ogólnie szanowany emerytowany funkcjonariusz wydziału zabójstw, przejął sprawiedliwość we własne ręce i dokonał samosądu przynajmniej na trzech osobach, które jego zdaniem uniknęły zasłużonej kary.

Fred gwizdnał i pokiwał z uznaniem głową.

– To sensacja jak cholera. Potrafisz to udowodnić?

Nie było już powrotu.

– Zbieram jeszcze materiały, ale to, co mam, wystarczy, żeby napisać artykuł i pozwolić czytelnikom wyciągnąć własne wnioski.

Podczas kolegium redakcyjnego, które odbyło się po południu, ustalono, że mogę pisać i że artykuł ukaże się w niedzielę – oczywiście, jeżeli Mark Seybold i dział prawny dadzą zielone światło.

– Myślisz, że się przyzna? – spytał z powątpiewaniem Fred, który przyszedł do mnie po kolegium.

– Poza tym, co zrobił, jest bardzo uczciwym człowiekiem i nigdy mnie nie okłamał. Zapewne uważa, że postępuje słusznie. Najgorsze, gdyby stracił cierpliwość i w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać.

– Nawet jeżeli wszystkiemu zaprzeczy, co jest dość prawdopodobne, sensacyjne jest już to, że prowadził wszystkie trzy sprawy. Sądysz, że dałoby się sfotografować tę zakrętkę? Czy ktoś oprócz ciebie wie, że tak znakował nitroglicerynę?

– Przypuszczalnie każdy z jego znajomych. Spróbuję porozmawiać z nim rano.

Dwa ostatnie telefony w tej sprawie wykonałam wieczorem z domu.

McDonald pracował do późna – przygotowywał zestawienia potrzebne do zaplanowania przyszłorocznego budżetu wydziału zabójstw. Znow się okazało, że najlepsi policjanci awansują i przestają się zajmować policyjną robotą. Ken rozmawiał ze mną rzeczowo, jak z interesantem.

– Mam do ciebie jedno pytanie.

– Słucham, Britt.

– Jak Dan zareagował, kiedy powiedziałaś mu o Farringtonie?

– O kim?

– O Farringtonie, przedsiębiorcy budowlanym, zabetonowanym w kolumnie nowo powstającego centrum handlowego.

– To nie jest nasza sprawa. Zajmują się nią stanowi.

– Owszem, ale wiedząc, że Dan prowadził kiedyś sprawę o zabójstwo żony Farringtona, zadzwoniłeś do niego, prawda?

– W dalszym ciągu nie rozumiem, o co ci chodzi, Britt. Możliwe, że miałem wtedy ochotę zadzwonić do Dana, ale jak ci już mówiłem, nie rozmawiałem z nim od kilku tygodni, a już na pewno nie o sprawie prowadzonej przez policję stanową.

– W takim razie to chyba jakieś nieporozumienie. Dzięki, McDonald.

Dan podniósł po pierwszym dzwonku. Ucieszył się, że dzwonię.

– Chciałabym się z tobą spotkać.

– Kiedy tylko sobie życzysz, Britt. Lunch w twój wolny dzień?

– Nie, chciałabym spotkać się z tobą jutro na wywiad. – Czy mój głos zdradzał, że czuję się winna?

Przez chwilę milczał.

– Od kiedy musisz umawiać się ze mną oficjalnie?

– Wolałam się upewnić, że będziesz miał czas.

– Jak powiedziałem, kiedy tylko sobie życzysz. O czym chcesz rozmawiać?

– O starych sprawach. Mogę przyjechać do ciebie? O dziesiątej?

– Proszę bardzo. – Był zaskoczony czy coś podejrzewał? – Mam nadzieję, że nie dasz się łatwo przestraszyć.

– Czego miałabym się przestraszyć?

– Wiesz, moje mieszkanie nie wygląda jak z żurnala.

– Sam kiedyś mówiłeś, że takich jak my nic nie jest w stanie zaskoczyć.

– Oczywiście.

Spałam źle, przeżywając oczekującą mnie rozmowę. Czy Dan coś podejrzewał? Czy spał? Czy Hector Ugalde miał przyjemne noce w więzieniu? W końcu nadszedł czas wstawać. Z wysiłkiem usiadłam i popatrzyłam na zegarek. Czwarta rano. Cholera, sypiałam więcej, kiedy po mieście szalał Gwałciciel z Centrum.

Rozdział dwudziesty

Ubrałam się elegancko, jakbym szła na randkę. W końcu miało to być coś na kształt randki – Dan był starym przyjacielem. Włożyłam moją ulubioną granatową marynarkę. Wciąż nie zdejmowałam paciorków od ciotki Odalys, przypięłam też do bielizny *resguardo*. Może się do nich przyzwyczaiłam, a może chciałam, żeby moje szczęście trwało dalej.

Rewolwer zostawiłam w domu.

Przez wszystkie te lata, odkąd znałam Dana, nigdy nie byłam u niego w domu. Zaparkowałam przed ładnym niewielkim budyneczkiem dokładnie o dziesiątej. Dom sprawiał teraz wrażenie nieco zaniedbanego, ale widać było, że mieszkała w nim niegdyś szczęśliwa rodzina, która kochała swoją siedzibę. Daszek niedaleko frontowych drzwi osłaniał przed deszczem wpuszczone w ziemię stalowe stojaki na rowery. Letnie słońce spaliło starannie kiedyś utrzymane rabaty kwiatowe, żywopłotom przydałoby się strzyżenie, ogromny figowiec wyciągał gałęzie niebezpiecznie blisko dachu, a drzewo avocado upraszało się o przycięcie gałęzi. Samochód Dana, buick, stał na podjeździe. Przez chwilę przyglądałam mu się ze smutkiem, po czym zadzwoniłam do drzwi.

Dan natychmiast otworzył, mrużąc w jaskrawym słońcu podpuchnięte oczy. Jego spodnie zdawały się ze dwa numery za duże, na nogach miał domowe kapcie. Kiedy go objęłam, odniosłam wrażenie, że trzymam coś bardzo drobnego i kruchego. Nie był to tryskający zdrowiem niedźwiedź, jakim go pamiętałam.

– Wiedziałem, że będziesz punktualna – stwierdził, szeroko się uśmiechając. – Dziennikarze są zawsze punktualni, to jedna z cech, jakie od ciebie przejąłem. – Cofnął się, ale nie zdejmował dłoni z moich ramion. Patrzył mi prosto w oczy, po chwili delikatnie dotknął pięścią mojej brody. – Dobrze wyglądasz, mała. Martwiłem się o ciebie, kiedy ten wariat latał po mieście.

Salon był przyjemnie urządzone meblami w kolorze naturalnego drewna. Stało w nim też kilka drewnianych donic, teraz jednak pustych. Na fotelu piętrzyła się sterta gazet, poza tym pokój wyglądał schludnie.

– Rozbierz się i usiądź. Coś ci przynieść? – zapytał, niezręczny w roli gospodarza. – Kawy?

– Nie, dziękuję, chyba że i ty się napijesz.

– Jasne, usiądźmy tutaj. – Wskazał na miejsca przy stole i powoli poczłapał do kuchni. Zauważył, że patrzę na jego rozdeptane kapcie, i wyjaśnił z zażenowaniem: – Rano miałem tak napuchnięte stopy, że nie mogłem włożyć butów. Niezłe, co? To na pewno po lekach.

Skinęłam głową.

– Jak się czujesz na emeryturze?

Postawił przede mną wypełniony po brzegi kubek, a drugi przed sobą.

– Powinienem był kupić trochę ciastek.

– Nie trzeba, jadłam śniadanie.

– To dobrze. Nie powiedziałaś, które stare sprawy cię interesują, wyciągnąłem więc wszystkie albumy. – Na niskim stołeczku leżało ich kilka. – Żona z córką się tym zajmowały. Wycinały z gazet każdy artykuł, w którym wymieniono moje nazwisko, a nawet te, w których je pominięto. Są tu wszystkie stare sprawy. Ostatni album nie jest kompletny. To z ostatniego roku na służbie. – Usiadł ciężko i przyglądał mi się czule. Było mi wstyd i czułam się jak oszustka. Sytuacja była okropna, ale musiałam przez nią przebrnąć.

Położyłam magnetofon obok cukiernicy i wcisnęłam klawisz nagrywania.

– Masz coś przeciwko?

Pokręcił głową, szukał oczami moich.

– Przy czym stanęliśmy?

– Jak to jest na emeryturze – odpowiedziałam z uśmiechem i wypłam łyk kawy.

– To jest tak, jakby odcięto człowiekowi pępownię – odparł bez wahania. – Nagle jest się samemu, przestaje się być częścią miasta-matki. Przez lata pracy nie zauważałem tego, ale bycie częścią wydziału to przyjemność – nie trzeba się martwić o ubezpieczenie, emeryturę, inne problemy. Potem – jak rozpieszczone dziecko, które nagle opuściło dom, staje się przed wyborem: można albo utonąć, albo nauczyć się pływać. Kiedy człowiek opuszcza rodzinę, która martwiła się o niego przez trzydzieści lat, ogarnia go niepewność. – Uśmiechnął się. – To oczywiście nie do publikacji. Nikomu z wyjątkiem ciebie bym się do tego nie przyznał. – Sięgnął za siebie po popielniczkę, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął jednego. – Masz coś przeciwko?

– Tylko ze względu na twoje zdrowie.

– Wracając do emerytury, to mieliśmy z Irene wszystko zaplanowane. – Zapalił drżącą ręką papierosa, zaciągnął się i wypuścił nosem cieką strużkę dymu. – Myśleliśmy o przyszłości. Kupiliśmy działkę w górach, w Karolinie. Zamierzaliśmy zacząć budować tam dom na rok przed moją emeryturą; plany muszą jeszcze gdzieś leżeć. Miał w nim być osobny pokój z łazienką dla naszej małej, kiedy by nas odwiedzała. – Pociągnął nosem i znów upił łyk kawy. – Ale nic nigdy nie wychodzi tak, jak się planuje.

– Na to wygląda.

– Przyznam ci się, że brakuje mi pracy. Ściganie łobuzów, aresztowania, łapanie o trzeciej w nocy parę kochających się w lesie, przyglądanie się apetycznym ciałom, podskakującym po nocy w samochodach. – Wyszczrzył złośliwie zęby. – To było coś. Udało nam się zamknąć masę trudnych spraw. Pamiętasz tę zamordowaną dziewczynę, której personaliów przez pół roku nie mogliśmy ustalić, w końcu zdołaliśmy ją zidentyfikować i złapać jej narzeczonego w Georgii?

– Mówisz o tej, której odciski palców porównaliście z odciskami na podaniu o pracę?

– Właśnie! – Aż zaświeciły mu się oczy. – Facet zełgał jej rodzinie, że poznała innego chłopaka i wyjechała z nim do Miami.

– Doskonała sprawa. Siedzi jeszcze?

– Powinien. Dostał co najmniej dwadzieścia pięć lat. Jego sprawa też tu jest – wskazał na albumy. – Wiesz, zawsze mnie dręczyło, że nie doprowadziliśmy do końca sprawy Susan Stratford. Wydarzyła się mniej więcej w tym samym okresie.

– Mówisz o tej dziewczynie, której samochód stał na parkingu centrum handlowego, ją samą zaś znaleziono kilka kilometrów dalej, zakłutą w lesie?

– Otóż to! Musiała spotkać kogoś przypadkiem, prawdopodobnie w sklepie. Pamiętasz, kupiła koszulę dla ojca.

– Na urodziny.

– Masz tak samo znakomitą pamięć jak ja. – Westchnął z żalem i pokręcił głową. – Zawsze uważałem, że mogliśmy tę sprawę rozwiązać. Musieliśmy coś przeoczyć. Strasznie mnie dręczyła. – Pomasował się po obwisłym policzku. – Często miałem wrażenie, że pozostawiamy ofiary samym sobie. Moim zadaniem było karanie sprawców i robiłem, co mogłem, ale często nasze wysiłki niweczyły okoliczności albo sądy.

– Tak, robiłeś, co mogłeś. Nikt nie harował bardziej niż ty. Nie jesteś odpowiedzialny za nasz system prawny. Pozostawia może wiele do życzenia, ale lepszego nie mamy.

Jego oczy zdradzały głęboko skrywane myśli.

– Im dłużej rozważam wszystkie niesprawiedliwości, które się wydarzyły, im więcej myślę o ranach i bliznach, jakich doznali różni ludzie, tym większy mam żal do systemu prawnego i wydziału o niedokończone sprawy.

– Niektóre rzeczy trzeba pozostawić woli boskiej.

Popatrzył na mnie szyderczo i gorzko się uśmiechnął.

– Nie głosowałem na Pana Boga. Gdyby ten zasrały *marielito* albo ktokolwiek inny zrobił coś złego tobie lub komuś innemu, na kim mi zależy, nie zawahałbym się go zabić. Nie chciałbym, by ofiara była przekręcana przez maszynkę, która nazywa się „systemem prawnym”. Najlepszym wyjściem byłoby zabić drania i oszczędzić ofierze całej katorgi.

Przerwał i przyglądał się, jak mieszam kawę.

– Nigdy bym nie pomyślała, że będziesz bronił idei samosądu.

– Taa, nieraz aresztowałem ludzi, którzy brali sprawiedliwość we własne ręce. Kiedy nosiłem odznakę, często angażowałem się emocjonalnie w sprawy, ale nawet mi nie przyszło do głowy, by zrobić krzywdę sprawcom. Nigdy. Teraz jednak doszedłem do innego etapu. – Wzruszył ramionami. – Nad czym pracujesz, Britt?

– Nad artykułem o tym, czym się zajmujesz jako emeryt.

Odstawił kubek.

– Byłeś ostatnio zapracowany – zauważyłam.

– Taa. – Nie odwracał ode mnie wzroku.

– Rozmawiałam wczoraj z Ruby Creech.

Dan spojrział w jakieś miejsce ponad moim ramieniem, zaczęła mu pracować szczęka.

– Tyle lat kryła tego skurwysyna – stwierdził w końcu.

– Była zaskoczona, kiedy jej powiedziałam, że jesteś na emeryturze, zwłaszcza że widziała cię koło ich domu mniej więcej w tym czasie, kiedy zginął jej mąż.

Jego twarz, na której malowała się gorycz, stała się ponura.

– Farrington, który miał zniknąć na zawsze, został przed śmiercią zastrzelony z trzydziestkiósemki, czyli kalibru policyjnego. Zabójca zostawił coś na miejscu zbrodni. Zadziwiające, ale znaleziono to w betonie.

Dan wziął głęboki wdech.

– McDonald nie powiedział ci o jego śmierci, ale wiedziałeś o niej, kiedy zadzwoniłam.

Dan nagle wstał. Przestraszyłam się, zwłaszcza że bez słowa wyszedł do kuchni. Otworzył lodówkę, coś z niej wyjął, ponownie zatrasnął i wrócił z puszką piwa w ręce. Usiadł naprzeciw mnie.

– Jestem ostatnim, z kim rozmawiasz, prawda? – Pociągnął za oczko i otworzył piwo.

Skinęłam głową, gardło rozsadała mi gula.

– No widzisz – mruknął, wpatrując się w napis na puszcze. – Wiem, jak pracujesz. Wystarczająco długo cię obserwowałem. Mówiłem ci kiedyś, że powinnaś być policjantką? Byłabyś świetną partnerką.

– Gdybyś robił to w dłuższych odstępach czasowych, nigdy bym na to nie wpadła – odezwałam się cicho.

– Robiłbym, ale czas jest dla mnie luksusem. – Niewiele już mi go zostało. Skłonił się, jakby chciał, bym mu uwierzyła. – Przecież zawsze traktowałem pracę poważnie.

– Sprawiedliwość też.

– W końcu jednak stwierdziłem, że w tym systemie sprawiedliwość nie istnieje.

– Dlaczego? Jak mogłeś dojść do takiego wniosku?

– A jak mogłem dojść do innego? – spytał zapalczywie. – Dla takich śmieci jak oni istnieje tylko jeden sposób resocjalizacji: śmierć. – Taśma w magnetofonie kręciła się bez przerwy. Wbił w niego wzrok i powtórzył zdanie, jakby dla pewności, że się nagra. – Śmierć

jest jedyną skuteczną metodą resocjalizacji. A to, co się robi w policji, to tylko i wyłącznie prewencja: nie reaktywna, lecz proaktywna praca.

– Ale dlaczego ty?! – wybuchłam.

– Nie miałem nic do stracenia.

– A co z twoją reputacją, z wyróżnieniami?

– Zgadza się, byłem w tej robocie dobry, to zaś była ostatnia dobra rzecz, na jaką mogłem się jeszcze zdobyć. Zawsze starałem się utrzymywać kontakt z ludźmi skrzywdzonymi i ich rodzinami, dawać im do zrozumienia, że ktoś ciągle o nich pamięta. Zwykle nie mogłem dać nic więcej. – Wypił łyk piwa i oblizał blade wargi. – Czasami tak w życiu jest, że prawo i porządek stoją w opozycji do sprawiedliwości. Zresztą częściowo kryła się za tym uraza.

– Nie rozumiem.

– Patrzyłem na takiego skurwiela, który powinien siedzieć w celi śmierci, i myślałem sobie, że nie ma mowy, by udało mu się mnie przeżyć. Chciałem przeczytać jego nekrolog przed moim, rozumiesz? Najlepszą zemstą jest przeżyć śmiecia.

Pocił się i raptem chwycił za pierś, jakby złapał go nagły ból.

– Źle się czujesz?

– Nie gorzej niż zwykle – wyjęczał.

– Coś ci podać?

– Szklankę wody. – Zaczął grzebać w kieszeni z lekarstwami i po chwili wyciągnął buteleczkę ze zdradziecką zakrętką.

Poszłam do kuchni, nalałam do szklanki wody i mu ją przyniosłam. Włożył pod język dwie niewielkie białe pigułki i zamknął oczy. Siedziałam i czekałam, aż się rozpuszczą i wchłoną do krwi przez błonę śluzową pod językiem. Po dłuższej chwili Dan otworzył oczy i wydał z siebie drżące westchnienie.

– Lepiej?

– Jeszcze chwila. Nitrogliceryna działa szybko. – Jego blada twarz powoli zaczęła nabierać kolorów. – Pomaga na bóle w klatce piersiowej – wyjaśnił. – Mam zresztą leki na wszystko: nitroglicerynę, naparstnicę, diltiazem, aspirynę, digoksynę, lasix, capoten, maalox. Jestem chodzącą apteką.

– Może to te leki spowodowały, że...

Popatrzył szyderczo.

– Wiesz, jak nienawidzę, gdy ludzie zwalają swoje czyny na rozbitą rodzinę, trudne dzieciństwo, gorzałę albo narkotyki. To wszystko bzdura. Robimy to, co robimy, bo tego chcemy, i nie ma co szukać wymówek.

– Ale jak ci się udało w twoim stanie zdrowia...

– Miałem broń. Wiedzieli, że byłem gliniarzem, dlatego nie wierzyli, że coś mogę im zrobić. Uważali, że chcę ich jedynie nastraszyć. Creech był wściekły jak cholera, ale w końcu zgodził się pod bronią włożyć szmatki swojej żony. Kiedyś widziałem dwa takie przypadki,

nie miałem więc większych trudności z odpowiednim zaaranżowaniem tej sceny. Poczekałem, aż ona wyjdzie, wiedziałem, ile mam czasu. Dlatego obserwowałem ich dom.

Siedziałam sparaliżowana, niezdolna wydusić z siebie słowa.

– Tak samo było z Farringtonem. Wszedł na podest, pomstując i jęcząc; przysięgał, że pierwsze, co zrobi następnego dnia, to złoży na mnie skargę w wydziale wewnętrznym. Nie mogłem zrozumieć, po co wdrapujemy się na górę. Kazałem mu skoczyć i strzeliłem, kiedy spadał. Trochę mnie zabolalo w klatce i musiałem wziąć nitroglicerynę. Zatrzęsły mi się dłonie i miałem kłopoty z zakrętką. Wypadła mi z ręki i nie mogłem jej znaleźć. Wyciągnęli ją z betonu, co?

– Tak.

– Wiedzą, do kogo należy?

– Jeszcze nie.

– Pewnie jesteś jedyną osobą, która może ją rozpoznać.

– A co ze Steinerem? Jak poprzestawiałeś kable?

– Myślisz, że to też moja robota? – Zdziwiony uniół brwi.

– A nie?

Pokręcił głową i wydał z siebie parsknięcie, które w zamiarze miało być śmiechem.

– Przecież wiesz, że nigdy bym cię nie okłamał. Najbliżej kłamstwa byłem, sugerując, że to Ken powiedział mi o Farringtonie, ale jeżeli dobrze sobie przypomnisz, przyznasz, że nic takiego nie stwierdziłem wprost. – Wycelował we mnie palcem jak z pistoletu. – Nie zrobiłem nic Steinerowi; ten przyglup zabił się sam. Stało się to w taki sposób – uśmiechnął się jak zainspirowany modlitwą duchowny – że wpadłem na pomysł! A więc myślałaś, że to moja robota! – Uśmiechał się z ironią. Wyraz jego twarzy wyrażał dezaprobatę, że wcale nie jestem taka sprytna. Zauważył, że rzucam okiem na magnetofon, i oblizał wargi. – Kiedy ukaze się ten artykuł?

– Najpierw prawnicy muszą dać zielone światło.

Parsknął krótko, ironicznie.

– Po co? Myślisz, że pójde z tym przeciwko tobie do sądu? Zapomniałaś? Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

– W tak delikatnych sprawach gazeta ma obowiązek dać materiał do przejrzania prawnikowi. Ukaże się prawdopodobnie w niedzielę.

– W tym tygodniu? – zdziwił się. Skinęłam głową. – Tak szybko? – Zamyślił się głęboko, po chwili oparł łokcie na stole i schylił przede mną głowę. – Słuchaj, Britt. Będę z tobą stuprocentowo szczery, jak zawsze. Nawet gdybyś była moją córką, nie zależałoby mi bardziej na twoim zdaniu. Wiem, że musisz zrobić to, co musisz. Gdybyśmy byli w odwrotnej sytuacji, zrobiłbym to samo. Wyświadczysz mi przysługę?

– Jeżeli będę mogła.

– Daj mi tydzień. Wstrzymaj wszystko na tydzień. Artykuł na tym nie straci. – Trzymał ręce złożone jak do modlitwy, jego oczy prosiły.

Przełknęłam ciężko ślinę, w oczach zbierały mi się łzy.

– Daniel, nie mogę.

Wyciągnął rękę i patrząc ponuro, nacisnął w magnetofonie STOP.

– Powiedz, że musisz jeszcze zebrać materiały. Powiedz, że pisanie potrwa dłużej, niż sądziłaś. Wyświadczyć staremu przyjacielowi ostatnią przysługę. Znamy się tyle lat. Zaufaj mi, Britt, proszę tylko o tydzień.

– Nie mogę. Moi szefowie wiedzą już o wszystkim.

– Kurwa mać! Wiesz, że jak to pójdzie do gazety, miasto oszaleje. Zawsze byłaś uparta jak cholera. Zawsze wszystko musi być po twojej myśli.

– Przykro mi. – Z całej siły powstrzymywałam łzy.

– Wykonujesz tylko swoją pracę. Zawsze to w tobie cenilem, mała. Nigdy nie popuszczasz, szukasz prawdy, wyciągasz ją na światło dzienne. – Wstał powoli. – Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

Mimo to zabrał mój kubek i wyszedł do kuchni. Wrócił, niosąc dwa pełne; jeden z nich postawił przede mną. Uniósł swój do ust i zapytał:

– O co chodzi? Nie ufasz mi?

– Byliśmy przyjaciółmi zbyt długo, by sobie nie ufać – odparłam, też unosząc kubek.

Kawa była mocna i dobra.

– W dalszym ciągu nosisz przy sobie broń? – spytałam.

– Nie. Tylko kiedy zamierzam z niej skorzystać.

– Gdzie ją trzymasz?

Odwrócił się na krześle, otworzył szufladę stojącą pod ścianą komody i ze skórzanej kabury wyjął rewolwer. Położył go delikatnie na stole – migocące granatowo, poręczne, wypolerowane od częstego używania narzędzie tych, którzy służą prawu. Zastanawiałam się, jak wyglądało ono w oczach Farringtona i Creecha. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam dłoni Dana.

– Dan, mogę go zabrać?

– Nie, ale nie martw się, nie pozbędę się go. Nie wsadzę go też sobie do ust, jeżeli tego się obawiasz. – W jego uśmiechu nie było nic wesołego.

– Obiecuj mi, że nie zrobisz sobie krzywdy.

– Nigdy bym tego nie zrobił, i wiesz, że mówię prawdę. – Patrzył mi prosto w oczy.

Kiedy dopiłam kawę, odprowadził mnie do drzwi.

– A więc artykuł ukaże się w wydaniu niedzielnym?

– Jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.

– Będę potrzebował adwokata – stwierdził rzeczowo. – Co mogą mi zrobić? Wydać wyrok śmierci? Skazać na dożywocie? Na pewno do niedzieli nikt nie będzie wiedział o tej sprawie?

– Nikt oprócz mnie, naczelnego i jego zastępców oraz Marka, naszego prawnika. Mogę mieć jeszcze jakieś pytania w trakcie pisania. Nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli zadzwonię?

– W najmniejszym stopniu. Jestem do twojej dyspozycji.

Objęliśmy się na pożegnanie. Gdy wyszłam na palące słońce, zatkało mi oddech. To jasne, że Dan się nie boi. Wiedział, że jego życie się kończy, i było mu to obojętne.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kolegium redakcyjne odbyło się w sali konferencyjnej. Wzięli w nim udział Fred, kilku kierowników działów, naczelny, naczelny wydania stanowego, kierownik pracowni fotograficznej, naczelny wydania krajowego i Mark Seybold.

Byli zachwyceni wstrząsającym przyznaniem się Dana i faktem, że policja nie ma pojęcia, iż dwie z trzech śmierci są morderstwami, w dodatku popełnionymi przez tego samego człowieka, i to z ich własnych szeregów. Nie podzielałam ich uniesienia.

– Zgodzi się na zdjęcie? – spytał Joe Hall, kierownik pracowni fotograficznej.

Sama myśl o tym była mi wstrętna.

– Mamy jego dobre zdjęcie, zrobione dwa lata temu, kiedy rozwiązał zagadkę morderstwa na zlecenie. Chodziło o męża, który wynajął zabójcę przez anons w prasie.

Lubiłam to zdjęcie: tryskający siłą i energią Dan stał za mikrofonem podczas konferencji prasowej; za nim widać było komendanta.

– Przydałoby się nowsze. Zwłaszcza że twierdzi pani, iż ostatnio się zmienił.

– Wygląda okropnie – przyznałam. – Ma kłopoty z sercem. – Kolegium okazało się dla mnie trudniejsze, niż się spodziewałam.

– Zróbmy mu parę zdjęć w domu – postanowił Fred. – Na pewno uda ci się go do tego namówić, Britt.

– Hmm – powiedziałam niepewnie. – Zna Lottie. Prawdopodobnie zgodzi się, jeżeli to ona się tego podejmie.

– Czy istnieje ryzyko, że ucieknie albo się zastrzeli, zanim wydrukujemy artykuł? – spytał naczelny.

– Nie sądzę – odparłam wycieńczona. – Obiecał, że tego nie zrobi. Dokąd zresztą miałby uciec? Zawsze był bardzo uczciwy.

– A jeśli jednak? – dociekał ktoś.

– To będziemy mieli wyznanie na łożu śmierci – odparł Fred.

Wszystko dookoła mnie wydawało się nierealne. Siedziałam w wielkiej sali konferencyjnej, za oknami rozpościerały się czyste niebo i rozległa zatoka i z praktycznie obcymi mi osobami, które nie znały Dana, dyskutowałam o jego życiu i śmierci, jakby był

kawałem mięsa, dodatkiem do artykułu prasowego. Nigdy nie będzie dla nich niczym więcej niż tytuł z niedzielnego wydania.

– A jeżeli chwyci za słuchawkę i wyzna wszystko dawnym kolegom z wydziału zabójstw? Albo wypłuje swoją tajemnicę jakiejś stacji telewizyjnej, zanim puścimy artykuł? – niepokoił się kierownik działu wiadomości.

– Gdyby pojawili się u niego policjanci, powiedzialby im prawdę, ale nie zadzwoni do nich sam z siebie. Jeśli zaś chodzi o dziennikarzy, rozmawia tylko ze mną. – Mój głos zabrzmiał tak blado, jak słabo się czułam. – A telewizji nie lubi.

– Jakie jest ryzyko, że skrzywdzi kogoś jeszcze? – spytał Mark, patrząc zamyślonym wzrokiem zza szkieł w drucianych oprawkach.

– Nie zrobi tego, bo wie, że my wiemy. Poza tym facet jest w kiepskiej formie fizycznej – oznajmił Fred, odwracając się ku mnie, bym potwierdziła.

– Ma tak opuchnięte stopy i kostki, że dziś rano nie mógł włożyć butów – przyznałam stłumionym głosem. – Kiedy byłam u niego, musiał wziąć kilka pastylek nitrogliceryny.

– Sądzi pani, że naprawdę nie zabił Niemca, pierwszej ofiary? – Kierownik działu wiadomości patrzył na mnie, mrużąc oczy, co nadawało jego spojrzeniu bardzo podejrzliwego wyrazu.

– Na pewno. Stwierdził, że wypadek Steinera nasunął mu pomysł.

– Może robi to już od lat, przez cały czas pracy w policji? – spytał naczelny wydania krajowego, którego nigdy nie lubiłam. – Kto wie, ilu ludzi sprzątnął? A co z jego żoną? Może ją też załatwił? Z jakiego niby powodu zmarła?

– Straciła przytomność na ulicy i zmarła wskutek pęknięcia tętniaka. Bardzo ją kochał. Nie jest potworem, był porządnym gliniarzem, wierzącym w Boga bohaterem i całe życie ciężko pracował.

Coś w tonie mojego głosu, a może w moich oczach spowodowało, że odwrócił się i zamilkł.

– Porządny gliniarz – podchwycił Fred. – Właśnie dlatego jest to tak znakomita historia.

– Powinniśmy zwrócić się do gliniarzy, żeby zajęli stanowisko – zaproponował naczelny.

– Jeśli to zrobimy, postarają się odebrać sprawie posmak sensacji – sprzeciwił się Fred.

– Właśnie. Pamiętacie, jak szef policji zebrał nas w sprawie Browna i zwołał konferencję prasową? – wtrącił kierownik działu wiadomości. – Co za skurwieli!

Wokół stołu przebiegł pomruk oburzenia.

– Nie możemy do tego dopuścić.

– No to dajmy artykuł najpierw do wydania stanowego, a przed wydaniem wieczornym Britt zadzwoni do niego z prośbą o komentarz.

– Jasne, jak materiał będzie już opublikowany, może nam naskoczyć! – ucieszył się Fred. Wszyscy zaczęli potakiwać. Fred zwrócił się do mnie. – Britt, bierz się do pisania. Sprawdź,

czy mamy zdjęcia ofiar, Steinera też, i umów się na zdjęcia z Danem. Postaraj się, żeby materiał był gotowy jak najwcześniej, żebyśmy mogli go przeczytać przed wyjściem.

– To może trochę potrwać – zaproponowałam z wahaniem. – Chcę to zrobić z rozmachem. Napisać dodatkową szpaltę na temat co ważniejszych spraw, które Dan rozwiązał.

– Bardzo dobry pomysł, ale zacznij od głównego tematu.

Chciałam, by czytelnicy wiedzieli, że życie Dana nie zaczęło się dopiero teraz. Opisanie jego osiągnięć nie było zwykłym grzecznościowym gestem, ale wręcz koniecznością.

– Przyjdę jutro dokładnie o dziesiątej przejrzeć artykuł – oznajmił Mark.

– Co twoim zdaniem stanie się z Floodem? – spytał mnie Fred.

Redaktorzy, którzy właśnie odsuwali krzesła, zamarli.

– Jest przygotowany na wszystko – odparłam. – W wydziale zabójstw na pewno się zagotuje. Detektywi z policji miejskiej i stanowej z pewnością już w poniedziałek z samego rana spotkają się z prokuratorem stanowym i anatomopatologami. Dana złączą przesłuchiwać najprawdopodobniej we wtorek, najpóźniej w środę. Sądzę, że zostanie aresztowany i oskarżony o morderstwo. – Głos mi się załamał, lecz ostre spojrzenie Freda zmusiło mnie do kontynuowania. – Zamkną go, ale nie w ogólnej celi, ponieważ jako eks-gliniarz byłby tam zagrożony. Przypuszczalnie umieszczą go w izolatce niedaleko pokoju pielęgniarek ze względu na stan zdrowia. – Zaciskało mi się gardło. Mówienie o tym na głos sprawiało, że wizja przyszłości Dana stawała się realna i nieunikniona. Nie umiałam wyobrazić go sobie za tymi samymi kratami, za które przez tyle lat wsadzał bandziorów. – Może włączy się jego lekarz i przeniosą go do szpitala. A jeżeli adwokatowi uda się, właśnie ze względów zdrowotnych, odrać proces, być może nigdy do niego nie dojdzie. Tak czy owak, Dan nie pożyje długo.

Na sali panowała cisza.

– Dlatego się na to zdecydował – stwierdził ktoś. – Ostatnia szarża.

– Co za historia – mruknął ktoś inny.

– Cieszę się, że jest nasza – oznajmił Fred. – Dobra robota, Britt.

Zmusiłam się do uśmiechu.

Z ciężkim sercem wróciłam do biurka i jeszcze raz przeczytałam wycinki o Danie, Steinerze, Farringtonie i Creechu oraz moje wstępne notatki. Pierwsza wersja artykułu była w komputerze o szóstej po południu, dodatkowy materiał o wpół do ósmej. Pomyślałam, czy nie zadzwonić do Dana i nie umówić się na zdjęcia, ale postanowiłam na razie dać sobie spokój. Onnie znalazła policyjne zdjęcia Dietera Steinera i Benjamina Farringtona, zrobione tuż po ich aresztowaniu. Przyniosła też nowszą podobiznę Farringtona, powiększoną z fotografii grupowej, opublikowanej w dziale gospodarczym. Potrzebowaliśmy jeszcze zdjęcia Creecha, ale nie mogłam dodzwonić się do Ruby – możliwe, że wyjechała już z miasta. Onnie przeszukała teczkę z fotografiami ich zamordowanej siostrzenicy, Darlene Fiskus, i trafiła w dziesiątkę: było wśród nich zdjęcie rodziny ofiary, zrobione tuż obok miejsca, w którym

znaleziono ciało. Matka płakała, zakrywała twarz dłonią, mąż obejmował ją ramionami. Brudny Wujek, ubrany we flanelową koszulę i baseballową czapkę, odwracał się, jakby nie chciał widzieć ich bólu, i starał się patrzeć w dal. Wyglądał na winnego jak cholera.

Postanowiłam pójść do domu, odpocząć i wrócić rano, by jeszcze raz, na świeżo przeczytać artykuł, zanim zjawi się Mark. Potem planowałam zadzwonić do Dana, zadać mu kilka ostatnich pytań i umówić go na jedenastą z Lottie. Wiedziałam, że zechce się przedtem ogolić i ubrać. Zdjęcie Lottie na pewno nie będzie tak poniżające jak policyjna fotka z numerem na piersi. Poszłam do ciemni, by ustalić z nią szczegóły.

– Niech to cholera, Britt, miałaś rację. Moim zdaniem powinno mu się dać medal. Założę się, że prędzej czy później ktoś utworzy fundację obrony Dana Flooda.

– Mnóstwo ludzi pomyśli tak samo – stwierdziłam z goryczą. – Wszyscy chcemy, aby świat był wolny od szumowin. Dlaczego nie zaprzeczył wszystkiemu albo nie odmówił rozmowy ze mną?

– Jego czas się kończy. Zamiast siedzieć w domu i czekać na śmierć, zrobił to, co uważał za konieczne, i jest na tyle uczciwy, by się do tego przyznać. Teraz znów się znajdzie w trybach systemu, tyle że po drugiej stronie. Przynajmniej go zna. W końcu zło znane jest lepsze od nieznanego.

Westchnęłam, zastanawiając się, czym się to skończy.

– Zadzwoń do niego rano, że wpadniesz.

– Jeśli umówisz mnie tak, żebym skończyła przed drugą, nie ma sprawy.

Po powrocie do domu wyprowadziłam na chwilę Bitsy, potem poszłam na długi spacer. Szłam promenadą i przyglądałam się, jak znika światło dnia. Później, żeby nie myśleć, zajęłam się górą prania i zaległymi pracami domowymi.

Kiedy w końcu zasnęłam, śniły mi się same okropności: pożary przed świtem, wody pełne rekinów, parne tropikalne dżungle, dalekie południe, niebezpieczne ulice i gęsto zarośnięte lasem okolice, w których pojawiali się: samotny rewolwerowiec, rozgorączkowany Kubańczyk, nieznaczący weteran z Wietnamu, panamski osiłek, uciekający przed policją bankier, brodaty dyktator, zamordowany bojownik o wyzwolenie, rozpaczające wdowy, rozgrywający drużyny futbolowej, sprytny handlarz kokainą, boss mafii narkotykowej, trudna młodzież i walczący burmistrz, całkowicie wykończony typowymi dla Miami, gęstymi od kul, prowadzonymi na pełnych prędkościach pościgami, niepewną przyszłością i pogłębiającymi się politycznymi kryzysami, zamachami bombowymi, brutalnymi morderstwami, trupami, posiekanymi dla niepoznaki kulami, i wszechobecnością nędzy.

Obudziłam się z tępym bólem głowy i jeszcze przed myciem zębów wzięłam dwie aspiryny. Ubierałam się, wpatrzona w lustro. Zaczęłam powoli zdejmować biało-czerwone paciorki. Powiedziałam sobie, że najwyższy czas dorosnąć, i rzuciłam naszyjnik na nocną

szafkę, gdzie zamarł, zwinięty jak wąż. Cisnęłam *resguardo* do szuflady i ją zatrzasnęłam. Po chwili namysłu jednak wyjęłam talizman i wrzuciłam go do śmieci, ciesząc się, że nareszcie jestem panią własnego losu. Niebezpieczeństwo ze strony obcych minęło. Najbardziej potrafią zranić ci, na których człowiekowi zależy.

Kiedy jechałam do redakcji, w radiu zapowiadano sztormy na całym wybrzeżu, ostrzegano także przed tornadem, chociaż niebo nad Miami wciąż było jasne i przejrzyste.

Przyniosłam sobie z kawiarenki kilka herbatników i kawę po kubańsku, przeczytałam parę razy artykuł i naniosałam drobne poprawki. Mniej więcej o dziewiątej zadzwoniłam do Dana. Zwykle szybko podnosi słuchawkę, tym razem jednak telefon był głuchy. Po chwili zadzwoniłam znowu, odczekałam dziewięć, dziesięć, jedenaście dzwonek. Nie podnosił. Może był pod prysznicem albo w ogródku, poszedł na śniadanie lub po zakupy? Po dwudziestu minutach zadzwoniłam ponownie, potem znów o dziesiątej. Schodzili się dziennikarze, kierownicy, pracownicy biblioteki, sekretarki. Kiedy czytałam materiał o sukcesach Dana, zabrzęczał telefon. Lottie chciała wiedzieć, czy już ją umówiłam.

– Denerwuję się. Dan się nie odzywa.

– Próbuje dalej. Może wyłączył aparat i śpi albo może poszedł do lekarza. Może być wszędzie.

– Jasne, na przykład leżeć nieprzytomny na podłodze. Może... – wołałam nie dokończyć zdania.

– Nie daj się zwariować – rzuciła uspokajająco Lottie. – Muszę teraz jechać do akwarium morskiego zrobić zdjęcia nowo narodzonych bliźniaków krowy morskiej. Wrócę za godzinę.

Wydrukowałam artykuł dla Marka. Dan w dalszym ciągu nie podnosił słuchawki. Pracownik przesłuchujący pasmo policyjne stwierdził, że pod adres Flooda nie były wzywane karetki ani policja. Przyszedł Ryan i już po drodze zaczął się wyklócać z Gretchen, co wydawało się niezwykle, ostatnio bowiem byli na przyjacielskiej stopie. Wpadł wzburzony i rzucił na biurko stos papierów, które wyglądały na biuletyn prasowy.

– Dlaczego właśnie ja? Nienawidzę tego! – wrzeszczał.

– O co chodzi?

– Polityka. Nie znam się na polityce, nienawidzę o niej pisać i akurat mnie przydzielono to idiotyczne zlecenie.

– Jakie zlecenie? – Widok zwykle miłutkiego, uprzejmego Ryana, który rzuca się jak wściekły, sprawiał mi dziwną przyjemność.

– W związku z kampanią gubernatorską – odparł, pogardliwie wydymając wargi. – Eric Fielding raczy wpaść dziś do miasta i mam napisać relację z jego przemówienia. – Mówiąc to, wsunął do tylnej kieszeni notes.

Opanowana nagłym strachem, zerwałam się jak oparzona.

– Fielding będzie w Miami? Gdzie?

Wyrwałam Ryanowi biuletyn z ręki. Źle interpretując moje zainteresowanie, zapytał:

– Chcesz zrobić to za mnie, Britt? A bierz, nienawidzę polityki.

– Gdzie będzie? Kiedy?

– W „Hiltonie”. Jeśli mam się tym zająć, muszę już wychodzić. – Spojrzał na zegarek. – Będzie przemawiał w czasie lunchu w klubie „Biscayne Bay”.

Trzęsły mi się ręce. Ponownie zadzwoniłam do Dana – nadal nie podnosił słuchawki.

– No to co, bierzesz to czy nie? – Ryan wyglądał na zniecierpliwionego. Pokręciłam głową, więc ruszył ku windom.

Starając się zachować spokój, kolejny raz wykręciłam numer Dana, modląc się, szepcząc jego imię, marząc, by się odezwał. Kiedy stało się jasne, że nic z tego, załała mnie fala paniki. Mark siedział w gabinecie Freda i czytał wydruki. Wetknęłam głowę przez otwarte drzwi i rzuciłam:

– Muszę na chwilę wyskoczyć. Niedługo wracam.

Uśmiechnął się i skinął głową. Uniósł przy tym do góry kciuk, dając do zrozumienia, że podoba mu się to, co czyta. Zbiegłam schodami pożarowymi, przeklinając samą siebie, że nie okazałam się bardziej przewidująca. Kiedy prosił o tydzień zwłoki, uznałam, że chce uporządkować swoje sprawy, nim rozpęta się piekło, a on pewnie zamierzał wykorzystać ten czas, żeby dokonać samosądu za śmierć Mary Beth Rafferty. Jej sprawa męczyła go najbardziej przez wszystkie te lata. Jak mogłam być tak ślepa?

Powiedział przecież, że nie zniesie, jeżeli Fielding zostanie gubernatorem.

Dysząc jak szalona, wskoczyłam do samochodu i wyjechałam z parkingu, dymiąc oponami. Mój t-bird pożerał kilometry między redakcją a domem Dana, ja zaś miotalam obelgi na ruch i smętnych weekendowych kierowców. Dan, bądź w domu – modliłam się w myśli.

Podjazd był pusty, buick zniknął. Zapukałam – najpierw pięścią, potem kluczami. Zajrzałam przez okno do salonu, ale w środku nie było nikogo widać, obeszłam więc dom i załomotałam do tylnych drzwi. Zawsze pozostawała możliwość, że Dan jest w środku, a samochód w warsztacie albo komuś go pożyczył. Sprawdziłam framugę nad drzwiami i podniosłam wycieraczkę – ludzie, którzy mieszkają sami, czasami zostawiają na zewnątrz zapasowy klucz, na wypadek gdyby się zatrzasnęli. Pogrzebałam w wiszącej przy drzwiach doniczce z umierającym kwiatem. Pudło. Gorączkowo rozglądałam się wokół. Nikt mnie nie obserwował. W razie gdyby podejrzewano mnie o włamanie, będę musiała powiedzieć, że właściciel domu jest bardzo chory i obawiałam się, że stracił przytomność. Uznałam, że mam prawo rozejrzeć się za jakimś kamieniem, żeby stłuc szybę, kierowana jednak impulsem, nacisnęłam klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Kiedy je pchnęłam, zawiasy jęknęły, prosząc o oliwę.

– Danny? – szepnęłam. – Bądź w domu. – Weszłam do kuchni. – Dan? Jesteś tu? Dan! Gdzie jesteś?! – Dzbanek do kawy był zimny. Żadnego zapachu, żadnego dźwięku. Słysząc było jedynie cykanie sekundnika wiszącego nad zlewem zegara. – Dan! – Przeszłam przez

salon i jadalnię, potem sprawdziłam główną sypialnię. Łóżko było posłane. W pokoju, który musiał dawniej należeć do jego córki, pełno było zbierających kurz starych szmacianych zwierząt, wpatrujących się we mnie niewidzącymi ślepiami. Ze łzami w oczach weszłam do gabinetu. Na biurku leżały albumy z wycinkami prasowymi, których w końcu nie obejrzałam podczas ostatniej wizyty, i kopie policyjnych akt. Stare sprawy Dana.

Jedna z teczek była otwarta – brązowa, z naklejką 71-1479 i napisem: MARY BETH RAFFERTY.

Wybiegłam z domu, nagle jednak przeszła mnie okropna myśl i wróciłam, by przeszukać szuflady stojącej w jadalni komody. Szydełkowe podstawki pod naczynia, kółka do serwetek, ściereczki... Nie było broni.

– Niech cię cholera, Dan! Niech cię!

„Hilton” znajduje się niedaleko lotniska, w najlepszym razie jest do niego piętnaście minut drogi. Wyjechałam na ulicę zbyt szybko; podwozie z tępym zgrzytem zahaczyło o krawężnik. W swojej naiwności sądziłam, że Dan się opamięta, a tymczasem jeszcze mu ułatwiłam sprawę. Ponieważ wiedziałam o wszystkim, nie musiał być ostrożny.

Fielding będzie otoczony ludźmi do kontaktów z prasą, pomocnikami i zwolennikami. Odpada zatem możliwość zapędzenia go w kozi róg czy konfrontacji w cztery oczy. Ponieważ jednak mój artykuł ma się ukazać lada chwila, Dan wiedział, że nie nadarzy mu się następna okazja. Na pewno nie liczył się z tym, że tym razem obserwować go będzie cały świat.

Podjeżdżając do „Hiltona”, gwałtownie zmieniłam pas ruchu. Za moimi plecami rozległo się wściekłe trąbienie. Wjechałam na obsadzoną kwiatami rampę, zahamowałam, wyskoczyłam z samochodu i ruszyłam do holu. Zaczęli się drzeć i machać na mnie ochroniarz i pracownik parkingu.

– Proszę zabrać samochód! – wrzeszczał parkingowy. – Nie może go pani tu zostawić! Czekamy na karetkę pogotowia!

Rzuciłam mu kluczyki i biegłam dalej. Boże, żeby tylko nie okazało się to prawdą. Skręciłam w lewo, minęłam kiosk z pamiątkami i pognałam do wielkiej sali balowej, gdzie zaplanowano lunch. Biegli tam także inni ludzie. Jakaś kobieta płakała. Ochroniarz blokował drzwi.

– „News”! – Machnęłam mu legitymacją prasową. Zawahał się, nie wiedząc, co robić, ale ja byłam już w środku. Dopiero po chwili jeden z policjantów wrzasnął:

– Nikt nie ma prawa tu wchodzić! – Za późno.

Tłum przede mną rozdzielił się i ujrzałam siwą głowę Fieldinga. Był cały i zdrow, choć zaskoczony. Jego ludzie wyprowadzali go właśnie z sali.

– Podstawiaj samochód! – wrzasnął jeden z nich do walkie-talkie.

– ...prawdopodobnie psychicznie nie zrównoważony – usłyszałam Fieldinga, kiedy przechodził obok mnie.

– Co się stało? – spytałam młodego mężczyznę w stroju kelnera.

– Jakiś świr zaatakował kandydata i ochroniarz go zastrzelił.

Zjawili się dwóch sanitariuszy i natychmiast pospieszyli do niewielkiego pokoiku za podium, na którym po obu stronach mównicy stały krzesła dla honorowych gości. Poszłam za nimi – na lawendowej wykładzinie leżał człowiek; schylało się nad nim dwóch innych sanitariuszy. Miał na sobie szary, zbyt obszerny garnitur, a na opuchniętych stopach z trudem wciśnięte buty z rozwiązanymi sznurowadłami. Sanitariusze rozcinali mu zakrwawioną koszulę. Opadłam obok niego na kolana.

– Jest poważnie chory na serce – powiedziałam.

– Teraz to nieważne. Został postrzelony. Zna go pani?

Rana, z której lała się krew, znajdowała się po prawej stronie bladej klatki piersiowej Dana. Oddychał płytko i szybko; walczył o powietrze. Jeden z sanitariuszy założył mu maskę z tlenem.

– Znam. Jest oficerem policji z wydziału zabójstw w Miami, niedawno przeszedł na emeryturę. – Sanitariusze natychmiast zareagowali. Ten, który miał kontakt ze szpitalem, bez wahania przekazał informację, że pacjent jest policjantem. Dzięki temu Dan zostanie godziwie przyjęty. Jeżeli dotrze żywy. Sanitariusze obłożyli ranę gazą.

– Szybki wlew z roztworu Ringera! – nakazał jeden z nich.

– Próbował zabić Erica Fieldinga, naszego nowego gubernatora! – dudnił grubas z nalaną twarzą, skaczący nad naszymi głowami i spryskujący nas przysznicem ze śliny. – Wszystko widziałem!

– Kto go postrzelił? – zapytałam.

– Tamten facet – odpowiedział, wskazując na Martina Mowry’ego, który wyglądał w naturze dokładnie tak samo jak na zdjęciach. – Pracuje dla Fieldinga. Ten stary podszedł do kandydata, coś powiedział, wyjął broń i wtedy tamten do niego strzelił.

Mowry, ostrzyżony na zapałkę, potężny jak niedźwiedź mężczyzna po trzydziestce, właśnie wyjął broń z kabury pod pachą i podawał ją jednemu z otaczających go policjantów. Inny gliniarz trzymał rewolwer Flooda.

Dan zamrugał, więc ujęłam jego dłoń. Sinawa skóra była zimna i lepkawa.

– Daniel, jestem przy tobie.

Sanitariusz przekazywał do szpitala dane pacjenta.

– Ciśnienie osiemdziesiąt na pięćdziesiąt, puls sto dwadzieścia, oddech czterdzieści.

Przykleili mu do klatki piersiowej trzy okrągłe elektrody, połączone z urządzeniem wielkości pudełka do butów.

– Podłączyliśmy elektrokardiograf – poinformowali przez radio. – Wygląda na częstoskurcz zatokowy.

– Miałaś czekać w domu – odezwałam się drętwo, ściskając rękę Dana. – Na wypadek gdybym miała jakieś pytania.

Przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć, że czasami tak bywa.

Ponieważ chodziło o ranę klatki piersiowej, sanitariusze spieszyli się z przewiezieniem go na urazówkę. Wezwali helikopter, ale oba śmigłowce sanitarne zajęte były przewożeniem do szpitali ofiar wypadków drogowych na południu stanu. Położyli więc Dana na noszach i wybiegli z nim, mijając w sali balowej i holu setki wrogo, pytająco albo po prostu z ciekawością przyglądających się ludzi. Biegając z nimi, zauważyłam kątem oka Ryana, stojącego z policjantami i kierownikiem hotelu, nie odwracałam jednak wzroku, aby cały czas pozostać w kontakcie z Danem. Chciałam jechać z nim w karetce z tyłu, kazali mi jednak wsiąść do kabiny z kierowcą. Z tyłu wsiadł młody policjant – żeby notować, gdyby Dan coś powiedział. Nad naszymi głowami zawyła syrena; samochody przed nami rozprysnęły się na boki. Kierowca dodał gazu, zmienił pas i wjechał na drogę szybkiego ruchu. Cały czas kurczowo trzymałam się klamki.

Było jasne, że Dan umiera, a skurwiel, który zamordował Mary Beth Rafferty, spokojnie przejdzie do następnego etapu kampanii, która zaprowadzi go do gubernatorskiej willi. Gdzie tu sprawiedliwość? Zagotowała się we mnie złość i podjęłam decyzję.

Choć miałam wrażenie, że trwało to znacznie dłużej, już po kilku minutach byliśmy przed ośrodkiem leczenia urazów. Kiedy jedzie się z rannym, zawsze ma się wrażenie, że trwa to wieki. Ledwie wysiadłam, a Dan już został wyciągnięty wraz ze wszystkimi urządzeniami, do których był podłączony: kroplówką, tlenem, monitorem ekg. Nie odstępując go ani na krok, weszłam przez automatycznie otwierane drzwi, za którymi czekało już kilkanaście osób w białych kitlach. Dan sięgnął do maski i ściągnął ją sobie z twarzy. Nachyliłam ucho do jego ust. Próbował się uśmiechnąć, ale oczy zachodziły mu mgłą.

– Nie ma emerytowanych kamikaze, Britt.

Nie sprawiał wrażenia, że się boi.

– Chcesz, żeby się za ciebie pomodlić, Dan?

– Nie. Jeżeli się odrodzę, będę nieźle wkurzony. Raz wystarczy.

Uśmiechnęłam się, choć chciało mi się płakać i jednocześnie wyc z wściekłości. Danowi znów założono maskę i służbista pielęgniarka kazała mi wyjść. Najpierw jednak musiałam coś powiedzieć mojemu przyjacielowi. Szepnęłam mu do ucha:

– Zrobię to, Dan. Dorwę Fieldinga za ciebie. – Wyglądał na zaskoczonego, ale uściśnął mi dłoń. – Udowodnię, że to zrobił. Znajdę tamtego dzieciaka, świadka. Przysięgam. Nie ma mowy, żeby wygrał. Obiecuję.

Dan miał zamknięte oczy, wiedziałam jednak, że mnie usłyszał. Przejął go zespół medyczny.

– Poproszę o gazowe badanie krwi – rzuciła pielęgniarka.

Technik podjechał z przenośnym aparatem rentgenowskim. Lekarz osłuchiwał klatkę piersiową Dana stetoskopem.

– Nie słyszę z prawej strony oddechu. Musi mieć wewnętrzny krwotok z płuc. Poproszę o zestaw do odsysania.

Pielęgniarka kazała mi wyjść do poczekalni. Zastanawiałam się, czy zobaczę go jeszcze żywego. Z telefonu na korytarzu zadzwoniłam do redakcji i przedyskutowałam nowość. Ze względu na rozwój wypadków mój artykuł o Danie miał się ukazać w porannym wydaniu.

Wzięłam taksówkę i wróciłam do „Hilтона”; tam przesiadłam się w swój samochód i pojechałam do komendy policji. W weekendy w wydziale zabójstw jest jedynie szczątkowa obsada.

– Chciałabym zajrzeć do starych akt – zwróciłam się bez ogródek do młodego detektywa.

– Chodzi o sprawę Mary Beth Rafferty. Sprzed dwudziestu dwu lat. Mam pozwolenie porucznika McDonalda.

– Nie trzymamy tu tak starych akt, są na mikrofilmach w magazynie. Wydobycie ich trwa mniej więcej tydzień od złożenia zamówienia.

– Nie, to niewyjaśniona sprawa. A takie trzymacie u siebie.

– Ale prasa nie ma prawa wglądu do teczek spraw, w których toczy się jeszcze śledztwo.

– Jakie śledztwo?! Sprawa ma dwadzieścia dwa lata! Chcę sprawdzić kilka szczegółów do artykułu o niewyjaśnionych przypadkach.

– Porucznik na pewno się zgodził?

– A byłabym tu, gdyby było inaczej?

Zniknął w magazynku i po kilku minutach wrócił z teczką grubą mniej więcej na piętnaście centymetrów.

– Proszę bardzo. Niezłe tomisko.

Przerzucałam dokumenty jak najszybciej, obawiałam się bowiem, że w każdej chwili może pojawić się Kendall McDonald, którego nazwiska nadużyłam. Bez wątplenia wiedział już o zamachu Dana na Fieldinga, pozostawało tylko pytanie, jak zareaguje na tę wiadomość: pojedzie do szpitala czy do wydziału?

To, czego chciałam, znalazłam w kopercie ze zdjęciami: zrobione na błyszczącym papierze ujęcie w formacie dwadzieścia na dwadzieścia cztery przedstawiało chłopca o poważnych jasnych oczach. Na jego dziecięcej twarzyczce malował się strach. Jego matka – ładna, pulchna kobieta – trzymała go za rękę; drugie jej ramię było wyciągnięte, jakby chciała zatrzymać każdego, kto zamierzałby podejść. Usta miała wykrzywione, jak gdyby krzyczała.

W dołączonym raporcie znajdowały się nazwiska. MILDRED VAN DE HYDE i syn ROBERT. Bobby van de Hyde. Ponieważ był szczupły i delikatnej budowy, wyglądał na mniej niż jedenaście lat. Przypomniałam sobie, jak Dan wspominał, że został kiedyś potrącony przez samochód i ledwie uszedł z życiem. Wskutek tego mocno kulał.

Przepisałam nazwiska i adres, jeszcze raz przyjrzałam się twarzom sprzed dwudziestu dwóch lat i powkladałam wszystko na miejsce do teczki.

– Dziękuję – powiedziałam z szerokim uśmiechem.

Policjant nawet nie podniósł głowy. Wychodząc na ulicę, spotkałam McDonalda.

– Słyszałaś o Danie? – Twarz miał ponurą jak rzadko kiedy.

– Jak się czuje?

– Jest na intensywnej opiece. To nie do wiary, co się wyprawia. – Przesunął palcami po włosach, patrząc zbolalym wzrokiem. – Podobno wyciągnął broń na Fieldinga! Nie mogę w to uwierzyć!

– Uwierz. Rano wypuszczamy o tym artykuł.

– Cóż, muszę się dowiedzieć, co się, do cholery, wydarzyło i dlaczego jakiś łobuz go postrzelił – stwierdził i pognał do windy.

Uciekłam. Znow zaczął buczeć mój pager, więc go wyłączyłam. Wiedziałam, że powinnam wrócić do redakcji i napisać o zamachu na Fieldinga, ale miałam inne plany. Przejrzałam książkę telefoniczną, którą wożę w samochodzie. Nie było w niej ani jednego van Hyde'a. Stanęłam przy budce telefonicznej i zadzwoniłam do redakcji – na szczęście w bibliotece była Onnie.

– Co z nim? – zapytała.

– Jeszcze żyje. Masz pod ręką tę wielką niebieską „odwrotną” książkę telefoniczną?

– Już ją biorę. – Wróciła do telefonu po minucie. – Mam.

– Świetnie. – Podałam jej stary adres van Hyde'ów. Był to czteromieszkaniowy budynek.

– Kto tam dziś mieszka?

Zacząła wymieniać nazwiska i numery telefonów, a ja w tym czasie grzebałam w głębinach torebki, szukając monet do telefonu i jednocześnie robiąc notatki. Rozłączyłyśmy się. Pod pierwszym z numerów nie słyszano o Mildred i Bobbym, pod drugim nikt nie podchodził do telefonu, ale starszy pan, który podniósł słuchawkę pod trzecim numerem, dobrze ich pamiętał.

– Mieszkają w Miami?

– W Malagon, zaraz za LeJeune. Kupili mały domek.

– Gdzie? Nie mogę ich znaleźć w książce telefonicznej.

– Gdzieś między alejami Trzydziestą Siódmą a Trzydziestą Dziewiątą. Mały żółty domek. Chłopak ma smykałkę do majsterkowania, mnie naprawił radio i zegarek.

Zadzwoniłam ponownie do Onnie.

– Redaktor dyżurny cię szuka – szepnęła.

– Wiem, nie mów, że się z tobą kontaktowałam. Sprawdź mi Malagon, pomiędzy Trzydziestą Siódmą a Trzydziestą Dziewiątą.

Oddychała głośno, mruzczała pod nosem kolejne nazwiska.

– Mam – powiedziała w końcu. – Mildred i Robert van de Hyde. Malagon, Trzydziesta Siódma Aleja siedemdziesiąt cztery. Bez numeru telefonu. Mieszkali tam jeszcze w lutym, kiedy wydawano spis adresowy.

– Kocham cię, Onnie.

Pojechałam na południe autostradą w kierunku lotniska i po minięciu LeJeune skręciłam w lewo.

Dom był niewielki, przysadzisty, świeżo pomalowany na jaskrawożółty kolor z białymi szlaczkami. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić przedtem, uznałam jednak, że nie ma co dawać „dzieciakowi” czasu na zastanowienie albo rozmowę z matką. Miał dwadzieścia dwa lata, żeby się zastanowić. Zaparkowałam na ulicy, przeszłam ogródkiem do frontowych drzwi i zadzwoniłam. Coś cicho szczęknęło; wiedziałam, że jestem obserwowana przez judasza w drzwiach.

– Kto tam? – zapytał męski głos.

Przedstawiłam się i uchylono drzwi. Ujrzałam przed sobą te same smutne jasne oczy i taką samą poważną minę jak na zdjęciu. Włosy mu pociemniały, ale też były rozczochrane. Rysy miał nieco ostrzejsze niż na fotografii, lecz twarz wciąż chłopięcą. Wszędzie bym go poznała.

– Bobby van de Hyde – powiedziałam uśmiechając się.

– Czytam pani artykuły – odparł z uśmiechem. – Wszystkie. – Zarówno oczy, jak i głos były uprzejme.

Byłam mile połączona i zachwycona. Wyglądało na to, że natychmiast nawiązaliśmy nić porozumienia. Może będzie to łatwiejsze, niż mogłam sobie wymarzyć. Był rozluźniony i przyjaźnie nastawiony. Po dokładniejszym przyjrzeniu mu się uznałam, że jest nie chudy, lecz gibki. W dzinsach i koszulce z nadrukiem MIAMI HURRICANES wyglądał jak wysportowany student.

– Bardzo się cieszę, że cię poznałam, Bobby. Chciałabym porozmawiać z tobą o tym, co się wydarzyło dwadzieścia dwa lata temu.

Skinął lekko głową, zamyślił się.

– Chętnie – odparł, cofając się i otwierając szeroko drzwi. – Zastanawiałem się, dlaczego nikt wcześniej nie przyszedł. Proszę wejść.

Napięta i podniecona ruszyłam za nim. Kulał, wyraźnie oszczędzając prawą nogę. Całą jedną ścianę pokoju zajmował warsztat. Na blacie leżały rozebrane radio i toster, obok nich lutownica, woltomierz, pęseta, szczypce, śrubokręty, tranzystory, kondensatory i zwitki drutu. Meble były proste i tanie. Usiadłam na kanapie, na stoliku przed sobą położyłam notes i przygotowałam długopis. Mój gospodarz zajął miejsce w obitym skajem fotelu po drugiej stronie stolika – jego mina wyrażała otwartość i powagę. Był wyraźnie uszczęśliwiony moją obecnością. Nie wiedziałam, od czego zacząć.

– Bobby, wiem, że nawet po tylu latach pamiętasz zabójstwo Mary Beth Rafferty, chciałabym więc, żebyś mi o nim opowiedział. To bardzo ważne.

– Wiem. – Zamilkł na chwilę i oparł głowę na dłoniach. – Nie miałem zamiaru jej zabić.

Rozdział dwudziesty drugi

Zatkało mnie. Ledwo wyszeptałam:

– W takim razie dlaczego to zrobiłeś? Porozmawiajmy o tym.

Podniósł wzrok i popatrzył na mnie. Łokcie opierał o kolana, dłonie trzymał splecione.

Powiedział cicho:

– Krzyczała i krzyczała. Nie przestałaby, a zbliżał się ten chłopak na rowerze. Musiałem ją uciszyć. Nie chciałem, by ktokolwiek się dowiedział. Dlatego to zrobiłem. On pojechał dalej ścieżką i nie widział nas.

Z wysiłkiem oderwałam język od podniebienia.

– Fielding. Kiedy wracał, znalazł jej zwłoki.

Bobby skinął głową; nerwowo ugniatał sobie dłonie.

– Przez te wszystkie lata nikomu o tym nie wspomniałeś?

Miał minę, jakby się wstydził.

– Mama mi zabroniła. Powiedziała, że wsadzą mnie do więzienia i już nigdy jej nie zobaczę.

– Byłeś dzieckiem. Jestem pewna, że tak by się nie stało.

Zmarszczył czoło i przybrał dziwną minę. Rozejrzałam się po pokoju.

– Co robisz? Pracujesz gdzieś?

Wbijał wzrok w podłogę.

– Niezupełnie. Odkąd to się stało, mama nie pozwalała mi wychodzić z domu, żeby nie narobił sobie więcej kłopotów. Naprawiam różne rzeczy sąsiadom. – Wskazał na warsztat, przy którym najwyraźniej pracował, kiedy przyszłam. – W dzisiejszych czasach niełatwo coś naprawić. Mama zawsze mówi, że jesteśmy społeczeństwem wyrzucaczy. Nikt nie chce niczego naprawiać, bo producenci wciąż namawiają klientów do kupowania nowych tosterów, magnetofonów, radiodbiorników. A przecież każdy ma w domu jakiś zepsuty sprzęt, który po drobnej naprawie byłby jak nowy. Mama mówi, że mam do tego smykałkę. Umiem sobie wyobrazić, jak co działa. Właśnie tym się zajmuję.

– Zgadzam się z tobą. Kiedyś chciałam naprawić żelazko i nie mogłam znaleźć nikogo, kto by to zrobił. Wszyscy twierdzili, że nie warto i powinnam kupić nowe.

– Założę się, że potrafiłbym je naprawić – oznajmił z dumą.

Byłam jak kaczka na wodzie – na powierzchni nic, a pod spodem się kotłowało.

– Bobby – powiedziałam, nachylając się ku niemu – myślę, że powinienes porozmawiać z kimś o Mary Beth Rafferty. Najwyższy czas. Wszyscy poczuliby się lepiej, zwłaszcza ty. Wreszcie mógłbyś pozostawić tę sprawę za sobą.

Przytaknął z powagą, nagle jednak zmienił się na twarzy. Moją uwagę zwrócił chyba jakiś dźwięk, a może wyraz poczucia winy w oczach Bobby’ego. Nie byliśmy już sami.

Za mną, nieco na lewo, w otwartych drzwiach stała kobieta. Ta sama, co na zrobionym dwadzieścia dwa lata temu zdjęciu. Matka Bobby’ego nie była już jednak ani ładna, ani pulchna. Była teraz otyła, sięgające ramion włosy, ufarbowane na czarno w matowym odcieniu, miała zaczesane do tyłu i przytrzymane siatką. Wyglądała na pięćdziesiąt parę lat, choć mogła mieć nieco więcej. Spodnie opinały ciasno jej grube uda, na białej bluzce widniał identyfikator szkoły podstawowej w Morningside.

Ciekawe, ile usłyszała z naszej rozmowy. Wrogi wyraz jej oczu nie zapowiadał nic dobrego. Dyszała z lekko rozchylonymi ustami, jakby z nadmiernego wysiłku.

– To twoja mama? – spytałam Bobby’ego, starając się zrobić przyjazne, niewinne wrażenie. Uśmiechnęłam się, wstałam i wyciągnęłam do niej rękę.

– Kto to jest, Bobby? – Zignorowała mnie, oskarżycielsko wpatrując się w syna. – Co robisz? – To pytanie również skierowała do Bobby’ego, jakby mnie nie było.

– Chciała... porozmawiać o Mary Beth – bronił się chłopak jękając. – Jest z gazety.

Nie były to właściwe słowa.

– Co ty wyprawiasz! – wrzasnęła.

– Witam, pani van Hyde – odezwałam się. – Plotkowaliśmy trochę z pani synem. Piszę artykuł o panu Fieldingu, kandydacie na gubernatora. Wydarzyła się dziś tragedia, postrzelono człowieka, który...

– Jak pani śmie zakradać się do mojego domu i niepokoić mego syna?! – wrzasnęła niczym sędzia. Zrobiła energiczny krok do przodu, wprost eksplodując wściekłością.

– Nie zakradłam się – powiedziałam spokojnie, próbując nie stracić zimnej krwi i zarazem nie przejść do defensywy. – Bardzo chciałabym porozmawiać także z panią.

– Dlaczego? – Jej podejrzliwe oczka lustrowały mnie uważnie, spostrzegły mój notes na stoliku do kawy i kluczyki do samochodu na kanapie.

– Jestem dziennikarką „News”. – Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam wizytówkę. Bałam się, że mnie wyrzuci i postara się, by przez najbliższe dwadzieścia lat nikt nie dostał się w pobliże Bobby’ego.

– Nie ma pani prawa nas nachodzić. Nie interesują nas artykuły prasowe – rzuciła ostro, lekceważąc wizytówkę w mojej wyciągniętej dłoni.

– Sądzę, że byłoby to dobre dla pani syna. – Spojrzałam w jego stronę, oczekując wsparcia, ale jego widok tylko spotęgował moje obawy. Kiedy zaczęłam rozmawiać z matką,

uniósł się nieco z fotela i zamarł zgięty w pół ruchu, patrząc to na nią, to na mnie. Biedaczyna nie wiedział: stać czy siedzieć. To tyle, jeśli chodzi o moją nadzieję, że pomoże mi przekonać matkę, iż powinniśmy we trójkę miło pogawędzić.

– Wiem, co jest dobre dla Bobby’ego – stwierdziła z nagłą rezygnacją w głosie – ale on może robić, na co ma ochotę. Muszę schować zakupy. – Uśmiechnęła się, co nadało jej niemal przyjazny wygląd. – Może będziemy mogły porozmawiać kiedy indziej. – Odwróciła się i zniknęła, skąd przyszła.

Zaskoczona, z ulgą wróciłam na kanapę. Bobby opadł na fotel, lecz jego wzrok biegał nerwowo między mną a drzwiami do kuchni.

– Bobby, wszystko w porządku. – Nie słyszał albo nie wierzył. Pomyślałam, że najlepiej będzie wyciągnąć go z domu. – Chodźmy gdzieś na kawę albo kanapkę. Masz ochotę? Kilka bloków dalej widziałam sympatyczną knajpkę. – Wzięłam kluczyki. Kiedy będziemy w samochodzie, oczywiście nie zatrzymam się w pobliżu ich domu, lecz zaproponuję jakieś inne miejsce, w którym nie będzie ryzyka, że rzuci się na nas jego matka. Najlepiej gdzieś koło komendy policji.

Uśmiechnęłam się do Bobby’ego, zdziwiona, dlaczego moja propozycja wywołuje w nim przerażenie. Cień za plecami poinformował mnie, że nie wynika ono z moich słów, lecz z tego, co ujrzał.

Była bardzo szybka. Piekielny ból przeszył moje lewe ramię tuż pod szyją. Miała nóż! Gdybym się nie odwróciła, wbiłaby mi ostrze prosto w kręgosłup.

Wrzasnęłam mniej z bólu, bardziej ze strachu. Dotknęłam bolącego miejsca i rękaw sukienki zrobił się mokry. Rzuciłam się do tyłu i na bok, aby uniknąć uderzeń rzeźnickiego ostrza i na poduszkach kanapy pozostało krwawe pasmo.

– Co pani wyprawia? – zawyłam zrywając się na równe nogi. Dzielił nas stolik do kawy.

Stała na rozsuniętych nogach, oddychała ciężko, oczy wypełniała jej nienawiść. Trzymała nóż pewnym i mocnym chwytem.

– Oszalała pani? – Pomacałam się jeszcze raz po lewym ramieniu. Z rękawa skapywała krew. – Bobby? – Odwróciłam się ku niemu w poszukiwaniu pomocy, siedział jednak jak zahipnotyzowany, wpatrzony rozszerzonymi oczami w matkę.

– Nie napiszesz artykułu – wyszczała złowrogo. – Myślisz, że po to całe życie chronię mojego syna, żebyś przytaszczyła tu swoje dupsko i posłała go do więzienia?

Kolana zatrzęsły mi się ze strachu. Cofnęłam się, wyciągnęłam przed siebie ręce. Choć siedział bez ruchu, Bobby wyglądał na wzburzonego.

– To nie była moja wina! – wykrzyknął.

Oboje znajdowali się między mną a drzwiami.

– Nikt ci teraz nic nie robi – zapewniłam słabo. – Byłeś dzieckiem. Nikt nie pośle cię do więzienia.

– Do szpitala, Bobby. Wsadziliby cię do szpitala z wariatami. Nigdy byś stamtąd nie wyszedł. – Jej oczy nie odrywały się ode mnie.

Odwrociłam się do Bobby'ego, który siedział z płonącą twarzą.

– Gdybyś porozmawiał z policją, kiedy to się stało, byłbyś teraz wolnym człowiekiem i mógłbyś prowadzić normalne życie.

Miał we wzroku coś szalonego. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a wtedy rzuciłam się obok niego do drzwi.

– Łap ją, Bobby! Trzymaj ją! – zawyla.

Kiedy się podnosił, pchnęłam go z powrotem na fotel, odzyskałam równowagę i dopadłam drzwi. Zaczęłam wściekle kręcić gałką, ale było jasne, że się nie otworzą.

Bobby zerwał się, jego matka wykrzykiwała rozkazy. Szarpaliśmy się chwilę przy drzwiach; gdy podniósł rękę, zobaczyłam, że trzyma w niej młotek. Obuch prześlizgnął się po mojej skroni i zgięły mi się kolana. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, walczyłam jednak rozpaczliwie o utrzymanie świadomości i mrok odpłynął. Opadłam na podłogę. Bobby usiadł na mnie i obracał mną tak, by przycisnąć moje plecy i barki do podłogi. Nagle ujrzałam zniszczone buty jego matki i wiedziałam, że zaraz mnie zabije, zacznie raz za razem wbijać nóż w moje ciało.

– Nie! – wydyszałam.

Bobby wwiercał mi kolano w brzuch, pięści w barki, patrząc na matkę oczami szukającego aprobaty dziecka. Tak jak mój, jego wzrok skoncentrował się na nożu w jej dłoni.

– Dywan! – rzuciła krótko. – Zaraz zniszczy nam dywan. Dawaj taśmę! Szybko!

Kiedy się podniósł, poczułam ulgę, zanim jednak zdołałam zareagować czy chociażby głębiej odetchnąć, spadł na mnie wielki ciężar, wyciskając z płuc resztkę powietrza.

Siedziała na mnie, wykręcając mi ręce pod dziwnymi kątami. Nie mogłam oddychać, nie mówiąc o krzyku. Płuca domagały się powietrza, a w miejscu, gdzie mnie zraniła, czułam przeszywający ból. Słyszałam ich głosy jak z oddali, nie rozumiałam słów. Kiedy przed moimi oczami błysnęła nóż, zacisnęłam je z całej siły i jęknęłam, czekając, że zaraz zatopi się w moim ciele. Gdy to nie nastąpiło, otworzyłam oczy – matka Bobby'ego odcinała z rolki kawałki czarnej taśmy izolacyjnej. Po chwili zaczęła owijać je wokół mojej głowy, tak by zakleić mi usta. Znajdowałam się w stanie lekkości, który ledwie można było nazwać świadomością. Ciężar z mojej klatki piersiowej ustąpił i przekrecono mnie twarzą w dół. Leżałam teraz przyciśnięta do postrzępionej kłującej powierzchni.

Kiedy wiązano mi kostki i nadgarstki, po wewnętrznej stronie mojego uda przebiegły w górę delikatnie, badawczo palce. Chciałam krzyczeć, ale nie mogłam. W dalszym ciągu walczyłam o powietrze. Widziałam buty wychodzącego z sypialni Bobby'ego. Trzymał w rękach różową narzutę na łóżko, zrobioną z kordonka na szydełku; ciągnęła się za nim jak tren płaszcza.

– Proszę – powiedział do matki.

Wydała z siebie niezadowolony charkot.

– Rozłóż ją.

Uniosłam nieco głowę i patrzyłam, jak rozciągają narzutę na podłodze. Zostałam w nią zawinięta, przewleczona po podłodze i wepchnięta do szafy. Po chwili drzwi się zamknęły i zapadła ciemność. Nogi miałam niewygodnie podwinięte, supły narzuty włożyły mi do oczu, wywołując łzawienie. Byłam w szoku, chwyciłam łapczywie powietrze, ale mimo to próbowałam myśleć. Czy ktoś będzie mnie szukać? Czy ktokolwiek będzie w stanie mnie znaleźć! Na pewno nikt nie słyszał moich krzyków. Zabiją mnie? Łzy paliły mi oczy. Ta kobieta jest szalona, ale czy aż tak, by mnie zabić? Ramię rwało boleśnie.

A więc Dan się mylił. Ja też. Czy on jeszcze żyje? Jak długo ja sama pożyję? Z gorzką ironią przypomniałam sobie białe-czerwone paciorki, lekkomyślnie rzucone na komodę, i *resguardo*, które wyrzuciłam do śmieci. Czy ktokolwiek zacznie się zastanawiać, gdzie jestem, zanim będzie za późno? Kto może wiedzieć, gdzie mnie szukać? Onnie nie miała powodu pamiętać adresu, który dla mnie sprawdzała, nie mówiąc już o przekazaniu go do redakcji. Wyraźnie ją prosiłam, by nikomu nie mówiła, że dzwoniłam.

Przez jakiś czas za drzwiami mojego ciemnego więzienia rozlegały się i cichły głosy. Potem zapadła cisza. Co będzie, jeżeli wyjadą, żeby się ukryć? Jak długo potrwa, zanim ktoś się pojawi? Zbyt długo. Dla mnie na pewno będzie to zbyt długo.

Zdrętwiała mi noga, ale o jakiegokolwiek zmianie pozycji nie było mowy. Po długim czasie – może po godzinie – obudził mnie jakiś hałas. Zaczęłam nasłuchiwać; każdy nerw miałam napięty do granic wytrzymałości. Trzasnęły drzwi. Rozległy się kroki. Otworzono drzwi szafy, lecz natychmiast zamknięto je znowu.

Po upływie następnych kilku minut znów je otworzono i zostałam wyciągnięta z szafy. Przeszło mi przez myśl, że mnie zabiją i w żaden sposób nie będę mogła temu zapobiec. Przeciągnięto mnie za nogi przez dom, próg, potem trzy schodki w dół. Jęczałam przez zaklejone taśmą usta. Na koniec podniesiono mnie i gdzieś bezceremonialnie wrzucono. Narzuta się rozwinęła, więc ciśnięto ją na mnie. Czyjeś dłonie przyparły mnie do podłoża, huknęła zamykana kłapa. Leżałam w bagażniku samochodu.

Było tu ciemno jak w grobie i ciasno jak w puszcze, śmierdziało zużytym powietrzem i spalinami. Nie wiadomo dlaczego pomyślałam o praniu, którego nie wyjęłam z suszarki. Billy Boots i Bitsy nic nie jadły od rana. Czy kiedyś jeszcze je zobaczę?

Spróbowałam się przekręcić i wcisnęłam twarz w coś miękkiego o zapachu olejku do opalania, piasku i soli morskiej. Moja torba plażowa! Byłam w bagażniku własnego samochodu! Ktoś siadł za kierownicą i t-bird lekko się zakołysał. Trzasnęły drzwi. Zabrzęczały kluczyki. Uruchomiono silnik i samochód zaczął się cofać. Dokąd mnie zabierają? Opadła mnie fala strachu. Do środka wsiadła jedna osoba – jeżeli to Bobby, warto było spróbować go przekonać, najpierw jednak musiałam zerwać z ust taśmę. Widywałam

zwinnych więźniów, którzy – skuci kajdankami za plecami – potrafili tak przełożyć nogi między rękami, że kajdanki znajdowały się z przodu. Zapierając się o bok bagażnika, wyginałam się i szarpałam, aż odniosłam wrażenie, że wykręciłam sobie oba barki. Ranne ramię nie tylko bolało, ale dodatkowo krwawiło. Nie było dość miejsca na wygibasy, musiałam więc spróbować czegoś innego.

Byłam związana i zaklejona taśmą, ale dość elastyczną i rozciągliwą, żeby spróbować coś z nią zrobić po uwolnieniu się od narzuty. Taśma wokół kostek i nadgarstków nieco się poluzowała, dzięki czemu nie tamowała przynajmniej obiegu krwi. Pamiętałam, że w bagażniku jest stosunkowo dużo ostrych załamań i łączeń blach, przekręciłam się więc na brzuch, uniosłam dłonie i zaczęłam macać wokół. Wygięte w łuk plecy bolały wściekle, barki płonęły ogniem. Kiedy tylko trafiłam na ostry brzeg, zaczęłam trzeć o niego taśmę.

Pozycja była tak niewygodna, że musiałam przestać po dwóch czy trzech minutach. Oddychałam zbyt szybko i płytko, wskutek czego brakowało mi powietrza. Przekręciłam się jednak tak, że udało mi się położyć głowę na własnym ręczniku plażowym. Dla uspokojenia nerwów spróbowałam odtworzyć jego wygląd: było na nim napisane dużymi niebieskimi literami MIAMI BEACH, a pod napisem skakał wielki uśmiechnięty delfin. Co zrobiłby w tej sytuacji mój ojciec? Nigdy by się nie poddał – to było jasne. Kiedyś zorganizował dla siebie i innych więźniów politycznych ucieczkę z niesławnej Isle of Pines. Jeżeli on mógł uciec, mogę i ja.

Wróciłam do pracy, starając się jak najciszej trzeć taśmę o metal. Jeden zwój puścił. Reszta poluzowała się i po kilku ruchach nadgarstkami miałam wolne ręce. Zaczęłam szarpać taśmę na ustach. Z ogromną radością wciągałam przez kilka minut powietrze i wydychałam spaliny. Taśma wisiała luźno wokół mojej szyi – wołałabym, żeby wisiały na niej paciorki ciotki Odalys.

Modliłam się, by za kierownicą siedział Bobby. Wzięłam głęboki wdech.

– Bobby! – zawołałam słabo. – Bobby, pomóż mi!

Nie było odpowiedzi, ale samochód zwolnił. Następne zdanie zabrzmiało głośniejsz:

– Bobby, posłuchaj, byłeś nieletni. Gdybyś powiedział policji, co się stało, jak zginęła Mary Beth, być może spędziłbyś w zamknięciu tylko krótki okres. W najgorszym wypadku do osiemnastego roku życia, a teraz byłbyś już wolny. Wyzwól się od matki, zacznij żyć na własny rachunek.

Coś załomotało o tylne siedzenie i samochód gwałtownie zarzucił. Nagłe szarpnięcie, połączone z chmurą spalin, spowodowało, że zebrało mi się na mdłości.

– Zamknij się! – wrzasnęła Mildred van de Hyde. – Zamknij się!

Krew zastygła mi w żyłach, żołądek się przekręcił.

– Mam broń! – darła się dalej jak wściekła. – Zamknij się, dziwko, bo stanę i wyładuję magazynek w bagażnik!

Zamknęłam oczy; pot i łzy zalewały mi twarz. Cholera, nigdy nie pozwalałam nikomu jeździć moim samochodem, a na co mi przyszło! Przynajmniej musiała obyć się bez klimatyzacji. Zwolniła i stanęła, prawdopodobnie na światłach. Kopałam i waliłam pięściami, uderzałam ciałem o pokrywę bagażnika, aby zwrócić czyjąś uwagę. Gdybym wypadła pod jakiś samochód i tak miałabym większe szanse przeżycia niż tam, dokąd mnie wieziono.

Więcej się nie zatrzymywałyśmy. Sądząc po odgłosach, znajdowałyśmy się na autostradzie. Co by było, gdybyśmy miały wypadek? Albo gdyby samochód się zapalił? Starając się odsunąć klaustrofobiczne myśli, uwalniałam kostki.

Poranne wydanie gazety jest już prawdopodobnie w sprzedaży. Czy ktokolwiek zastanawia się, gdzie jestem? Mildred musiała się domyślić, że mam wolne ręce. Element zaskoczenia dałby mi przewagę, ale czy faktycznie go straciłam? Kiedy otworzy bagażnik, będziemy tylko ona i ja. Gdyby udało mi się szybko wyskoczyć i ruszyć biegiem, nie dogoni mnie. Wiek i waga były przeciwko niej. Czy naprawdę miała broń? Mój rewolwer leżał w domu, tak jak paciorki i *resguardo*. Przynajmniej nie w schowku samochodowym, gdzie mogła go bez trudu znaleźć i użyć przeciwko mnie.

Kiedy w końcu uwolniłam kostki, zaczęłam masować stopy. Odszukałam nawet but, który spadł mi z nogi. Spróbowałam przeciągnąć się i jak najlepiej przygotować na to, co mnie czeka. Ramię dalej bolało, ale przestało krwawić.

Coś dźgnęło mnie w plecy. Klucz do opon. Zacisnęłam palce wokół zimnego metalu.

Odgłosy ruchu drogowego umilkły. Chyba wjechałyśmy na pełną drogę. W końcu samochód stanął i Mildred wyłączyła silnik. Z wyjątkiem szumu stygnącego silnika było cicho. Wstrzymałam oddech i zaczęłam nasłuchiwać. Mildred powierciła się na fotelu, wysiadła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Przygotowałam się psychicznie i zacisnęłam dłoń na kluczu, ale ona nie podchodziła do bagażnika. Nadjechał natomiast drugi samochód, stanął, rozległo się następne trzaśnięcie drzwiami. Zabiło mi serce, natychmiast jednak straciłam nadzieję. To był Bobby.

A więc w dalszym ciągu dwoje na jednego. Musiał jechać za nami ich samochodem. Wyteżyłam słuch jak tylko mogłam, ale nie potrafiłam rozróżnić słów. Głosy się zbliżały. Zagryzłam wargi, zacisnęłam na kluczu obie dłonie. Czułam, jak tętni mi we krwi adrenalina.

Kolejny fałszywy alarm. Otworzono drzwi od strony kierowcy, lecz nikt nie wsiadł do środka. Co się działo? Silnik ożył i choć byłam pewna, że nikogo nie ma za kierownicą, wóz skoczył do przodu. Samochód rozpędział się i po chwili przednie koła zawisły w powietrzu. Rozległ się śmiech. Wiedziałam, co zrobili, w momencie kiedy plusnęło.

Nagle mój t-bird znalazł się w wodzie. Przypomniałam sobie resztki Paula Eldridge'a, wydobyte ze znajdującego się lata pod wodą samochodu, i ogarnął mnie paniczny strach. Klucz wypadł mi z ręki, zaczęłam więc gorączkowo szukać go po omacku. Daleko, w innym świecie, trzasnęły drzwi samochodu, włączono silnik i Bobby z matką odjechali.

T-bird zanurzał się przodem. Słyszałam wlewającą się do środka wodę. Pochlipując odnalazłam w końcu klucz i zaczęłam gwałtownie walić w zamek klapy. Dokoła mnie było coraz więcej wody. Powoli tonął tył i woda dostawała się przez uszczelkę bagażnika.

Rąbnęłam ostatnim wysiłkiem, pchnęłam ramieniem i klapa odskoczyła. Otworzyła się szeroko; w twarz uderzyła mnie fala powietrza i wody. Przez sekundę nie wierzyłam własnym oczom, w dalszym ciągu bowiem otaczała mnie ciemność, zaraz jednak zobaczyłam nad głową migoczące gwiazdy, a w gałęziach oddalonych drzew – księżyc. Woda sięgała mi do pach; wyciągnęłam ręce na zewnątrz, odepchnęłam się nogami i samochód pognął w dół niczym ekspresowa winda.

Jeszcze kilka bulgotów, chmura bąbelków – i było po moim ukochanym t-birdzie. Uderzyłam mocniej nogami i chwyciłam się przybrzeżnych roślin, by nie zostać wciągniętą w głąb. Prawą nogę udało mi się oprzeć na wystającej z kamienistego brzegu płaskiej płycie łupku. Ramię bolało mnie jak przypiekane, byłam rozdygotana i wycieńczona, a mokre ubranie zdawało się ważyć tonę. Wbijając palce w ziemię i rosnące na stromym spadku kępki trawy, próbowałam się wspinać. Usłyszawszy pojękiwania, zamarłam i zaczęłam nasłuchiwać, zaraz jednak dotarło do mnie, że to ja sama. Przestraszona, zamilkłam. Noc była parna i cicha. Musiałam się upewnić, że odjechali. Ledwie odważyłam się oddychać, wkrótce jednak wróciły – przerwane bulgotem tonącego samochodu – odgłosy nocy. Centymetr za centymetrem, czując ból w całym ciele, w końcu wydostałam się na brzeg i dysząc padłam na kupę zielska. Jakimś sposobem zdołałam szybko wstać; mimo upału drżałam, przemarznięta do szpiku kości.

Nie było ich. Odjechali. Zmęczenie przemieniło się we wściekłość i oburzenie. Myślałam, że utonąłam, że mogą spokojnie wracać do domu. Pokażę im – przysięgłam sobie, dygocąc cała.

Otaczały mnie ciemne drzewa, nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Wyglądało na to, że nad jednym z kanałów zapewniających stanowi wodę, które co i rusz przecinają Everglades. Noszą one tak fantastyczne nazwy jak C-54 albo C-115. Ten mógł się znajdować nawet w zachodnim Broward, choć bardziej prawdopodobne wydawało się, że jestem jeszcze w hrabstwie Dade. Na oko jechałyśmy nie więcej niż dwadzieścia pięć minut, ale kiedy człowiek przebywa w ciemności i ma stracha, czas biegnie naprawdę powoli.

Polna droga była w ciemności ledwie widoczna, domyślałam się jednak, że dojdę nią do głównej. Spróbowałam najlepiej jak się dało wyżyć ubranie i ruszyłam przed siebie. Ślizgałam się na mokrych podeszwach sandałów, które przy każdym kroku skrzypiały i popiskiwały. Pomacałam się po ramieniu – w dalszym ciągu sączyła się z niego krew. Będę potrzebowała zastrzyku przeciwtężcowego, a nie lubię igieł. Zastanawiałam się, czy jakkolwiek kierowca zgodzi się podwieźć takiego zmokłego brudasa jak ja, ale nie było sensu myśleć – zaraz miałam się o tym przekonać. Jeżeli nikt mnie nie zabierze, może uda mi się namówić kogoś, by zadzwonił na policję. Może niedaleko jest dom albo stacja benzynowa.

Popatrzyłam ostatni raz na wiry, ciągle jeszcze marszczące oświetlaną światłem księżycą gładką powierzchnię kanału. Są tu miejsca, które mają prawie dziesięć metrów głębokości. Mój biedny t-bird. Najlepszy samochód, jaki kiedykolwiek miałam. Odwróciłam się i poszłam dalej.

Rozdział dwudziesty trzeci

Nieufne starsze małżeństwo, które mnie podwiozło, było zadowolone, mogąc mnie wysadzić przy automacie na Krome Avenue, pierwszym zwiastunie cywilizacji, jaki napotyka się, wyjeżdżając z Everglades od wschodu. Radiowóz zjawił się po kilku minutach. Kiedy powiedziałam gliniarzom, że Bobby'emu i jego matce udało się uciec, poprawili mnie, że się myłę.

Zaraz po wyjściu porannego wydania gazety policjanci dowiedzieli się, że zaginęłam. Dan poinformował ich, że pojechałam szukać Bobby'ego. Czekali już pod domem van de Hyde'ów. Wystarczyło rozdzielić syna i matkę, żeby Bobby przyznał się do winy.

Zapytałam o Dana.

Na oddziale intensywnej opieki można odwiedzać pacjentów przez pierwsze dziesięć minut każdej godziny. Kiedy dotknęłam jego dłoni, odemknął powieki. Był szary i wyglądał bezradnie jak dziecko. Sama też wyglądałam nie najlepiej. Zmrużył oczy i zapytał:

– Co ci się stało? – Głos miał trzeszczący niczym zgniatane suche liście.

Gdy opowiadałam, jego oczy nieco się ożywiły.

– O nie! – jęknął, dowiedziawszy się, że to Bobby zamordował Mary Beth Rafferty. – A ja cały czas myślałem, że...

– Najważniejsze, że w końcu udało się wyjaśnić sprawę. A jednak sprawiedliwość zwycięży.

Pielęgniarka kazała mi wyjść.

Kiedy się żegnaliśmy, Dan szepnął mi do ucha:

– Jestem już na deskach, mała. To koniec.

– Trzymaj się, Dan. Trzymaj się.

Chciał powiedzieć coś jeszcze. Nachyliłam się nad nim.

– Oszukam system – wydyszał i spróbował się uśmiechnąć.

Miał rację. Zmarł cztery godziny później, o trzeciej nad ranem, zanim wysunięto przeciwko niemu oskarżenie o morderstwo.

Od śmierci Daniela P. Flooda dużo o nim myślę. Zwykle wspominam rozmowy i znaczące momenty. Jak dla rozśmieszenia mnie – co zawsze działało – udawał, że mikrofon radiostacji w jego wozie to maszynka do golenia. Jak wpadłam na niego późną nocą w całodobowym sklepie, gdzie zatrzymał się, wracając z miejsca zbrodni, kiedy to gangsterzy zabili innego gangstera, i stał – wielki i potężny – przebierając w pocztówkach na Dzień Matki; czytał dedykacje, by wybrać najmiłą dla żony. Jak pewnego dnia, gdy towarzyszyłam mu w roli obserwatora, zjechał na bok, by nie skrzywdzić wędrujących w poprzek jezdnii krabów. Jak pomagał pewnej młodej dziennikarce zdobyć materiały, do których w inny sposób nigdy by nie dotarła.

Myślałam o tym, jak całe życie wierzył w system, a pod koniec życia stwierdził, że jest on nieskuteczny.

Każdy z nas coś stracił. Nikt oprócz Dana nie pamiętał tylu tajemniczych morderstw, które zostaną być może kiedyś wyjaśnione, pod warunkiem, że zainteresują kogoś, kto cierpliwie pójdzie ich tropem. Dan był pomostem do innej epoki, do czasów, gdy Miami było czymś zupełnie innym – światem sprzed masowej imigracji, wojen narkotykowych, „politycznej poprawności”. Tak jak dinozaury, skazany był na wymarcie.

Mój samochód wyciągnięto z kanału kilka dni później, nadawał się już jednak tylko do kasacji. Kiedy zaczęłam ryczeć, Lottie, jak zwykle do rany przyłoż, pocieszyła mnie:

– Przecież to tylko kupa złomu.

Miała rację. Na widok samochodu ponownie dotarło do mnie, jakie mam szczęście, że żyję. Życie to stała walka ze śmiercią. Płakałam jednak nie tylko z powodu blachy – mój samochód był symbolem wszystkiego, co straciłam tego lata.

Kiedy wróciłam do pracy, wezwał mnie Fred Douglas. Miał poważną minę na biurku przed nim leżały strasznie urzędowo wyglądające papiery.

– Britt, zarówno policja miejska, jak i wydział Metro-Dade złożyły u naczelnego oficjalną skargę na twoje zachowanie.

Przewróciłam oczami i otworzyłam usta, by zaprotestować, Fred jednak powstrzymał mnie gestem dłoni.

– Jeszcze nie skończyłem.

Wierciłam się niecierpliwie na krześle. Ramię pod bandażem bolało. Gdy przewracał dokumenty, zaczęła mi drgać powieka.

– To samo dotyczy prokuratora okręgowego... – Poruszyłam się, ale znów mnie powstrzymał.

Boże drogi, kto jeszcze?

– Także biuro Erica Fieldinga...

– Fieldinga?! – zawylałam. – Powinien być wdzięczny! Podejrzewano go o morderstwo przez ponad dwadzieścia lat. Udowodniliśmy, że nie zabił dziewczynki, i powinien dziękować nam za to na kolanach!

– Nie jest wdzięczny, że wykazałaś to akurat teraz, w trakcie kampanii.

– Bo co?

– Nie zaprzecza, że go podejrzewano, ale nie dotarło to nigdy do prasy, i wyborcy o tym nie wiedzieli. Dopiero teraz połączono go oficjalnie ze sprawą i ujawniono, że był podejrzany. Choć wszystko się wyjaśniło, uważa, że samo wskazanie na jego związek z morderstwem zdezawuuje go w oczach wielu wyborców.

– Powinien nam dziękować na kolanach – powtórzyłam.

– Nie dziękuj. Policja i biuro prokuratora są wściekle jak cholera, że nie przekazałaś im natychmiast wszystkich informacji i podejrzeń, by mogli...

– Wiem, wiem – przerwałam niecierpliwie. – Coś jeszcze? – Zaczęłam trzeć powiekę, czując, jak narasta we mnie złość.

– Jeszcze jedno – rzekł, patrząc w dokumenty przed sobą. – Od tego tygodnia dostajesz dziesięć procent podwyżki.

Wbiłam w niego wzrok.

– Moja podwyżka przypada dopiero w maju.

– To podwyżka pozaregulaminowa, ale nie chwal się nią. Zwierzchnicy dość zgodnie uważają, że skoro gliniarze i politycy są tak wściekli, że przysyłają pisemne skargi, to znaczy, że dziennikarz robi swoje jak należy.

Podziękowałam, wstałam, miałam jednak jeszcze jedno pytanie.

– Co im powiedzieliście?

– Komu?

– Tym, którzy się skarżyli. Co im powiedzieliście?

– Że twój kierownik udzieli ci nagany. Niniejszym ci jej udzieliłem.

– Rozumiem.

– I jeszcze jedno. Resztę dnia i jutro weź wolne.

– Gretchen nie ma nic przeciwko temu?

– Załatwimy to.

– Na pewno? Chciała, żebym pomogła jej przy artykule o pogodzie. Janowitz jest na urlopie, a pierwszy tego roku huragan już się pewnie zbiera.

– Nie martw się o huragan, Britt. W Miami nie było huraganu od trzydziestu lat.

– Dobrze, te dni mi się przydadzą. Będę mogła poszukać samochodu.

Wróciłam do redakcji. Lottie czekała na mnie, oparta o biurko, skrzyżowawszy swoje długie ręce i nogi.

– Słyszałaś, że Bobby'emu wyznaczono na dziś pierwszy termin w sądzie? Odmówiono mu zwolnienia za kaucją. Mam nadzieję, że trafi do celi z Gwałcicielem z Centrum.

Biedny Bobby.

– Nawet za kratkami będzie prawdopodobnie swobodniejszy niż przez ostatnie lata – stwierdziłam, zgarniając rzeczy.

– Gdzie się wybierasz?

– Na wycieczkę.

– A niech mnie. Najwyższy czas, żebyś pojechała na urlop.

– Nie podniecaj się. To nic wielkiego.

Zdziwiła się.

– To nie będzie wielka wycieczka, tylko wokół zatoki Biscayne. Nie zauważyłaś? Dziś jest pełnia.

Uśmiechnęła się i pomachała mi.

– *Bon voyage*, Britt.